

# Arne Dahl ZŁA KREW

przełożyła  
Dominika Górecka

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE MUZA SA

Tytuł oryginału: *Ont blod*  
Projekt okładki: *Michał Korsun*  
Redakcja: *Lech Staszkiel*  
Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*  
Korekta: *Julia Klimek*

Zdjęcie wykorzystane na okładce ©  
Izabela Szymczak

© Arne Dahl 1998  
Published by agreement with Salomonsson Agency.  
All rights reserved © for the Polish edition by MUZA  
SA, Warszawa 2011 © for the Polish translation by  
Dominika Górecka

ISBN 978-83-7495-947-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA Warszawa 2011

# 1

NIEMY ból. Teraz już wiem, co to znaczy.

Nauka na życie, zaśmiał się bezgłośnym śmiechem wisielca. Nauka na śmierć, i zamiast śmiechu jeszcze jeden niemy krzyk w próżnię.

Gdy poczuł kolejny atak bólu, uświadomił sobie z krystaliczną jasnością, że zaśmiał się po raz ostatni.

Ból już się nie wznosił. W tym, co potrafił jeszcze określić jako mieszaninę zaspokożenia i strachu, poczuł, że dotarł na najwyższy szczyt, i zrozumiał, jakiego rodzaju proces miał się teraz rozpocząć.

Zjazd.

Krzywa bólu przestała się wznosić, wyprostowała się; gdzieś w oddali widział, jak pikuje, jakby pędziła po zjeżdżalni, prosto w nicłość. Lub też - choć walczył z tą myślą - do Boga.

Pory na jego ciele rozszerzyły się: maleńkie, szeroko rozwarte usta krzyczące „dlaczego”, którego on sam nie mógł wykrzyczeć.

Potem przyszły obrazy; wiedział, że przyjdą. Pojawiły się już wtedy, gdy ból osiągnął poziom, którego nie wyobrażał sobie nawet w najśmielszych przypuszczeniach. Zdziwiło go, jakie możliwości kryły się w nim przez te wszystkie lata.

Czyli to prawda.

Człowiek nosi w sobie aż taki potencjał wytrzymałości.

Gdy eksplodował całym sobą w nadchodzących po sobie kaskadach, wydawało mu się, że ból przenosi się z jego palców, genitaliów i szyi gdzieś poza ciało. W pewnym sensie ból stał się wszechobecny, wznosił ponad cielesność i wtargnął

do jego - nie potrafił znaleźć lepszego słowa - duszy, za wszelką cenę starał się nie stracić przytomności umysłu. Właśnie wtedy przyszyły obrazy.

Z początku jeszcze walczył, próbując nie stracić kontaktu ze światem zewnętrznym, który zawężił się do cielsk samolotów przesuwających się za okienkiem w ścianie - czasem też mijał go jego oprawca, uzbrojony w śmiertelne narzędzia. Ryk samolotów mieszał się powoli z obrazami, aż w końcu samoloty stały się wyjąkami z otchłani zjawami. Nie potrafił uporządkować obrazów, ich kolejności, struktury. Zobaczył wyraźnie wewnątrz sali porodowej, ale nie było go tam; gdy rodził się jego syn, rzygał w toalecie, co bardzo dobrze teraz słyszał. W myślach widział się jednak, to było piękne, pozbawione zapachu i dźwięków. Życie toczyło się dalej, było czyste. Pozdrowiał ludzi, o których wiedział, że są wielkimi pisarzami. Szedł przez wspaniałe korytarze. Patrzył, jak kocha się z żoną, jej twarz promieniała szczęściem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział. Stał na mównicy, tłum bił brawa jak oszalały. Nowe korytarze, spotkania, zebrania. Był w telewizji, czuł, jak patrzą na niego z uznaniem. Widział, jak pisze w nagłym przyplywie inspiracji, jak czyta książkę, jedną za drugą, jak pochyla się nad kolejną stertą papieru. Gdy ból ustępował, a ryk samolotów sprowadzał jego myśli z powrotem na ziemię, dochodziło do niego, że widział jedynie siebie samego, jak czyta i pisze, nigdy zaś - co tak naprawdę czyta i pisze. W tych krótkich przerwach na oddech uświadamiał sobie, że zastanawia się, co to mogło oznaczać.

Rozpoczął się zjazd, czuł to wyraźnie. Ukłucia już go nie dosięgały. Wymykał się swojemu dręczycielowi, wiedział, że wygra. Starczyło mu siły, żeby na niego splunąć, w odpowiedzi usłyszał skrzypnięcie i ledwo wyczuwalne nasilenie bólu. Z ciemności wyłonił się ryczący smok, który na powrót zamienił się w samolot i spowił welonem spalin boisko, gdzie syn rzucał nerwowe spojrzenia w stronę linii autowej. Zamachał do syna, ale ten go nie widział, zamachał więc szybciej, głośniejszym zawołał,

lecz chłopak wydawał się tylko coraz bardziej zrezygnowany i z roztargnienia, a może na znak protestu, strzelił samobójca. Młoda kobieta przy regale z książkami, spojrzenia pełne uznania. Idą ulicą, manifestując przed całym światem swoją ponadpokoleniową miłość. Po drugiej stronie nieruchomieją dwie postacie, żona z synem, widzi ich wyraźnie, zatrzymuje się i całuje dziewczynę głęboko. Jogging, siłownia. Igła, która wbija się w czaszkę. Jeszcze jedno ukłucie i imponująca czupryna znów jest na swoim miejscu. Telefon dzwoni w czasie dyskusji na targach książki, drugi syn, strzelają korki od szampana; gdy wraca do domu, już ich nie ma. Znowu czyta; w ostatnim przyływie świadomości przychodzi mu na myśl, że coś z tego, co przeczytał i napisał, powinno do niego wrócić, ale wciąż widzi tylko siebie. W ostatnim przeblysku, kiedy wydaje mu się, że umiera w prawdzie, dochodzi do niego, iż wszystko, co przeczytał czy napisał, tak naprawdę nic nie znaczyło. Równie dobrze mógł zająć się czymś zupełnie innym.

Przypominają mu się pogrózki. „Nikt nie usłyszy twojego krzyku”. Nie brał ich na poważnie. Bo przecież podejrzewał... Ostatnia fala bólu zabiera ze sobą ostatnie myśli.

I wtedy zaczyna się koniec. Ból ustaje. Obrazy nabierają tempa. Jakby się gdzieś spieszyły.

Idzie w tłumie protestujących, jakiś policjant podnosi na niego pałkę. Stoi na pastwisku, pędzi na niego koń. Zaskroniec wpełza mu do kaloszy i wije się między palcami. Ojciec rzuca szybkie spojrzenie na jego rysunek ogromnego węża. Chmury przesuwają się nad daszkiem, chyba widział na nim kota. Słodkie mleko obryzguje mu twarz. Gruba, jasnozielona cięciwa wskazuje mu drogę, coś prowadzi go przez ciemne, mięsiste kanały.

A potem nie prowadzi już nigdzie dalej.

Gdzieś pojawia się myśl: Co za podła śmierć.

»

PAUL Hjelm był przekonany, że istnieją martwe poranki. Bez wątplenia należał do nich właśnie ten, jeden z ostatnich poranków lata. Na pobladych drzewach na dziedzińcu nie poruszył się ani jeden liść. I ani jeden kłębek kurzu. Stał w pokoju, patrząc bezwolnie przed siebie. Również w jego głowie tylko niektóre szare komórki wykonywały jakikolwiek ruch. Innymi słowy, był to całkowicie martwy poranek w budynku komendy policji na Kungsholmen.

Co gorsza, był to również całkowicie martwy rok. Paul Hjelm należał do zespołu policjantów, który w zeszłym roku prowadził dochodzenie w sprawie słynnego Łowcy Rekinów - seryjnego mordercy z przykładową konsekwencją uszczuplającego szeregi szwedzkich elit gospodarczych. Jako że dochodzenie zakończyło się sukcesem, zespół otrzymał status jednostki specjalnej wydziału kryminalnego Komendy Głównej Policji - Rikskrim - do „przestępstw o charakterze międzynarodowym”, jak brzmiała oficjalna nazwa. W praktyce mieli zajmować się czymś, co tak naprawdę jeszcze nie dotarło do granic Szwecji.

Tu był pies pogrzebany. Przez ostatni rok kraj nie doświadczył żadnego nadzwyczajnego „przestępstwa o charakterze międzynarodowym”, w związku z czym zasadność istnienia Drużyny A coraz częściej była podawana w wątpliwość.

Właściwie to nawet tak się nie nazywali, otrzymali to miano w lekkiej panice, gdy półtora roku temu tworzone naprędce ich zespół. Obecna nazwa powstała z powodów formalnych, niejako utrwalających ich istnienie, a ponieważ oficjalnej nazwy nie

sposób było powiedzieć, nie wybuchając przy tym śmiechem, nieoficjalnie wciąż byli Drużyną A, co brzmiało równie komicznie, ale przynajmniej wiązało się z jakimiś wspomnieniami. Ich sukcesy należały już właściwie do historii. Pracownicy etatowi niemający nic do roboty nie byli mile widziani, zespół powoli więc się rozkruszał. Ciągano ich na prawo i lewo, dostawali coraz to gorsze zlecenia. I chociaż oficjalny szef zespołu Waldemar Mórner walczył o nich jak lew, wszystko wskazywało na to, że żywot Drużyny A dobiega końca.

Potrzebowali seryjnego mordercy z prawdziwego zdarzenia. O prawdziwie międzynarodowym charakterze.

Paul Hjelm patrzył bezmyślnie przed siebie w ten martwy poranek. Jeden z ostatnich żółtych liści drgnął i opadł na ponury betonowy dziedziniec. Policjant wzdrygnął się, pomyślał, że była w rym zapowiedź orkanu, to wzdrygnięcie wyrwało go z otępienia. Powłókł się w stronę obdrapanego lusterka do golenia, zawieszzonego na jednej ze ścian anonimowego biura, żeby przyjrzeć się z bliska wypryskowi na policzku.

W czasach pogoni za Łowcą Rekinów na jego twarzy pojawiła się czerwona plamka i ktoś bardzo mu bliski powiedział, że przypomina serce. To się zdarzyło dawno temu. Tamta kobieta nie była mu już taka bliska, a ta, która była, uważała, że to obrzydliwe.

Na wspomnienie tego czasu melancholia mieszała się w nim z poczuciem odrealnienia. To był dziwny okres, zdumiewające połączenie sukcesu zawodowego ze szwankującym życiem prywatnym. A potem odnowa, bolesna w sposób, w jaki bolesna może być tylko odnowa.

Cilla odeszła. Został sam z dziećmi w szeregowym domu w Norsborgu w samym środku jednego z najważniejszych śledztw w historii kraju. Dzieci musiały radzić sobie same, a on coraz bardziej zatracił się w pracy, znajdując budzące wątpliwości erotyczne pocieszenie u koleżanki z zespołu. Wciąż nie potrafił odróżnić tego, co rzeczywiście zdarzyło się między nimi, od tego, co tylko sobie wyobraził.

Po zakończonym śledztwie pociąg jego życia powrócił na znajome tory, jak w przypiływie natchnienia nazywał to w myślach. Kolejne wagony wjeżdżały z bocznic na magistralę, aż w końcu stary pociąg Hjelm wyglądał jak dawniej. Wróciła Cilla, życie rodzinne unormowało się, członkom Drużyny A, w tym jemu, przyznano status bohaterów, zespół zapewnił sobie przyszłość, Hjelm awansował i dostał normalne godziny pracy, dwóch kolegów stało się jego bliskimi przyjaciółmi, wspomniana koleżanka spotkała nowego mężczyznę, odzyskał spokój i wszystko było cacy.

Najwyraźniej jednak przedawkował spokój, bo oto któregoś dnia, po niespełna pół roku, który był potrzebny do zawiązania teczki ze sprawą Łowcy Rekinów i wydania wyroku, zobaczył, że jego magistrala zamieniła się w tor kolejki elektrycznej, a to, co początkowo wydawało mu się bezkresną przestrzenią i lotem w przestworza, było ledwie betonową podłogą, ścianami i sufitem dziecięcego pokoju. Jego pociąg jeździł w kółko, wciąż po tym samym torze.

Gdy jeszcze zaczęto kwestionować zasadność istnienia Drużyny A, pojawiły się kolejne wątpliwości. Coraz częściej miał wrażenie, że powrót na stare tory był tylko inscenizacją. Jakby to wszystko było fuszerką, jakby pod torowiskiem nie było gruntu i mógł je zerwać nawet najmniejszy podmuch wiatru.

Hjelm spojrział w lustro. Miał około czterdziestki, blond włosy zgodnie ze szwedzkim standardem, z coraz dalej sięgającymi zakolami, nic szczególnego. Oprócz wyprysku, z którego przed chwilą zdarł płatek skóry i wtarł w policzek trochę kremu. Podszedł do okna. Nic się nie zmieniło. Żółty liść leżał dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. W czasie jego nieobecności na policyjnym dziedzińcu nie zagościł nawet najmniejszy powiew.

Potrzebowali seryjnego mordercy z prawdziwego zdarzenia. O prawdziwie międzynarodowym charakterze, zdążył pomyśleć Paul Hjelm, zanim na nowo oddał się orgii uzalania nad sobą.



To prawda, że Cilla wróciła. To prawda, że on też wrócił. Ale ani razu nie zdarzyło im się porozmawiać o tym, co tak naprawdę czuli w czasie separacji. Z początku wziął to za dowód wzajemnego zaufania, ale z czasem zrodziło się w nim podejrzenie, że chodziło tu raczej o przepaść, której nigdy nie uda im się pokonać, chyba tylko z pomocą sztucznych środków. A dzieci? Danne skończył szesnaście lat, Tova wkrótce miała skończyć czternaście i czasem, gdy udało mu się złapać ich przelotne spojrzenia, zastanawiał się, czy wyczerpał nagromadzony przez lata zapas zaufania. Czy dziwne lato ponad rok temu zostawiło ślady, które będą miały wpływ na życie jego bliskich jeszcze długo po jego śmierci? Na myśl o tym kręciło mu się w głowie.

Miał wrażenie, że związek z Kerstin Holm, koleżanką z pracy, również wkroczył w nową fazę. Wpadali na siebie kilka razy dziennie, przy każdym kolejnym spotkaniu czuli się bardziej niezręcznie. W ich spojrzeniach kryła się otchłań, do której nawet się nie zbliżyli, a która coraz bardziej się o nich upominała. Dobre stosunki z szefem Janem-Olovem Hultinem i kolegami Gunna-rem Nybergiem i Jorge Chavezem też nie były takie jak dawniej. Patrzył, jak kolejka elektryczna jeździ w kółko po zamkniętym pokoju.

I jeszcze ta nieprzyjemna myśl, że tak naprawdę zmienił się tylko on. Bo w nim n a p r a w d ę zaszła zmiana. Słuchał muzyki, którą dawniej omijał szerokim łukiem, i zaczytywał się w książkach, z których istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy. Spojrzał na biurko, na leżący na nim discman i stykającą się z nim grzbietem zniszczoną książkę. W odtwarzaczu miał coś bardzo tajemniczego, *Meditations* Johna Coltrane'a, jedną z ostatnich płyt mistrza saksofonu, dziwną mieszaninę dzikiej improwizacji i pobożnego skupienia, a obok *Ameryka* Kafki, jedna z jego najmniej docenianych powieści, ale na swój sposób również najbardziej osobliwa. Hjelm wiedział, że nigdy nie zapomni łańcucha zdarzeń, który rozpoczyna się w chwili, gdy młody Karl, schodząc na ląd ze statku w nowojorskim porcie, spostrzeża, że zapomniał

parasola, i postanawia po niego wrócić. Takie sceny przychodzą do człowieka, gdy leży na łożu śmierci, co do tego nie miał wątpliwości.

Czasem obwinał literaturę i muzykę za wizję kolejki elektrycznej. Może byłby szczęśliwszym człowiekiem, gdyby wciąż widział nieskończoną przestrzeń i drogę aż po horyzont.

Kolejny raz spojrzął na dziedziniec. Liść leżał na swoim miejscu. Całkowity bezruch.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zerwał się z ziemi, wpadł w wir powietrza, porywając za sobą inne, żółte i zielone; dziki, kolorowy taniec między murami komendy policji. Po chwili zatrzymał się, samotny podmuch wiatru przeniósł się ukradkiem w inne miejsce, zostawiając po sobie opuszczoną stertę liści na smutnym chodniku.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Jorge Chavez. Już sama obecność tego trzydziestoletniego wulkanu energii sprawiała, że Paul Hjelm czuł się o dziesięć lat starszy. Zdażył się z tym pogodzić; Chavez był jednym z jego najlepszych przyjaciół. Trafił do Drużyny A z Sundsvall, gdzie przyznał sobie miano jedynego czarnego gliniarza w północnej Szwecji. Tak naprawdę pochodził jednak ze Sztokholmu, był synem chilijskich imigrantów mieszkających w Ragsved. Hjelm nie mógł pojąć, jak Chavezowi udało się przejść testy sprawnościowe do szkoły policyjnej; miał najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu. Jakkolwiek patrzeć, był jednym z najbystrzejszych policjantów w kraju, a już z pewnością jednym z bardziej energicznych, jakich Hjelm kiedykolwiek spotkał. Poza tym był wyśmienitym basistą jazzowym.

Korpulentna postać prześlizgnęła się bezszelestnie do swojej połowy biurka, zdjęła z krzesła szelki z kaburą, zapięła, sprawdziła broń służbową i włożyła na siebie letnią płócienną marynarkę.

- Coś wisi w powietrzu. Na korytarzach pełna mobilizacja.

Hjelm powtórzył niezbyt pewnie zestaw ruchów Chaveza.

- Jak to pełna mobilizacja?

- Trudno powiedzieć. Ale ja ci to mówię, za pół minuty usłyszymy głos Hultina. Chcesz się założyć?

Paul Hjelm pokręcił głową. Spojrzał na leżącą na biurku książkę i płytę, na stertę liści na dziedzińcu, wzdrygnął się i zajął miejsce w lokomotywie. Czas nabrał nowego kształtu.

W telefonie odezwał się szorstki głos; należał do szefa operacyjnego Drużyny A, inspektora kryminalnego Jana-Olova Hultina.

- Zbiórka. Wszyscy. Natychmiast.

Hjelm naciągnął skórzaną kurtkę na kaburę i już był gotowy. Całym sercem. Pobiegł do sali, która dawniej nazywana była centrum dowodzenia i która może - pomyślał Hjelm z nadzieją - jeszcze kiedyś powróci do tej nazwy. W korytarzu Chavez oberwał w nos drzwiami. Otworzył je Viggo Norlander, ale nawet na niego nie spojrzął. Znany w zespole jako skończony formalista, był teraz prawdziwym *bad boy*. Po zakończeniu śledztwa w sprawie Łowcy Rekinów zamienił znoszone urzędnicze garniturki na modne koszulki polo i skórzaną kurtkę, a zwisający brzuszek na kaloryfer z prawdziwego zdarzenia.

Gdy Norlander i Hjelm wtoczyli się do środka, reszta zespołu siedziała już w sali. Chavez zjawił się chwilę potem z chusteczką przytkniętą do nosa. Inspektor Jan-Olov Hultin spojrzął na niego wymownie zza swojej katedry; wyglądał jak znudzony nauczyciel, o którym zapomniał zakład ubezpieczeń społecznych. Drobne oprawki były już na swoim miejscu - wyglądały jak narośl na ogromnym nosie. W jego spojrzeniu nie dostrzegli błysku, co najwyżej ognik gdzieś w kącie oka. Odchrząknął.

Doborowy oddział był w komplecie. Jak zwykle przyszli trochę przed czasem, żeby móc wcześniej wyrwać się do domu. Nikt nie został nigdzie oddelegowany ani też przydzielony do kolejnego zadania. Jakby była w tym jakaś głębsza myśl. Gunnar Nyberg, Arto Söderstedt i Kerstin Holm siedzieli z przodu. Nyberg i Söderstedt należeli do tego samego pokolenia co Norlander, byli o kilka lat starsi od Hjelma i o wiele lat starsi od

Chaveza, Holm była gdzieś pomiędzy tymi dwoma ostatnimi. Przyjechała z Göteborga i była jedyną kobietą w zespole, drobna, z ciemnymi włosami i ciętym językiem. Stanowiła trzeci trybik w trio mózgowców, które w opinii pozostałych tworzyła z Hjelmem i Chavezem. Miała również coś wspólnego z największym mięśniakiem w zespole, kolegą z pokoju Gunnarem Nybergiem - oboje śpiewali w chórze i nie przeszkadzało im, gdy ktoś nakrył ich ćwiczących *a cappella*. Nyberg, w przeszłości napakowany sterydami brutalny kulturysta, dziś był nieśmiałym mężczyzną w średnim wieku obdarzonym pięknym głosem - niedbale ubraną górą mięśni, która, jeśli zaszła taka potrzeba, potrafiła zaśpiewać ze starych nut. Tak było za czasów śledztwa w sprawie Łowcy Rekinów, gdy z kulą w szyi zatrzymał rozjeżdżony samochód i trwale go uszkodził. Z kolei Söderstedt, kredowobiały Fin szwedzkiego pochodzenia, był w przeszłości wybitnym adwokatem, którego jednak dogoniło sumienie. Zawsze trzymał się trochę z boku, podążając własnymi, nieszablonowymi ścieżkami, z dala od utartych szlaków.

Norlander, Chavez i Hjelm usiedli w tylnym rzędzie. W sali rozległ się charakterystyczny, spokojny głos Hultina.

- W Stanach Zjednoczonych został dziś zamordowany obywatel szwedzki. Ale nie jakiś tam obywatel, nie byle gdzie i nie przez byle kogo. Stosunkowo dobrze znanego szwedzkiego krytyka literackiego kilka godzin temu zabito na lotnisku Newark na obrzeżach Nowego Jorku. Przed śmiercią był bestialsko torturowany przez zręcznego seryjnego mordercę, aktywne go zawodowo od dwudziestu lat. Jak na razie nie ma to z nami nic wspólnego.

Hultin zrobił przerwę, najwyraźniej mieli jeszcze na to czas. Po chwili ciągnął:

- Szkopuł w tym, że ten seryjny morderca z prawdziwego zdarzenia o prawdziwie międzynarodowym charakterze jest właśnie w drodze do nas.

Znowu chwila ciszy, tym razem bardziej wymownej.

- Z informacji przesłanych nam przez FBI wynika, że zajął miejsce owego krytyka literackiego. W tej chwili siedzi w samolocie, lot SK 904. Za niecałą godzinę wyląduje na Arlandzie, dokładnie o 8.10. Razem ze stu sześćdziesięcioma pasażerami; policja nowojorska zdecydowała się nie informować załogi. Wciąż nie znamy tożsamości przestępcy, co nie do końca dziwi, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że przez dwadzieścia lat wodził za nos FBI. Cała nadzieja w tym, że przed wylądowaniem samolotu przekażą nam nazwisko, pod jakim podróżuje. Uruchomiliśmy gorącą linię z agentem specjalnym Lamerem z Nowego Jorku, bierzemy pod uwagę dwa równoległe scenariusze. Pierwszy: dostajemy nazwisko na czas, a wtedy istnieje ryzyko bójki na pokładzie. Drugi: nie dostajemy nazwiska na czas i spośród stu sześćdziesięciu pasażerów musimy wytypować umiającego się dobrze ukrywać seryjnego mordercę, o którym wiemy tylko tyle, że to biały mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat.

Hultin wstał i zasunął zamek błyskawiczny w swojej starej kurtce sportowej, zakrywając kaburę pistoletu. Pochylił się do przodu.

- Tak naprawdę sprawa jest bardzo prosta - zaczął powoli. -Jeśli nam się nie uda, Szwecja zaimportuje pierwszego prawdziwego amerykańskiego seryjnego mordercę. Postarajmy się temu zapobiec.

Począł do helikoptera, na odchodnym zostawiając ich z taką oto mądrością:

- Świat się kurczy, panie i panowie. Świat się kurczy.

NIEZASTĄPIONA bezmierna cisza, która zawsze przychodziła, gdy tego potrzebował, nadciągnęła w pulsujących falach błogości. Wiedział, że nigdy nie przestanie.

Na zewnątrz rozpościerała się nieskończona pustka, z ziemią, która stanowiła mały, niezbyt istotny wyjątek. Owadzia kupa powstała w akcie stworzenia na białym arkuszu doskonałości, kleks na protokole, plama, która powinna była zniweczyć nieograniczoną boskość boskości.

Cienka szyba z pleksi oddzielała go od zasysającej próżni. Spokój sprawiał, że stawał się jej częścią. Kopulował z nią w boskim kołysaniu.

Huśtawka z chmur powoli odsuwała obrazy. Były teraz daleko. Tak daleko, że mógł nawet o nich myśleć. Z jego ust ani na chwilę nie zniknął błogi uśmiech.

Był nawet w stanie pomyśleć o zejściu do piwnicy. Nie był to obraz - wówczas musiałby się go pozbyć, spalić w ofierze - ale opowieść, logicznie powiązana struktura. I choć wiedział, że zaraz znów mu ona uleci, wołając o spalenie, cieszyło go, że oto mógł ją zamknąć w przejrzystą jak szkło całość.

Był w drodze.

Był w drodze, schodził po schodach, o których nie wiedział, że istnieją, w drodze do piwnicy, której istnienia się nie domyślał. Tajemne przejście w garderobie. Słodkie od kurzu powietrze klatki schodowej, o którym nie potrafił zapomnieć. Ciche betonowe schody, o których myślał, że nie mają końca. Chłód wilgotnej poręczy.

Oczywista konsekwencja wtajemniczenia. Gdy oczy zdołały spojrzeć w górę, a każdy kolejny krok na schodach ku wiecznej ciemności rozgrzeszał poprzedni, ukazała się bezsporna logika. Został wybrany.

Kolo musi się zamknąć. Nie ma wyjścia. Potem zacznie na serio.

Schody prowadziły dalej. Zniknęła najslabsza poświata. Szedł więc po omacku, krok po kroku.

Pozwolił sobie na przerwę, cisza kołysała go, był już coraz bliżej wyzwającego snu. Czekał, aż niedoskonałe kołysanie niedoskonałych skrzydeł samolotu przeniesie go w doskonałe kołysanie wieczności.

Pojawiło się nowe światło, całkiem inne, które pokierowało jego ostatnimi krokami w dół schodów. Blask zza drzwi, jak rama ikony wokół ciemności, jaśniejszy od światła. Gloria wskazująca drogę. Złota rama wokół przyszłego arcydzieła.

Które teraz miał dokończyć.

Uchylił drzwi do tysiącletniego królestwa.

Za oknem Wielka Niedźwiedzica zachodziła na Małą Niedźwiedzicę, tworząc Jeszcze Większą Niedźwiedzicę.

- *Tonight we can offer you the special SAS Swedish-American long drink for a long nights flight, sir* - zabrzmiał pieszczotliwy kobiecy głos.

Ale wtedy już spał.

HELIKOPTER wystartował z dachu budynku komendy o godzinie 7.23 w środę trzeciego września. Stłoczonych w środku siedmioro ludzi tworzyło jednostkę, która tak naprawdę nie istniała. Przez krótką chwilę Paul Hjelm pomyślał, że tylko imitują pogrzebaną już drużynę, ale zaraz potem skupił się na swoim zadaniu. Podobnie jak cała reszta.

Siedział wciśnięty między zdyszane cielsko Gunnara Nyberga a obciągnięty skórą szkielet Arta Söderstedta. Po przeciwnej stronie drobne, ciemne ciało Kerstin Holm wciśnięte było między wytrenowane mięśnie Vigga Norlandera, mężczyzny w średnim wieku, a młodzieńczo sprężyste ciało Jorge Chaveza. Na środku przykucnął Jan-Olov Hultin z imponującą stertą papieru, niemożliwą do zebrania w tak krótkim czasie. Do tego w pozycji, która nie powinna być możliwa dla sześćdziesięcioletniego mężczyzny, nawet jeśli wciąż jest wyjątkowo skutecznym środkowym obrońcą. Poprawił okulary na swoim wydatnym nosie. Hałas helikoptera sprawiał, że jego głos nie był tak spokojny jak zwykle.

- To nie będzie łatwe. Na miejscu są policjanci z Arlandy i Marsty. Przez halę lotów międzynarodowych przebiegł już cały zastęp z karabinami maszynowymi, siejąc zgrozę wśród turystów. Na szczęście zdążyliśmy wycofać ich stamtąd. Ten człowiek nie zawaha się przed niczym, tyle w każdym razie udało mi się zrozumieć. To doskonale zaprogramowana maszyna do mordowania i jeśli cokolwiek zacznie podejrzewać, będziemy tu mieć krwawą łaźnię i dramat zakładników, generalnie *worst case scenario*. Musimy zatem być wyjątkowo ostrożni.



Hultin pochylił się nad trzepoczącymi na wietrze kartkami papieru.

- W samolocie jest ponad sto pięćdziesiąt osób, raczej trudno będzie zagonić ich wszystkich do hangaru i po kolei sprawdzić. Część mogłaby przyplącić to życiem. Zamiast tego: staranna kontrola paszportów, oczywiście pod naszym nadzorem, ze szczególnym uwzględnieniem samotnie podróżujących białych mężczyzn w średnim wieku - nie powinno ich zabraknąć w *business class flight*. Celnicy wyposażyli nas w sprzęt pozwalający sfotografować zdjęcie z paszportu w trakcie kontroli. Oczywiście nie zostawimy ich samych, usiądziecie razem z nimi, z zewnątrz będziecie praktycznie niewidoczni. W trakcie odprawy będą czynne tylko dwa okienka, co powinno spowolnić przepływ pasażerów, chodzi o to, żeby dało się ich objąć wzrokiem. W budkach posadzimy Kerstin i Vigga. Nakazuję dokładność, koncentrację i ostrożność. Reagujcie tylko na wyraźne sygnały, w pozostałych przypadkach obowiązuje kontakt radiowy. Na zwykle dosyć krytycznym odcinku między bramką a kontrolą paszportową, wśród barów i butików hali tranzytowej, ryzyko będzie mniejsze, bo nie ma stamtąd wyjścia. Będą tam policjanci z Marsty. Ty nimi dowodzisz, Arto. Udaj się do właściwej bramki, czekają tam już na ciebie. Dopilnuj przede wszystkim, żeby byli jak najmniej widoczni. Uważajcie, by nikt z pasażerów nie oddalił się w drodze do kontroli paszportów. Posadź ludzi w toaletach, butikach, we wszystkich dostępnych miejscach; nie ma ich zresztą aż tak wiele. Reszta ustawi się w hali przylotów i na zewnątrz; wszystko wskazuje na to, że jeśli coś ma się wydarzyć, to właśnie tam. Arto, twoim zadaniem jest więc zaprowadzić całe stado do kontroli paszportowej. Jak pasterz.

- Czy w tym czasie lądują inne samoloty? - zapytał Arto Söderstedt z fińsko-szwedzkim akcentem i spojrzał niepewnie na koryto rzeki E4, nad którą lecieli jak wypełniona helem barka. - Pasterz czarnych owiec - rzucił pod nosem. Hultin spojrzał na

niego z ukosa i dał kolejnego nura w szarpane wiatrem morze papierów.

- Nie bezpośrednio przed ani po.
- A kolesie z maszynówkami? - wtrącił Nyberg.
- Są do naszej dyspozycji. Ale tylko w razie konieczności.
- Sapo? - zapytał Söderstedt.

Chętnie zagabywał o Sapo. Pole działania Drużyny A pokrywało się często z polem Sapo, przez co nieraz dochodziło do konfliktów. Mieli jeszcze świeżo w pamięci śledztwo w sprawie Łowcy Rekinów i krecią robotę ludzi z Sapo.

- Z pewnością będą i oni. - Kiwnięciu głową Hultina towarzyszyło bezgłośnie westchnięcie. - Ale że zwykle i tak niewiele nam mówią, zachowujmy się tak, jakby ich tam nie było. No dobra. Jak wiecie, z hali przylotów jest tylko jedno wyjście, które przed odprawą celną rozgałęzia się na dwa korytarze na kształt litery T, tuż przed głównym wyjściem. Potrzebujemy jednego człowieka po każdej stronie głównego wyjścia. Gunnar i Jorge. Ja z Paulem postaramy się nie wyglądać na policjantów, staniemy gdzieś w pobliżu taśmy bagażowej, żeby mieć widok na całą halę przylotów. Zatem kontrola na czterech etapach: najpierw bramka - Arto i jego podkomendni, potem kontrola paszportowa - Kerstin i Viggo, hala przylotów - Paul i ja, a na koniec wyjście - Gunnar i Jorge. Jasne?

- Jak słońce - odezwał się Hjelm. - Ciekawe tylko, czy zda to egzamin w zderzeniu z setkami skacowanych pasażerów z jet lagiem.

Hultin puścił tę uwagę mimo uszu. Mówił dalej:

- Chodzi przede wszystkim o to, żebyśmy potrafili szybko prze skoczyć z planu A na plan B. Jeśli dostaniemy nazwisko, pod którym ukrywa się ten człowiek, jeszcze z a n i m pasażerowie dojdą do stanowiska odprawy paszportowej, to właśnie tam musimy skupić całą naszą uwagę. Musimy dorwać go na miejscu, co mo że się udać, jeśli nie zmienił tożsamości już w samolocie. Jasne? Wtedy najwięcej zależy od Vigga i Kerstin. To plan B, ale jak na

razie obowiązuje plan A, czyli że nie mamy, kurwa, zielonego pojęcia, kim on jest. Jest godzina... siódma trzydzieści cztery, w każdej chwili - usłyszeli melodyjkę z Myszki Miki, którą Hultin pospiesznie wyciszył - może odezwać się agent specjalny Lamer.

Odebrał, odwracając się plecami. E4 prowadziła teraz przez nawożone spalinami pola, upstrzone gdzieś tam dzielnie walczącymi traktorami. Był jasny dzień pod koniec lata, który przeżywał trudnym do opisania dreszczem zbliżającej się jesieni. Lato się skończyło, zasepił się Hjelm. Jesień nad Szwecją - dopowiedział jego wewnętrzny głos, drżąc przy tym patetycznie.

Z oddali zobaczyli wyjątkowo pokraczną zabudowę.

- To pewnie miasteczko Arlanda? - krzyknęła Kerstin Holm.

- Bez wątpienia - odpowiedział Arto Söderstedt.

- *But why?* - ryknął niespodziewanie Hultin. Przez chwilę stał bez słowa, po czym wyłączył telefon.

- Nie - zaczął. - Nie uda im się zdobyć nazwiska. Wygląda na to, że zabójca odwołał rezerwację w imieniu zamordowanego Szweda i chwilę potem zrobił następną na swoje nazwisko, oczywiście fałszywe. Tyle że właśnie o nie nam chodzi. Nie rozumiem, dlaczego potrzeba tyle czasu, żeby zdobyć nazwisko pasażera, który jako ostatni dokonał rezerwacji. Tak więc nadal obowiązuje plan A.

Helikopter skrecił znad E4 i skierował się w stronę lasów wokół Arlandy. Na Arlanda International byli dwadzieścia cztery minuty przed lądowaniem samolotu SK 904 z Nowego Jorku. Pięć minut później członkowie Drużyny A zajęli swoje pozycje.

Chavez udał się do głównego wyjścia. Przecisnął się przez wciąż jeszcze możliwy do ogarnięcia tłum przyszłych i byłych turystów i usiadł na ławce obok automatu z colą, skąd widział swój teren, połowę wyjścia z korytarza odprawy celnej. Wytężył sokoli wzrok. Poziom jego ambicji był jak zwykle tuż ponad poziomem maksymalnym.

Jakieś pół minuty później zjawił się Gunnar Nyberg, na którym lot helikopterem zrobił najwyraźniej większe wrażenie.

Usiadł przy stoliku w kawiarni, z twarzą zlewana to zimnym, to gorącym potem, zwróconą w stronę Chaveza i drugiej połowy wyjścia. Potrzebował kopa energetycznego, zamówił więc puszkę napoju dla sportowców, który pamiętał z czasów swojej kariery kulturysty. Wypił jednym haustem pół litra; nasza go refleksja, że smakuje, jakby powstał poprzez wyciśnięcie spoconych po treningu ubrań ze wszystkich siłowni świata. Możliwe, że udało mu się wyrównać poziom płynów w organizmie; z pewnością osiągnął poziom wymiotny.

W korytarzu odprawy celnej pojawił się, idąc pod prąd, nietrudny do zidentyfikowania kwintet. Hultin zatrzymał się, żeby zamienić kilka słów z wyraźnie zdenerwowanymi celnikami, po czym dołączył do pozostałej czwórki w hali przylotów. Stał w kolejce do kantoru, skąd miał widok na całą halę. Pozostali udali się w kierunku stanowiska odprawy paszportowej. Hjelm zatrzymał wzrok na nieruchomej taśmie bagażowej - im bardziej starał się nie wyglądać na policjanta, tym bardziej na niego wyglądał. Gdy poczuł, że nad jego głową zaczyna obracać się niebieskie światło sygnalizatora, dał za wygraną i od razu wyszło mu to na dobre. Usiadł na ławce i wziął do ręki broszurę, której treść na zawsze pozostała dla niego tajemnicą.

Norlandera i Holm zaprowadzono do dwóch niewygodnych taboretów ustawionych w głębi boksów kontrolerów paszportów tuż za ich plecami, dzięki czemu policjanci nie byli widoczni z zewnątrz, a nawet jeśli, nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Usiedli w oczekiwaniu na nawałnicę.

Został już tylko jeden. Arto Söderstedt precyzyjnie przeszedł przez stanowisko odprawy paszportowej i wykonał slalom na ruchomych schodach, omijając spóźnionych pasażerów w drodze do hali tranzytowej. Nie musiał patrzeć na monitory, żeby trafić do właściwej bramki. Przed tą z numerem dziesięć siedziała grupa mężczyzn, od których aż biło: POLICJA. Przydzielił im stanowiska. Dokonał szybkiego oglądu sytuacji; najbardziej oddalonym punktem były toalety. W każdej z nich posadził po jednym

policjancie, sprawdził, czy drzwi pomieszczeń dla personelu i innych pomieszczeń służbowych są zamknięte. Zostały jeszcze sklepy wolnocłowe, bary i kawiarnie. Odnalazł posterunkowego Adolfszona. Siedział przy barze i wyglądał wyjątkowo nie na miejscu - co samo w sobie było nie lada wyczynem.

W hali tranzytowej było wciąż stosunkowo mało ludzi. Söderstedt stanął przed bramką z numerem dziesięć i czekał. Po hali kręcili się jeszcze pojedynczy pasażerowie z wcześniejszych lotów.

Jedna, pozornie niezauważalna zmiana sprawiła, że Arto Söderstedt mocniej wcisnął słuchawkę do ucha; jak zawsze odniósł wrażenie, że wnika mu ona gdzieś głęboko w zwoje mózgowe. Na tablicy przylotów przy „SK 904, New York” zaświeciło się brzemienne w skutki słowo „Landed”. Söderstedt spojrział w prawo w stronę ogromnego okna panoramicznego, za którym zobaczył przesuwaną się sylwetkę samolotu. Nacisnął guzik wewnątrz paska, odchrząknął i powiedział:

- Sęp wylądował.

Podniósł się z fotela, poprawił krawat, zarzucił torbę na plecy i stał jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami. Czuł, jak między jego nogami przeciskają się dzieci, słyszał krzyczących rodziców; dźwięk rozdzierający serce, czasem po prostu rozdzierający. Mężczyźni w garniturach zachowywali odpowiedni dystans od pasażerów drugiej klasy. Wyuczony uśmiech.

Nie ruszał się. Trudno go było zauważyć. Nie przyciągał spojrzeń. Jak zawsze.

Kolejka przesuwała się wyjątkowo sprawnie. Tłok się rozładował. Szedł powoli między fotelami, zadudnił pod nim metalowy mostek, przecisnął się przez rozkołysane przejście.

Wyszedł na ląd. Był na miejscu.

Teraz zamknie się koło.

Teraz będzie mógł zacząć na serio.

Ciekawe, ile twarzy jest w stanie zapamiętać człowiek, zanim zaczną mu się one mieszać ze sobą. Dla Söderstedta było to około pięćdziesięciu. Po przekroczeniu tej granicy strumień pasażerów z Nowego Jorku zamieniał się w szarą, anonimową masę. Z czego większość stanowili samotnie podróżujący biali mężczyźni w średnim wieku.

Nie potrafił dostrzec niczego, co by odbiegało od normy. Stado szło stosunkowo zwartą grupą przez halę tranzytową. Kilka osób odłączyło się, ktoś skręcił do toalety, ktoś *zatrzymał* się przy butiku, ktoś kupił kanpkę w kawiarni, żeby chwilę potem przy kasie stracić apetyt. Niektórzy stawali przy barze, próbując nawiązać rozmowę z przypominającym figurę woskową Adolffsonem, który wyglądał, jakby za chwilę miał runąć ze stołka.

Atrakcja turystyczna, pomyślał Söderstedt.

Pierwsi pasażerowie z Nowego Jorku zbliżali się do schodów prowadzących do stanowiska odprawy paszportowej.

- Nadchodzą - powiedział na głos i pomyślał, że tak naprawdę jest tu jedynym, którego zachowanie odbiega od normy.

W uszach Kerstin Holm jego słowa zabrzmiały jak deklaracja pokoju kończąca drugą wojnę światową. Zdażyła już w myślach ułożyć wypowiedzenie pracy, zmotywowana pierdzącym po kryjomu kontrolerem z komory gazowej, w jaką zamienił się boks. Nie do tego była stworzona. Na szczęście do środka zajrzały pierwsze amerykańskie zakonnice i zapachowe sensacje uleciały przez półmatowe okienko. Kontroler wprawnym ruchem ręki przeciągał paszporty pod niewielkim aparatem podłączonym do komputera. Zdjęcie i nazwisko pasażera natychmiast zapisywało się na dysku. W najgorszym wypadku będą mieć przynajmniej jego zdjęcie.

Wciąż nowe twarze. W każdym uśmiechu i w każdym ziewnięciu próbowała dostrzec bezwzględnego seryjnego mordercę. Bezskutecznie. Nerwowy tik oka mężczyzny, który z wyraźną niechęcią zdjął z siebie przeciwsłoneczne ray bany, sprawił, że

była bliska wskazania go Hultinowi. Poza tym wszystko przebiegało bardzo spokojnie.

Viggo Norlander był za to w doskonałej formie. W odróżnieniu od pozostałych członków Drużyny A miał za sobą wyjątkowo udany rok. Po wpadce w trakcie śledztwa w sprawie Łowcy Rekinów, zakończonej ukrzyżowaniem przez estońską mafię, jego nudne kawalerskie życie nabrało rumieńców. Zaczął trenować, przeszedł operację przeszczepu włosów i ruszył na podbój płci pięknej; w tych okolicznościach stygmaty na dłoniach stały się niewątpliwie jego atutem. W przeciwieństwie do Holm trafił na młodą kontrolerkę, przystąpił więc z miejsca do ataku. Gdy wylądował samolot z Nowego Jorku, jego towarzyszka miała już gotowe zgłoszenie o napastowaniu.

W jednej chwili o niej zapomniał. Wstąpiły w niego nowe siły. Napływ adrenaliny spowodował, że widział seryjnego mordercę w każdym turyście. Po trzecim alarmie, wywołanym czarnym jak heban osiemnastoletnim narkomanem, dostał od Hultina surową reprimendę, która z całą mocą przypomniała mu o przeszłości i sprawiła, że stał się bardziej dokładny w ocenie sytuacji, jak to sam określił.

Przez kilka minut siedział bez słowa z podkulonym ogonem. Do boku zbliżył się dobrze ubrany mężczyzna, na oko czterdziestopięcioletni, i podał z uśmiechem paszport kontrolerowi, który z gracją sfotografował go razem ze zdjęciem i nazwiskiem „Robert E. Horton”. W tym samym momencie mężczyzna dostrzegł Norlandera. Uśmiech zszedł z jego twarzy, Amerykanin zamrugał oczami i rozejrzał się zaniepokojony dokoła. Złapał paszport i przyspieszył kroku.

- Mam go - wrzasnął Norlander do ukrytego nadajnika radiowego. - Ucieka - dodał, choć była w tym pewna sprzeczność. Popchnął drzwi i rzucił się w pościg za Robertem E. Nortnem. Mężczyzna przerzucił przez ramię torbę podróżną, biegł jak oszalały. Za nim pędził Norlander, przewracając starsze panie, depcząc małe dzieci i rozbijając butelki ze sklepów wolnocłowych.

Norton zatrzymał się i rozejrzał w dzikiej desperacji. Hjelm wstał z ławki, rzucił broszurę i pobiegł w stronę Nortona. Na widok dwóch zbliżających się policjantów z niewątpliwie barwną przeszłością Amerykanin zaczął kręcić torbą nad głową, odskoczył w bok i rzucił się ku nieruchomej taśmie bagażowej. Wykonał tygrysi skok przez otwór przysłonięty gumowymi paskami. W ślad za nim skoczył drugi tygrys, Norlander. Trzeci tygrys, Hjelm, odchylił gumę i zajrzał ostrożnie do środka. Norlander gonił już Nortona między rozsypanymi stertami bagaży. Norton rzucił walizką w Norlandera, ten warknął głucho, rzucił się na niego, dostał walizką w twarz, przeturlał się po ziemi. Norton popędził do wyjścia. Gdy Norlander się podnosił na drżących nogach, Norton zbliżał się do Hjelma, który wdrapał się niepostrzeżenie do środka i czekał. Norton wbiegł prosto w jego ramiona, zamachnął się bagażem i trafił bez pudła. Hjelma odrzuciło do tyłu, ale jakoś go obróciło w powietrzu i już był na górze. Norlander rzucił się na nich, ściągnął ramiona Nortona trochę bardziej niż *to* fizycznie możliwe i usiadł na nim okrakiem, ściskając kolanami jego szyję. Przytrzymując sobie dłońmi zakrwawione usta, Hjelm wyrwał torbę z rąk Nortona i wysypał jej zawartość na ziemię. Ze środka wypadła niewielka paczka haszyszu. Jednocześnie w uszach Norlandera i Hjelma odezwał się głos Hultina:

- Mamy nazwisko. Natychmiastowa zmiana planu A na plan B. Mężczyzna ukrywa się pod nazwiskiem Edwin Reynolds. Powtórzam: Edwin Reynolds. Jeśli człowiek, którego tak dyskretnie przegoniliście przez halę przylotów, nie nazywa się Reynolds i wydaje się nie mieć nic wspólnego ze sprawą, natychmiast go wypuśćcie i wróćcie na stanowiska. Może uda się jeszcze to naprawić.

Tak też zrobili. Robertem E. Nortonem zajęła się policja z Arlandy. Wrócili do boksu Norlandera. Hjelm przejął dowodzenie.

- Migiem: Edwin Reynolds - zagrzmał do kontrolerki paszportów. - Czy ktoś taki tędy przechodził?



Kilka szybkich uderzeń w klawiaturę.

- Randolph. Robertson. Ale nie Reynolds.

Norlander osunął się na taboret, Hjelm na podłogę. Zamknęli za sobą drzwi. Dyszeli ciężko, lizali rany. Wciąż była nadzieja. Zdążyła przejść zaledwie połowa pasażerów. Jeśli nie było go wśród tych, których wdeptał w ziemię Norlander, znaczyło to, że mogli się go spodziewać w każdej chwili.

Właśnie tak rozumowało dwóch bohaterских policjantów, siedząc w oparach testosteronu w boksie odprawy paszportowej. Niestety, zapomnieli o znacznie bardziej estrogenowym pierwiastku ich drużyny.

W słuchawkach rozległ się głos Kerstin Holm:

- Edwin Andrew Reynolds przeszedł przez odprawę jednaście minut temu. Jako jeden z pierwszych.

Przez kilka długich jak wieczność sekund panowała cisza. Wreszcie odezwał się Hultin:

- Okej. Zamknijcie stanowisko odprawy paszportowej. Nie wpuszczajcie nikogo więcej. Zażądajcie okazania dowodu osobistego od każdej osoby na całej pieprzonej Arlandzie. Oczywiście dyskretnie. Zgodnie z oficjalną wersją szukamy przemytnika narkotyków. Pełna mobilizacja. Tempo. Załatwię blokadę. Kerstin, masz jego zdjęcie? Jak wygląda?

- To, które mam, jest do niczego. Chyba blondyn. Niestety, to wszystko. Cholernie kiepska jakość.

- I ani ty, ani kontroler niczego nie pamiętacie.

- Przykro mi. Jedenaście minut, może być już daleko.

- Okej. Jazda.

Norlanderowi jakby wrócił oddech. Jego gafa nie była rozstrzygająca. Westchnienie ulgi, jakie wydał z siebie, wydało się Hjelmowi niemal na granicy prawa.

Wyszli z budki w tej samej chwili co Holm. Trzy pary szeroko otwartych oczu.

Biali mężczyźni w średnim wieku byli wszędzie. Musieli zaczekać. Uzbrojeni w broń maszynową policjanci wypełzli

z zakamarków lotniska jak robaki gnilne z trupa. Ludzie zastygli w bezruchu.

Hjelm biegł przez korytarz odprawy celnej. Kątem oka zobaczył Gunnara Nyberga w otoczeniu mężczyzn w średnim wieku z paszportami w ręku. Miał rozpiętą kurtkę.

Wypadł na zewnątrz. Spojrzał na zatłoczone chodniki. Zauważył odjeżdżający z przystanku autobus. Morze taksówek. Ogarnięcie całości wzrokiem było niemożliwe.

Pobiegł dalej chodnikiem. Kilkunastu potencjalnych seryjnych morderców przyglądało się jego niezbyt imponującemu truchtwi. Wylegitymowali się bez mrugnięcia okiem. Przeglądając ich paszporty, był już prawie pewien. Czas powiedzieć to głośno.

Spojrzał ostatni raz przed siebie. Hultin stał już przy nim. Zrozumieli się bez słów. Pierwszy odezwał się Hjelm. Nie było co dłużej tego ciągnąć.

- Nie ma go tu.

Hultin patrzył na niego jeszcze przez chwilę. Nieoficjalnemu przytaknięciu zaprzeczył szorstki ton głosu:

- Wchodzimy. Pospiesz się.

Zniknął w środku. Hjelm stał jeszcze przez chwilę. Nie spieszył się.

Dotknął ręką ust. Zdziwił go widok krwi. Spojrzał w górę na pociemniałe niebo i poczuł pierwsze zimne krople deszczu.

Do Szwecji zawitała jesień.

## 5

DOPIERO po południu zebrali się w sali zwanej dawniej centrum dowodzenia. Im bardziej oddalali się od dochodzenia w sprawie Łowcy Rekinów, tym bardziej uzasadniony wydawał się cudzysłów. W lekko zatechłym powietrzu unosiła się nadzieja, że i tym razem sprawy potoczą się w podobny sposób. Poza tym starali się opanować strach; bez wątplenia sytuacja była poważna. Jan-01ov Hultin wyszedł z toalety ze wzrokiem utkwionym w papierach, które wyglądały, jakby ich użył i zapomniał spuścić z wodą.

Usiadł w swoim wysłużonym fotelu i dokonał w myślach szybkiego podsumowania. Zaczął wywód z dziesięciosekundowym opóźnieniem:

- Obława na Arlandzie zakończyła się kompletnym fiaskiem. Jej jedyne konkretne rezultaty to trzy skargi na policję. Dwie dotyczą Vigga.

Na twarzy Norlandera wstyd mieszał się z dumą.

- Pierwszą złożyła kontrolerka paszportów - mówił dalej Hultin, nie podnosząc wzroku. - Uznała twoje zaloty za zbyt natarczywe, ale zapewniła mnie, że wystarczy, jeśli udzię ci upomnienia. Gdybyśmy nie mieli tyle do roboty, nie wystarczyłoby mi to. Cymbał. Druga skarga została złożona w imieniu dziewczynki, którą przewróciłeś, goniąc groźnego przemytnika Roberta E. Nortona. Widać wyjątkowo delikatnie obchodzisz się z płcią piękną. Cymbał po raz drugi. Trzecią skargę trudno zinterpretować. Została złożona na posterunkowego z Marsty, który, cytując, siedział „zalany w trupa” w lotniskowym barze.

Arto Söderstedt głośno zarechotał.

- Wybaczcie - powiedział po chwili. - Nazywa się Adolffson.

Jako że ciąg dalszy nie nastąpił, głos zabrał z powrotem

Hultin:

- Do rzeczy. Edwin Andrew Reynolds nie istnieje. Paszport był oczywiście sfałszowany. Pomimo starań technikom komputerowym nie udało się poprawić jakości zdjęcia.

Odwrócił ekran komputera i powiększył fotografię. Zobaczyli ciemną plamę, może nawet jakieś kontury, zarys twarzy. Potrafili się domyślić, że miał blond włosy. Nic poza tym.

- Nie wiemy zresztą, czy to jego zdjęcie. Kontrola akceptuje zdjęcia nawet sprzed dziesięciu lat, wystarczy znaleźć takie, na którym widać choćby śladowe podobieństwo. Całe to zamieszanie z nowym sprzętem w niczym nie pomogło. Wszystkie zdjęcia wyglądają podobnie. Tłumaczą się tym, że nie zdążyli się odpowiednio przygotować. I takie tam. Rzecz jasna informacja trafiła do hoteli, linii kolejowych, lotnisk, przystani promowych, gnojowni i gdzie tam jeszcze. Śmiem wątpić, żeby to cokolwiek dało, ale oczywiście szukamy dalej. Na całe szczęście media niczego nie zwęszyły, choć kamery telewizyjne były na Arlandzie już po minucie. Efekt zobaczymy pewnie wieczorem. Nasz czcigodny szef Mórner udzielił wypowiedzi do kamer; mogę zapewnić, że będzie to widowisko pierwszej klasy. Jakies pytania?

- Jak się udała blokada? - zapytał Gunnar Nyberg.

- Jedyne, co udało nam się osiągnąć, to czterogodzinny chaos na E4 w okolicach Arlandy. Ruch w obu kierunkach jest zbyt duży. Poza tym wszystko zabrało za dużo czasu. Tylko kompletny amator dałby się złapać. Próbujemy oczywiście zidentyfikować wszystkich kierowców taksówek i autobusów, którzy w tym czasie znajdowali się na terenie Arlandy, ale jak wiecie, deregulacja rynku taksówkarskiego w Sztokholmie spowodowała niezły burdel. Musimy przyznać się do porażki. Coś jeszcze?

- W zasadzie to nie pytanie, tylko kilka informacji - odezwała się Kerstin Holm. - Zgodnie z tym, co zapisało się w systemie

komputerowym, mężczyzna był osiemnasty w kolejce do odprawy paszportowej. Próbowaliśmy uporządkować to, co zaobserwowałam, rozmawiałam też z kontrolerem, ale ani on, ani ja niczego sobie nie przypominamy. Może z czasem.

Hultin skinął głową i po raz kolejny zabrał głos, akcentując niektóre słowa:

- Dla pewności dane wszystkich zgłaszanych policji ofiar śmiertelnych będą od tej chwili trafiać bezpośrednio do nas, podobnie wszystkie informacje o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez obywateli amerykańskich. Za każdym razem, gdy pojawi się choćby najmniejsze podejrzenie *foul play*, w waszych głowach powinno wyświetlić się pytanie: Czy to może mieć coś wspólnego z seryjnym mordercą? Od tej chwili to nasza sprawa, również oficjalnie, nasza jedyna sprawa, i cała drużyna jest w nią włączona, i to jest *top secret* wszech czasów, i nikt z waszego otoczenia nie może nawet poczuć zapachu słów *amerykański bestialski seryjny morderca grasuje w Szwecji*. Na każdym kroku musicie zadawać sobie pytanie: Czy to przez niego spóźnił się ten autobus? Czy może mieć on coś wspólnego z tym wypadkiem rowerowym, drżeniem tego mężczyzny albo coraz głośniejszym chrapaniem w nocy waszej drugiej połówki? Czyli absolutna koncentracja.

Zrozumieli. Przesłanie było wystarczająco klarowne i szczegółowe.

- Jestem w kontakcie ze służbami amerykańskimi. Agent specjalny Ray Lerner z FBI przekazał mi raport z wczorajszych wydarzeń i skrócony profil mordercy. Kolejne informacje spłyną pewnie w ciągu najbliższych dni. W tej chwili wiemy w każdym razie, że szwedzki krytyk literacki Lars-Erik Hassel zmarł po torturach krótko przed północą szwedzkiego czasu w pomieszczeniu gospodarczym na lotnisku Newark na obrzeżach Nowego Jorku. Jego ciało znaleziono kilka godzin później. Nie miał przy sobie biletu, ale w kalendarzu zapisał lot do Sztokholmu.

Amerykanie założyli więc, że morderca zabrał jego bilet, ale ponieważ nie można przejść przez odprawę, jeśli nazwisko na bilecie nie zgadza się z nazwiskiem w paszporcie, skontaktowali się z liniami lotniczymi SAS, żeby sprawdzić, czy rezerwacja Hassela została anulowana. Po co miałby w przeciwnym razie kraść bilet? Portfel i kalendarz leżały nietknięte. Mieli szczęście - znaleźli kobietę, która zapamiętała późne anulowanie rezerwacji, po którym zaraz dokonano kolejnej rezerwacji. Wszystko to miało miejsce w nocy czasu nowojorskiego. Żeby ustalić nazwisko owego pasażera, potrzebowali kogoś, kto by dostał się do komputera i odszukał dokładną godzinę rezerwacji. W końcu im się udało, wyrwali odpowiedniego fachowca prosto z ramion ukochanej. Znaleźli nazwisko i przekazali je nam. Jedenaście minut za późno.

Hultin zrobił przerwę. Przeciążone mózgi członków Drużyny A potrzebowały chwili, żeby przyswoić tę informację.

- Sprawa jest dosyć skomplikowana. Jeden z możliwych scenariuszy zakłada, że sprawca zamordował Hassela, zadzwonił w jego imieniu i anulował rezerwację, potem zadzwonił jeszcze raz i zarezerwował to samo miejsce, podając fałszywe nazwisko. Co z tego wynika?

Ponieważ wszyscy uznali, że pytanie jest retoryczne, żadne z nich nie spieszyło z odpowiedzią. Hultin nie zawahał się jednak przed skomplikowaniem zasad retoryki i udzielił sobie odpowiedzi kolejnym pytaniem:

- Podstawowe pytanie brzmi oczywiście'. Dlaczego Szwecja? Co takiego zrobiliśmy? Przyjmijmy następujący scenariusz. Cieszący się złą sławą seryjny morderca jedzie na lotnisko. Zamierza opuścić kraj i ma przy sobie fałszywy paszport. Być może czuje na plecach oddech FBI. Musi zabić, żeby rozładować napięcie. Zaczają się w wybranym przez siebie miejscu. Robi swoje, znajdując bilet i wówczas przychodzi mu na myśl, że to jest idealne rozwiązanie, w końcu samolot odlata już za chwilę. Ale gdy chce dokonać rezerwacji, okazuje się, że wszystkie miejsca są

zajęte. Jedno jest jednak wolne, wie to na pewno. Sprawdza bilet, znajduje trudne do wymówienia nazwisko Lars-Erik Hassel i numer rezerwacji, dzwoni, anuluje rezerwację, miejsce się zwalnia. Coś wam się nie zgadza na tym obrazku?

- Znajdź pięć różnic - zażartował Hjelm, ale nikt się nie zaśmiał.

- Myślę, że da się to zrobić - odezwał się Chavez, wymierzając nieświadomy, ale ośmieszający policzek Hultinowi. Ten oczywiście nawet nie mrugnął okiem. - W twoim scenariuszu kluczowy wydaje się zbieg okoliczności. Jeśli rzeczywiście dopiero po dokonaniu morderstwa przychodzi mu na myśl Szwecja, powstaje pytanie, dlaczego w ogóle zadał sobie tyle trudu. Przecież ruch samolotowy na Newark nie ustaje nawet na sekundę. Dlaczego więc nie Dusseldorf pięć czy Cagliari osiem minut później?

- Cagliari? - zdziwił się Nyberg.

- Na Sardynii - podpowiedział Hjelm.

- To tylko przykład. - Chavez był wyraźnie zniecierpliwiony. - Wydaje mi się, że to nie przypadek, że wybrał Szwecję. Nie żebym się czuł jakoś lepiej z tego powodu.

- Zastanawiam się również - wtrąciła Kerstin Holm - czy rzeczywiście by ryzykował, żeby pójść do stanowiska linii lotniczych, dostać odmowę, zadzwonić w imieniu Hassela, wrócić kilka minut później, zadać to samo pytanie i tym razem dostać zgodę. Nie wydaje mi się, żeby człowiek, który od dwudziestu lat wodzi za nos FBI, chciałby ponieść takie ryzyko. Że nie przyszłoby mu do głowy, że zostanie skojarzony z ciałem, które przecież w każdej chwili mogło zostać znalezione.

Hultin wydawał się lekko zaskoczony dwiema tak poważnymi obiekcjami wobec jego scenariusza. Przyglądał się przez chwilę swoim współpracownikom, po czym zripostował:

- A jednak w jego zachowaniu widać skłonność do ryzyka. Gdyby tego specja od komputerów udało się namierzyć jednaście minut wcześniej, mielibyśmy go. Trudno nazwać jego plan stu procentowo bezpiecznym.

- Nadal uważam, że pojechał na lotnisko, by polecieć do Szwecji - upierał się Chavez. - Ale gdy dotarł na miejsce, okazało się, że wszystkie miejsca są zajęte. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Dlaczego nie połączyć przyjemnego z pożytecznym? Dostrzega podróżującego samotnie Szweda, zabija go, nie odmawiając sobie przy tym przyjemności płynącej z torturowania, a potem zajmuje jego miejsce. Wiąże się to oczywiście z pewnym ryzykiem, ale bez przesady. Niebezpieczeństwo, że zostanie się nakrytym, jest przecież ważnym elementem rozkoszy, jaką odczuwa statystyczny seryjny morderca.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Hultin nauczycielskim tonem.

- Że potrzeba przyjazdu do Szwecji była tak silna, że zdecydował się na ryzyko, którego zwykle nie podejmował. I że przybył tu w konkretnym celu.

- Zimna krew przy planowaniu w połączeniu z impulsywnością i potrzebą rozkoszy. Niezły początek...

- Czy w jego profilu jest coś, co by wskazywało na związki ze Szwecją? - zapytał Arto Söderstedt z przykładową precyzją.

- Nie w opinii FBI - odpowiedział Hultin, przeglądając papiery.  
- Wyjazd ze Stanów nie pasuje do jego profilu. Wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu w Kentucky, gdzie pojawiły się pierwsze ofiary, pozbawione życia w ten sam, wyjątkowo okrutny sposób. Z czasem fala morderstw zalała cały środkowy zachód. Wszystko rozdmuchały media, a nieznanego sprawcę dorobił się pseudonim The Kentucky Killer - morderca z Kentucky. Dzisiejszy, głęboko niepokojący kult seryjnych zabójców sprawił, że jest już legendą, protoplastą, inspiracją dla kolejnych pokoleń. W ciągu czterech lat zamordował osiemnaście razy, po czym nagle przestał. Ponad rok temu zaczął znowu, według tej samej metody, tym razem jednak na północnym wschodzie kraju. Hassel był szóstą ofiarą nowej serii, dwudziestą czwartą w ogóle. Dwudziestą czwartą z n a n a ofiarą, powinienem być pewnie dodać.



- Blisko piętnaście lat przerwy... - zastanawiała się Kerstin Holm. - Czy to rzeczywiście ten sam człowiek, a nie... jak to się mówi?

- *Copycat* - odpowiedział Hjelm.

Hultin potrząsnął głową.

- FBI to wykluczyło. W jego metodzie jest kilka istotnych szczegółów, o których wiedzą tylko dwie osoby z biura. Albo świetnie ukrywał swoje ofiary, albo rzeczywiście zawiesił działalność, przeszedł w stan spoczynku i po piętnastu latach na nowo poczuł zew krwi. Tak w każdym razie przedstawia się scenariusz FBI. To dlatego w liście gończym mowa jest o białym mężczyźnie w średnim wieku. Jak wynika z rachunku prawdopodobieństwa, gdy zaczął, miał jakieś dwadzieścia pięć lat, więc teraz powinien być po czterdziestce.

- To, że jest „biały”, również wynika z rachunku prawdopodobieństwa, tak? - zapytał biały jak kreda Söderstedt.

- Niemal wszyscy seryjni mordercy to biali mężczyźni - odezwała się Kerstin Holm. - Wyjątkowo przegadany temat. Może w ten sposób odreagowują fakt, że ich panowanie nad światem dobiega końca.

- Przypadkowy przejaw faszyzmu - wyrwało się Hjelmowi.

Przez kilka dobrych sekund Drużyna A zastanawiała się nad znaczeniem tych słów. Nawet Hultin wyglądał na zamyślonego.

- Kim tak właściwie były jego ofiary? - zapytał w końcu Chavez.

Hultin zabrał się ponownie do przeglądania papierów. Hjelm zaczął rozmyślać o zaletach internetu i kodowanych mejli, choć była to raczej domena Jorge i Kerstin. Również oni wydawali się coraz bardziej zirytowani faktem, że tyle czasu potrzeba, by znaleźć odpowiedź na proste pytanie.

- Zobaczmy - odezwał się Hultin po stanowczo zbyt długiej przerwie.

Chavez nie mógł sobie darować głębokiego westchnięcia. W odpowiedzi dostał spojrzenie, które mogło oznaczać kolejną uwagę w aktach personalnych.

- Duży rozstrzał, jeśli chodzi o ofiary - przemówił wreszcie wielki wódz. - Dwadzieścia cztery osoby, różnego pochodzenia. Pięciu obywateli zagranicznych, w tym Hassel. Głównie biali mężczyźni w średnim wieku. Pewna bystra policjantka o skłonnościach feministycznych uznałaby to pewnie za atak wymierzony pośrednio w samych siebie.

- Gdyby nie fakt, że gdy zaczął mordować, raczej nie był w średnim wieku - zauważyła Kerstin Holm.

Lodowate spojrzenie Hultina mogło zabić.

- Wiele ofiar wciąż pozostaje niezidentyfikowanych - dodał w końcu. - Chociaż lista osób zaginionych to w Stanach księga grubości Biblii, wydaje się, że w tym przypadku jest ich nieproporcjonalnie dużo: dziesięć z dwudziestu czterech.

- Czy w tej kwestii coś się zmieniło? - zapytał trzeźwo Söderstedt.

Kolejne spojrzenie Hultina. Przejrzał nerwowo papiery. Znalazł to, czego szukał.

- Wszystkich sześć ofiar drugiej serii zostało zidentyfikowanych. Oznacza to, że nie znamy tożsamości dziesięciu z osiemnastu ofiar pierwszej serii. Czyli większości. Pewnie da się z tego wyciągnąć jakiś wniosek. Niestety, w tej chwili nie jestem w stanie.

- Czy identyfikację utrudnia stosowana przez niego metoda? - zapytał Hjelm.

Widać było, jak w myślach ostrzą już ołówki. Zastygli w oczekiwaniu. Towarzyszący oczekiwaniu cynizm został jednak całkowicie zignorowany.

- Nie - odpowiedział Hultin. - W tym wypadku okrucieństwo nie oznacza wyrwanych zębów i odciętych opuszków palców.

- A co? - zainteresował się Nyberg.

- Wolnego - przerwał Chavez z nosem w notesie. - Jeszcze nie skończyliśmy. Kim zatem były zidentyfikowane ofiary? Czy on celuje w jakąś konkretną grupę społeczną?

Hultin machnął maczetą w dżungli papierów. Mówił, nie przerywając poszukiwań:

- Na wiele z pytań, którymi się teraz przerzucacie, odpowie raport końcowy FBI, Larner obiecał przesłać go jeszcze dziś po południu. Ale okej, równie dobrze możemy wyprzedzić bieg zdarzeń...

Wreszcie znalazł to, czego szukał.

- Osiem zidentyfikowanych ofiar pierwszej serii ma wyższe wykształcenie. Wyraźna *faiblesse*, to znaczy słabość do przedstawicieli środowiska akademickiego. Ofiary drugiej serii wydają się bardziej zróżnicowane. Może stał się demokratą.

- A co z płcią? - przerwała nagle Kerstin Holm.

Męskie audytorium spojrzało po sobie. Pierwszy zrozumiał Hultin.

- W pierwszej serii tylko jedna kobieta na osiemnaście ofiar. W drugiej - dwie na sześć.

- A więc coś się jednak zmieniło - stwierdziła Holm.

- Jak już mówiłem - przytaknął Hultin. - Być może stał się demokratą również w tym względzie. Zaczekajmy, co powie Larner. Prowadzi tę sprawę od początku. Analiza stosowanej przez zabójcę metody pozwoliła pod koniec lat siedemdziesiątych zawęzić krąg nie tyle podejrzanych, co potencjalnych sprawców. Okazało się bowiem, że ma ona wiele wspólnego z metodą stosowaną w czasie wojny w Wietnamie. Wykorzystywała ją bardzo szczególna i w najwyższym stopniu tajna jednostka amerykańska do wymuszania zeznań od żołnierzy Wietkongu. Wyjątkowo cichy sposób tortur, świetnie sprawdzający się w dżungli. Władze zaprzeczyły istnieniu jednostki, nazywając ją kolejnym mitem wojny wietnamskiej. Larner miał poważne problemy z dostępem do nazwisk. Z jego słów zrozumiałem, że nastąpił na wiele czułych odcisków wysoko postawionych osób i najwyraźniej do tego stopnia załazł wszystkim za skórę, że dostał kopa w tyłek i został zdegradowany. Postawił jednak na swoim i w końcu udało mu się dotrzeć do jednostki

noszącej niezbyt przyjemną nazwę Commando Cool. Zdobył dane personalne jej członków. Zainteresował go przede wszystkim jeden z nich, można go chyba nazwać prawie podejrzanym. Dowódcą grupy Wayne Jennings z Kentucky. Larner uczeplił się go, chociaż tak naprawdę nie miał na niego żadnych dowodów. Śledził każdy jego ruch. I wtedy zdarzyło się coś, co nie powinno było się zdarzyć. Jennings miał już dość ciągłej obserwacji. Próbuąc uciec FBI, uległ zderzeniu czołowemu. Larner był na miejscu, widział, jak jego samochód staje w ogniu.

- Czy później były kolejne morderstwa? - zapytał Chavez.

- Niestety tak. Do dwóch doszło zaraz potem, jeszcze zanim nastąpiła przerwa. Larner został oskarżony o spowodowanie śmierci niewinnego człowieka. Odbył się proces. Jakoś z tego wyszedł, ale spadł w hierarchii. I chyba nie poczuł się lepiej, gdy po piętnastu latach drogi pod górkę zrozumiał, że ten człowiek znowu zaczął mordować. Od ponad roku Ray Larner tkwi w punkcie, od którego zaczął piętnaście lat temu. Nie zazdroszczę.

- A powinienes - zauważył Söderstedt. - To już nie jego zmartwienie, tylko twoje. On teraz niczego nie musi. - Zrobił pauzę, po czym dodał złośliwie: - Zaczynasz od zera po dwudziestu latach intensywnych poszukiwań FBI, które dysponuje budżetem odpowiadającym szwedzkiemu PKB.

Spojrzenie Hultina pozbawione było jakichkolwiek emocji.

- Co takiego szczególnego było w *modus operandi* Commando Cool? - spróbował na nowo Gunnar Nyberg. - Jak zmarł ten krytyk literacki?

Hultin zwrócił się w jego stronę z wyrazem twarzy, który zdradzał powściąganą ulgę.

- Sęk w tym, że to są jakby dwie różne sprawy - powiedział.

- Nasz morderca stosuje metodę, którą można by nazwać autorską wersją tej stosowanej przez Commando Cool. Jej wyróżnikiem jest bardzo szczególne narzędzie: specjalnie za projektowane mikromechaniczne szczypce, które po rozłożeniu przypominają przerażającą kaniulę. Końską igłę. Wprowa-

dza się je z boku szyi. Gdy się pociągnie za regulowane stalowe druciki, wewnątrz tchawicy otwierają się mikroskopijne pazury, które chwytają struny głosowe ofiary, tak że nie jest ona w stanie wydać z siebie nawet najmniejszego dźwięku. Metoda ta sprawdzała się szczególnie w dżungli, gdzie wkoło roilo się od żołnierzy Wietkongu. Gdy ofiara została już skutecznie uciszona, można było zastosować bardziej konwencjonalne metody, skupić się na paznokciach i narządach płciowych; drobne, ciche czynności sprawiające ofierze największy ból. Potem zwalniało się nieco ucisk strun głosowych, tak by nieszczęśnik mógł wydać z siebie szept. Zdradzić tajemnicę. Cicho, cichusieńko. Com-mando Cool używało jeszcze innych szczypców, które działały według tej samej zasady co pierwsze, ale szarpano nimi centralne wiązki nerwowe w szyi, powodując straszliwy ból rozchodzący się z głowy do reszty ciała. Wszystkie dwadzieścia cztery ofiary mają charakterystyczne otwory w szyi, jak również obrażenia palców i narządów płciowych. Larner milczy na temat szczegółów odróżniających metodę mordercy z Kentucky od stosowanej przez Commando Cool, najprawdopodobniej jednak ma to coś wspólnego z budową mikroszczypców. Najwyraźniej unowocześniono je i stały się jeszcze bardziej skuteczne w osiągnięciu swojego makabrycznego celu.

Hultin zamilkł i spuścił wzrok.

- Chciałbym, żebyście zatrzymali się na chwilę i nie pędzili na złamanie karku - odezwał się z powagą w głosie. - Larsa-Erika Hassela uśmiercono prawdopodobnie w jeden z najstraszliwszych możliwych sposobów. Chciałbym, żebyście zastanowili się, co tak naprawdę nas czeka. To nie przypomina niczego, z czym do tej pory mieliśmy do czynienia. Między nim a starym, dobrym Łowcą Rekinów nie ma nawet cienia podobieństwa. Lodowata obojętność wobec drugiego człowieka i wypaczona rozkosz czerpana z jego cierpienia, z którymi będziemy tu obcować, są naprawdę trudne do wyobrażenia. To poważnie skrzywdzony człowiek, jeden z tych, których system amerykański

zdaje się produkować na pęczki i których raczej nie powinien eksportować. Teraz pozostaje nam czekać, aż wkroczy do akcji. To może trochę potrwać albo zdarzyć się jutro. Ale zdarzy się na pewno i musimy być na to gotowi.

Hultin wstał, żeby wyjść do toalety. Jak na osobę ze słabym pęcherzem wytrzymał zaskakująco długo. Zdażył jeszcze zwrócić się do swojej drużyny, która najwyraźniej nie miała zamiaru się rozejść:

- Gdy tylko Ray Larner prześle mi materiały, dostaniecie kopie. Dokładnie się z nimi zapoznajcie, to warunek dalszej pracy.

Kiwnął w ich stronę ręką i pospieszył w stronę prywatnych drzwi. Zza pleców doszedł go głos Jorge Chaveza:

- Ile lat ma Edwin Reynolds wedle paszportu?

Na twarzy Hultina pojawił się grymas udreki, zanurzył ręce w morzu papierów i wyjął kopię sfotografowanej okładki paszportu.

- W tym roku skończy trzydzieści trzy lata.

Chavez kiwnął głową.

- Paszport był co prawda sfalszowany - przyznał - ale dlaczego miałby podawać się za piętnaście lat młodszego, niż jest w rzeczywistości?

- Widać lubi ryzyko - powiedział Hultin bez przekonania i po-pędził w stronę drzwi, tak że papiery zawirowały w powietrzu.

Chavez i Hjelm spojrzeli na siebie. Hjelm wzruszył ramionami.

- Mógł przecież ukraść paszport albo kupić podrobiony.

- Może i tak - zgodził się Chavez.

Żaden z nich nie potrafił jednak pozbyć się myśli, że coś się nie zgadzało. Coś wyjątkowo istotnego.

W zasadzie nie mieli nic do roboty.

Oczywiście istniała również mikroskopijna możliwość, że wszystko to było jednym wielkim zbiegiem okoliczności. Ze morderca z Kentucky nie znalazł się na lotnisku, żeby uciec z kraju, tylko żeby poszukać kolejnej ofiary. Że biedny Lars-Erik Hassel sam odwołał lot do Szwecji i wyrzucił bilet i że zaraz potem, w ostatniej sekundzie, rezerwację zrobił jakiś przypadkowy męż-

czynna posługujący się podrobionym paszportem. Jednak trudno było to sobie wyobrazić. Nie mieli wątpliwości, że morderca z Kentucky przyjechał do Szwecji. Pytanie tylko po co.

Agent FBI Ray Lerner przesłał im szczegółowy raport. Samolot wystartował z lotniska Newark zgodnie z planem o godzinie 18.20 czasu lokalnego. O 18.03 mężczyzna podający się za Lar-sa-Erika Hassela zadzwonił, żeby anulować rezerwację, a o 18.08 niejaki Edwin Reynolds zajął zwolnione przed niego miejsce; odczekał więc pięć ryzykownych minut, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Około północy jeden ze sprzątaczy dokonał makabrycznego odkrycia w pomieszczeniu gospodarczym - było to niecałe dwie godziny przed lądowaniem. Kilka minut później na lotnisku pojawił się komisarz Hayden z najbliższej komendy policji, który rozpoznał dwa niewielkie otwory w szyi ofiary, skontaktował się z siedzibą główną FBI na Manhattanie, ta z kolei skontaktowała się z zajmującym się sprawą mordercy z Kentucky Rayem Lamerem i otrzymała potwierdzenie, że chodzi tu o „The Famous Kentucky Killer”. Po przejrzeniu rzeczy należących do Hassela Hayden doszedł do wniosku, że morderca prawdopodobnie zajął miejsce ofiary w samolocie do Sztokholmu. Po chwili potwierdził to personel biura SAS. Anulowania dokonano zbyt późno, by możliwa była zamiana biletu. Zaspana hostessa przypomniała sobie również późniejszą rezerwację. Miała jednak dostęp wyłącznie do listy pasażerów, bez informacji o tym, kiedy doszło do poszczególnych rezerwacji. FBI rozpoczęło gorączkowe poszukiwania specja od komputerów, a Hayden skontaktował się w tym czasie ze sztokholmskim wydziałem kryminalnym i z pomocą szefa Rikskrim trafił do inspektora Jana-Olova Hultina. W Szwecji była godzina 7.09. Hayden przefaksował szybko cały posiadany materiał, który zamienił się w stertę papieru na biurku Hultina jeszcze przed wylotem helikoptera na Arlandę.

Nowy, bardziej szczegółowy raport Raya Lamera nie różnił się niczym istotnym od pierwotnej wersji, nie znaleźli w nim

również niczego, co by wskazywało na powiązania zabójcy ze Szwecją. Nie mieli nic do roboty. Musieli czekać na pierwszą ofiarę. Przychodziło im to z trudem.

Postanowili więc przygotować się emocjonalnie do przyszłych działań. W związku z tym spędzili resztę popołudnia, oddając się czynnościom, które nie tylko dawały iluzję pracy, poczucie, że coś r o b i ą, ale również oznaczały działanie w p o j e d y n - k ę. Wszyscy musieli w samotności przetrwać to, co usłyszeli.

Hultin zajął się zbieraniem i porządkowaniem materiałów z FBI. Kerstin Holm pojechała na Arlandę, żeby sprawdzić, czy komuś z personelu coś się nie przypomniało albo czy nie doznał nagłego olśnienia. Personel kabinowy lotu SK 904 miał na nią czekać, przygotowywała się więc do tego, w czym była najlepsza: rozmów, dyskusji, przesłuchań. Nyberg zrobił to co zwykle: udał się do sztokholmskiego półświatka, żeby zasięgnąć języka. Söderstedt zamknął się w pokoju i obdzwonił wszystkie możliwe miejsca, gdzie mógł zatrzymać się na noc Reynolds, który z całą pewnością już się tak nie nazywał. Chavez dał nura do inter-netu; co takiego spodziewał się tam znaleźć, pozostało zagadką dla niewtajemniczonych. Norlander miał za karę wyszorować wszystkie toalety w komendzie elektryczną szczoteczką do zębów, co niewątpliwie należało uznać za przejaw postępu technicznego. A Hjelm przydzielił sobie zadanie sam.

Choć prawdopodobieństwo, że osoba Larsa-Erika Hassela mogła mieć coś wspólnego ze sprawą, było równie małe jak to, że morderca z Kentucky mimo wszystko został w kraju, Hjelm wybrał się do redakcji, w której pracował Hassel.

Udał się tam pieszo - drobna przyjemność, na którą pozwalał sobie ostatnimi czasy, ze względu na stosunkowy brak zajęć. Zszedł do Norr Malarstrand przez Kungholms targ. Deszcz przeniósł się najwyraźniej gdzie indziej; Hjelm nie mógł oprzeć się myśli, że zaczął się za kulisami i tylko czeka na odpowiedni moment. Wkrótce jesień okryje miasto. Wciąż jednak świeciło słońce, choć z każdym dniem było coraz słabsze. Po przeciwnej



stronie Riddarfjarden przeciągał się olbrzymi kot, mruczając z zadowolenia w kąpieli z poblądłych promieni słońca; z jego głowy na wzgórzu Mariaberget wystawał język trasy Söderleden, którym chleptał wodę z jeziora Malaren, ciężki korpus, Skinnarvik, obrócił się, spragniony piesszczot, wyciągając się ku eleganckiej tylnej łapie L&ngholmen, ogon z mostu Vasterbro wskazywał drogę do dzielnicy Marieberg, gdzie znajdował się zespół budynków redakcji.

Hjelm o Hasselu wiedział tylko tyle, że był krytykiem literackim. Czasem zdarzyło mu się zobaczyć jego nazwisko pod jakimś tekstem w dodatku kulturalnym jednego z największych dzienników w kraju; poza tym był dla niego niezapisaną kartą. Szedł powoli wzdłuż Norr Malarstrand, potem w górę parku Ralambshov, gdzie kilka osób grało w zbijaka bez koszulek, choć gęsią skórkę widać było z odległości dwudziestu metrów. Co na ten temat mówiła Bondepraktikan\*? Poć się latem, marznij zimą?

Recepcjonistka poinformowała go z dobrze wyćwiczoną miną wyrażającą współczucie, że windy chwilowo nie działają, więc spociał się zimą. Na piętrze w redakcji działu kulturalnego panowała przygnębiająca, ale wciąż rozgorączkowana atmosfera. Hjelm poprosił o rozmowę z kimś z szefostwa. W oczekiwaniu na biegającego wte i wewte redaktora naczelnego poczęstował się kilkoma mniej lub bardziej nieaktualnymi dodatkami kulturalnymi. Dawno już nie czytał ich z taką uwagą. Udało mu się znaleźć kilka artykułów Hassela. Tak minęło ponad pół godziny, kiedy wreszcie redaktor zaprosił go do swojego biura, gdzie zalegały sterty książek, które zdawały się rosnać od samego tylko patrzenia. Redaktor przesunął dłonią po swojej lekko posiwiałej brodzie, wyciągnął rękę i przywitał się szybko:

- Molier. Przepraszam, że musiał pan czekać. Potrafi pan sobie chyba wyobrazić, co tu się teraz dzieje.

Bondepraktikan - wydany po raz pierwszy w 1508 r. w Niemczech, a w 1662 r. w Szwecji poradnik oparty na tradycji ludowej, zawierający wskazówki dla rolników (przyp. tłum.).

- Hjelm - przedstawił się Hjelm, sprzątnął stertę papieru z jednego z krzeseł i usiadł.

- Hjelm - powtórzył Molier i opadł na krzesło za swoim zawalonym papierami biurkiem. - Aha.

Nie potrzebował nic dodawać. Hjelm pomyślał, że ząb czasu bardzo powoli nadgryza niektóre epitety. Bohater z Hallundy znany ze sprawy Łowcy Rekinów. Jak każdy dawny bohater musiał codziennie konfrontować się ze swoim niedostatecznym heroizmem.

- Wyrazy współczucia - rzekł tylko.

Molier potrząsnął głową.

- Doprawdy trudno to zrozumieć - westchnął. - Co tak naprawdę się stało? Dotarły do nas jakieś szczątki informacji. Co powinniśmy napisać we wspomnieniu pośmiertnym? Chyba nie możemy użyć sformułowania „po długiej chorobie”? Tyle w każdym razie udało mi się zrozumieć...

- Został zamordowany - wypalił Hjelm, nie owijając w bawełnę.  
- Na lotnisku.

Molier znów potrząsnął głową.

- Na lotnisku... Co za pech... Myślałem, że Nowy Jork jest już bezpieczny. Ten słynny nowojorski model. „Zero tolerance”, „community policing” czy jak to się nazywa. Przecież właśnie w tym celu tam pojechał!

- Jak to w tym celu?

- Miał napisać artykuł na temat nowej, pokojowej atmosfery Nowego Jorku. Z perspektywy przedstawiciela świata kultury. To się chyba nazywa ironia losu.

- Zdążył coś przysłać?

- Nie. Na razie zbierał wrażenia. Dał sobie tydzień po powrocie na ich spisanie.

- Czy podróż opłaciła gazeta?

- Oczywiście. - Molier był wyraźnie urażony.

- Czy Lars-Erik pracował u was na etacie?

- Tak. Był w redakcji od prawie dwudziestu lat.

- Pokolenie lat czterdziestych - wyrwało się Hjelmowi.

Molier wbił w niego wzrok.

- Niechętnie używamy tego określenia. Jest przedmiotem licznych nadużyć.

Hjelm przyglądał mu się przez chwilę. Naszła go ochota na małą utarczkę słowną.

- Artykuł na temat nowej, pokojowej atmosfery Nowego Jorku, napisany z perspektywy przedstawiciela świata kultury, kosztował, rachując na szybko, połowę miesięcznej pensji, powiedzmy piętnaście tysięcy z podatkami, do tego trzeba doliczyć opłaty za podróż i pobyt na miejscu, pewnie kolejne dwadzieścia tysięcy. Łącznie jakieś pięćdziesiąt tysięcy koron.

Molier spochmurniał i wzruszył ramionami.

- Tak nie można liczyć. Niektóre artykuły kosztują mniej, inne więcej. Do czego pan zmierza?

- Czy Lars-Erik miał jakieś kontakty w Nowym Jorku? Przyjaciół? Wrogów?

- O ile wiem, to nie.

- Czy w zeszłym tygodniu pan lub ktoś z redakcji kontaktował się z nim bezpośrednio?

- Tak, rozmawiałem z nim raz. Właśnie wrócił z Metropolitanu, bardzo mu się podobało.

- A o wizycie w Metropolitanie też zamierzał napisać w artykule za pięćdziesiąt tysięcy?

Pomyślał, że musi trochę odpuścić, jeśli nie chce całkiem zrazić do siebie Moliera. Na początek zmienił tembr głosu.

- Będziemy musieli porozmawiać z jego bliskimi. Jak wyglądała jego sytuacja rodzinna?

Molier westchnął głęboko i spojrzał na zegarek. Do biura wpadł ogolony na zero młody chłopak, wymachując w powietrzu kartką papieru.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Mamy mało czasu. Nekrolog Larsa-Erika jest praktycznie gotowy, ale co z przyczyną śmierci? Coś przecież musimy napisać?

Zmęczony Molier wyciągnął rękę w stronę Hjelm.

- Co mamy napisać? - zapytał.
- Że został zamordowany - odpowiedział Hjelm.

Chłopak spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Nic więcej? - wydusił w końcu.
- Chyba wystarczy? - skwitował Hjelm.

Chłopak wybiegł z biura. Przez szybę w drzwiach Hjelm zobaczył, jak wraca do swojego komputera i sieka klawiaturę z wprawą godną profesjonalnego rzeźnika.

- Młodzi mają problemy z pisaniem nekrologów - skomentował Molier. Miał zmęczony głos. - Gdy ktoś niespodziewanie umiera, trzeba wszystko pisać od początku. Sporo przy tym roboty.

- A gdy ktoś umiera spodziewanie? - spytał Hjelm.
- Mamy nekrologi w zapasie.

Hjelm nie wierzył własnym uszom.

- Macie w zapasie nekrologi żyjących ludzi? Co też pan mówi?

Molier westchnął głęboko.

- Widać, że nie pracował pan w redakcji. Dużo nam jeszcze zostało? Na czym skończyliście?

- Sytuacja rodzinna - odpowiedział Hjelm.
- Od kilku lat Lars-Erik mieszkał sam. Miał za sobą dwa małżeństwa, z każdego po jednym synu. Dam panu adresy.

Molier otworzył okazałych rozmiarów notes z adresami, nabazgrał kilka cyfr i podał Hjelmowi kartkę.

- Dziękuję. Jakim był autorem?

Molier zamilkł na chwilę. Zastanawiał się.

- Należał do czołowych krytyków literackich w kraju. Jednym ruchem ręki potrafił skreślić czyjś cały dorobek pisarski. Jego nazwisko pod tekstem przydawało mu zawsze pewnego... nimbu. Wielki i wszechstronny krytyk, który nie obawiał się chwycić mocniej za gardło. Wciąż nieodkryty jako pisarz.

- To znaczy, że pisał książki?
- Nie ostatnio, ale jest kilka perełek z lat siedemdziesiątych.

- Czekając na pana, przejrzałem kilka numerów pańskiej gazety. Lars-Erik chyba niespecjalnie lubił literaturę...

Molier potarł ręką brodę i spojrział przez okno na jasnoniebieskie niebo.

- Dzisiejsza literatura jest poniżej poziomu krytyki - odezwał się w końcu. - Dosłownie. Młodzi pisarze w ogóle nie rozumieją swojego powołania. Niewiele już piszemy o literaturze.

- Rzeczywiście, zauważyłem. Postawiliście na reportaże społeczny, festiwale filmowe, wywiady z zespołami rockowymi, rozdania nagród i konflikty wewnątrz stowarzyszeń.

Molier pochylił się do przodu i wbił oczy w Hjelma.

- A pan to kto? Też krytyk?

- Trochę się tylko zdziwiłem - burknął Hjelm, przerzucając kartki w notesie. - Znalazłem artykuł, w którym wspomniany krytyk pisze, że krytycy czytają za dużo książek i zamiast tego powinni pobiegać.

- Książki to nie wszystko.

- To już truizm. Gdybym twierdził, że będę lepszym policjantem, jeśli nie będę się poświęcać swojej pracy, popełniłbym błąd zawodowy. W innym artykule przeczytałem, że dzisiejsi pisarze zbyt wiele czasu spędzają na rozmyślaniu o sensie życia. Myślałem, że właśnie o to w tym wszystkim chodzi.

- Widać, że niewiele pan wie o naszej branży - powiedział Molier pod nosem, patrząc przez okno.

- Píše pan, że młodzi to zgraja anemicznych niedzielnych filozofów, błędzących bez celu, pozwolę sobie zacytować Larsa--Erika Hassela: „Pytanie, czy da się jeszcze cokolwiek wyciągnąć z literatury”, „Wygląda na to, że poezja i malarstwo odegrały już swoją rolę”, „Nie doczekaliśmy się wybitnego opisu współczesności i na tym właśnie polega tragizm literatury”, „Wiersz zdaje się już tylko zabawą”, „Już od dawna literatura jest najbardziej przecenianą formą sztuki naszych czasów”.

Jako że nie odnotował żadnej reakcji ze strony Moliera, tym razem to Hjelm pochylił się do przodu, zapierając się o biurko.

- Czy tylko ja mam wrażenie, że jeden z najbardziej wpływowych szwedzkich krytyków literackich wcale nie lubił literatury?

Molier utkwił wzrok gdzieś wysoko w górze, wśród ledwo zauważalnych chmur. Był nieobecny. Jego zmęczenie przekroczyło apogeum. Sięgało kolejnego wcielenia.

Ponieważ nie miał zbyt wiele do dodania, a wszystko wskazywało na to, że przez najbliższe pół godziny Molier nawet nie mrugnie okiem, Hjelm opuścił to miejsce katastrofy rodzaju ludzkiego, zamknął drzwi do biura szefa i znalazł się w pomieszczeniu zespołu redakcyjnego. Zgolony na łyso chłopak skończył już siekać klawiaturę i siedział nieruchomo, wpatrując się teraz w tekst na ekranie komputera.

- Gotowe? - zagadnął Hjelm.

Mężczyzna zerwał się z miejsca, jakby trafiła go kula dum--dum i rozerwała na dwie części.

- Oj, przepraszam - odpowiedział po chwili. - Zawiesiłem się. Tak, już gotowe. Na ile to w ogóle możliwe, w tych okolicznościach.

- Mogę dostać egzemplarz?

- Będzie w jutrzejszej gazecie.

- Chciałbym go dostać t e r a z, jeśli łaska.

Chłopak spojrzał na niego zdziwiony.

- Oczywiście - westchnął i nacisnął klawisz. Z drukarki lase rowej wysunęła się kartka. - Miło jest mieć czytelników - dodał z uśmiechem.

Hjelm spojrzał na tekst z podpisem „Erik Bertilsson”.

- Z poszanowaniem zasad gatunku - wyjaśnił Bertilsson, na co Hjelm odpowiedział mu spojrzeniem znad kartki. Jego pole widzenia znacznie się zawężyło.

- Bardziej niż prawdy? - zapytał.

Erik Bertilsson wziął to za wstępniak do przesłuchania i zamilkł.

- Jakim autorem był tak naprawdę Hassel? - zapytał Hjelm.

- Znam tylko kilka jego tekstów.

- Niech pan przeczyta nekrolog - wycedził Bertilsson przez zaciśnięte zęby. - Jest w nim wszystko, co mam do powiedzenia.

Hjelm rozejrzył się po redakcji, po której biegali w popłochu redaktorzy. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Posłuchaj uważnie, Eriku - odezwał się ostrym tonem. - Próbuję tylko ustalić, jakim człowiekiem była ofiara. Każda informacja, która mogłaby pomóc w schwytaniu mordercy, jest na wagę złota. Wszystko, co powiesz, będzie obejmować tajemnica dochodzenia. Nie ma mowy o publicznym zniesławianiu.

- Odprowadzę pana do wyjścia - westchnął Bertilsson i podniósł się ociężale.

Wyszli na klatkę schodową. Była pusta.

Bertilsson wił się, jakby smażył się w ogniu piekielnym. Po chwili podjął decyzję, przerwał te męki i zrzucił z siebie przyniatający go ciężar, na który w dużej mierze składała się nagromadzona frustracja.

- Napisałem ten nekrolog z obowiązku, nie z wyboru - powiedział, patrząc w odległy punkt nad ramieniem Hjelma. - Jeszcze nigdy nie czułem się takim hipokrytą. Hassel należał do najbliższego go kręgu Moliere'a. To oni tu o wszystkim decydują. Pokoleniowa klika wyznająca te same wartości, które w ich ocenie nie zmieniły się od czasu złotych lat sześćdziesiątych. Jak wściekli próbują rozpoznać jakiś znak czasu, a potem przyczepiają się do najbardziej banalnego trendu i nie dopuszczają nikogo, kto do niego nie pasuje. Hassel był człowiekiem władzy. Sam wybierał książki, o których pisał. Zawsze te, których nie rozumiał. Tylko po to, żeby podciąć pisarzom skrzydła. Jego poczucie estetyki wywodzi się z lat sześćdziesiątych i opiera na przekonaniu, że literatura z definicji jest oszustwem. W latach siedemdziesiątych napisał inspirowany maoizmem manifest i kilka powieści dokumentalnych, ale potem skupił się na strzepywaniu robactwa z chorągwi. Trudno nawet zliczyć, ilu dobrze rokujących pisarzy ma na sumieniu.

Hjelm wzdrygnął się. Ta perora miała ewidentnie charakter terapeutyczny. Postanowił zmienić wątek.

- A prywatnie?

- Przez lata zdradzał swoją żonę, w końcu zostawił ją dla młodej dziewczyny, której zaimponował swoim tak zwanym wykształceniem. Od razu ją zapłodnił, a gdy zbliżał się termin porodu, zwił na targi książki do Göteborga, żeby pieprzyć się na prawo i lewo. Wrócił do pustego mieszkania. Od tego czasu spędzał większość czasu na zaliczaniu kolejnych dziewczynek, które oczywiście nie mogły wiedzieć, że jego wykształcenie jest tak samo doczepione jak jego fryzura. Jego wyczyny na imprezach redakcyjnych są legendarne; komuś z zewnątrz trudno to sobie w ogóle wyobrazić.

Hjelm ze zdumienia zamrugał oczami. Spojrzał na nekrolog, żeby porównać ustny opis dokonań Larsa-Erika Hassela z wersją pisemną. Między nimi otworzyła się prawdziwa, zięjąca siarką piekielna przepaść.

- Może ktoś powinien był napisać to za ciebie - powiedział, wymachując kartką.

Erik Bertilsson wzruszył ramionami.

- Są zlecenia i zlecenia. Niektórym się po prostu nie odmawia. Jeśli chce się mieć przynajmniej cień kariery. Ja chcę.

- Są chyba jednak krytycy z tak zwanym prostym kręgosłupem?

Bertilsson odpowiedział wzruszeniem ramion.

- To ci, którzy zarabiają grosze. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy, jak w tej branży jest ciężko. Albo grasz z nimi, albo wy padasz. Nie ma nic pomiędzy.

Hjelm mógł powiedzieć coś jeszcze. Ale zamiast tego przyglądał się tylko Bertilssonowi. Pomyślał o tych wszystkich ważnych książkach, które przeczytał w ciągu ostatniego roku, próbując znaleźć cokolwiek, co by je łączyło z tymi dwoma reprezentantami świata kultury, których dzisiaj spotkał.

Na próżno.

Podziękował i zostawił Bertilssona samego na pustej klatce schodowej. Chłopak stał jeszcze przez chwilę bez ruchu.



## 6

DZIEŃ powoli dobiegał końca. Wchodząc do wagonu metra, Hjelm poślizgnął się na skórcie od banana i nie było w tym żadnej przenośni. Po wykonaniu wyjątkowo wdzięcznej figury baletowej na lewej pięcie rzucił na głos mięsem gorszego sortu i usiadł nabity na rożen palącego wzroku starszej damy. Tak upłynęła mu droga do domu w Norsborgu.

Zapomniał o niej już na wysokości Mariatorget. Pomogły mu w tym hipnotyzujące dźwięki saksofonu Johna Coltrane'a, które przeniosły go do innego świata - lub też, jak wolał myśleć, w głąb tego świata. Jakieś słowo zabłądziło do jego wypełnionego dźwiękiem uniwersum, być może nie bez udziału Larsa-Erika Hassela. Nawet jeśli trudno było uznać wersję Bertilssona za ostateczną, w szafie Hassela znajdował się niewątpliwie niejeden trup, który mógł powrócić jako żądny zemsty duch. Erynie - skojarzył sobie i przypomniało mu się ostatnie dochodzenie. Myśl, że w jakiś sposób uda się to połączyć z mordercą z Kentucky, wydawała się oczywiście niedorzeczna, ale wolał zostawić uchylone drzwi. Z doświadczenia wiedział, że właśnie przez niedomknięte drzwi często wkradała się odpowiedź.

Okolo szóstej mogli wreszcie podsumować dzień na ostatnim zebraniu. Brakowało Norlandera, być może poległ w trakcie szorowania toalet. Poza tym byli wszyscy. Nikt nie miał nic nowego do dodania. Hultin przygotował sobie stertę materiałów dotyczących mordercy z Kentucky z zamiarem przejrzenia ich w domu. Nyberg niepotrzebnie stracił czas w podziemnym światku - nikt niczego nie wiedział, Chavez stwierdził tylko, że na

ewentualne informacje z sieci będą musieli poczekać do jutra rano, Söderstedt znalazł całe mrowie Amerykanów w hotelach i schroniskach, na promach do Finlandii i w samolotach na liniach krajowych; zmobilizował zastępy piechoty w całej Szwecji, które jednak niczego nie znalazły. Najbardziej interesujące było popołudnie Kerstin Holm, być może dlatego, że na nic nie trafiła.

Nikt z licznego personelu pokładowego nie mógł w żaden sposób skojarzyć Edwina Reynoldsa, nikt też nie przypomniał sobie niczego, co by budziło podejrzenia. Być może płynął z tego banalny wniosek, że mężczyzna niczym się nie wyróżniał. Typowy *everyman*, jak wielu seryjnych morderców. Można byłoby co prawda pomyśleć, że człowiek, który niecałą godzinę wcześniej dopuścił się bestialskiego morderstwa, powinien w jakiś sposób się wyróżniać, choć może niekoniecznie szeroko otwartymi oczami, zaplamionym krwią ubraniem i siekierą w dłoni. Że będzie w jakiś sposób odstawać. Nic takiego sobie nie przypomnieli. Już w tym kryła się pewna informacja.

Hjelm podsumował swoje marne popołudniowe dokonania słowami, z których był całkiem zadowolony:

- Co do osoby Larsa-Erika Hassela zdania są podzielone.

Na wysokości Skarholmen wynurzył się z oparów muzyki, otworzył oczy i spojrzał na siedzenie po przekątnej. Starsza dama wciąż świdrowała go spojrzeniem, jakby był samym Antychrystem. Postanowił nie zwracać na nią uwagi, odwrócił wzrok i już miał zamknąć oczy, gdy na siedzeniu naprzeciwko zobaczył Cillę.

- Kto został z dziećmi? - wyrwało mu się. Za późno ugryzł się w język, zawył z bólu.

Cilla spojrzała na niego chłodno.

- O, cześć! - rzuciła.

- Przepraszam - powiedział, pochylił się do przodu i dał jej buziaka. - Zamyśliłem się.

Dotknęła ręką swoich uszu ze zmarszczoną miną. Wyciągnął słuchawki.

- Krzyczysz.  
- Przepraszam - powtórzył i poczuł się jak wyrzutek społeczny.  
- Nasze dzieci mają czternaście i szesnaście lat, jeśli jeszcze pamiętasz. Nie trzeba już z nimi zostawać.

Pokręcił głową, udało mu się roześmiać.

- Ugryzłem się w język.

- Za późno.

Pękły lody. Była to jedna z tych krótkich chwil, gdy czytali w swoich myślach i nie zwracali uwagi na wpadki. Gdy dobre strony siłą przyzwyczajenia na chwilę wzięły górę nad tymi złymi.

- Cześć! - zaczął od początku, kładąc dłoń na jej ręce.

- O, cześć! - powtórzyła.

- Gdzie byłaś?

- W Ikei. Kupiłam zasłonkę do prysznic, na starej był grzyb.

Nie zauważyłaś czarnych plamek?

- Myślałem, że to twoja tabaka.

Uśmiechnęła się. Dawniej śmiała się z jego dowcipów. Teraz się uśmiechała. Nie był pewien, co to znaczy. Czy to, że nie był równie zabawny, czy może raczej, że pociemniały jej zęby od kawy?

A może właśnie to była ta słynna dojrzałość.

Wciąż wydawała mu się ładna. Lekko zmierzwił blond włosy ścięte na pazia, lata, które zebrały się wokół oczu, a nie w pasie, naturalna umiejętność ubierania się sexy. I jeszcze ten przenikliwy wzrok, którym tak rzadko go obecnie obdarzała.

Uwielbiał być przenikany. Dopiero niedawno to zrozumiał. Przenikany, to znaczy widziany po raz drugi. Nie zdarzało się to zbyt często. *Because first impressions last*, nienawidził, jak hasła kampanii reklamowych kołatały mu się po głowie.

- Coś nie tak w pracy - stwierdziła.

- Pogadamy o tym później - odpowiedział i ucieszył się na te słowa.

- Co ci się stało w usta?

- Zobaczysz w telewizji.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę w drodze do Norsborgu. Udało mu się zmienić temat, gawędzili o jej pracy. Była pielęgniarzką na oddziale rehabilitacyjnym w Huddinge, potrafiła sypać jak z rękawa komicznymi szpitalnymi historyjkami. Jakiś pacjent z uszkodzeniem mózgu nasikał do torebki jej koleżanki. Ta zauważyła to dopiero przy bramce metra, gdy sięgnęła po kartę miejską.

Szli objęci przez dobrze im znane blokowisko, które kiedyś, a musiało to być bardzo dawno temu, było miejscem jego pracy. Słońce spływało na nich starannie skrywanymi w ciągu dnia kolorami, w powietrzu wciąż było czuć lato, a osy bzyczały w głuchy, zwiastujący zbliżającą się śmierć sposób. Paul Hjelm pomyślał, że tak właśnie wygląda miłość, gdy wchodzi się w średni wiek. Przecież mogło być gorzej.

Wrócili do domu. Danne wylegiwał się na kanapie przed telewizorem. Miał włączone MTV. Na stole leżał rozłożony podręcznik do wiedzy o społeczeństwie z pozaginanymi kartkami. Pił coś zielonego.

- Jest po siódmej. - W jego głosie była pretensja.

- Mówiłam, że jedzenie masz w lodówce - powiedziała Cilla i zabrała się za rozpakowywanie ciemnozielonej zasłonki w złote egipskie hieroglify.

- J e d l i ś m y - odparł Danne, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Co to była za breja?

- Breja meksykańska - powiedziała Cilla ze spokojem, unosząc lekko zasłonkę. Najwyraźniej w oczekiwaniu na reakcję małżonka.

- Co tu jest napisane? - zapytał.

Wykrzywiła się i poszła z zasłonką do łazienki. Otworzył piwo i zawołał:

- A co, jeśli to jakiś egipski pornos?

Po chwili wróciła ze starą zasłonką i pokazała mu dwie obrzydliwe plamki w samym rogu.

- Jak to świadczy o naszym domu? - zapytała retorycznie.
- Że się kąpiemy - odrzekł Paul Hjelm.

Westchnęła i wcisnęła zasłonkę do kosza. Potem wyjęła z lodówki resztki meksykańskiej brei, włożyła plastikowy pojemnik do mikrofal, usiadła przed telewizorem i zmieniła kanał. Danne wziął bez słowa pilota i przełączył.

Hjelm patrzył na nich, nalewając piwo do szklanki. Miał wrażenie, że już to widział. Trzy tysiące czterysta osiemdziesiąt sześć razy.

- Która godzina? - zapytał.
- Dziewiętnaście, zero, sześć, trzynaście - powiedziała Cilla, która właśnie odzyskała pilota i wcisnęła guzik telegazety. Na ekran spadła ciemna zasłona z liter, przysłaniając MTV.
- Za niecałe cztery minuty rozlegnie się bim-bom - usłyszeli głos pana domu. - Chcę obejrzeć wiadomości.

Ciąg dalszy bitwy na kanapie przebiegał już w ciszy. Wciąż jeszcze była to tylko zabawa. Miał nadzieję, że na tym się skończy.

Zapiszczała mikrofala. Na schodach pojawiła się Tova. Westchnęła na widok bójki na kanapie.

- Cześć - odezwał się Hjelm do swojej czternastoletniej córki.
- Cześć - o dziwo odpowiedziała. - Późno przyszście.
- Daj spokój - westchnął.

Wylał resztki meksykańskiej brei na talerze, wyjął dwie łyżki, nalał piwo do szklanek i zaniósł wszystko przed telewizor.

- A to co, podręcznik? - Jego syn właśnie zaatakował kieszeń, w której Cilla schowała pilota.

- Daj spokój - powtórzył jak echo Danne, wyszarpnął pilota i włączył MTV. Leciały reklamy. Ręka ojca przechwyciła pilota, przełączyła na dwójkę i podgłośniła. Do wiadomości lokalnych została minuta. W sam raz, żeby zapytać:

- Co tam w szkole?

Syn od niedawna chodził do szkoły średniej. Paul poświęcił kilka godzin, próbując zrozumieć nowy system szkolnictwa. Strata czasu. Danne chodził w każdym razie do klasy z rozszerzonym

WOS-em, cokolwiek to oznaczało. To, czego się tam uczył, wydawało się znacznie łatwiejsze niż sam system.

- Może być - odpowiedział Danne.

W pokoju rozległ się sygnał wiadomości lokalnych, równie krótki jak odpowiedź syna.

- To będzie próbka telewizji najwyższego lotu - zapowiedział Paul Hjelm. Spojrzeli na niego z powątpiewaniem.

Relacja z lotniska pojawiła się jako pierwsza. Prezenterka w studiu mówiła z przejęciem o wielkiej przedpołudniowej obławie na narkotykową mafię na Arlandzie. I o napadzie na wysokiego rangą policjanta tuż przed kamerami lokalnej telewizji. Co bardziej wrażliwi zostali poproszeni o zmianę kanału. Hjelm wstrzymał oddech.

Na ekranie pojawił się Waldemar Morner, dyrektor oddziału w zarządzie Rikspolis i oficjalny szef Drużyny A.

Miał nienagannie ułożoną fryzurę, ale dyszał, jakby osobiście ganiał przestępców po lotnisku. Hjelm podejrzewał, że przed chwilą wybiegł z helikoptera, nie mając zielonego pojęcia, co tak naprawdę się stało; prawdopodobnie przebierał nogami już na pokładzie maszyny. Jednak ani zadyszka, ani brak wiedzy nie odebrały mu pewności siebie. Był jak zwykle gotów do akcji. Łgał przy tym jak pies.

- Waldemar Morner, dyrektor oddziału w zarządzie Rikspolis - przedstawił go dziennikarz. - Co takiego wydarzyło się dziś na Arlandzie?

- Rikskriminalen otrzymało informację od służb amerykańskich, że do Szwecji ma trafić większy transport narkotyków. Nie mogę jednak komentować samej akcji policji.

- Czy ktoś został zatrzymany?

- Rzeczywiście, został zatrzymany co najmniej jeden obywatel amerykański. Wkrótce możemy się spodziewać kolejnych aresztowań.

W rogu ekranu pojawił się mężczyzna w kajdankach. Hjelm rozpoznał w nim groźnego przemytnika Roberta E. Nortona.

Prowadziło go czterech policjantów uzbrojonych w pistolety maszynowe. Nie uchroniło to jednak Mórnera przed kopniakiem prosto w tyłek. Upadł na ziemię, zawodząc z bólu. Chwycił za mikrofon i pociągnął za sobą dziennikarza. Jako że kabel najwyraźniej oplatał również nogi kamerzysty, w efekcie upadł również on. Wtedy pojawił się obraz sufitu lotniska i dały się słyszeć pojękiwania dziennikarza, biadolenie kamerzysty i słowna kanonada Mórnera:

- Niech cię jasna kurwa łysy chuju strzeli!

Dopiero w tej chwili relacja z lotniska została przerwana; nietrudno było sobie wyobrazić sadystyczny uśmiech producenta.

Prezenterka w studiu potrzebowała jednak więcej czasu. Gdy włączyła się kamera, wciąż jeszcze krzyczała w panice:

- Naprawdę mam to przeczytać?

Zorientowała się, że jest na wizji, i zrobiła poważną minę. Dzielnie walczyła, by utrzymać ją do samego końca.

- Na całe szczęście atak przemytnika nie spowodował u niko go poważnych obrażeń. Nasz reporter doznał jednak rozlicznych urazów jamy ustnej po wyciągnięciu mikrofonu, który został wepchnięty do jego gardła.

Na kanapie w Norsborgu nikt nie musiał walczyć, by zachować spokój. Gdy ucichły salwy śmiechu, a Paul zwrócił pilota Danne-mu, udało mu się na chwilę przyciągnąć wzrok Cilli. Gdy ocierała łzy, próbując doprowadzić twarz do porządku, dostrzegł w jej oczach powagę. Coś wisiało w powietrzu.

Położyli się wcześniej, oboje mieli za sobą długi dzień w pracy. Danne mógł bez przeszkód oglądać telewizję; tego wieczoru nie mieli siły być odpowiedzialnymi rodzicami. Doświadczenie mówiło im, że odrabiał przy tym lekcje. Nie potrafili zrozumieć, jak zdolność do multitaskingu mogła się rozwinąć tak szybko.

- Co się stało? - zapytała Cilla, zanim całkiem zmorzył ją sen.

- Jeszcze nic - odparł Paul, układając książki na nocnym stoliku.

- Na razie wzrosło ryzyko.

- A rana na ustach? - powiedziała cicho.
- To ta gwiazda z telewizji. - Zaśmiał się pod nosem. - Facet, który kopnął Mórnera w zadek.
- Naprawdę chodzi o narkotyki?
- Nie - westchnął. - To coś zabija zdecydowanie szybciej. Była już w połowie drogi do krainy snów.
- Broń?
- Niezupełnie. Lepiej, żebym nic nie mówił. Istnieje ryzyko, że będę musiał wziąć nadgodziny. Jakie to szczęście, że lato już się skończyło.

Spała.

Dotknął dłonią jej policzka. Potem obrócił się w stronę sterty książek na nocnym stoliku. W drodze z Mariebergu zatrzymał się w bibliotece na Fridhemsplan i wyszukał nazwisko Hassel, Lars-Erik, w nowym katalogu komputerowym. Udało mu się znaleźć manifest w duchu maoistycznym z 1971 roku i dwie części nieco późniejszego cyklu powieści dokumentalnych.

Manifestu nie dało się czytać. Nie z powodów ideologicznych, ale dlatego, że wymagał gruntownej znajomości terminologii materializmu dialektycznego. Nie rozumiał ani jednego słowa. A więc tak pisał człowiek, który po latach oskarżał szwedzkich pisarzy o elitaryzm.

Powieści dokumentalne miały natomiast charakter dydaktyczny. Akcja toczy się na przełomie wieków w majątku ziemskim w Vastmanland. Czytelnik śledzi losy przedstawicieli poszczególnych klas społecznych, od właściciela posiadłości z jego dziedziczną brutalnością skrywaną za zasłoną wystudiowanych manier wyższej klasy do rolników heroicznie walczących o chleb powszedni. Hjelm miał wrażenie, że rozpoznaje ten schemat. Problem polegał na tym, że wszystko było przesiąknięte ideologią. Liczyło się przede wszystkim przesłanie. Nieuczona masa miała przejść szkolenie polityczne. Przypominało to średniowieczny moralitet i stanowiło jawnie instruktażowy podręcznik jedynie słusznej wiedzy. Nieubłaganie zbliżał się sen, najlepszy cenzor.



Dzień, w którym pękła ostatnia szwedzka tama, zakończył się jeszcze jedną napaścią na przedstawiciela władzy państwowej. Gdy zegar na ścianie w salonie wybił dwunastą, Lars-Erik Hassel dokonał pośmiertnego ataku na Paula Hjelma. Policjant obudził się, gdy prawy róg *Společnych darmożadów* uderzył go prosto w lewy łuk brwiowy.

Rozpoczęła się druga doba pobytu mordercy z Kentucky w Szwecji.

\*

ARTO Söderstedt mieszkał z żoną i piątką dzieci w centrum miasta i był tym zachwycony. Co więcej, był przekonany, że tak samo zachwycone są jego dzieci, od trzyletniego począwszy, na trzynastoletnim skończywszy. Gdy odprowadzał je do przedszkola i szkoły, zawsze widział udęczonych rodziców, święcie przekonanych o tym, że największym marzeniem dziecka jest mieć własny ogródek, w którym będzie mogło do woli biegać. Dużo czasu poświęcił na rozmyślania o psychospołecznych mechanizmach, przez które większość mieszkających w centrum rodziców nękały stale wyrzuty sumienia.

Inaczej było ze znanymi mu rodzicami z przedmieść. Za wszelką cenę starali się przekonać świat, że oto znaleźli raj na ziemi. Szybko okazywało się jednak, że raj składał się zwykle z trzech rzeczy: po pierwsze, można było wypuścić dzieci do ogrodu, żeby nie musieć na nie patrzeć, po drugie, łatwiej było zaparkować samochód, po trzecie, można było grillować.

Starcie unicestwionego sumienia z nadętym do granic możliwości poczuciem własnej wartości prowadziło najczęściej do sytuacji, w której kolejne samochody firm przeprowadzkowych wyruszały na północ, południe albo zachód.

Söderstedt miał możliwość porównania. Gdy Drużyna A zapewniła sobie stałe miejsce w strukturach policji, przeprowadził się z rodziną z osiedla domków jednorodzinnych w VasterSs na ulicę Bondegatan na Södermalm. Nie tęsknił za koniecznością spotykania się z sąsiadami, z którymi i tak nie miał nic wspólnego, za mającą poprawić humor rywalizacją o to, kto ma lepiej, za

fiksacją na punkcie samochodu, za odległością, kiepską komunikacją podmiejską, sztuczną bliskością natury, przewidywalnymi rozmowami o wężach ogrodowych, trawnikach i ogródkach, które pochłaniały więcej czasu niż wody, pozbawioną historii i wyobraźni architekturą, pustymi ulicami i kulturalną pustynią, jaką stanowią przedmieścia. W kwestiach dotyczących dzieci wychowywanych w miastach stworzył kieszonkową listę argumentów, których mogli użyć ich rodzice, gdyby zostali przyparci do muru przez agresywnych mieszkańców przedmieść, gotowych oskarżyć ich o znęcanie się nad pociechami. Obrazy z dzieciństwa towarzyszą człowiekowi przez całe życie, lepiej więc, jeśli składają się na nie zróżnicowane fasady domów, wieże kościelne i ludzie, a nie place zabaw, zwirowe wygony i puste ulice. Miasto daje dostęp do wysokiej jakości wykształcenia, uczestniczenia we wszelkiego rodzaju wydarzeniach, możliwość spotykania się z ludźmi. Uwaga i przytomność umysłu ćwiczona jest w sposób, który nie ma sobie równych poza miastem.

Idąc przez rzeczone miasto, pomyślał ze zdziwieniem, że cały ten tok myśli podyktowany został przez zaprzatające mu głowę wyrzuty sumienia.

Jakie kryteria społeczne decydowały o tym, jak wygląda szczęście?

Z pewnością nie było to pięciopokojowe mieszkanie na Bondegatan, bez wątplenia trochę zbyt ciasne dla siedmioosobowej rodziny. Tylko czy to takie ważne.

Anja odwoziła dziś dzieciaki, wybrał się więc spacerem z Söder na Kungsholmen; coś mu mówiło, że już wkrótce nie będzie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Wchodząc do budynku komendy tego pięknego poranka późnego lata, udał się prosto do działu transportu, gdzie wypożyczył solidne audi. Włożył kluczyki do kieszeni i wszedł do windy.

Spojrzał w lustro. Kolejny rok bez raka skóry, pomyślał, rozglądając się za kawałkiem niemalowanego, żeby odpukać. Tego rodzaju skórę, która w słońcu przyjmuje barwę co najwyżej

czerwoną, mają tylko Finowie i Anglicy, pomyślał z dobrotliwą zarzucił. Był czwarty września, a jemu udało się dokonać niemożliwego: zamienił krem z filtrem z piętnastki dla niemowląt na dwunastkę.

Najbardziej lubił właśnie jesień.

Choć może akurat nie tę jesień.

Już w trakcie dochodzenia w sprawie Łowcy Rekinów naczytał się o seryjnych mordercach, przy okazji wygłosił też kilka wykładów. Od tego czasu gospodarował nimi oszczędnie. Obawiał się, że ten okres już się skończył. Pękła ostatnia tama chroniąca Szwecję i fala przestępczości o charakterze międzynarodowym, żeby zacytować dobrze znane źródło, wlała się do środka. Ciąg dalszy miał nastąpić.

Sprawa mordercy z Kentucky nie była mu obca. Czytał o nim, coś nawet mgliście pamiętał. Jeden z wielu seryjnych zabójców.

A jednak w jego *modus operandi* było coś osobliwego, co nie zgadzało się z profilem seryjnego mordercy. Te przerażające szczytce... Nie wiedział dokładnie co, ale coś z całą pewnością nie pasowało. Chciał rozmawiać bezpośrednio z Rayem Lamerem z FBI, nie wiedział tylko, jak ominąć Hultina. Był on co prawda najlepszym szefem, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się mieć, tęsknił jednak za możliwością swobodnego wglądu w zakamarki maszynarii prawa. Söderstedt był w przeszłości adwokatem, jednym z najlepszych w Finlandii, bronił największe szuje spośród łotrów z uprzywilejowanych warstw społecznych. W którymś momencie zbuntowało mu się sumienie, rzucił wszystko w diabły i wyjechał do Szwecji; nie zważając na wiek, zapisał się do szkoły policyjnej i zapuścił korzenie na komisariacie w Vasteras. Pomyślał, że jego doświadczenie w roli adwokata diabła może się przydać w tej sprawie. Żeby schwytać seryjnego mordercę, konieczny był choćby najmniejszy stopień identyfikacji. Wiedział o tym aż za dobrze. Był tak pogrążony w rozmyślaniach o miejskich rodzicach i seryjnych mordercach, że nie zauważył, jak bardzo jest spóźniony. To nie leżało w jego naturze. Tym większe

było jego zaskoczenie, gdy otworzywszy drzwi do „centrum dowodzenia”, zobaczył nie tylko cały zespół, ale także Waldemara Mórnera we własnej osobie i stukającego w blat katedry Hultina. Ponieważ nie miał najmniejszych szansy, żeby przygotować się na taką konfrontację, głośno się zaśmiał. Nie był to najlepszy pomysł. Mórner wyglądał beczelnie dobrze, jakby wydarzenia na Arlandzie nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Na marginesie przy nazwisku „Söderstedt” postawił haczyk, trudny do wymazania. Przez krótką, ale morderczą chwilę zmarszczył brew. Potem znów był sobą.

- Mam nadzieję, że spóźnianie się nie wejdzie ci w nawyk, Söderstedt - odezwał się gorzko. - Zadanie, jakie stoi przed nami, przekracza wszystko, z czym mieliśmy dotychczas do czynienia. *Tempus fugit*, a my z nim. Nie pozwólcie, by te cztery doniesienia z Arlandy przeszkodziły wam w pracy. Podnieście rękawicę, która została wam rzucona.

- Cztery? - zdziwił się Norlander.

- Teraz już tak - wyjaśnił ze spokojem Hultin.

Mórner nie zwracał na nich uwagi, tylko ciągnął z żarliwym patosem:

- Dzięki wyteżonej pracy na wyższych piętrach sprawa trafiła w wasze rozgrzane ręce i mam głęboką nadzieję, że sprostacie oczekiwaniom, które wobec was mamy. Znaczący wyobrażeniom. Wasz kapitał jest kamieniem węgielnym wizji zarządu, a przyszłość jest świetlista. Na końcu tunelu widać światło. Za ciężką pracą czeka was sowite wynagrodzenie. Chwytajcie dzień, ko rzystajcie z chwili, pokażcie wasze wdzięki. Do boju, moi panowie. I pani, ma się rozumieć. Droga pani. Dobro Szwecji spoczywa w waszych rękach.

Po wygłoszeniu tych mądrości Mórner wybiegł z sali, wpatrując się w zegarek.

Zapadła cisza. Odjęło im mowę. Po tym wystąpieniu już żadne słowo nie miało być niewinne. Mogło stać się bronią wycelowaną prosto w serce ojczystego języka.

- Jak się ma takich przyjaciół, nie potrzeba wrogów - podsumował Hultin, tym samym normalizując język spotkania. Po czym dodał: - Spędziłem noc z mordercą z Kentucky.

- W takim razie nietrudno będzie go zlokalizować - stwierdził Söderstedt, wciąż nie do końca przytomny. Hultin całkowicie go zignorował.

- Przygotowałem streszczenie, znajdziecie je w waszych pokojach. Objętość materiału jest porażająca, gdzieś w nim kryje się powiązanie ze Szwecją. Z mojego opracowania nie wynika w zasadzie nic nowego, ale zapoznajcie się z nim w wolnej chwili. Obawiam się tylko, że dopóki ten człowiek nie zacznie mordować, nie znajdziemy żadnego sensownego tropu.

- A jeśli on przyjechał tu na emeryturę? - odezwał się Nyberg, którego nie opuszczała tęsknota za przejściem w stan spoczynku. - Będziemy tu siedzieć i kręcić młynek keiukami, aż i na nas przyjdzie czas.

Gunnar Nyberg nie miał tak naprawdę nic przeciwko takiemu rozwojowi akcji. W czasie pogoni za Łowcą Rekinów został postrzelony w gardło. Niewiele brakowało, a ten zdolny chórzysta nie wydałby z siebie już żadnego dźwięku. Po półrocznej rekonwalescencji wrócił do chóru kościelnego w Načka; jego bas nabrał głębi, stał się bardziej donośny - śpiewając, radował się, raczej nie z powodu łaski Pańskiej, choć i ta myśl potrafiła mu zaświtać w głowie, ale dlatego, że wrócił mu głos. Szczypce do strun głosowych, używane przez mordercę z Kentucky, były dla Nyberga niczym diabelskie widły. Istniało ryzyko, że zaangażuje się w sprawę osobiście, czego próbował uniknąć w oczekiwaniu na emeryturę. Problem w tym, że wciąż dzieliło go od niej dwadzieścia lat.

- Przyjechał tu ze świeżą krwią na rękach - odparł Hultin. - Nie wydaje mi się, że w ten sposób kończy się karierę. Mógł przecież wślizgnąć się całkiem niepostrzeżenie, ale zawładnęła nim żądza. Nie, musi tu mieć jakiś cel...

- Właśnie o tym myślałam - odezwała się chórzystka kościelna numer dwa, Kerstin Holm. Jak zawsze była ubrana na czar-

no, miała na sobie krótką skórzaną spódniczkę, obok której Hjelm nie mógł przejść obojętnie. Nagle cofnął się o rok. Wczorajszy wieczór otworzył zakazane drzwi; przyłapał się na tym, że zastanawia się, jak ona się czuje, kim jest ten nowy mężczyzna i co ona tak naprawdę o nim myśli, teraz, gdy minęło już trochę czasu. Czy go nienawdziła? Czasami tak mu się wydawało. Czy naprawdę ją zostawił? Czy to raczej ona zostawiła jego? Wszystko spowijała mgła. Misterioso. Z zamyślenia wyrwały go jej słowa:

- Seryjnym mordercom chodzi o to, żeby być widzianym - powiedziała z zadumą. Zawsze rozumowała w nieco odmienny sposób. Może typowy dla kobiety. - Ofiara powinna widzieć swojego oprawcę, możliwie jak najdłużej, a społeczeństwo powinno widzieć ofiary, a przez nie mordercę. Nie zabija się seryjnie, żeby ukrywać ofiary. To inny schemat. Jak u Thomasa Quicka. Jak sprawa wygląda w tym przypadku? Czy nasz człowiek kiedykolwiek **ukrył** swoją ofiarę?

Hultin przekartkował papiery.

- Na pierwszy rzut oka nie wydaje mi się, ale jeśli uważasz, że to ważne, przyjrzyj się jego postępowaniu dokładniej.

- Wydaje mi się, że każde z nas ma poczucie, że coś tu się nie zgadza. Nie zasadniczo, tylko trochę. Ten człowiek pragnie krwi, ale robi sobie piętnaście lat przerwy. Jedzie na lotnisko z fałszywym paszportem, ale nie ma biletu na samolot. Morduje Hassela w czasie wieczornych godzin szczytu na jednym z największych lotnisk świata, nie zostawia żadnego śladu, ale nie chowa ciała. Ma wszystkie klasyczne atrybuty seryjnego mordercy, a jednocześnie wykazuje się czymś w rodzaju profesjonalizmu zawodowca. Czy naprawdę chce, żeby go widziano? A może odpowiedział nam, dokąd się wybiera? Czy potrafimy znaleźć także informację od niego, dla czego tu się wybiera? Rozmawialiśmy już o tym, ale łączenie go ze Szwecją wydaje się nie tylko ryzykowne, ale też błędne. Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić.

Pod tym ostatnim zdaniem bez wątpienia mogli się podpisać.

- Czy cała sprawa może mieć coś wspólnego bezpośrednio z osobą Hassela? - odważył się zapytać Hjelm. - Zajrzałem do jego maoistycznych pism z lat siedemdziesiątych. Zapewniam was, to nie przelewki.

Skubnął swoją zaklejoną plastrem brew i mówił dalej:

- Może więc pobawimy się przez chwilę myślą, że za mordercą z Kentucky stoi KGB i że fala seryjnych mordów w Ameryce jest następstwem sowieckiego eksportu. Może Hassel posiadał jakieś informacje ze starych, dobrych lat siedemdziesiątych, które nie powinny zostać ujawnione? Może był jednym z ludzi bezpieki, tudzież zdrajców albo podwójnych agentów? Może moglibyśmy nieoficjalnie zapytać Lamera, czy ktoś już kiedyś o tym pomyślał?

- Jeśli to prawda - podchwyciła wątek Kerstin Holm - mieliśmy wytlumaczenie tej długiej przerwy; krótko po śmierci Breżniewa na początku lat osiemdziesiątych nasz zabójca najnormalniej w świecie wrócił do kraju. Zresztą pewnie nie tylko on. W tym czasie KGB pakowało manatki, więc to by się zgadzało. Piętnaście lat później, gdy w Rosji pogarszają się nastroje społeczne, a komuniści dochodzą do władzy, agentów wyciąga się z zamrażarki, a nasz znajomy zostaje wysłany do Stanów, gdzie zaczyna wszystko na nowo.

- Doszedł do końca listy amerykańskiej, a teraz zabrał się do szwedzkiej. - Hjelm przejął pałeczkę w tej fascynującej sztafecie. - Dokonuje profesjonalnej oceny ryzyka: jak najlepiej powiadomić kolejną ofiarę, że jest już w drodze, i nie dać się złapać? Bo tu również chodzi o to, żeby być w i d z i a n y m, ale w inny sposób, niż jesteśmy do tego przyzwyczajeni; chodzi o to, żeby być widzianym przez tych, którzy zostaną ukarani. To jego wyprawa krzyżowa, chce, żeby zdrajcy drżeli ze strachu. Chce, żeby wiedzieli, że państwo nie zginęło, że nie da się uciec przed sowiecką Rosją, że ta cieszy się niespodziewanie dobrym zdrowiem, jest jak państwo w państwie.



- Z drugiej strony - wtrąciła Holm - zdaje sobie sprawę, że wiadomość od niego najpierw trafi do policji. Oznaczałoby to, że albo czeka, aż dojdzie do wycieku, albo wręcz przeciwnie, jego celem jest policja, i to bardzo konkretna grupa wewnątrz policji, ta, która, jak z góry wiadomo, zajmie się tą sprawą.

- Jeśli to prawda - przejął głos Hjelm - to każdy, kto w przeszłości podzielał poglądy Larsa-Erika Hassela, w Drużynie A lub wyżej, powinien mieć się na baczności.

- I ujawnić się - dodała Holm.

- Wyjść z szafy - dopowiedział Hjelm.

Zrobiło się cicho. Nagle nie tylko wkroczyli w świat międzynarodowej polityki i zajęli się konsekwencjami zimnej wojny, ale również wciągnęli do sprawy Drużynę A. Czy naprawdę mogło tu chodzić aż o taką finezję?

Czy morderca z Kentucky chciał dopaść kogoś z nich?

- Co wiemy o przeszłości Mórnera? - Hjelm pozwolił sobie na złośliwość.

Wszyscy wlepili w niego oczy z niedowierzaniem. Udało mu się zatrzymać wzrok Kerstin. Po raz pierwszy od bardzo dawna popatrzyli na siebie z uśmiechem; ostatnio niewiele było tych spojrzeń, za każdym kryło się coś jeszcze. Jej uśmiech był powściągliwy i bez wątpienia zachwycający.

Hultin się nie uśmiechał.

- Mórner stanowi ryzyko tylko dla samego siebie. - Ton jego głosu był wyjątkowo surowy. - Czy ktoś jeszcze ma ochotę wyjść z szafy?

Nic na to nie wskazywało.

Hultin mówił więc dalej:

- Z całym szacunkiem dla hipotez, ale ta, której przed chwilą wysłuchaliśmy, zasługuje na tytuł paranoi roku. Z samego faktu, że ciało ofiary zostało odnalezione przed wylądowaniem samolotu, wyciąganie elegancki wniosek, że KGB jest na tropie Drużyny A, że fala seryjnych morderstw w Stanach jest efektem

sowieckiej indoktrynacji, że wszystkie dwadzieścia cztery ofiary, o których tak naprawdę niewiele wiecie, są sowieckimi zdrajcami, że FBI jakimś cudem na to nie wpadło i że wasz kolega miał kontakty z KGB. Przyznaję, sporo udało wam się upchnąć.

- Ale przyznasz, że zabawa była przednia - odezwał się Hjelm.

Tę ostatnią uwagę Hultin zignorował.

- Jeśli ta sprawa ma cokolwiek wspólnego ze światem wielkiej polityki, my tu jesteśmy małe misie. Co nie znaczy, że nie wzięliśmy z Lamerem pod uwagę takiej możliwości. Ale nie myślcie sobie, że wtedy zobaczymy coś więcej niż same kontury.

- Chodzi tylko o to, że do wielu informacji nie mamy dostępu

- stwierdziła Kerstin Holm.

- Możemy zrobić tak - zaproponował Hultin pojednawczo

- że ty, Kerstin, zajmiesz się ofiarami amerykańskimi: sprawdzisz, kim tak naprawdę były, co o nich mówi FBI, czy nic ich nie łączy i czy nie mają związków ze Szwecją. Może uda ci się znaleźć coś, co umknęło FBI. Twardy orzech do zgryzienia, ale sama jesteś sobie winna.

Hultin zabrał się do układania swoich papierów, przez chwilę wydawał się równie rozproszony jak one. Potem jakby doszedł do siebie.

- W zasadzie zwołałem to zebranie z myślą o Jorge, który spędził całą noc w internecie.

Chavez wyglądał na kompletnie wykończonego. Kомуś, kto spędza długie godziny w sieci, dając się wciągnąć w jej wirtualne systemy skojarzeń, paranoja zawsze jest bliska, a Jorge wydawał się na nią wyjątkowo podatny. Ale też wyjątkowo zmęczony.

- No tak - zaczął. - Nie wiem, czy macie jeszcze siłę słuchać. Spędziłem w każdym razie kilka godzin na czacie FASK, Fans of American Serial Killers. Nie tak łatwo ich namierzyć, to jedna z tych organizacji, które raczej stronią od światła dziennego, i żeby do niej dotrzeć, musiałem uciec się do kilku sztuczek i - przyznaję - wydać trochę kasy. Mordercę z Kentucky nazywają skrótowo „K”, jest dla nich prawdziwym bohaterem. Wie-

# 4.

dzieli, że K znów zabił, ale na ile potrafię ocenić, nie zorientowali się, że udał się do Szwecji, co mogłoby oznaczać, że ich macki nie sięgają aż tak daleko.

- Mam nadzieję, że nie zostawiłeś po sobie zbyt dużo śladów
- powiedział Hultin, którego wiedza na temat internetowych harców była dosyć ograniczona.

- Dobrze się maskowałem - skomentował lakonicznie Chavez.
- Mają sporo teorii dotyczących K, niektóre z nich dobrze jest znać. Większość to kompletne szaleństwo, w stylu hipotez Kerstin i Paula, ale są też inne, bardziej wyważone. Również oni twierdzą, że mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju profesjonalizmem. Kilku z nich uważa, że to wysoki rangą wojskowy. Z tego, co zrozumiałem, Commando Cool dowodził człowiek, który był pod bezpośrednim zwierzchnictwem prezydenta. Na temat jego tożsamości niewiele wiadomo, nazywają go Balls, chyba nigdy nie widzieli Różowej Pantery. Podobno to właśnie on stworzył te słynne szczytce do strun głosowych. Potem zajmował ważne stanowisko w Pentagonie. Larner podejrzewał tego, no, co miał nazwisko jak ten wokalista country, tego, co zginął w wypadku...

- Wayne Jennings - odpowiedział Hultin.

- Dzięki. Zdaniem FASK był tylko pomocnikiem Ballsa. Najważniejsze operacje w Wietnamie przeprowadzano pod bezpośrednim nadzorem Ballsa. To znów według tych z FASK. Są też przekonani, że Balls to K. Dziś ma już pewnie stopień generała. Zdaniem fanów seryjnych morderców skończył z zabijaniem, gdy przeniesiono go do Waszyngtonu i Wietnam przestał burzyć mu krew, a zaczął na nowo, gdy już przeszedł na emeryturę. Jak dla mnie to brzmi dosyć spójnie.

- Najwyraźniej jednak to nie twój Balls przyjechał do Szwecji. Podróżował z paszportem trzydziestotrzylatka.

Chavez kiwnął głową z entuzjazmem, na jaki pozwalało mu zmęczenie.

- Zgadza się. To pozwala nabrać dystansu do scenariusza FBI. Cała teoria, że morderca z Kentucky przyjechał do Szwecji, to tak

naprawdę tylko szybko wyciągnięty wniosek, który opiera się na czymś tak banalnym jak fakt, że Hassel nie miał przy sobie biletu. Ta hipoteza z czasem stała się aksjomatem. Nawet nie wiemy, kiedy Hassel został zamordowany. Na lotnisku mógł przypomnieć sobie o czymś, co jeszcze miał do zrobienia, i postanowił przedłużyć pobyt. Być może sam odwołał rezerwację. Potem wyrzucił bilet. Może został jeszcze chwilę na lotnisku, żeby czegoś się napić. W drodze do toalety został napadnięty i zamordowany. W tym samym czasie na lotnisku zjawiał się ten młodszy przestępca, być może uciekając przed nasrożonymi bukmacherami lub coś w ten deseń, i postanowił złapać pierwszy lepszy lot, w którym zostało wolne miejsce. Było takie w samolocie do Sztokholmu, który startował za dwanaście minut, wskoczył więc na pokład. Co by mogło oznaczać, że morderca z Kentucky nigdy nie opuścił kraju. Prawda, że brzmi to całkiem przekonująco? Hultin rozejrzył się po pokoju. Ponieważ nikt nie rwał się do odpowiedzi, musiał sam dostarczyć kontrargumentów. Zrobił to z największą chęcią.

- Pomijając zbyt wielką liczbę zbiegów okoliczności, wydaje się co najmniej dziwne, żeby Hassel udał się na lotnisko i dopiero na miejscu zmienił zdanie, nie zgłosił się do odprawy wymaganą godzinę wcześniej, tylko odczekał co najmniej pół godziny, a potem zadzwonił i odwołał rezerwację, zamiast po prostu podejść do stanowiska linii lotniczych.

- Według mnie wygląda to na typowe zachowanie alkoholika - odezwał się Gunnar Nyberg. - Być może przyjechał za późno, pokreślił się po lotnisku, a potem zorientował, że spóźnił się na odprawę i że w związku z tym samolot poleci bez niego, zadzwonił więc, żeby oszczędzić sobie pogardliwych spojrzeń obsługi naziemnej. Potem znowu sobie wypił i wdał się w sprzeczkę z niewłaściwą osobą. W takich okolicznościach hipoteza Jorge wydaje się bardziej prawdopodobna.

- Problem w tym - powiedział Hultin chłodno - że obdukcja nie wykazała podwyższonego stężenia alkoholu we krwi. I żąd-

nych narkotyków. Nie byłoby to dla was tajemnicą, gdybyście się posłuchali i przeczytali raport Lamera.

- Co się stało z bagażem? - zapytał Nyberg, jakby chciał jeszcze bardziej utwierdzić Hultina w przekonaniu, że niczego nie przeczytali.

- Znalaziono go przy nim, co by potwierdzało kreślący się obraz wyrachowanego mordercy. Nie tylko udało mu się zaciągnąć Hassela do pomieszczenia gospodarczego, nie zwracając na siebie uwagi w tłumie na Newark, ale udało mu się zaciągnąć go tam z bagażem.

Westchnął i podsumował:

- Spróbujmy choć przez chwilę zachować przytomność umysłu. Anulowania rezerwacji dokonano siedemnaście minut przed wylotem. Personel linii lotniczych miał prawo założyć, że to Hassel i że dzwoni spoza lotniska. Jeśli to rzeczywiście był on - po co w takim razie pojechał na lotnisko? Wszystko bowiem wskazuje, że właśnie to zrobił - po części wynika to z oględzin miejsca zbrodni, którym prawdopodobnie było pomieszczenie gospodarcze, po części z faktu, że trudno byłoby przenieść trupa przez lotnisko pełne ludzi. Jasne? A więc zostają dwie możliwości. Pierwsza: zadzwonił z lotniska, co jednak samo sobie przeczy, bo w takim razie albo zdążyłby na samolot - w końcu udało się to Reynoldsowi, który zjawił się pięć minut później, albo zmienił zdanie w ostatniej chwili, tylko dlaczego dzwonił, skoro był trzeźwy? Dlaczego nie obrócił się na pięcie i nie wrócił taksówką na Manhattan? Druga możliwość: ktoś inny zadzwonił w jego imieniu - a jeśli tak, miał ku temu poważny powód; na chwilę obecną wydaje się, że tym powodem była chęć znalezienia się w Sztokholmie. Opierająca się na intuicji hipoteza Haydena wydaje się nadal najbardziej trafna jako hipoteza robocza, jeśli nie jako aksjomat.

- Okej - odezwał się Chavez, który chyba w przerwie musiał wciągnąć amoniak. - To i tak nie była moja główna hipoteza. Ta zakłada bowiem, że główną rolę gra Balls. Emerytowany generał

musi być mistrzem fałszywych tropów. Z pewnością nie brakuje ambitnych trzydziestoletnich oficerów, którzy bez zbytnich wyrzutów sumienia zechcą mu pomóc. Z jakiegoś powodu Balls poczuł, że czas już pozbyć się FBI, być może upór Lamera działał mu na nerwy. Jak w najlepszy sposób rozbroić FBI? Trzeba wyjechać z kraju. FBI to nie CIA, jego teren działań jest wyraźnie zaznaczony i nie wychodzi poza granice Stanów. Jeśli jeszcze wybierze się kraj, w którym oszczędza się na policji, który ma dziwne priorytety, gdzie szefostwo wybierane jest wedle niezrozumiałego klucza i gdzie, krótko mówiąc, istnieje duże prawdopodobieństwo, że policjanci to błazny, wystarczy już tylko zamordować obywatela tego kraju, zabrać mu bilet i zadbać, żeby podstawiony przez ciebie człowiek wylądował tam gdzie trzeba. Nic więcej nie potrzeba, żeby FBI doszło do wniosku, że udało ci się ulotnić. Podobnie jak Paul i Kerstin uważam, że w tej dosyć dziwnej sekwencji zdarzeń na lotnisku kryje się jakieś przesłanie, ale skierowane jest ono raczej do FBI niż do Szwecji i cały szwedzki aspekt tej sprawy wydaje mi się mocno naciągany. Szczerze wątpię, żeby Balls tu był. Podstawiony przez niego człowiek przekroczył granicę Szwecji, wymienił paszport i poleciał z powrotem, być może nawet nie opuścił Arlandy. W kraju czekał już na niego emerytowany, ale z pewnością wciąż wpływowy generał, który w podziękowaniu go awansował.

Drużyna A chwiała się na nogach. Istniało ryzyko, że za chwilę dojdzie do zbiorowego zgonu. Powietrze zgęstniało od nowych hipotez, musieli je zmienić czym prędzej. Norlanderowi, który po ostatnich wyczynach na lotnisku został postawiony do kąta i który w związku z tym przez ostatnią godzinę nie powiedział ani słowa, przypadło podsumowanie.

- Czyli drepczemy w miejscu - stwierdził.
- Nie inaczej - potwierdził łagodnym głosem Hultin.

MINAŁ dzień.

A potem kolejny.

A potem jeszcze kilka dni.

Nic się nie wydarzyło. Milczały nawet nagłówki gazet. Członkowie Drużyny mogli pracować w spokoju, przez co jeszcze bardziej dokuczała im beczynność. Nie mieli nic do roboty. Nawet nie musieli przeganiać wścibskich dziennikarzy, co zawsze przynosiło swego rodzaju słodko-gorzka satysfakcję.

Zgłoszenia zgonów z całego kraju napływały szerokim, równym strumieniem, podobnie jak zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez obywateli amerykańskich. Nie wyglądało to szczególnie obiecująco. Chyba że morderca z Kentucky wziął poprawkę na szwedzkie realia i zaczął zabijać cierpiących na demencję staruszków w domu spokojnej starości w Sandviken. Albo był dwunastoletnim chłopakiem, który w biały dzień skopał ciężarną kobietę, tak że jej złamane żebro uszkodziło płód, albo zamordował sześćdziesięciodwuletnią prostytutkę w przerośniętej garderobie podróżnej, albo zapakował roczne dziecko do zamrażarki, albo popełnił samobójstwo przy użyciu spreju do nosa, albo pomylił kwas siarkowy z samogonem, albo rzucił się na sąsiada z naostrzonymi grabiami. Oficjalnie tymi niecodziennymi zgonami zajmował się Nyberg, nieoficjalnie mieli je wszyscy gdzieś. Nyberg wolał włączyć się po półświatku, gdzie ze spokojem mógł zastraszać drobnych rzezimieszków ze starej gwardii.

Do przestępstw obywateli amerykańskich przebywających w Szwecji mieli zresztą podobny stosunek. Tu za niewidzialne

nici pociągał Norlander; osobiście uważał, że stanowczo za długo stoi już w kącie. Mężczyzna, który na swoje nieszczęście nazywał się Reynold Edwins, przyciągnął jego uwagę raczej z powodu nazwiska niż z racji profesji, która w jego przypadku wiązała się z rekrutowaniem uczennic podstawówki do filmów porno. Trzech amerykańskich przedsiębiorców kupiło usługi seksualne w nocnym klubie w Göteborgu, twierdząc jednogłośnie, że to niemożliwe, żeby to było nielegalne. Niezidentyfikowany obywatel amerykański dorobił nielegalnie klucz w punkcie naprawy obuwia na Gardet; ponieważ właściciel poinformował policję dopiero po fakcie, sam też trafił do kartoteki. Inny niezidentyfikowany obywatel amerykański próbował opchnąć haszysz na Narvavagen; najwyraźniej miał złą mapę. Trzeci naiwny pokazał, co miał do pokazania, w parku Tantolunden i został przykładowo ukarany przez grające tam futbolistki. Czwarty kupił żaglówkę za banknoty tysiąckoronowe skopiowane na marnej jakości ksero; co gorsza, jej dotychczasowy właściciel był zalany w pestkę i potrzebował doby, żeby odkryć fałszerstwo. Zanim to się jednak stało, Amerykaninowi udało się dokonać nieprawdopodobnego wyczynu: wjechał żaglówką w okno wystawowe w Vaxholm.

I tak dalej, czyli bez większych emocji.

Chavez stawał się coraz bardziej wirtualny, Söderstedt usiadł za kółkiem swojego audi, żeby osobiście sprawdzić Amerykanów zakwaterowanych w pałacach i melinach, a Hultin uczestniczył w długich i chaotycznych spotkaniach z Mórnerem i szefem Rikspolis; dla rozrywki wyobrażał sobie, jakie to kłody Mórner rzucał za młodu pod nogi KGB.

Kerstin Holm pochyliła się nad materiałami FBI, ale opisy ofiar z lat siedemdziesiątych zdążyły już zblaknąć, a hipoteza dotycząca KGB - poważnie ostygnąć. Zauważyła z pewnym zainteresowaniem, że Hjelm odwiedzał ją trochę częściej niż zwykle. Roztrząsali temat na wszystkie możliwe sposoby, ale nigdy nie zaszli dalej niż w czasie tej jednej natchnionej minuty, kiedy to wypracowali wspólną hipotezę, w którą i tak nikt nie wierzył.



Wobec nieobecności swego wirtualnego kolegi Hjelm szukał kontaktu z Kerstin i sam się dziwił, że gdy między nim a Cillą wreszcie się poprawiło, zbliżył się do Kerstin. Chciał ją o tyle rzeczy zapytać, ale kończyło się zwykle na aluzjach, jak wtedy, gdy włączył kasetę z nagraniami rozmów z byłymi żonami Lar-sa-Erika Hassela. Na początek pierwsza żona:

- Byliście ze sobą, gdy prowadził najbardziej aktywną działalność polityczną, prawda?

- Działalność polityczną... tak...

- Wykazywał silne zaangażowanie w potrzeby słabszych grup w społeczeństwie...

- Tak... Sama nie wiem...

- Silne, szczere zaangażowanie.

- No tak... no... czy ja wiem... Do czego pan zmierza?

- Jak również zaangażowanie w literaturę. Wyjątkowo silne.

- Pan żartuje?

Katastrofa. W odpowiedzi zainkasował surowe spojrzenie Kerstin. Przewinął taśmę do rozmowy z drugą żoną, młodą dziewczyną, którą Hassel zostawił, zanim zdążył poznać ich wspólnego syna.

- Czy potem widział syna?

- Tak... no cóż... nie...

- A w ogóle go widział?

- Nawet nie wiem, czy wiedział o jego istnieniu. Szybkie przewinięcie z powrotem do pierwszej żony.

- Czy miał jakichś wrogów?

- Wrogów... czy ja wiem... Trudno być tak długo krytykiem i nie zależeć nikomu za skórę.

- Jakież konkrety?

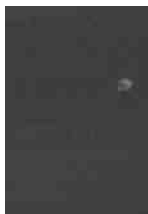
- Przez te wszystkie lata było ich może dwóch, trzech. Ostatnio jakiś szaleniec zasypywał go mejlami.

- Z pogrózkami?

- Tak, listami z pogrózkami wysyłanymi mejlem.

- Skąd pani wie? Byliście w kontakcie?

- Wiem od Labana. Spotykali się zwykle raz w miesiącu.
- To wasz syn?
- Tak. Jakiś wariat wysyłał mu mejle. Tylko tyle wiem. Potem znowu przewinięcie do młodej dziewczyny.
- Ile lat ma wasz syn?
- Sześć. Ma na imię Conny.
- Dlaczego zostawiła pani męża? To stało się tak szybko. Nawet nie zdążył zobaczyć swojego syna.
- Nie wykazał nawet śladu zainteresowania. Odeszły mi wody, gdy pakował się na targi książki w Göteborgu. Zamówił dwie taksówki, jedną dla siebie na Arlandę, a drugą dla mnie do szpitala. Bardzo elegancko z jego strony, zgodzi się pan? Gdy ja rodziłam mu syna, on zaliczał kolejne panienki. Jestem gotowa uwierzyć, że udało mu się spłodzić kolejnego, zanim nasz syn pojawił się na świecie. Nie spoczął nawet na chwilę.
- Skąd pani wie, że tak aktywnie udzielał się w Göteborgu?
- Zadzwoiła do mnie jedna z jego koleżanek. Nie pamiętam nazwiska.
- Zadzwoiła do pani? Na porodówkę? Żeby powiedzieć, że pani mąż pieprzy się na prawo i lewo? Ma kobieta wyczucie.
- Tak. To znaczy nie.
- Nie wydało się to pani trochę dziwne?
- Owszem. Ale po pierwsze brzmiało przekonująco, po drugie już gdy wyjeżdżał, widziałam po nim, że to koniec. Wystarczyło mu jedno dziecko. Conny to była wpadka, ale nie zgodziłam się na aborcję.
- Pamięta pani, jak ta koleżanka się nazywała?
- Jestem prawie pewna, że miała na imię Elisabeth. Dalej nie wiem. Bengtsson? Berntsson? Baklava? Biskopsnasa? Kolejne przewinięcie. Kerstin uniosła brwi.
- Czy mejle z pogrózkami są wciąż w komputerze?
- Nie mam pojęcia. Wiem tylko to, co powiedział mi Laban: że Larsowi-Erikowi robiło się od nich niedobrze. Trudno mi to sobie wyobrazić, ale tak w każdym razie powiedział.



- Ile lat ma Laban?
  - Dwadzieścia trzy.
  - Mieszka z panią?
  - Ma mieszkanie na Kungsklippan, jeśli chce pan porównać nasze zeznania, czy jak to się mówi. Laban Jeremias Hassel.
  - Czym się zajmuje?
  - Tylko proszę się nie śmiać. (Pauza). Studiuje literaturoznawstwo.
- Hjelm wcisnął „stop” i już miał na nowo przewinąć taśmę, gdy Kerstin mu przeszkodziła; było to absolutnie konieczne.
- Wystarczy - stwierdziła.

Patrzył na nią zaskoczony, jakby nagle znalazł się w innym świecie. Przez chwilę jeszcze się ościagał, następnie opadł na stojące naprzeciwko niej krzesło i rozejrzał się po pokoju. Dzieliła go z Gunnarem Nybergiem. Pokój chórzystów, do którego przez wiecznie uchylone okno sączyło się spokojne, ale już zimne jesienne światło. Siedzieli tu czasem, ćwicząc gamy i śpiewając *a cappella*, on wyrazistym basem, a ona subtelnym altem. Hjelm pomyślał o swoim pokoju, który dzielił z podłączonym do sieci Chavezem i w którym rozmowy dotyczyły głównie piłki nożnej. Czuł, że brakuje mu powietrza. Potrzebował Johna Coltrane'a. Być może mógłby zdobyć się na odwagę i wrócić do Kafki, pomimo że w ciągu ostatnich dni wartość literatury uległa wyjątkowo drastycznej dewaluacji.

Najbardziej jednak potrzebował rozmowy z Kerstin. Musiał jej coś powiedzieć.

Zastanawiał się co.

- Nie mógłbyś raczej podsumować?

Spojrzał na nią. Nie uciekła ze wzrokiem. Nie rozumieli swoich spojrzeń.

- Trzy sprawy - powiedział jak profesjonalista. - Pierwsza: złożyć wizytę dwudziestotrzyletniemu studentowi literaturoznawstwa Labanowi Hasselowi. Druga: dowiedzieć się więcej o Elisabeth Biskopsnasa, koleżance, która zadzwoniła na poródówkę, żeby naskarżyć. Trzecia: sprawdzić, czy mejle z pogróżkami są jeszcze w pamięci komputera, w domu lub w redakcji.

- Byłeś w ogóle u Hassela?
- Przez chwilę. W każdym razie nie zauważyłem niczego, co by wskazywało na KGB, żadnych fruujących wampirów. Gustowne, duże mieszkanie na Kungsholmie. I sprzęt do trenowania. Chcesz zobaczyć?

Pokręciła głową.

- Muszę jeszcze coś sprawdzić. Spróbuj wyciągnąć Jorge na światło dzienne.

Kiwnął głową, zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na magnetofon. Zostawił go.

Patrzyła na niego przez chwilę. Potem przeniosła wzrok na zamknięte drzwi, a potem znowu na magnetofon.

Przewinęła do miejsca, które Hjelm starał się ominąć, przewijając taśmę do przodu i do tyłu. Po chwili rozległ się głos Hjelma:

- Kim jest ten nowy mężczyzna?
- To raczej nie ma nic wspólnego ze sprawą - brzmiała odpowiedź byłej żony.
- Chcę tylko wiedzieć, kto taki pojawił się w miejsce Hassela. Czego szukałaś. Jakie są między nimi różnice. To może mi sporo wyjaśnić.

- Żyję z człowiekiem z branży turystycznej. Dobrze nam razem. Ciężko pracuje, ale nie przynosi pracy do domu. Dobrze nam ze sobą w łóżku. Czy to chciał pan usłyszeć?

- Tak mi się zdaje - powiedział Paul Hjelm.

Kerstin Holm patrzyła na zamknięte drzwi.

Jeszcze przez dłuższą chwilę.

Hjelmowi udało się wyciągnąć Chaveza na światło dzienne. Skorzystał z okazji, gdy ten poskarżył się, że spocił mu się tyłek, po czym obaj byli bohaterowie dochodzenia w sprawie Łowcy Rekinów opuścili budynek policji, zostawiając w nim bardziej zasłużonych na polu chwały, w typie Waldemara Mórnera. Nie wiedzieli, co dokładnie stało się ze skargą złożoną przez reporte-

ra lokalnej stacji, który doznał, tu cytat, „licznych obrażeń jamy ustnej”, po tym jak Mórner wcisnął mu do niej mikrofon. Najwyraźniej ta była dużo łatwiejsza do strawienia.

Na ulicach popołudniowe słońce wciąż jeszcze oferowało swoje darmowe usługi. Jesień zawitała już na Arlandę, ale zwlekała z pojawieniem się w Sztokholmie. Nie dało się przeoczyć wiążącej się z tym symboliki.

Chavez wciąż jeszcze miał na sobie letnią marynarkę, która wymagała prania znacznie bardziej, niżby to sugerował jej maskujący szary kolor. Rozciągał intensywnie swoje małe, sprężyste latynoskie ciało, gdy wędrowali wzdłuż Kungsholmsgatan i przeszli przez Scheelegatan.

- Internet - rozmarzył się. - Nieskończone możliwości. I cholernie dużo śmieci.

- Jak w życiu - zamyślił się Hjelm.

Skręcili w Pipersgatan, wdrapali na wzniesienie i weszli po stromych schodkach na Kungsklippan, gdzie fasady domów próbowały przyćmić jedna drugą w konkursie na najpiękniejszą widokówkę ze Sztokholmu; niektóre patrzyły w stronę Ratusza i komendy - te były najmniej atrakcyjne - inne rzucały chciwe spojrzenia w dół, w kierunku Norr Malarstrand i Riddarfjarden, jeszcze inne zerknęły z lekką pogardą na konglomerat budynków w City i dalej, na górny Óstermalm. W jednym z tych ostatnich mieszkał syn Larsa-Erika Hassela z pierwszego małżeństwa.

Zadzwonili do drzwi. Otworzył je blond młodzieniec z niewielkim zarostem, w koszulce bez rękawów i szerokich spodniach.

- Gliny - stwierdził bez entuzjazmu.

- Nie inaczej - odpowiedzieli chórem znad legitymacji. - Można?

- Odmowa byłaby pewnie równoznaczna ze strzałem w stopę - odparł Hassel junior i wpuścił do środka byłych bohaterów.

Była to niewielka kawalerka z aneksem kuchennym. Postrzępiona granatowa roleta trzymała ostatnie promienie letniego

słońca na dystans. Komputer rozciągał niebieską poświatę na ścianach przy biurku; poza tym w mieszkaniu panowały piwniczne ciemności.

Chavez pociągnął za sznurek i roleta podskoczyła, czemu towarzyszył pisk, który przypominał odgłos, jaki wydał z siebie Mórner, gdy Robert E. Norton kopnął go w zadek.

- Widać nieczęsto jej używasz - stwierdził Chavez. - A masz taki widok.

Za oknem Kungsklippan schodziła gwałtownie w miejsce, gdzie kończyła się wyspa, a zaczynał ląd.

- Pracowałeś? - zapytał Hjelm. - Twoja mama mówiła, że studiujesz literaturoznawstwo.

Laban Jeremias Hassel spojrział w ostre, przynajmniej wedle jego miary, światło słońca i uśmiechnął się blado.

- Ironia losu...

- W jakim sensie? - zapytał Hjelm, podnosząc odwróconą dnem do góry filiżankę ze zlewu. Nie powinien był. Opary pleśni, jakie przy tym uwolnił, sprawiły, że rzuciło nim w głąb pokoju.

- Mój ojciec był jednym z czołowych krytyków literackich w kraju - wyjaśnił Laban Jeremias, przyglądając się z niewzruszoną miną pantomimie w wykonaniu Hjelma. - Ironia polega na tym, że zdaniem wszystkich urodziłem się w literackim czepku. Ale moje zainteresowanie literaturą to bunt przeciwko ojcu. Nie wiem, czy potraficie to zrozumieć - dodał cicho, siadając na liliowej sofie w stylu lat sześćdziesiątych.

Umeblowanie tej niewielkiej kawalerki było zarówno oszczędne, jak i niedbałe. Mieszkał tu człowiek, którego nie interesował świat zewnętrzny, co do tego nie mieli wątpliwości.

- Wydaje mi się, że rozumiem - odezwał się Hjelm, nawet jeśli nie potrafił znaleźć związku pomiędzy wystudowanym wyglądem Labana a wewnętrznym chaosem, który zdawał się nim całkowicie władać. - Twoje spojrzenie na literaturę różni się diametralnie od spojrzenia twojego ojca.

- On nigdy nie widział potrzeby, żeby się doksztalcać - wymamrotał Laban Hassel, wbijając wzrok w brzożowe biurko, które wyglądało na przegniłe. - Do samego końca literatura była dla mojego ojca fenomenem dekadentckiego mieszczaństwa. Nie widział potrzeby, żeby ją poznawać. Wolał ją piłować. I robił to jeszcze długo po tym, jak stał się najbardziej mieszczańskim ze wszystkich mieszczan.

- Nie lubił literatury - zgodził się Hjelm.

Laban spojrział na niego ze zdziwieniem. Potem znów wbił wzrok w biurko.

- Ale ja tak. Bez niej bym nie istniał.

- Nie miałeś łatwego dzieciństwa - przyznał Hjelm. Jego głos wyrażał spokój, pewność siebie. Głos ojca, pomyślał.

Albo marnego psychologa.

- Tak szybko zniknął - odezwał się Laban. Było widać, że nie jest to dla niego nowa sytuacja. Miał za sobą wiele godzin terapii.

- Tak szybko zniknął - powtórzył. - Zostawił nas. Był dla mnie bohaterem, ucieleśnieniem marzenia o słynnym, niedoścignionym myślicielu, a gdy sam zacząłem czytać książki, całkowicie bez jego udziału, stał się jeszcze bardziej interesujący. Postanowiłem, że przeczytam jego dzieła, dopiero gdy będę gotowy. Preczytam i doznam objawienia.

- Tak było?

- Tak. Chociaż wyglądało ono zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem. Objawiła mi się jego kulturowa politura.

- A mimo to do końca utrzymywałeś z nim kontakt?

Laban wzruszył ramionami i wpadł w rodzaj transu.

- Czekałem, aż powie mi o czymś istotnym, o czymś decydującym, co wydarzyło się w przeszłości. Ale się nie doczekałem. Zawsze ten sam serdeczny, ale surowy ton. Czułem się, jakbym wszedł do szatni drużyny piłkarskiej. Rozbuchany testosteron. I ani jednej rysy. Czekałem na darmo. Może rysy pojawiły się w chwili śmierci.

- Jeśli dobrze cię rozumiem, wasz kontakt był dosyć powierzchowny.

- Mało powiedziane.

- A mimo to zwierzył ci się, że dostaje mejle z pogrozkami...

Laban Hassel zastanawiał się przez chwilę, nie podnosząc wzroku. Jego stan się pogarszał. W końcu wydusił z siebie tylko:

- Tak.

- Opowiedz wszystko, co wiesz.

- Tylko tyle, że ktoś go prześladował.

- Dlaczego?

- Nic więcej nie wiem. Wspomniał o tym tylko mimochodem.

- A jednak poinformowałaś o wszystkim matkę?

Laban po raz pierwszy spojrział na niego z powagą w oczach. Nie było w nich miejsca na radość, jedynie bezdenna przepaść o rozmiarach, o jakich bardzo niewiele dwudziestotrzylatków w ogóle słyszało. Było to spojrzenie, które nakazywało postarać się temu bezsilnemu, ale gotowemu do boju komisarzowi kryminalnemu kryjącemu się w środku Hjelma.

- Mam bardzo dobry kontakt z matką - odrzekł tylko Laban Hassel.

Hjelm nie chciał już więcej drążyć; zanim wróci, musi znaleźć nowy punkt zaczepienia. Bo że wróci, wiedział na pewno.

Podziękowali i wyszli. Chavez odezwał się już na klatce schodowej:

- A ja ci tu, kurwa, niby do czego byłem potrzebny?

- Kerstin uznała, że przydałoby ci się trochę słońca - odparł z troską w głosie.

- No to nie mogliśmy lepiej trafić.

- Szczerze powiedziawszy, potrzebowałem przenośnej białej tablicy, kogoś, kto nie ma gotowej opinii na temat Larsa-Erika Hassela. Co powiesz?

Zeszli schodami na Pipersgatan. Słońce zaplątało się w strzępy chmur i oddało północną część Ratusza w objęcia cienia. Powstał dziwny efekt podwójnego oświetlenia.



- W prawo czy w lewo? - zapytał Chavez.
- W lewo - powiedział Hjelm. - Pojedziemy na Marieberg. Szli w ciszy wzdłuż Pipersgatan. Przy Hantverkargatan skręcili w prawo, minęli Kungsholms torg i zatrzymali się na przystanku.
- No - zaskoczył znów Chavez. - Ciekaw jestem, jak idzie Labanowi na studiach...
- Sprawdź - uciął Hjelm.

Autobus dojeżdżał już na Marieberg, gdy Chavezowi udało się wreszcie przebić przez centralę Uniwersytetu Sztokholmskiego i dodzwonić do Instytutu Literaturoznawstwa, który pracował w innych godzinach niż reszta uczelni. Hjelm przyglądał się temu z pewnej odległości, jak reżyser, który uśmiecha się pod nosem, obserwując starania aktorów. Stali w ścisku, Hjelm przy tylnym wyjściu, Chavez pośrodku, oparty o wózek dziecięcy, który wrzynał mu się w miękkie części ciała. Za każdym razem, gdy krzyczał do słuchawki, malec odpowiadał mu trzy razy głośniej, powodując tym rosnącą irytację jego matki. Gdy wysiedli z autobusu na Vasterbroplan, Chavez pomyślał, że wie już, jak wygląda piekło.

- No? - powtórzył Hjelm.
- Jesteś złym człowiekiem - syknął Chavez.
- Taka branża - wzruszył ramionami Hjelm.
- Laban Hassel zapisał się na kurs podstawowy z literaturoznawstwa trzy lata temu. Nie ma na koncie żadnych zaliczeń. Ani też żadnych innych kursów.

Hjelm skinął głową. Otrzymali ten sam wynik, mając dwa różne punkty wyjścia. Odpowiadała mu ta synchronizacja.

Tym razem winda działała. Do redakcji działu kulturalnego weszli pewnym krokiem. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, będą znać odpowiedź jeszcze przed wieczornym zebraniem.

Erik Bertilsson pochylał się nad zacinającym się faksem. Hjelm stanął jakieś dwa centymetry za nabiegłą krwią łysiną i odchrząknął. Bertilsson podskoczył. Wyglądał, jakby zobaczył ducha. Co

zbytnio nie odbiegało od prawdy, przyznał mu w myślach rację Hjelm.

- Potrzebujemy pomocy - powiedział ze spokojem, który nie różnił się za wiele od spokoju Hultina. - Czy możesz nam pomóc sprawdzić jego skrzynkę? Jeśli jeszcze istnieje?

Bertilsson patrzył na niego z przerażeniem w oczach. Wydawało mu się, że człowiek, przed którym wylał swoje żale, zniknął już z jego życia. Znieruchomiał.

- Nie znam hasła - wydusił w końcu.

- Ktoś tutaj może je znać?

Bertilsson wciąż był jak skamieniały. Gdzieś w jego głowie dał się jednak zauważyć przebłysk myśli. Zostawił ich bez słowa i pognął przez pokój redakcyjny w stronę komputera stojącego jakieś dziesięć metrów dalej. Zamienił kilka słów z lekko otyłą kobietą około pięćdziesiątki. Miała długie, kruczoczarne włosy, okulary w tygrysie cętki i obcisłą sukienkę w duże kwiaty. Posłała przeciągłe, mroźne spojrzenie w stronę bohaterskiego duetu i odwróciła się z powrotem do komputera.

Bertilsson wrócił. Wstukał hasło; Chavez przyglądał się w skupieniu ruchom jego palców na klawiaturze.

Nie udało się. *Access denied*. Bertilsson walnął w ekran w nieoczekiwanym wybuchu złości i po raz kolejny podszedł do damy, tym razem stawiając znacznie dłuższe kroki. Patrzyli z odległości na tę pantomimę. Kobieta rozłożyła ręce i wygięła usta w podkówkę, wyrażając całą sobą prawdziwą bezradność. Potem jakby ją oświeciło, podniosła palec wskazujący i wyrzuciła z siebie jakieś słowo. Bertilsson wrócił. W milczeniu uderzył w klawisze, by dostać się do elektronicznej spuścizny po zmarłym.

- Teraz możesz nas zostawić - oświadczył ze spokojem Hjelm.

- Nie wychodź jednak z redakcji, mamy jeszcze do pogadania.

Chavez poczuł się wreszcie jak u siebie. Nie dane mu było jednak się wykazać. Sprawdził skrzynkę odbiorczą i nadawczą, zajrzał do kosza, ale niczego nie znalazł.

- Tu niczego nie ma.  
- Okej - powiedział Hjelms i kiwnął na Bertilssona, który podbiegł jak tresowany piesek.

- Gdzie się podziały wszystkie wiadomości Hassela?

Bertilsson wołał patrzeć na ekran niż na Hjelma. Wzruszył ramionami.

- Pewnie je usunął.

- A może ktoś inny tu pozamiatał?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Albo nie ma całej skrzynki, łącznie z adresami, albo jest wszystko. To tyle. Może taki miał zwyczaj, skąd mam wiedzieć?

- Nie można tego jakoś obejść? - zwrócił się Hjelms do Chavez. - Nie da się sprawdzić, kto je usunął?

- Nie z tego poziomu - odparł Chavez. - Sieciowe kosze są trudne w obsłudze.

Ponieważ Chavez mówił językami, Hjelms musiał mu uwierzyć na słowo, jak na wierzącego przystało. Odwrócił się w stronę Bertilssona.

- Kim jest koleżanka Elisabeth Becostam? Pracuje tu?

- Od zawsze - powiedział Bertilsson i powtórzył: - Wszyscy są tu od zawsze. - Potem jakby się ocknął: - Masz na myśli Elisabeth Bertsson?

- Bardzo możliwe - odpowiedział Hjelms. - Jest tutaj?

- To właśnie z nią rozmawiałem.

Hjelms rzucił okiem w stronę czarnowłosej damy, która pisała szybko na komputerze.

- Co takiego łączyło ją z Hasselem?

Bertilsson rozejrzał się zaniepokojony. W jego oczach było coś, co powinno wzbudzić zainteresowanie każdej przytomnej osoby. Nikt nawet na niego nie spojrzał. Molier siedział za szklanymi drzwiami i patrzył przez okno. Można by pomyśleć, że nie ruszył się z miejsca od czasu ostatniej wizyty Hjelma.

- Lepiej sami ją o to zapytajcie - odrzekł stanowczo Bertilsson. - Już i tak za dużo powiedziałem.

Podeszli do niej. Podniosła wzrok znad klawiatury.

- Elisabeth Berntsson? Policja.

Spojrzała na nich zza okularów.

- Wasze nazwiska? - zapytała rutynowo lekko zachrypniętym głosem palacza.

- Komisarz kryminalny Paul Hjelm. A to komisarz kryminalny Jorge Chavez. Z Rikskriminalen.

- Ach tak - westchnęła, rozpoznając nazwiska z rozkładówek gazet. - To znaczy, że za śmiercią Larsa-Erika kryje się coś więcej...

- Czy możemy porozmawiać na osobności?

Jej brew powędrowała do góry, wstała i ruszyła w stronę szklanych drzwi. Weszli do pustego pokoju. Wyglądał tak samo jak pokój Moliera.

- Siadajcie - powiedziała, sadowiąc się za biurkiem.

Odgrzebali dwa krzesła spod sterty papierów i usiedli. Hjelm postanowił nie tracić czasu na uprzejmości.

- Dlaczego zadzwoniła pani na oddział położniczy szpitala w Danderyd w 1992 roku, żeby poinformować matkę nowo na rodzzonego syna Larsa-Erika Hassela, że w czasie, gdy ona rodziła mu syna, jej mąż udzielał się seksualnie na targach książki w Göteborgu?

Powinna opaść jej szczęką. Wyglądała jednak na równie nieporuszoną co jej wzrok.

- *In medias res*, doprawdy. Jestem pod wrażeniem.

- O to mi też chodziło - odpowiedział Hjelm. - Najwyraźniej jednak spodziewała się pani tego pytania.

- Spodziewałam się, że to wywęszyliście.

Mogliby wziąć jej słowa za pochlebstwo. Mogliby, gdyby nie ton jej głosu.

- Co to było? Zemsta? - zapytał krótko Hjelm.

Elisabeth Berntsson zdjęła okulary i położyła przed sobą na biurku.

- Nie - odparła. - Alkohol.

- Może jako katalizator. Ale nie powód.

- Może tak, a może nie.

Hjelm zmienił temat.

- Dlaczego skasowała pani wszystkie mejle Hassela?

Chavez wtrącił:

- Nietrudno było się tego domyślić.

Hjelm spojrział na niego w sposób, który, jak miał nadzieję, wyrażał wdzięczność. Myśli Elisabeth Berntsson krążyły najwyraźniej jednak wokół czegoś innego. Za szlachetnie surową maską skupienia toczyła się wewnętrzna walka. W końcu odezwała się:

- Lars udzielał się seksualnie, jak to pan nazwał, przede wszystkim ze mną. Potrzebował czegoś solidniejszego niż ta dwudziestoletka. Między nimi niczego już nie było; ja tylko przyspieszyłam ten proces. Katalizator. - Uśmiechnęła się sardonicznie.

- A potem? Byliście już razem na wieki wieków amen?

Berntsson parsknęła śmiechem.

- Nie byliśmy tym szczególnie zainteresowani. Zbyt dobrze znaliśmy ciemne strony bycia razem. Za bardzo też rozsmakowaliśmy się w innych rozwiązaniach. *One night stands* nie są wcale takie złe, jak się powszechnie uważa. Prowadzę aktywne życie i potrzebuję swobody. A Lars gustował raczej w... młodszych rocznikach. Dla mnie był niezłym kochankiem i swego rodzaju stałym punktem w życiu. Punktem w programie, może tak. Ta sama godzina, ten sam kanał. Dosłownie.

Hjelm spojrział na nią, po czym podjął szybką decyzję.

- Dał pani do przeczytania listy z pogrózkami?

- Co za nuda. Ciągle to samo, z nieznacznymi tylko wariacjami. I ten upór. Fiksacja. Ten ktoś znalazł sobie kozła ofiarnego, na którego mógł wylać swoje życiowe frustracje.

- Mężczyzna?

- Wszystko na to wskazywało. Typowo męski język, można powiedzieć.

- Ile ich było?

- Przez pierwsze pół roku przychodziły sporadycznie. W ciągu ostatniego miesiąca zaalały go prawdziwą falą sztormową.

- To znaczy, że to trwało ponad pół roku?
- Mniej więcej.
- Jak reagował Hassel?
- Z początku był naprawdę poruszony. Kiedy zrozumiał, że listy spełniają jedynie funkcję terapeutyczną, zrobił się jakby bardziej zamyślony. Jak gdyby zastanawiał się nad swoim życiem i nad tym, za co spotkała go taka kara. Ale potem, gdy było ich coraz więcej, znów się wystraszył i postanowił zniknąć z pola widzenia. Właśnie wtedy zrodził się pomysł wyjazdu do Nowego Jorku.

Hjelm postanowił nie komentować kosztu podróży. Zamiast tego spytał:

- Czy może nam pani powiedzieć coś więcej o tych listach?
- Wyjątkowo szczegółowe opisy zła, jakiego dopuścił się Lars, ale przede wszystkim tego, co stanie się z jego ciałem. Nic o tym, co tak naprawdę zrobił. Właśnie to go niepokoiło, tak mi się przynajmniej zdaje: że źródło było tak mętne.

- Kto to mógł być pani zdaniem?

Zastanowiła się. Przez chwilę bawiła się oprawkami, przesu-  
wając je powoli po blacie biurka.

- To musiał być pisarz - odezwała się w końcu.
- Dlaczego?
- Przecież czytał pan artykuły Larsa.
- Skąd pani wie?
- Molier mi mówił. A więc wie pan, że gdy coś mu się nie podobało, nie przebierał w słowach. Właśnie to go wyróżniało. Na tym zbudował swoją markę, rozpoznawalną w całym kraju. Przy okazji wielu zranił. Niektórzy nigdy się nie podnoszą. Zła krew wraca.

Hjelma zastanowiła ta puenta. Cytat?

- Czy autor pogrózek pisał jak literat?
- Upadły literat. Otóż to.

Hjelm podrapał się zamyślony po policzku, zwykle nawet go nie dotykał w towarzystwie. Mały płatek skóry opadł na spod-

nie. Elisabeth Berntsson powędrowała za nim wzrokiem, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy. Rzucił Chavezowi wymowne spojrzenie.

- No to znaleźliśmy się w punkcie wyjścia: dlaczego skasowała pani wszystkie mejle Hassela?

- Nie zrobiłam tego.

Hjelm westchnął i odwrócił się w stronę Chaveza. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby sklecić jakąś historyjkę. Pytanie tylko, czy czytał w jego myślach. Ostatnio jakby wyszedł z wprawy.

A jednak. Ton jego głosu był wyjątkowo spokojny.

- Przyjechaliśmy do redakcji o godzinie 15.37. O 15.40 Bertilsson zapytał panią o hasło. O 15.41 wpisał je; było błędne. Wrócił do pani, o godzinie 15.43 przypomniała sobie pani właściwe hasło. O 15.44 otworzyliśmy skrzynkę Hassela. Była pusta, ktoś ją opróżnił. Wiem, o której to się stało: 15.42, dwie minuty po tym, jak dowiedziała się pani, w jakiej sprawie tu przyszliśmy, i na wszelki wypadek podała nam złe hasło.

Chavez odrobił lekcje, wyprzedził nawet mistrza o siedmiomilowy krok. Jeśli kłamiesz, syp szczegółami.

Elisabeth Berntsson milczała. Wpatrywała się w blat biurka. Hjelm przechylił się w jej stronę.

- Jeśli to nie pani była nadawcą, to dlaczego je pani skasowała? Żeby uratować honor Larsa? Nie sądzę. Gdzie była pani w nocy z drugiego na trzeci września?

- Na pewno nie w Nowym Jorku - powiedziała cicho.

- Czy nienawidziła go pani przez te wszystkie lata? Jak znalazła pani czas na napisanie tylu listów? Pisała je pani w godzinach pracy?

Elisabeth Berntsson podniosła powoli okulary, rozłożyła je i umieściła na swoim dystygowanym nosie. Przez chwilę siedziała z zamkniętymi oczami, potem spojrzała na Hjelma. Było to już całkiem inne spojrzenie.

- Chyba można by powiedzieć, że go kochałam. Te listy były dla mnie torturą.

- Chce pani powiedzieć, że wynajęła pani płatnego mordercę, żeby skrócić sobie cierpienie?

- Oczywiście, że nie.

- Ale mówił, kogo podejrzewa, prawda? A pani skasowała wszystko, żeby chronić mordercę. Przyzna pani, że to trochę dziwne zachowanie w stosunku do zmarłego ukochanego?

Jej wzrok był teraz stanowczy, nie stanowczy w sposób, który mógłby świadczyć o zadufaniu, ale stanowczy za wszelką cenę. Nie zamierzała nic więcej powiedzieć.

Jednocześnie powiedziała więcej, niż potrafią powiedzieć słowa.

- To sprawa osobista - odparła. Potem się rozkleiła. Całkiem niespodziewanie dla wszystkich obecnych, nie wyłączając jej samej. Smutek przyszedł w długich, spazmatycznych falach.

Gdy wstawali z krzeseł, Hjelm poczuł do niej sympatię. Mógłby nawet otoczyć ją ramieniem, ale wiedział, że pocieszenie, jakie mógł jej zaoferować, i tak na długo by nie wystarczyło. Jej smutek był znacznie głębszy.

Zostawili ją samą z jej bólem.

W windzie pierwszy odezwał się Chavez.

- Pyrrusowe zwycięstwo, tak to się mówi? Jeszcze jedno takie i będzie po mnie.

Hjelm milczał. Wmawiał sobie, że planuje następny krok. Tak naprawdę jednak płakał. Zła krew wraca.

Wzięli taksówkę na Pilgatan. W drodze zamienili zaledwie kilka słów.

- Całe szczęście, że nie zastanawiała się nad godzinami - powiedział Chavez. - Pomyliłem się o co najmniej pięć minut.

- Sądzę, że od początku chciała się przyznać do opróżnienia skrzynki - powiedział Hjelm, po chwili jednak dodał: - Świetna robota.

Nie potrzebował wyjaśniać Chavezowi, dokąd jechali. Gdy wchodzili po schodach okazałego budynku na Pilgatan między Fridhemsplan a Kungsholms torg, spytał tylko:

- Pamiętasz hasło?



Chavez skinął głową, weszli na ostatnie piętro. Hjelm wyjął pęk kluczy i otworzył trzy zamki w drzwiach z wizytówką Hassela. Prowadziły do sali gimnastycznej; cały przedpokój przerobiony był na siłownię.

W poprzednim życiu Lars-Erik Hassel najwidoczniej był alchemikiem poszukującym źródła młodości.

Minęli współczesne odpowiedniki szklanych kolb i ceramicznych naczyń i trafili do samego serca współczesności: komputera stojącego na klasycznym biurku pośrodku salonu. Chavez włączył komputer i rozsiadł się w ogromnym fotelu, który służył Hasselowi za krzesło do pracy.

- Myślisz, że ma hasło? - zapytał Hjelm, pochylając się nad hakerem.

- W domu raczej nie? - zastanawiał się Chavez. - Wówczas mielibyśmy problem.

A jednak. Na ekranie zamigotało szydercze „enter password”.

- Spróbujmy użyć tego samego - zaproponował Chavez i wstukał L-A-B-A-N.

Ekran przestał migotać. Udało się.

- Dziwne, że ojciec i syn mieszkają tak blisko siebie - powiedział Chavez, czekając, aż komputer się uruchomi.

Hjelm wyrzął przez okno na piękną starą kamienicę, zdawała się dygotać w cieniu chmury. Gdyby okno było ustawione pod trochę innym kątem, mógłby zobaczyć Kungsklippan.

Miał wrażenie, jakby jesień nadeszła w ciągu ostatniej godziny. Ciężkie chmury przetaczały się po zwisającym coraz niżej niebie. Wiatr wpadł na elegancki dziedziniec kamienicy, zrywając z drzew żółte i zielone liście. Kilka kropel deszczu rozbiło się o szybę.

W czasie, gdy Chavez pracował przy komputerze, Hjelm rozejrzał się po mieszczańskim mieszkaniu Larsa-Erika Hassela; Hassel odtworzył je pieczołowicie w oryginalnym stylu.

W salonie każdy detal był wierną biedermeierowską kopią. Hjelmowi trudno było połączyć ten doprowadzony do granicy

absurdu mieszczański charakter mieszkania z żywiącym się literaturą krytykiem.

- No proszę - odezwał się po chwili milczenia Chavez. - Nie musimy nawet opróżniać kosza. Ma katalog o nazwie „nienawiść”.

- Tego się spodziewałem - powiedział Hjelm i podszedł do komputera. - Ma je tutaj?

Na ekranie pojawiła się długa lista. W lewym dolnym rogu przeczytali „126 obiektów” - sto dwadzieścia sześć dokumentów uporządkowane było kolejno według numerów.

- Rok, data, dokładna godzina - odezwał się Chavez. - Kompleksowa rejestracja.

- Otwórz pierwszy.

List był krótki, ale treściwy: *Ty diable wcielony. Twoje ścierwo zostanie rozrzucone w ośmiu miejscach w całym kraju i nikt nie będzie wiedzieć, że głowa należy do tego samego ciała co noga, ramię i fut. Zresztą i tak do siebie nie pasują. Do zobaczenia. Nie oglądaj się za siebie.*

- Z końca stycznia - wyjaśnił Chavez. - Ostatni jest z dwudziestego piątego sierpnia.

- Z dnia, w którym Hassel pojechał do Stanów - uzupełnił Hjelm.

- Od tego momentu niczego już nie zapisywał. Jeśli w czasie jego pobytu w Stanach prześladowca przysyłał kolejne mejle - a nie byłyby w tym nic dziwnego - to zniknęły one w chwili opróżnienia skrzynki przez Elisabeth. Gdyby ów prześladowca był mordercą albo wynajął mordercę, mejl z dwudziestego piątego sierpnia byłby jego ostatnią groźbą.

- Sprawdźmy.

W czasie tych kilku miesięcy autor listów bez wątpienia rozwinął swój warsztat pisarski. Ostatni zachowany mejl brzmiał: *Znowu próbowałaś zmienić adres. Daruj sobie. Widzę cię, widzę cię zawsze, i zawsze tak będzie. Wiem, że wybierasz się do Nowego Jorku, ty diable wcielony. Myślisz, że jesteś tam bezpieczny? Myślisz, że cię tam nie*

*dosięgnę? Śmierć depcze ci po piętach. Będziesz we wszystkich stanach, z futem zamarzniętym na Alasce i uwalaną główną kiszka gnijącą w bagnach Florydy. Wyrwę ci język i rozpruję twoje struny głosowe. Nikt nie usłyszy twojego krzyku. Tego, co zrobiłeś, już nigdy nie cofniesz. Czuwam nad tobą. Ciesz się Metropolitanem. Będę tam, w rzędzie za tobą. Nie oglądaj się za siebie.*

Hjelm i Chavez spojrzeli na siebie, pomyśleli o tym samym. Nowy Jork, Metropolitan. Uderzająca znajomość szczegółów, z drugiej strony dość łatwo dostępne informacje. Rozpruć struny głosowe i „Nikt nie usłyszy twojego krzyku”: było tego coraz więcej.

Skąd już tydzień wcześniej wiedział, że struny głosowe Larsa--Erika Hassela staną się bezużyteczne i że nikt nie usłyszy jego krzyku?

- Znam takiego, co podejrzewał, że tu może nie chodzić o mordercę z Kentucky - odezwał się z triumfem w głosie Chavez.

- Cofnij się jeszcze - powiedział tylko Hjelm. Pole widzenia znacznie się zawężyło.

Otworzyli na chybił trafił kolejny list z zawierającego sto dwadzieścia sześć dokumentów „katalogu nienawiści”.

*Ty diable wcielony. Ty najbardziej mieszczański ze wszystkich mieszczuchów. Twoje żalosne szczątki zgniją w srebrnych puszkach, które trafią do twoich porzuconych kochanek; będą się masturbować twoimi rozsypującymi się organami.*

*Próbowałeś zmienić adres. Nie rób tego. Daruj sobie. Pewnego dnia wyjdzie na jaw źródło kału, który produkujesz. Wszyscy zobaczą, jak wygląda system trawienny twojej zgniłej duszy. Twoje flaki okręcą się wokół szklanego fiuta na Sergels targ. Wszystko wyjdzie na wierzch. W tych flakach był jedyny duch, jakiego miałeś. Nie oglądaj się za siebie.*

*Poderżnę gardło twojemu synkowi. Ma na imię Conny i niedługo skończy sześć lat. Wiem, gdzie mieszka. Znam kod do drzwi. Wiem, do której chodzi szkoły. Spuszczę się do jego poderżniętego gardła, zostaniesz wezwany do zidentyfikowania zwłok, ale jako że nigdy nie widziałeś swojego syna, nie rozpoznasz go. Wyrzekniesz się jego głowy*

*i jego ciała. Zresztą nie pierwszy raz. Wyjdzie na wierzch twoja kulturowa -politura.*

*Na twoim zgniłym murze pojawiły się rysy. Zobaczysz je w chwili śmierci. Przytłoczą cię, gdy będę cię torturować na śmierć.*

Mieli dosyć. Znow spojrzeli na siebie.

- Są tu jakieś dyskietki? - zapytał Hjelm.

Chavez skinął głową i zapisał cały „katalog nienawiści”.

- Co o tym myślisz? - zapytał Hjelm.

- Gdzieś to już słyszałem - powiedział Chavez, chowając dyskietkę. - Jak wygląda potencjalny scenariusz? Czy aż tak dobrze znał metodę mordercy z Kentucky, że udało mu się ją perfekcyjnie skopiować? Skąd zdobył te wszystkie informacje?

- Może od tych twoich Fans of American Serial Killers? Wygląda na takiego, co zna się na komputerach.

- A więc dowiedział się, na kiedy Hassel ma zarezerwowany bilet powrotny, i czekał na lotnisku Newark? Reszta to zbieg okoliczności.

- Albo wręcz przeciwnie: wszystko było dokładnie zaplanowane. Dokładniej rzecz ujmując, Laban Jeremias Hassel może być naszym Edwinem Reynoldsem.

Chavez zamilkł, porządkował myśli. Hjelm miał wrażenie, że widzi, jak kurczy mu się pole widzenia. Chavez podsumował:

- Przylatuje wcześniejszym samolotem ze Szwecji, czeka około godziny na lotnisku, zabija i wraca do kraju, posługując się fałszywym paszportem. To zupełnie możliwe. Mógł też oczywiście wynająć profesjonalistę...

Przez chwilę zastanawiali się w milczeniu nad tym scenariuszem.

- Idziemy? - zapytał w końcu Hjelm.

Chavez skinął głową.

Wędrowali Hantverkargatan przez opustoszałe miasto, przecięli Kungsholms torg i szli dalej, w górę Pipersgatan; zamykali koło. Albo zawiązywali worek. Skręcili przy schodach, wspięli się na Kungsklippan, a potem weszli do budynku. Przed drzwiami Chavez wyjął pistolet.

- Mogła go ostrzec.

Hjelm zastanawiał się przez chwilę. Potem on też wyjął broń i nacisnął dzwonek.

Laban Hassel otworzył natychmiast. Patrzył ze spokojem na wycelowane w niego dwie lufy pistoletów.

- Nie wygłupiajcie się - powiedział cicho.

Scenariusz posypał się niczym domek z kart. Albo Laban Hassel był kuty na cztery nogi, albo też całkowicie niegroźny.

W środku panował mrok, rolety były znów zaciągnięte. Ekran komputera roztaczał apatyczny blask. Chavez podszedł do okna i podciągnął roletę, Laban zamrugał, gdy blade słońce dosięgnęło jego oczu. Jakby chłopakowi obce były wszystkie ziemskie reakcje.

Usiadł ze wzrokiem wbitym w biurko. Wszystko to już znali. A jednak wszystko się zmieniło. Stali w miejscu z uniesioną bronią. Nie protestował, gdy go przeszukiwali.

- Zadzwoiła Elisabeth Berntsson z redakcji. Kazała mi uciekać.

- Nie oglądaj się za siebie - powiedział Hjelm i usiadł, wkładając broń do kabury.

Laban Hassel uśmiechnął się krzywo.

- Dobrze, prawda?

- Zabiłeś go? - zapytał Hjelm.

Laban podniósł wzrok, przez chwilę patrzył głęboko w oczy Hjelma.

- To jest bardzo, ale to bardzo dobre pytanie.

- A czy jest też bardzo, ale to bardzo dobra odpowiedź? Laban milczał. Spuścił wzrok i wpatrywał się dalej w blat stołu, zaciskając wargi. Hjelm postanowił, że zacznie od początku.

- Co wydarzyło się w styczniu?

- Wiemy, że trzy lata temu zapisałeś się na uniwersytet i że od tego czasu nie ukończyłeś żadnego kursu. Może jeszcze przez jakiś czas miałeś kredyt studencki. Ale potem? Z czego żyłeś?

- Zapomoga dla bezrobotnych - odparł Hassel. - Tak to się chyba nazywa. Potem się skończyło.

- W styczniu tego roku - odpowiedział Hjelm.

Hassel spojrział na niego.

- Wiesz, jaki to wstyd ubiegać się o zasiłek socjalny? Wiesz, jak to jest już na samym wejściu być podejrzanym, a potem szczegółowo sprawdzanym? Potrafisz sobie wyobrazić, jak to jest, gdy w końcu dokopią się do twojego ojca, który jest zbyt znany i zbyt dobrze ustawiony, żeby przysługiwał ci zasiłek? Nie wystarczy, że przez całe życie wisiał nad tobą jak cień - przez niego nie masz teraz jeszcze za co żyć.

- To tylko pogłębiło nienawiść...

- Pierwsza groźba była spontaniczna. Musiałem to z siebie wyrzucić. Potem przyszło mi do głowy, żeby wysłać mu to mejlem. A potem przerodziło się w idee fixe.

- Dlaczego groziłeś swojemu przyrodniemu bratu Comr/emu?

Mina Labana Hassela wyrażała coś, czego nie dałoby się inaczej określić niż jako samowstręt.

- To jedyne, czego żałuję...

- Poderżnąć sześciolatkowi gardło i do niego się spuścić?

- Przestańcie. Nie groziłem małemu, tylko jego ojcu.

- Poznałeś Conny'ego?

- Spotykamy się od czasu do czasu. Jesteśmy kumplami. Jego matka Ingela chyba nawet mnie lubi. Jesteśmy prawie w tym samym wieku. Wiesz, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy?

- Nie.

- Miałem jakieś czternaście, piętnaście lat. Szedłem z matką Hamngatan. W tym wieku już samo to jest obciachem, a tu jeszcze po drugiej stronie zobaczyliśmy ojca. Z Ingelą. Zauważył nas, ale zamiast próbować ukryć fakt, że idzie w towarzystwie siedemnastolatki, zaczął się z nią miętosić. Ekskluzywne przedstawienie. Siedzieliśmy z matką w pierwszym rzędzie.

- To miało miejsce przed rozwodem?

- Tak. To prawda, w domu było piekło, ale wciąż stanowiliśmy rodzinę, przynajmniej tak nam się wydawało. Tego dnia pękła nasza iluzja.

- Co masz na myśli, mówiąc piekło?

- W powszechnym przekonaniu dzieciom dzieje się gorzej, gdy rodzice się kłócą, niż gdy ratują pozory i trzymają język za zębami. Dla mnie to najgorsza odmiana hipokryzji. Dzieci i tak wszystko widzą. W naszym domu panowała lodowata cisza. Piekło nie jest gorące, piekło jest lodowate. Temperatura zera absolutnego. W krainie dzieciństwa odmroziłem sobie ręce i nogi. I jeszcze ta jego nieobecność. Meczce piłki nożnej, na które miał przyjść i na które mimo obietnicy nigdy nie przychodził. Zawsze to samo. A potem wpadał do domu tylko po to, żeby zmrozić całe nasze cholerne mieszkanie.

- Masz talent literacki - stwierdził Hjelm. - To słyhać. Po co marnować go na listy z pogrozkami?

- Wydaje mi się, że to był egzorcyzm - powiedział Laban zamyślony. - Musiałem pozbyć się tego przekleństwa z krwi. Poskromić demona chłodu. Tak naprawdę mogłem sobie darować wysyłanie mu mejli.

- Z tego mogła powstać powieść...

Laban spojrział w oczy Hjelmowi i zamrugał intensywnie. Być może udało im się nawiązać jakiś kontakt.

- Być może. Z drugiej strony chciałem zobaczyć, jak zareaguje. Czy będzie coś po nim widać. Chyba miałem nadzieję, że mi się zwierzy. Gdyby choć raz odniósł się do tego, przestałbym natychmiast. Jestem pewien. Ale nie. Wszystko pozostawało bez śladu. Za każdym razem te same frazesy. Nie sądzę nawet, by przyszło mu do głowy, że zło, o które oskarżam go w listach, miało coś wspólnego z tym, jakim był ojcem.

- Nie byłbym tego taki pewien - odezwał się Chavez, który stał pod oknem. - Wiesz, jakie miał hasło do komputera?

Laban Hassel obejrzał się za siebie bez słowa.

- Laban - powiedział Chavez. - L-A-B-A-N.
- Dlaczego Elisabeth Berntsson do ciebie zadzwoniła? - zapytał Hjelm. - Była gotowa wziąć winę na siebie, żeby cię chronić. Jak myślisz, dlaczego cię podejrzewała?
- Jak sądzisz, dlaczego ojciec zachował wszystkie twoje mejle w folderze o nazwie „nienawiść”? - zapytał Chavez. - Każdy z nich był otwierany co najmniej dziesięć razy.
- Czekaleś, aż zrobi pierwszy krok - powiedział Hjelm. - A on czekał, aż zrobisz go ty.
- Laban wyglądał, jakby znów zapadł się w siebie. Nie można mu było na to pozwolić. Hjelm postanowił zaatakować.
- Co dokładnie stało się miesiąc temu? Dlaczego zaczęłaś wysyłać więcej mejli?
- Laban podniósł powoli wzrok. Zupełnie jakby wiązało się to z ogromnym fizycznym wysiłkiem. Wzrok zatrzymał się na Hjelmie. Był nadspodziewanie spokojny.
- Wtedy ja i Ingela zbliżyliśmy się do siebie. Opowiedziała mi o Connym, o porodzie, o tym, że on nigdy nie chciał go nawet zobaczyć.
- „Zbliżyliśmy się”? Jak bardzo?
- Wtedy postanowiłem, że naprawdę go zabiję.
- Hjelm i Chavez znieruchomieli. Hjelm próbował w myślach sformułować właściwe pytanie.
- Zasypywałeś go mejlami z zamiarem zamordowania go?
- Tak.
- A na koniec wyjawiasz mu, że wiesz o jego planach dotyczących Nowego Jorku i że zabijesz go w sposób, który uniemożliwi mu krzyk z bólu? Wiesz, jak umarł?
- Został zamordowany...
- Coś więcej?
- Nie.
- Był torturowany, miał nacięte struny głosowe, nikt nie słyszał jego krzyku. Kiedy pojechałeś do Nowego Jorku?
- Ja nie...



- Kiedy? Czekaleś na niego na miejscu czy zjawiłeś się tuż przed odlotem samolotu?

-Ja...

- Jak poznałeś *modus operandi* mordercy z Kentucky?
- W jaki sposób zdobyłeś paszport Edwina Reynoldsa?
- Jak udało ci się uciec policji na Arlandzie?

Laban Hassel milczał w krzyżowym ogniu pytań.

Hjelm pochylił się do przodu i powtórzył, akcentując każde słowo:

- Gdzie byłeś w nocy z drugiego na trzeciego września?
  - W piekle - wyszeptał Laban.
  - W takim razie powinieneś był tam spotkać swojego ojca
- powiedział Chavez. - Bliżej piekła niż on wtedy trudno się znaleźć.

Budowana przez nich dramaturgia przesłuchania przewidywała, że Laban powinien albo całkowicie się rozsypać, albo zacisnąć wargi. Uzyskali coś pomiędzy. Mówił dziwnym, monotonnym tonem, ze wzrokiem wbitym w stół. Jego usta prawie się nie poruszały.

- Nie potrafię tego zrozumieć. Już miałem zrobić ten ostateczny krok, a on umiera. Morduje go ktoś inny. Kompletne szaleństwo. Albo logika. Boska sprawiedliwość. Potrzeba tak silna, że aż uległa materializacji. To nie mógł być przypadek, to musiał być los. Groteskowy jak życie. Przesłanie z góry. Dopiero teraz, dopiero teraz, gdy już niczego nie da się cofnąć, dochodzi do mnie, że nigdy bym tego nie zrobił. Że tak naprawdę tego nie chciałem. Zamierzałem tylko go ukarać. Chciałem z nim rozmawiać. Chciałem, żeby okazał choć najmniejszy ślad skruchy.

Przez chwilę panowała cisza. Hjelm powtórzył:

- Gdzie byłeś w nocy z drugiego na trzeciego września?
- Byłem w Skarmarbrink - wyszeptał Laban. - U Ingeli i Conny'ego.

Chavez również nie ustępował.

- Co takiego stało się miesiąc temu? Jak blisko byłeś z Ingelą?

- Bardzo blisko - odpowiedział ze spokojem Laban. - Zbyt blisko. Nie chodzi tylko o to, że kochałem się z matką mojego brata, nie chodzi tylko o to, że ona kochała się z synem znienawidzonego przez nią ojca jej syna i że nagle zdaliśmy sobie z tego sprawę, ale i o to, że zrobiliśmy coś jeszcze, coś wyjątkowo obrzydliwego, coś, co ma to samo źródło. Dlatego wysyłałem coraz więcej listów. To coś nas połączyło.

- O czym ty mówisz?

Laban Hassel odchylił głowę i spojrzał w sufit. Jego pokryta niewielkim zarostem broda zdrząła, gdy powiedział:

- Poddaliśmy się sterylizacji.

Hjelm spojrzał na Chaveza.

Chavez spojrzał na Hjelma.

- Dlaczego? - odezwali się chórem.

Laban podniósł się z miejsca, podszedł do okna i otworzył je.

Zapadł już zmrok. Nad miastem zawisła ściana deszczu, odbijając tu i ówdzie światło ulicy. Podmuch jesieni przeszedł przez jego włosy i wpłynął do zatęchłego pokoju.

- Zła krew wraca - wyszeptał Laban Hassel.

**JUŻ CZAS.**

Jest w drodze.

Teraz się zacznie.

Idzie w ciszy przez pusty dom. Przerzucił torbę przez ramię. Słyszy, jak obija się głucho w ciemnościach.

Zatrzymuje się i stoi przez chwilę przy oknie obok drzwi wejściowych. Gdy jesienny wiatr wpada przez okrągłą dziurkę od klucza, rozlega się słabe, przeciągłe, głuche wycie.

Odrywa wzrok od dziurki i wychodzi naprzeciw nocnej jesiennej ulewie, która rozrzuca potężne uderzenia deszczu po czarnej jak smoła okolicy. Gdy wychodzi na werandę, gdzie deszcz siecze jego policzki, wiatr jest już inny. Suchy, pustynnie suchy. Wieje znad Cumberland Plateau i przelatuje przez lodowato zimny dom.

Jest noc, widzi cień w garderobie jak ciemność ciemniejsza od ciemności. Idzie za nim.

Idzie przez deszcz. Deszczu nie ma. Jest tylko cel. Ciemność ciemniejsza od ciemności.

Wsiada do beżowego saaba i odjeżdża. Wybiera boczne drogi. Starannie unika rwących niczym rzeki strumieni i balansuje na obrzeżach mielizn, póki strug deszczu nie rozświetlą łuny cywilizacji, dostrzega przytrzaśnięty rękaw płaszcza i tajemne drzwi, za którymi znajduje schody. Stawia pierwszy krok. Potem drugi. Znika światło, czuje słodki od kurzu zapach, który teraz wypełnia cały samochód. Skręca na główną drogę. Migają pojedyncze światła aut. Oświetlone fasady domów wyrastają wokół niego. Ciemność nabiera niuansów. Już nie tylko czuje lodowato wilgotną poręcz, teraz również ją widzi, jest jak

słaba wstęga, która spada prosto w przepaść - podobna do węża wierna towarzyszka skrzypiących schodów, przy wjeździe do miasta wznosi się samotny wieżowiec. Widzi go nieco po prawej i sunie ulicą po zielonej cięciwie. Nie zna ani jednej nazwy, zna tylko drogę, zna liczbę stopni, wie, ile stopni prowadzi do drzwi obramowanych światłem, które już prawie widzi, mignęło mu tam, w samym dole. Zna każdy ruch kierownicą, objeżdża stadion z wieżą zegarową i już jest bardzo blisko. Znów las, balansuje na skraju cywilizacji: z jednej strony fasady domów, z drugiej las, ciemny las pierwotny, przez który przedziera się, aż w końcu dostrzega kontury drzwi. Blask zza drzwi, jak rama ikony wokół ciemności, jaśniejszy od światła. Gloria wskazująca drogę.

Skręca w prawo. Słabo oświetlone kontury statków rzucają poblask na rzędy pustych biur i magazynów. Poza tym nic więcej.

Zatrzymuje samochód na wolnym miejscu parkingowym i kieruje się w stronę wody, stawiając równe, pewne kroki. Deszcz chłószcze od lewej do prawej; nie dosięga go. To te drzwi, widzi już wyraźnie. To stamtąd dochodzi światło. Cisza. Zostało kilka kroków. Słyszy jakieś dzwonięcie. Klucz dzwoni cicho w zamku. Obraca go, pociąga za ciężkie drzwi, zamyka je za sobą i otwiera torbę. Wyjmuje ręcznik i kładzie go na ziemi obok drzwi. Stoi i ocieka z deszczu. Zmienia buty, chowa ręcznik i buty do torby, wyjmuje latarkę i sunie w dół po schodach jak koniuszek samotnego stożka światła. Zatrzymuje się przy drzwiach otoczonych blaskiem glorii. Stoi w miejscu. Nie może oddychać.

Błądzi latarką po ścianach piwnicy. Nic się nie zmieniło. Sterta rupieci w jednym kącie, stos starannie poskładanych kartonów w drugim, trochę dalej pusta przestrzeń, nigdy niedoczyszczona betonowa podłoga z odpływem i ciężkim żeliwnym krzesłem. Siada za kartonami, opierając się o zimną kamienną ścianę, włącza latarkę i czeka.

Stoi przed drzwiami. Za nimi buchają płomienie. Stoi. Czeka.

Traci poczucie czasu. Mijają minuty, a może sekundy albo godziny. Oczy przyzwyczajają się do ciemności. Wylania się z niej

wilgotna piwnica. Kilkanaście metrów dalej widzi drzwi, do których prowadzą schody. Nie spuszcza z nich wzroku.

Czas płynie. Cisza. Czekaj.

Klucz obraca się w zamku. Do środka wchodzi dwóch mężczyzn, jeden starszy, drugi młodszy. Nie potrafi rozróżnić ich rysów. Gdy schodzą po schodach, dyskutują o czymś ściszym głosem, w nieznanym mu języku.

Nagle coś się dzieje. Bardzo szybko. Starszy mężczyzna przyciska coś do gardła młodszego. Ten natychmiast drętwieje. Starszy wlecze go do ciężkiego żeliwnego krzesła, wyciąga kilka rzemieni z torby i przywiązuje go za nogi i ramiona. Potem znowu schyla się do torby.

Otwiera drzwi i nagle wszystko już rozumie. Światło wylewa się na zewnątrz. Wstępuje do tysiącletniego królestwa.

Starszy mężczyzna wyjmuję z torby końską strzykawkę i wbija ją wprawną ręką w szyję nieprzytomnej ofiary. Reguluje kilka małych pokręteł na obudowie mechanizmu.

Porusza się za kartonami, o mało co ich nie przewraca.

Starszy mężczyzna układa narzędzia chirurgiczne w równym rzędzie na podłodze. Najdalej na prawo leży jeszcze jeden przyrząd przypominający olbrzymią strzykawkę.

Poklepuje nieprzytomnego człowieka po policzkach, coraz mocniej, w końcu tamtemu wraca przytomność. Jego głowa nieruchomieje. W związanym ciele coś bulgocze jak szalone, ale krzesło stoi nieruchomo. Nie dochodzi go żaden dźwięk.

Starszy mężczyzna mówi kilka bezdźwięcznych słów i schyla się po drugą strzykawkę. Gdy pochyla się, żeby wbić ją w starannie wybrane miejsce, do środka wpada nagle słabe światło i oświetla mu twarz. Przez sekundę widzi ją bardzo wyraźnie.

Porusza się. Strąca jeden z kartonów.

Starszy mężczyzna nieruchomieje. Odkłada strzykawkę na podłogę i rusza w jego stronę. Jest coraz bliżej.

Już czas, myśli, i wychodzi z ukrycia.

MINIBUS naśladował zygzakowaty lot nietoperza przez deszczową noc. Widzenie skotopowe zostało włączone, orientacja w przestrzeni wyostrzona.

Ale czy nietoperze naprawdę latają zygzakami?

I czy w ich przypadku można było mówić o widzeniu nocnym?

Przeklinał ostatni kieliszek whisky.

- Gdzie my, kurwa, jesteśmy?
- Kurwa, Matte, gdzieś ty pojechał.
- Ty, a to z przodu to krzywa wieża? Zawiozłeś nas do Hiszpanii, ty popaprańcu?
- Do Włoch! Do Włoch! Italo, Italo, do ciebie mówić chcę...
- Stul pysk!
- To gazownia. Głowa ci się skrzywiła.
- Krzywa głowa w Skarpnack.
- Krzywy minibus we Frihamnen. Ale masz technikę skrętu!
- Gdzie ty, kurwa, jedziesz? Matte!

Obejrzał się za siebie.

Z tyłu panował straszny bałagan. Będzie po nich jutro sprzątał przez cały dzień. Butelki turlały się między kijami do hokeja, a zamglone postacie zwalone na sobie tworzyły niezbyt ciekawą homoerotyczną kompozycję.

- Gardet - odpowiedział. - Mieszkasz tam, Steffe. Jeśli jeszcze pamiętasz.

- Ej, ale ty objechałeś całe Gardet! Nie powinniśmy ci byli pozwolić siadać za kierownicą.

- Odezwał się ten, co oblał sześć razy jazdy próbne.

- Postaraj się zawieźć nas gdzie trzeba. Ja wiem, że jesteś z Nynashamn, ale byłeś chyba raz w życiu w Sztokholmie?

- Albo przynajmniej o nim słyszałeś.

- Mieszka tu król. Może coś ci się obilo o uszy.

- Serio? W zamku? Myślałem, że w Drottningholm? Kłopotliwa sprawa.

- A ty co, kurwa? Chcesz mu wysłać liścik?

- „Drogi królu, czy mógłbyś wysłać kosmyk włosów łonowych Victorii usychającemu z tęsknoty kawalerowi o robotniczych korzeniach z Saffle?”.

- Na prawo. Na prawo, pajacu!

- Dureń!

Zmęczył się i na złość skręcił w lewo. W minibusie rozległ się ogólny ryk.

- Pacan!

- Idiota!

- Debil!

Jechali wąską, nieoświetloną drogą, która rozchodziła się na cztery mniejsze, wybrał na chybił trafił jedną z nich. Miał wrażenie, że zaraz zobaczą szlaban i ponurego latynoskiego pogranicznika w typie macho, z cygarem w kąciku ust.

Tak się jednak nie stało. Zamiast tego w odległości pięćdziesięciu metrów dostrzegli ciemne volvo kombi. Z rury wydechowej wydobywał się dym. Samochód stał w poprzek drogi.

Wcisnął z całej siły hamulec. Z odległości trzydziestu metrów dostrzegli kręcącego się wokół samochodu mężczyznę. Spieszył się. Na głowie miał kominiarkę. Wrzucił coś do bagażnika, podbiegł do drzwi i odjechał z piskiem opon. Gdy opadł dym, zobaczyli, że na ziemi leży coś jeszcze. Duża paczka o niepokojących kształtach.

Trzech jako tako trzeźwych kumpli zajrzało mu przez ramię.

- Co to, kurwa, było?

- Włamanie?

- Kurwa, człowieku! W coś ty nas wpakował? Spadamy!

Podjechał kawałek do owiniętej w koc paczki. W świetle reflektorów deszcz jakby ożył. Chłostał koc.

Zatrzymał samochód i wyskoczył w deszcz. Poszli za nim. Schylił się i odwinął nieco koc.

Spojrzała na niego twarz. Kredowobiała, ze zdziwieniem rysującym się pod pękniętym spojrzeniem. Deszcz uderzał w gałki oczne. Powieki nie próbowały nawet stawiać oporu.

Odskoczyli i przyglądali się w ciszy białej twarzy, która wychyliła się z ociekającego wodą koca i rozświetliła czerń nocy.

- Kurwa mać - szepnął ktoś.

- Spadamy - szepnął ktoś inny.

- Przecież nie możemy go tu zostawić.

Ktoś złapał go za kurtkę i przyciągnął jego twarz do swojej.

- A i owszem. Słyszysz mnie, Matte? To nie nasza sprawa.

- Piłeś - powiedział ktoś trzeźwo. - Pomyśl o konsekwencjach.

Wrócili do samochodu. Atmosfera całkowicie się zmieniła.

Stał jeszcze przez chwilę, przyglądając się trupowi z mimo wolną fascynacją. Pierwszy raz widział nieżywego człowieka.

Usiadł za kierownicą. Samochód ociekał deszczem, który wżera się w ubrania i powoduje, że gniją. Ale nie o tym myślał, obracając kluczyk w stacyjce.



GUNNAR Nyberg mieszkał w trzypokojowym mieszkaniu w Naćka, zaledwie kilka przecznic od kościoła, w którym śpiewał i w którym znacznie bardziej wolał spędzać wolny czas. Gdy kilka dni temu w nocy zapadło się pod nim łóżko, potraktował to jako zły omen. Obudził się z dwoma mikroskopijnymi szczypcami wbitymi w gardło. Ścisnęły jego struny głosowe, już nigdy więcej nie miał zaśpiewać. Potrzebował sporo czasu, żeby się ich pozbyć. Nie z gardła, ale z głowy. Leżał na połamanym łóżku, czekając, aż rozpląną się w powietrzu. Patrzył na połamane deski. Powoli dochodziło do niego, jakie miał szczęście. Wybuchnął śmiechem. Minęło kilka minut, zanim doszedł do siebie.

To zdarzenie zaowocowało dwiema konkretnymi decyzjami. Po pierwsze, zaczął się odchudzać; co prawda zdawał sobie sprawę, że to nie najlepszy moment, skoro morderca z Kentucky czyhał tuż za rogiem, ale nie było na co czekać, a zawalenie się łóżka stanowiło ostatnią kroplę. Po drugie, kupił nowe łóżko, wersję dla otyłych. Czas już spojrzeć prawdzie w oczy, stwierdził, i wziąć się w garść.

Leżąc w łóżku dla otyłych, śnił właśnie klasyczny kawalerski sen o rozpalonych ciałach młodych kobiet, gdy przerwał mu telefon. Od dawna już nie dzwonił w nocy. Gunnar potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co się dzieje. Pierwsze, co przyszło mu na myśl, gdy już zrozumiał, że obudził go telefon, to że coś stało się jego żonie Gunilli. Gdy w słuchawce usłyszał typowy policyjny głos, dotarło do niego, że byłby ostatnim, którego miano by poinformować.

- Halo, jest tam kto? - powtórzył policyjny głos. Nyberg odzyskał mowę. Miał wrażenie, że stęka jak młockarnia.
- Nyberg, słucham.
- Policja - powiedział głos. - Dostaliśmy polecenie, żeby zgłaszać ci wszystkie „podejrzane zgony”. Zgadza się?
- Nie wiem do końca, co to znaczy, ale tak, zgadza się.
- Mamy jeden we Frihamnen, który z pewnością można do takich zaliczyć.

Reakcja Nyberga była natychmiastowa.

- Czy ofiara ma dwa otwory w szyi?
- Obudziłeś się? Wampiry to nie w tej bajce.
- Odpowiedz na pytanie.
- Nic o tym nie wiem - odparł szorstko policjant.

Nyberg wydobył szczegółowy opis drogi, odłożył słuchawkę, otrząsnął się, wskoczył w swoje rozciągnięte ciuchy, wziął klucz do mieszkania i kluczyki do samochodu, zbiegł - tak mu się przynajmniej zdawało - po schodach i wsiadł do starego renault.

Na zalanych deszczem ulicach nie było żywej duszy. Próbował skupić się na mordercy z Kentucky, na jego małych szczypcach, które jednym ruchem odbierają człowiekowi to, co wyróżnia go spośród innych, jego głos, i o pozostałych podobnych amerykańskich wynalazkach, ale nie szło mu najlepiej. Rzeczywistość napierała na niego tym, o czym za wszelką cenę chciał zapomnieć.

Na początku lat siedemdziesiątych Gunnar Nyberg był Misterem Szwecji, kulturystą na światowym poziomie, zatrudnionym w policji w Norrmalm, z kontaktami ze słynną Ligą Baseballową, najokrutniejszymi glinami w historii szwedzkiej policji. Ale wówczas zdążył już przeprowadzić się do Načka i odłożyć sterydy na półkę. I stracić rodzinę.

Był wyjątkowym skurwysynem. Zawsze, gdy o tym myślał, musiał zamknąć oczy. Pusta droga Varmdóleden nadawała się do tego znakomicie.

Ledwo zamknął oczy, to coś wracało, kołatało się w jego wnętrzu. Wszystkie pobicia, zniecierpliwienie, wybuchy wściekłości powodowane sterydami.

Od roku wygłaszał w różnych szkołach pogadanki. Poznał na sobie skutki uboczne anabolików, efekty ich działania obserwował też codziennie w pracy, amatora sterydów potrafił wyczuć na kilometr. Z propozycją wystąpił proboszcz, do pierwszego gimnazjum szedł z wielkimi oporami. Ale słuchali go. I chociaż większość dawnej masy mięśniowej zamieniła się w tłuszcz, przez który zaważyło się łóżko, wciąż był imponującej postury. Nie stroszył piórek, pokazywał przerażające zdjęcia, które komentował niemal ironicznie rzeczowym głosem, i kto wie, może udało mu się uchronić jednego czy drugiego od nieszczęścia.

Zasłona pokutna była wciąż jednak dosyć cienka i znów się rozchyliła. Pod powiekami zobaczył coś, co musiało przyjść - zawsze przychodziło. Obraz pobitej - ostatni raz - żony, jej zmasakrowanych brwi, strachu w oczach Tommy'ego i Tanji. Przechowywał go w pamięci. Nie tylko on. Wiedział, że wspomnienia powędrowały do Uddevalli, dokąd jego rodzina przeprowadziła się, żeby uciec możliwie jak najdalej od niego. Nie widział ich od ponad piętnastu lat. Gdyby wpadł na swoje dzieci na ulicy, nie poznałby ich. Jego życie toczyło się w straszliwej pustce.

Musiał zatrzymać samochód.

- To dla was śpiewam! - krzyknął zupełnie cicho, jakby szczypce chwyciły go za struny głosowe. - Nie rozumiecie, że to dla was śpiewam? - Ale nikt go nie słyszał. Nikt na całym świecie go nie słyszał.

Ruszył powoli Varmdöleden, zatoczył długi łuk przy Danviksklippan i przejechał most Danvikstull pośród zacinającego, walącego, dudniącego deszczu.

Był na miejscu. Nie wiedział, jak to się stało; jakby ostatnie kilometry rozwiął wiatr, jakby wessała je próżnia.

Już w porcie zobaczył dobrze znane niebieskie światło, wynurzające się ze strug deszczu. Podążając za tym kierunkowskazem,

wjechał w boczną dróżkę i zatrzymał samochód przed biało--niebieską taśmą policyjną. Niebieskie światło zawodziło bezustannie w powietrzu.

Na miejscu były trzy samochody policyjne i karetka. I Jan--01ov Hultin.

Stał pod parasolem wśród przemoczonych do suchej nitki asystentów policyjnych i nawet w tych okolicznościach przeglądał jakieś papiery. Nyberg wsunął się pod parasol Hultina; trzy czwarte jego ciała zostało na zewnątrz.

- Co mamy? - zapytał.

Hultin spojrział na niego ze spokojem znad okularów.

- Sam zobacz.

- Dziury w szyi?

Hultin milczał. Pokręcił głową. Nyberg westchnął ciężko.

Podszedł do leżących pośrodku wąskiej drogi zwłok owiniętych w koc. Biała twarz i nieruchome oczy, wpatrujące się w ciemność nocy. Deszcz uderzał bez przerwy o tęczówki.

Nyberg pochylał się i zlitował nad oczami mężczyzny. Pozwolił sobie je przymknąć. Klęknął obok, żeby przyjrzeć się ciału.

Młody chłopak. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat.

To mógł być Tommy, pomyślał.

Nagle coś w nim drgnęło. A może to naprawdę był jego syn. Nie miałby szans, żeby go rozpoznać.

Nyberg strzepnął z siebie to niemiłe uczucie; olbrzymi buldog w strugach deszczu.

Patrzył na odsłonięte gardło. Żadnych śladów. Ale w okolicach serca, precyzyjnie umieszczone w celu, cztery kule. Niewiele krwi zdążyło wypłynąć. Śmierć musiała przyjść natychmiast.

Podniósł z jękiem swoje ciężkie ciało i wrócił do Hultina, który zajęty był przeglądaniem jeszcze suchych papierów pod parasolem.

- Czy to naprawdę ma coś wspólnego z nami? - zapytał Nyberg.

Hultin wzruszył ramionami.

- Wygląda obiecująco. Są pewne szczegóły.

Nyberg czekał cierpliwie na ciąg dalszy. Nie próbował nawet chować się pod parasol Hultina; na jego ciele zniknęła ostatnia sucha plamka.

- O godzinie 3.12 zadzwonił ochroniarz z LinkCoop, żeby zgłosić włamanie do jednego z magazynów. Policja była już w drodze. Kilka minut wcześniej, o 3.07, do centrum alarmowego zatelefonował anonimowy mężczyzna z budki na Stureplan. Chcesz posłuchać?

Nyberg skinął głową. Hultin wsunął się do jednego ze stojących samochodów policyjnych i włożył kasetę do odtwarzacza.

Usłyszeli szum. Potem rozgorączkowany głos mężczyzny:

- Z policją proszę.

Potem cisza i znów szum, a potem kobiecy głos:

- Policja.

- We Frihamnen leży trup - syknął mężczyzna.

- Gdzie dokładnie?

- Nie wiem, jak się nazywa ulica. Wąska droga, kawałek dalej, blisko wody. Leży pośrodku drogi. Nie da się go nie zauważyć.

- Jak się pan nazywa i skąd pan dzwoni?

- Mniejsza z tym. Jakiś koleś w kominiarce ładował podobny tłumok do samochodu. Przeszkodził mi. Odjechał z piskiem opon.

- Marka samochodu, numer rejestracji?

Tylko trzaski i cisza. Hultin wyjął kasetę i schował ją z powrotem do kieszeni.

- To wszystko? - zdziwił się Nyberg.

Hultin kiwnął głową.

- Może chodzi tu o podwójne morderstwo. Kominiarka sugerowałaby profesjonalistę.

- Daleko mu do naszego człowieka - powiedział Nyberg i zmienił temat: - Jest tu ochroniarz?

Hultin kiwnął głową i zrobił gest ręką. Przecisnęli się przez rój policjantów. Personel karetki układał trupa na noszach; kątem oka Nyberg zobaczył, że był sztywny jak kij.

Minęli kilka rzędów hal i doszli do stróżówki przy wjeździe do magazynów LinkCoop; nad wejściem czterema kolorami migotało zawadiacko logo firmy, kontrastując ze słabym światłem wylewającym się ze stróżówki w deszcz.

Weszli do środka. Umundurowany ochroniarz pił kawę w towarzystwie trzech również umundurowanych asystentów policyjnych.

- Wyjątkowo dobrze strzeżony ochroniarz - skwitował Nyberg.

- Na deszcz - powiedział ze spokojem Hultin.

Trzech policjantów wyszło ze stróżówki z podkulonymi ogonami. Ochroniarz wstał szybko z miejsca i wyprostował się. Był to młody mężczyzna, na oko dwudziestoletni, z niemal całkowicie ogoloną głową i napompowaną do granic możliwości masą mięśniową. Zapach sterydów uderzył z całą mocą w wyczulony organ węchu Nyberga. Przyglądał się wyprostowanemu jak struna ochroniarzowi, znał ten typ: komandos morski lub górski, gruntownie przeszkolony z zasad hierarchii, pokaźne dawki środków dopingujących, prawdopodobnie kilka odrzuconych podań do szkoły oficerskiej i policyjnej, nie do końca tolerancyjny stosunek do imigrantów, homoseksualistów, żyjących z zasiłków, palaczy, cywilów, kobiet, dzieci, ludzi...

Gunnar Nyberg starał się za wszelką cenę nie ulec stereotypom, od których prawdopodobnie nie stronił stojący przed nim mężczyzna.

Weszli i zachlapali wodą podłogę mikroskopijnej stróżówki. To tutaj spędzał noce ochroniarz, wyposażony w arsenał magazynów erotycznych, pomyślał Nyberg i zanurkował w bagnie stereotypów. Bardzo chciał zobaczyć CD z *Requiem* Schnittkego i magazyn „Modern Art Forum” w pośpiesznie zamykanej szufladzie biurka; niestety, spod wykonujących rutynowe ruchy rąk ochroniarza wyjrzało logo magazynu porno „Aktuell Rapport”.

Hjelm przejrzał swoje suchutkie papiery i znalazł to, czego szukał.

- Benny Lundberg?
- Obecny - zasalutował Benny Lundberg.
- Siadaj.

Ochroniarz posłuchał rozkazu i zajął miejsce za wysłużonym biurkiem z twarzą zwróconą w stronę ośmiu ekranów, pokazujących czarne jak noc wnętrza magazynów. Hjelm i Nyberg przyciągnęli do siebie dwa taborety, dobrze wygrzane przez policyjne tyłki, i usiedli. Deszcz uderzał z całej siły w ściany budki.

- Co się stało? - zapytał krótko Hultin.
- Jak zwykle o trzeciej poszedłem na obchód. W jednym z magazynów zauważyłem wyłamane drzwi. W środku panował bałagan, więc zadzwoniłem po policję.
- *End of story* - powiedział Nyberg.
- Yes - odparł z powagą Benny Lundberg.
- Coś zniknęło? - zapytał Hultin.
- Tego nie wiem. Ale wokół były powywracane kartony.
- Co za kartony? - zapytał Nyberg bez większego zainteresowania.
- Wyposażenie komputerowe. LinkCoop to firma eksporto-wo-importowa w branży komputerowej - wyrecytował Benny Lundberg.

- Możemy obejrzeć lokal? - zapytał Hultin z mniej więcej takim samym zainteresowaniem jak Nyberg.

Stróż poprowadził ich przez deszcz do budynków LinkCoop. Skręcili w lewo przy wejściu z absurdalnym migającym logo i doszli do jednych z wielu identycznych drzwi przy biegnącej wzdłuż budynku rampie załadowniczej. Na górze była już biało--niebieska taśma policyjna.

Rozejrzeli się za drabiną. Ponieważ takowej nie znaleźli, musieli się podciągnąć; nie byli w tym najlepsi. Za wyłamanymi drzwiami stało trzech asystentów policyjnych, którzy jeszcze przed

chwilą pili kawę z ochroniarzem. Być może powinni się domyślić, że ich zwierzchnicy wybiorą się tutaj.

- Chyba nie lubicie deszczu, chłopcy - skwitował Nyberg i rozejrzał się po lokalu. Był to klasyczny magazyn, z kartonami poukładanymi na oznakowanych półkach. Z niektórych z nich wystawały odrobinę niechlujnie akcesoria komputerowe. Wyglądało na to, że skradziono bardzo niewiele.

- Może nie o to im chodziło - skomentował głośno Nyberg.

Hultin rzucił mu szybkie, ale pozbawione wyrazu spojrzenie i odwrócił się do Lundberga.

- Czy tak to wyglądało, jak tu wszedłeś?

Lundberg kiwnął głową i spojrzał spod nieistniejącej grzywki w stronę trzech braci w nieszczęściu, którzy stali przy drzwiach, nie wiedząc, co ze sobą począć, ponieważ nie dostali rozkazu.

Rozejrzeli się z obowiązku po magazynie. Podziękowali Benny'emu Lundbergowi i wyszli w nocny jesienny deszcz.

- Dwa niezwiązane ze sobą wydarzenia? - zapytał Nyberg.

- Wątpię. - powiedział Hultin.

- Sprzeczka o podział łupu między włamywaczami?

- Wątpię. - Hultin nie silił się na oryginalność.

- Siedem po trzeciej dostajemy anonimowy telefon z informacją o trupie, pięć minut później dzwoni ten sterydowiec Ben-ny z informacją o włamaniu, a teraz jest dokładnie godzina czwarta zero sześć i dziesięć piknięć. Gdzie jest związek?

- Porozmawiaj jutro z ludźmi z LinkCoop.

- Dzisiaj - poprawił go Nyberg i przez chwilę zastanawiał się, czy jest sens wracać do domu na dwie godziny.

- Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował - powiedział Hultin, jakby czytał w jego myślach.

On sam wydawał się niczego nie potrzebować. Suchą stopą przeszedł do swojego volvo turbo.



POWIEDZIEĆ, że zrobili jakiś postęp, byłoby przesadą, a jednak tej nocy coś się zmieniło. Nawet jeśli atmosfera w „centrum dowodzenia” nie poprawiła się, to przynajmniej ewoluowała.

Arto Söderstedt pozwolił sobie na odwiezienie swojej piątki do szkół i przedszkoli; nie zamierzał rozliczać się z tych kilku dodatkowych kilometrów. Paul Hjelm nie odebrał jeszcze służbowego samochodu, chciał jak najdłużej móc siedzieć w spokoju w metrze, z dala od ulicznego ruchu, słuchając muzyki w drodze z Norsborgu. Jorge Chavez utknął natomiast w korkach w drodze z kawalerki w Ragsved, dokąd wrócił po okresie wynajmowania pokoju w centrum miasta. Każdego ranka dziwił się jak dziecko długością korków; zupełnie jakby samochód zajmował coraz bardziej centralne miejsce w życiu ludzi i jakby granice wyznaczone przez karoserię zastąpiły coraz bardziej rozmyte granice jednostki. Każdego ranka obiecywał też sobie, że następnego dnia zostawi w domu stare bmw; nigdy jednak nie spełnił obietnicy i historia powtarzała się od początku. Zrobiło się już z tego całkiem nieskuteczne zaklęcie. Gunnar Nyberg wrócił do domu, rzucił się w ubraniu na łóżko dla otyłych i zasnął jak powalona maczugą foka, by dwie godziny później obudzić się jak zmielona na miazgę foka. Jakby jakiemuś agresywnemu Norwegowi skończyła się koncepcja przy ubijaniu fok i walił w nią bez opamiętania, aż został z niej tylko wielki na trzy metry kwadratowe rostbef. W końcu Nyberg zmęczył się fantazjowaniem na temat łączącego go ewentualnego podobieństwa ze słodkimi białymi foczkami, włączył się w zrzędzący korek uliczny na

Varmdoleden, przyznając sobie większe od innych prawo do zrzędzenia. Viggo Norlander na przekór długim godzinom pracy ruszył o trzeciej nad ranem do klubu King Creole na podryw ostatniej szansy. I chociaż również tym razem odniósł sukces, w jego głowie powoli dojrzewała myśl, że warto czasem lepiej poznać wybrankę, zanim dojdzie do konsumpcji. Poznana tej nocy dama miała najwyraźniej tylko jeden cel: zaciążyć. Zaraz po spełnionym akcie wskoczyła w ubranie, wybiegła szczęśliwa przez drzwi, splunęła klimakterium w twarz i zostawiła komisarza kryminalnego z opadłą szczęką w łóżku. Odnalezienie szczęki zajęło mu przynajmniej pół godziny. W porannym autobusie z Óstermalm wyobrażał sobie syna, człowieka sukcesu, który pewnego pięknego dnia odnajdzie starego ojca gliniarza na oddziale opieki paliatywnej. Kerstin Holm chodziła sobie tylko znanymi ścieżkami, wyruszając ze swojego nowego dwupokojowego mieszkania gdzieś na Vasastan; po kilku nieudanych związkach z kolegami z pracy wołała oddzielać życie zawodowe od prywatnego. W tej kwestii Jan-Olov Hultin nie miał sobie równych, był człowiekiem bez życia prywatnego. Podobno mieszkał z żoną w domu, z którego dzieci wyfrunęły gdzieś na północ od miasta, i był wyjątkowo brutalnym, specjalizującym się w główkach graczem drużyny weteranów sztokholmskiej policji. Nic więcej nie wiedzieli. On naprawdę sprawował swój urząd. Był jak bóg - czysta obecność, czyste działanie. Jak figura ojca, widziana wybiórczym wzrokiem pięciolatka.

Jak zwykle już czekał, gdy przybyli ze wszystkich stron z bagażem swoich doświadczeń do „centrum dowodzenia”. Instynktownie wyczuwali, że atmosfera zrobiła się napięta.

Na zewnątrz deszcz dalej siał spustoszenie. Ponieważ zwykle działał chłodząco na przestępczość, zmniejszyć miała się również liczba fałszywych tropów.

Najpierw zajęli się fałszywym tropem Labana Hassela. W podsumowaniu Chaveza i Hjelma zabrakło miejsca dla tragicznej głębi: zafiksowany na punkcie ojca syn grozi ojcu, chcąc zwrócić

na siebie jego uwagę, a potem zbliża się do matki swojego przyrodniego brata, tworząc na pół kazirodczy związek i decydując się wspólnie na pozbawienie się zdolności rozrodczych z powodu ojca i byłego męża, który zostaje zamordowany niemal w ten sam sposób jak opisany w groźbach.

Mieli poczucie, jakby prezentowali scenariusz opery mydlanej dyrektorowi programowemu komercyjnej stacji. Dyrektor programowy odpowiedział tonem, w którym wyczuwało się odmowę:

- A więc on tego nie zrobił?

- Nie - odrzekli chórem. Hjelm dodał: - Ale zostawmy uchylone drzwi.

- Okej. Gunnar?

Nyberg zrelacjonował lakonicznie nocne wydarzenia we Frihamnen. Gdy skończył, Söderstedt skwitował tylko:

- Brzmi równie obiecująco jak sprawa tego ekshibicjonisty w Tantolunden.

Spojrzeli na niego zdziwieni, więc wyjaśnił:

- Zboczeńca, którego sprawy dziewczyny z drużyny piłkarskiej.

- Te drzwi również zostawiamy uchylone - odparł Hultin, stawiając tym samym kropkę.

Pomimo bylejakości raportów i znikomej na nie reakcji atmosfera była nadal napięta. Gdzieś w tym, co zostało wypowiedziane, istniał potencjał dalszego ciągu.

- Kto to był? - zapytał Chavez. - Ten trup we Frihamnen?

- Niezidentyfikowany - odparł Hultin. - Odciski palców niczego nie przyniosły. Klasyczny John Doe, jak Amerykanie nazywają niezidentyfikowane zwłoki. Około dwudziestu pięciu lat, średni blond, nic więcej. Obdukcja też niczego nie wykazała. Cztery strzały w serce, niestawiennictwo usprawiedliwione. Poza tym był zdrowy i krzepki.

- Zdrowy i krzepki, w sam raz na stół obdukcyjny - odezwał się Söderstedt, licząc się z tym, że go zignorują. Tak też się stało.

- Przetrząśniemy Frihamnen w poszukiwaniu samochodu, który mógł gdzieś w okolicy zostawić - ciągnął Hultin. - Gunnar

uda się do LinkCoop, żeby pogadać o włamaniu. Wyślemy odciski palców do Interpolu, zaprosimy krewnych osób zaginionych. Viggo odbierze zeznanie od patologa. Poza tym pracujemy jak do tej pory.

W praktyce oznaczało to dalsze oczekiwanie. Mimo to ze spotkania wyszli z nową nadzieją. Nie potrafili tego wytłumaczyć inaczej jak tylko tym, że coś z weszli, a dobry węch, cecha, dzięki której swego czasu trafili do zespołu Hultina, to było w zasadzie jedyne, co ich łączyło.

Nawet Viggo Norlander, któremu znowu trafiła się robota głupiego, czuł się podniesiony na duchu - i nie było to spowodowane tylko rosnącym w nim przekonaniem, że jego geny zostały przekazane dalej. Chociaż miał spędzić resztę dnia w towarzystwie mniej lub bardziej zdesperowanych krewnych osób zaginionych, którzy prawdopodobnie nigdy nie odnajdą swoich bliskich, również i jego wessała ta lekko nieokreślona aureola nadziei.

Wrócił się po swoją modną, choć wybieraną zwykle przez lubieżnych starców, skórzaną kurtkę. Zanim został przybity do podłogi przez rosyjską mafię w Tallinie, ubierał się zawsze przyzwoicie w garnitur i w ogóle był raczej przyzwoitym pracownikiem policji, wierzącym w system i ład społeczny. Wychował się w całkiem innym świecie niż ten, w którym przyszło mu żyć, uświadomił to sobie w czasie dochodzenia w sprawie Łowcy Rekinów, i właśnie to popchnęło go do zrobienia desperackiego kroku. Porzucił porządek, w który tak wierzył, i udał się do Estonii, by na własną rękę zakończyć śledztwo. Stygmatyzacja, jakiej tam doświadczył, zostawiła na zawsze ślad na jego kończynach. Mocne uderzenia młotkiem oddzieliły grubą kreską czasy wiary w system. Postanowił, że już nigdy nie zaufa nikomu poza samym sobą. Sobie zresztą też nie zaufa. Zapragnął znaleźć schronienie u przedstawicielki płci, która nigdy wcześniej tak naprawdę go nie interesowała; zniknęły łysina i garnitur urzędnika. Zamiast tego pojawiły się koszulki polo i skórzana kurtka, po którą właśnie wrócił do pokoju.

Jego kolega z pokoju, były antagonistą Arto Söderstedt, zdążył już usiąść przy komputerze, ale jego spojrzenie zawisło gdzieś w oddali, w jesiennej zawiei. Dziś byli dobrymi przyjaciółmi, również dlatego, że nic ich nie łączyło. Uważali, że to doskonały punkt wyjścia do nawiązania przyjaźni. Zadowolili się nieznacznym skinięciem głową, gdy Norlander wrócił po skórzaną kurtkę do pokoju, by zaraz pójść przez korytarze do garażu pod komendą, gdzie stało zaparkowane jego służbowe volvo. Usiadł za kierownicą i wyjechał na Bergsgatan, która przypominała rzekę Torne po ruszeniu lodów. Jesienna rzeka płynęła w dół do Scheelegatan; Viggo Norlander walczył z jej naporem, jadąc w stronę Fridhemsplan, a potem do szpitala Karolińska. Wkrótce miał skończyć pięćdziesiątkę. Blisko trzydzieści lat temu był żonaty przez kilka wyjątkowo nędznych lat; od tego czasu jego pożycie leżało odłogiem, by nagle zakwitnąć w czasie kryzysu około pięćdziesiątki całkowicie bezkrytycznymi *one night stands*. Aż do poprzedniej nocy sądził, że była to wypierana przez lata namiętność, teraz zdał sobie sprawę, że chodziło raczej o tykający zegar biologiczny. Nieskończenie długi łańcuch praojców prowadził od niego do samego Adama; stojący w nim mężczyźni pukali w ramię następcy, aż w końcu pukanie przeobraziło się w niedające o sobie zapomnieć biologiczne tik-tak-tik-tak, a stojący w łańcuchu zawołali tubalnie: „Nie pozwól, by na tym się skończyło. Nie zrywaj łańcucha. Nie bądź ostatni”. I jeśli dotąd nawet przez chwilę nie myślał o tym, żeby zostać ojcem, teraz ta sprawa nie dawała mu spokoju: będzie ojcem, chce być ojcem, musi być ojcem. A wszystko z powodu tej niewiele od niego młodszej kobiety, która wpadła jak podmuch wiosny do jego samotni na Banergatan, dała się zapłodnić i po kwadransie zniknęła w jesiennej zawiei. Teraz nosiła jego życie, o czym był święcie przekonany. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był pewien, już wtedy to po niej widział.

Co więcej, wszystko zostało doskonale urządzone. Przekazał swoje geny dalej, dzwonienie łańcucha ojców miało wkrótce

ucichnąć - a to wszystko bez potrzeby zbytniego angażowania się w bycie ojcem. Wyobrażał sobie, jak któregoś dnia na oddziale opieki paliatywnej odwiedzi go nagrodzony Noblem syn, który właśnie zdał sobie sprawę, komu zawdzięcza ów niesłychany talent, i spożytkował całą swoją inteligencję i sporą część olbrzymiego majątku na to, by odszukać ojca jeszcze przed jego śmiercią, paść na kolana i podziękować mu za wszystko.

Trąbienie tira rzuciło go z powrotem w sam środek rzeczywistości, a tak naprawdę na właściwy pas jezdni i na dodatek w ostatnim momencie, żeby skrócić do patologa, gdzie niezidentyfikowany trup czekał na jego chwalebne przybycie.

Viggo Norlander szedł korytarzami, które nie różniły się zasadniczo od korytarzy w komendzie. Zszedł po schodach do słynnej piwnicy, został przywitany przez antypatyczną pielęgniarkę, zesłaną tu najwyraźniej za karę, i stanął przed Sigyardem Qvarfordtem, legendarnym lekarzem medycyny sądowej, lekko licząc siedemdziesięciopięcioletnim - nieskończenie dystyngowanym i nieskończenie niechlujnym w sposób, na który mogą sobie pozwolić tylko naukowcy, a w gronie lekarzy - obducenci; ryzyko, że pacjenci zechcą się poskarżyć, było bliskie zeru. Nazywany przez wszystkich Kvar Fort, szybko zapuścił korzenie, a jego znakiem firmowym stały się oklepane dowcipy o trupach.

- Czy mnie wzrok nie myli, Norlander? Wróciłeś?

- Wiesz dobrze, dlaczego tu jestem - nastroszył się Norlander.

Kvar Fort potrząsnął czymś, co miał w plastikowej torebce.

- Mienie po zmarłym - skomentował, podając ją Norlanderowi. - Tak zwany bagaż podręczny. Poza tym nic nowego. Zdrowy i krzepki młody człowiek, którego ostatnim posiłkiem w życiu był, jak wszystko na to wskazuje, hamburger, taki bardziej tłusty. Co ciekawe - z miodem. Śmierć nastąpiła między dwunastą a trzecią w nocy, bliżej nie potrafię określić. Cztery strzały prosto w serce. Trup na miejscu. Jego zegarek niestety wciąż chodzi - dodał, wskazując palcem na torebkę.

Norlanderowi wskazano miejsce na ławce przy wejściu do chłodni; wyposażony w kopie protokołów z obdukcji czekał na wizyty zapisanych na listę potencjalnych krewnych zabitego mężczyzny.

Zdażył spotkać się z sześciorciem z nich. Jako pierwsi przyszli małżonkowie Johnsson, których zięć zginął kilka tygodni temu. Ponieważ z papierów, jakimi dysponował Norlander, wynikało, że zięć zniknął prawdopodobnie z majątkiem córki w Bahrajnie, gdzie założył harem, najwyraźniej drogi w utrzymaniu, obejrzenie zwłok było czystą formalnością.

Na widok zmarłego na pełnych nadziei twarzach państwa Johnsson pojawiła się rozpacz. Pokiwali tylko głowami. Zdaje się, że nic nie ucieszyłoby ich bardziej, niż ponownie ujrzeć zięcia w tych okolicznościach.

Norlander dopiero teraz zobaczył tego trupa. Leżał pośrodku pustej sali z ustawionymi wzdłuż ścian chłodniami; w surowym świetle jarzeniówek zdawał się świecić na białło. Uderzyła go zwyczajność młodego mężczyzny. Niczym się nie wyróżniał. Gdyby trzeba było stworzyć model człowieka i wysłać go Voyagerem w kosmos jako przykład *Homo sapiens* rodzaju męskiego, nadawałby się do tego idealnie, pomyślał zaskoczony.

Potem przyszli stali bywalcy, których synowie zginęli w latach siedemdziesiątych, ludzie, którzy nigdy nie tracą nadziei i którzy nie dopuszczają do siebie myśli, co tak naprawdę się stało. Norlander płakał razem z nimi; ciągnąca się przez całe życie świadomość bezsilności i przekładana wciąż na później żałoba głęboko go poruszyły.

Po nich nastąpiła dłuższa przerwa. Norlander przejrzał niezrozumiały protokół z obdukcji i opróżnił torebkę z mieniem po zmarłym. Były w niej trzy rzeczy: kopia rolexa, która rzeczywiście nadal mierzyła czas, długa rolka dziesięciokoronówek i gładki klucz, który wydawał się zupełnie nowy. Nic więcej. Nic mu to nie mówiło. I właśnie dlatego tak dobrze pasowało do trupa.

Potem przyszły kolejno dwie kobiety, których syn i odpowiednio mąż zniknął poprzedniej nocy. Było to zupełnie inne doświadczenie. Straszliwe sekundy, w czasie których trup był wyciągany z chłodni, odbiły się echem w niezglębionym mroku w oczach tych kobiet. Najpierw pani Emma Nilsson, której syn miał wrócić do domu po odtruciu ponarkotykowym, ale nigdy się nie pokazał. Norlander wiedział, że to nie może być on, mimo to poprowadził panią w średnim wieku, której nadmierne troski wygięły przedwcześnie plecy, do ciała mężczyzny. Gdy pokręciła głową, była w tym ulga granicząca ze szczęściem; wciąż jeszcze istniała nadzieja.

Z Justine Lindberger wyglądało to zupełnie inaczej. Była to młoda piękność z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, której również młody mąż, a zarazem kolega z pracy, Erie, nie wrócił do domu poprzedniego wieczoru. Stała nieruchomo w oczekiwaniu, aż otworzy się lodówka. Z kobiety biła nieskończona rozpacz, całkowite przekonanie, że za chwilę zobaczy swojego zamordowanego męża - a gdy okazało się inaczej, całkowicie się posypała. Próby pocieszenia w wykonaniu Norlandera były więcej niż nieporadne; musiał zawołać personel oddziału psychiatrycznego, który dał Justine Lindberger zastrzyk uspokajający, jeden z silniejszych. Gdy Norlander wrócił na ławkę, drżał na całym ciełe.

Jako ostatni zjawił się Egil Hógberg, stary flisak z Dalsland, któremu amputowano obie nogi. Przywiozła go młoda pielęgniarka z oddziału opieki paliatywnej.

- Mój syn - powiedział drżącym głosem. - To z pewnością mój syn.

Norlander starał się nie zwracać uwagi na straszliwy oddech wydobywający się z bezzębnych ust Hógberga; odwrócił się w stronę żującej gumę dziewczyny. Wywróciła tylko ze zniecierpliwieniem oczami. Wpuścił tę dziwną parę *do* środka i otworzył lodówkę.

- To on - stwierdził Hógberg ze spokojem i położył swoją powykręcaną przez reumatyzm dłoń na lodowato zimnym policzku zmarłego. - Mój jedyny syn.



Dziewczyna stuknęła Norlandera lekko w ramię. Wyszli z pokoju, zostawiając Hogberga samego ze zmarłym. Zamknęli za sobą drzwi.

- On nie ma syna - powiedziała obojętnym głosem.

Norlander spojrział na nią zdumiony. Potem popatrzył przez okno na staruszka, który przyłożył swój policzek do policzka zmarłego.

- Robi się nie do wytrzymania, gdy nie może obejrzeć nowych trupów. Nie wiemy dlaczego. Ale lepiej już mu na to pozwolić.

Norlander nie mógł oderwać od niego oczu.

- Albo przygotowuje się na śmierć...

- Albo? - dociekał Norlander.

- .. albo też jest starym nekrofilem - powiedziała dziewczyna i zrobiła wielki różowy balon.

Przez chwilę panowała cisza. Potem usłyszał:

- Albo brakuje mu syna.

Po chwili dotarło do Norlandera, że to były jego własne słowa.

Otworzył drzwi. Egil Hógberg posłał mu szklane, błękitne spojrzenie znad ciała mężczyzny.

- Linia rodu została przerwana - powiedział.

Viggo Norlander stał jeszcze długo, zaciskając z całej siły oczy.

\*

PIERWSZE, CO zaskoczyło Gunnara Nyberga, to kontrast między centralą LinkCoop w Taby a magazynami we Frihamnen. Łączyło je tylko prymitywne logo, które migąło wszystkimi kolorami tęczy, jakby to był najdroższy burdel w mieście.

Zaprojektowany w latach osiemdziesiątych dwupiętrowy budynek po wnikliwszej analizie okazał się doskonale zamulowanym wysokościowcem, który najwyraźniej przewidział koniec dekady i bez zbędnych ceregieli zawalił się. Panująca w środku atmosfera luksusu miała więcej wspólnego z klubem golfowym niż budynkiem fabrycznym. LinkCoop niczego nie produkował, firma pośredniczyła w wywozie zaawansowanego sprzętu komputerowego ze Wschodu na Zachód i na odwrót. Nyberg nie potrafił zrozumieć, jakim sposobem ta działalność mogła być aż tak dochodowa, jak można było sądzić po siedzibie firmy. Z drugiej strony finanse nigdy nie były jego mocną stroną. Przeżywał katusze na myśl o terminologii, która za chwilę miała go zalać.

Po minięciu stróżówki, która robiła za szlaban, Nyberg zaparkował w poprzek dwóch miejsc dla niepełnosprawnych. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, że LinkCoop zatrudnia inwalidów; były to zresztą jedyne wolne miejsca na parkingu i aż biło od nich polityczną poprawnością. Poza tym w strugach nadgorliwego deszczu nie zauważył ani jednego samochodu poniżej granicy dwustu tysięcy koron. Albo recepcjonistki i stróże jeździli komunikacją miejską, albo też był tu gdzieś ukryty parking dla klasy niższej w stylu wejścia od kuchni do domu jaśniepaństwa.

Gunnar Nyberg był innymi słowy porządnie skonsternowany, gdy jego rozkołysane ciało z jesiennego deszczu trafiło do głównego wejścia do LinkCoop. W drzwiach automatycznych otrząsnął się jak mors na amfie. Stojące w recepcji bliźniacze piękności zostały już najwyraźniej uprzedzone, bo jedyną reakcją tych antycznych figur był podwójny uśmiech, który niósł ulgę nawet najbardziej skolataną duszy.

- Pan Nilsson oczekuje pana, panie Nyberg - odezwały się chórem.

Pan Nyberg patrzył na nie z niedowierzaniem. Czy to możliwe, że znalazł się w Willi Smiesznotce? Czy gdzieś za kulisami czai się jeszcze koń Alfonso?

Pozbierał się i uśmiechnął. Wiedział już, o czym będzie dziś śnić. Najwyraźniej na tym polegało zadanie tego zachwycającego duetu: zadbać, by pozytywny wizerunek firmy przeniknął do podświadomości klienta. LinkCoop miał mu towarzyszyć nawet w najbardziej intymnych chwilach.

Zachwycający duet rozdzielił się jednak; jedna z recepcjonistek poprowadziła go przez eleganckie pomieszczenia, których wrażenie osłabił jednak hipnotyzujący taniec króciuteńkiej spódniczki. W ciągu zaledwie kilku sekund Nyberg przemienił się z radykalnego bojownika w śliniącego się starego dziada. Bez wątpienia był to zamierzony efekt specjalisty od wizerunku.

Uwiedziony przez kapitalizm, pomyślał z bezradnością.

W końcu dotarli do drzwi, które otworzyły się dokładnie w chwili, gdy przed nimi stanął. Zrozumiał, że system monitoringu działał bez zarzutu. Zza drzwi wychyliła się na wskroś elegancka kobieta w średnim wieku, kiwnęła w stronę recepcjonistki, zatrzymała rozbiegany wzrok Nyberga i potrząsnęła mocno jego dłonią ze słowami:

- Betty Roger-Gullbrandsen. Sekretarka pana Nilssona. Proszę za mną.

Pippi Langstrumpf we własnej osobie, znów pomyślało się Nybergowi, zdegradowana do sekretarki pana Nilssona. Betty

Roger-Gullbrandsen zaprowadziła go do gigantycznego pokoju, gdzie jedynym meblem było wielkie biurko z designerskim komputerem i równie designerskim telefonem, na którym nacisnęła guzik i odezwała się:

- Komisarz kryminalny Gunnar Nyberg z Rikskriminalen.
- Niech wejdzie - odpowiedział władczy, dobitny głos z wnętrza aparatu.

Betty Roger-Gullbrandsen wskazała ręką drzwi na drugim końcu pomieszczenia i usiadła przy komputerze, nie obdarzając policjanta ani jednym spojrzeniem więcej, niż to było absolutnie konieczne.

Nyberg wszedł do pokoju dyrektora, który wyglądał na dwukrotnie większy niż prezes sekretarki. Byłoby świętokradztwem nazwać go biurem. Urządzony był z wyważonym, wyjątkowo wystawnym brakiem wystawności, z wyborną, przejrzystą jak szkło czystością stylu. Gdzieś w oddali Nyberg dostrzegł nienagannie ubranego mężczyznę około czterdziestki, który wstał zza błyszczącego dębowego biurka i wyciągnął do niego rękę. Uścisk był, oględnie mówiąc, silny.

- Henrik Nilsson, dyrektor generalny - przedstawił się dystyngowanym tonem.

- Nyberg - powiedział Nyberg.

Henrik Nilsson wskazał na krzesło przy biurku. Nyberg usiadł.

- Nie wydaje mi się, że wchodząc tu, użyłem sformułowania „komisarz kryminalny” lub „Rikskriminalen” - zdziwił się Nyberg.

- Na tym polega praca Betty, żeby dotrzeć do dostępnych informacji - odparł krótko Nilsson.

- I się tym pochwalić - westchnął Nyberg i został zignorowany. Zdażył się do tego przyzwyczaić.

- Rikskriminalen - rzucił Nilsson. - Co by oznaczało, że naszym zdaniem istnieje związek między błahym włamaniem do naszego magazynu a trupem leżącym na zewnątrz.

- To się nasuwa samo przez się.

- Więcej, co by oznaczało, że to nie byle jaki trup, ale trup wagi państwowej. I że jakimś dziwnym sposobem LinkCoop zostało wciągnięte w morderstwo najwyższej kategorii, co raczej nie jest po naszej myśli. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko oddać się do waszej dyspozycji.

- Dziękuję - powiedział Nyberg i ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć za dużo. - Czy coś zginęło?

- Sporo zostało zniszczone, ale nic nie zginęło. Musieliśmy wymienić drzwi. Tym razem wyszliśmy z tego nadspodziewanie dobrze.

- Tym razem?

- Na nasze produkty jest taki popyt, że trudno je zabezpieczyć. Mieliśmy tu ostatnio sporo włamań. Nasz towar wysyłamy na Wschód.

- Ochroniarz powinien być zatem cały czas w gotowości?

- Oczywiście.

- W takim razie jak to możliwe, że nie widział włamań na swoich monitorach? Nawet pańska Betty obserwuje moją drogę tutaj na swoim szytym na miarę komputerze.

Henrik Nilsson pokiwał głową.

- Proponuję, żeby porozmawiał pan o tym z naszym szefem ochrony. To jego działka.

- Tak też zrobię. Najpierw jednak chciałbym dowiedzieć się trochę o firmie. Kupujecie sprzęt na Zachodzie i Wschodzie i sprzedajecie go dalej na Wschód i Zachód. Na tym polega ten biznes?

- Trudno dziś o lepszy - powiedział Henrik Nilsson nie bez dumy. - Dopóki szlak handlowy między Wschodem a Zachodem jest zablokowany, tego rodzaju kanał ma absolutnie kluczowe znaczenie.

- A gdy blokada ustąpi?

Nilsson pochylił się do przodu i spojrzał w oczy Nybergowi.

- Tak się nigdy nie stanie. To płynna branża. Stare firmy upadają, na ich miejsce powstają nowe. Ale my będziemy zawsze.

- Co to za sprzęt?
- Jaki tylko.
- Nawet wojskowy?
- W granicach prawa.
- Czy w magazynie, do którego się włamano, był sprzęt wojskowy?

- Nie, tylko zwykłe komputery. Tajwańskiej firmy WriteCom. W tej teczce znajdzie pan potrzebne informacje. Szczegółowy spis towaru w magazynie. Jak również informacje o firmie. Może pan to przekazać ekspertom.

Nyberg puścił mimo uszu złośliwość i wziął do ręki elegancką skórzaną teczkę w kolorze czerwonego wina z widniejącym na niej logo - tym razem w jednym kolorze. Złotym.

- Dziękuję - powiedział. - W zasadzie to już wszystko. Chciałbym jeszcze zamienić słowo z szefem ochrony.

- Nazywa się Robert Mayer - dodał Henrik Nilsson i wstał, żeby podać mu rękę. - Spodziewa się pana. Betty wskaże panu drogę.

W tym momencie zjawiała się Betty i wyprowadziła Nyberga z monumentalnego pokoju dyrektora na korytarz. Minęli kilkoro drzwi i zatrzymali się przy ostatnich. Po paru kłopotliwych sekundach otworzył je barczysty mężczyzna około pięćdziesiątki. Wyglądał jak typowy szef ochrony, zatrudniony w firmie wysokiego ryzyka: były policjant albo wojskowy. Ogorzała od słońca i wiatru twarz, krótko przystrzyżone włosy, ostre spojrzenie, silny uścisk dłoni. Były Mister Szwecji miał już dosyć silnych uścisków dłoni. Odpowiedział jeszcze silniejszym; jakoś nie mógł się powstrzymać.

- Robert Mayer - powiedział Robert Mayer i unióśł brew. Miał lekki obcy akcent. Nie niemiecki jednak, jak się tego spodziewał Nyberg, ale raczej anglosaski.

- Nyberg - powiedział Nyberg i dodał nagle: - Jest pan Anglikiem?

Brew uniosła się o kolejny milimetr.

- Pochodzę z Nowej Zelandii, jeśli to pana interesuje.

Mayer wykonał zapraszający ruch dłonią. Weszli do małej klitki ze ścianami pokrytymi ekranami monitorów. Z pewnością było to tylko jedno z wielu pomieszczeń szefa ochrony. Usiedli przy biurku. Nyberg postanowił nie tracić czasu na uprzejmości.

- Jak to możliwe, że Benny Lundberg nie widział włamania?

Robert Mayer siedział nieruchomo za biurkiem. Absolutna koncentracja.

- To proste - powiedział. - Na magazyny we Frihamnen składają się łącznie trzydzieści cztery większe i mniejsze lokale. Tylko osiem z nich, tych najważniejszych, jest objęte monitoringiem. Trzydzieści cztery monitory wymagałyby co najmniej kolejnych dwóch strażników, co przy całodobowej ochronie oznaczałoby co najmniej sześć pełnych etatów, w większości z niewygodnym czasem pracy. Doliczając koszt sprzętu i jego instalacji, przekraczałyby to znacznie ewentualne korzyści. Lokal, w którym doszło do włamania, nie jest więc monitorowany.

Jasny przekaz, pomyślał Nyberg. Zmienił strategię.

- Jak dobrze zna pan Benny'ego Lundberga?

- Nie powiem, żebym go znał, ale daleko szukać równie obowiązkowego pracownika.

- Pan Nilsson zdradził mi, że ostatnimi czasy mieliście tu wiele włamań. Jak do nich doszło?

- Mowa o ośmiu włamaniach w ciągu ostatnich dwóch lat, co samo w sobie nie jest katastrofą, ale oczywiście nie powinno było się zdarzyć. Przy trzech z nich interweniowali nasi ochroniarze, między innymi Lundberg, dwa nie udały się z innych powodów, a pozostałe trzy były robotą profesjonalisty. Po ostatnim z nich w miejsce ochrony zewnętrznej zatrudniliśmy własnych ludzi. I dobrze sobie radzimy.

- A więc Lundberg jest zatrudniony dopiero od roku?

- Od ponad roku, tak. Od czasu, gdy dokonaliśmy reorganizacji. Zatem nie można mówić o kreciej robocie, jeśli to pan sugeruje:

od kiedy mamy własną ochronę, nie doszło tu do ani jednego udanego włamania. Chłopaki odwalają kawał roboty.

- Co zginęło w czasie tego, co nazywa pan udanymi włamaniami?

- Tutaj znajdzie pan wszystkie potrzebne informacje - powiedział Mayer, wręczając Nybergowi teczkę ze złotym logo Link-Coop. Nyberg miał *deja vu*. - Kopie naszych zgłoszeń na policję i do agencji ubezpieczeniowych w sprawie owych ośmiu włamań. Może pan to przekazać ekspertom.

Gunnar Nyberg spojrział raz jeszcze na stojącego przed nim mężczyznę. Robert Mayer był po prostu idealnym szefem ochrony. Skałą, na której mogła się oprzeć firma. Profesjonalny, bystry, doświadczony, twardy jak kamień i zimny jak lód. Jego stalowo-niebieskie oczy spjrzały na niego; poczuł, że uścisk dłoni kulturalisty nie został zapomniany. Przez chwilę zastanawiał się, czym tak naprawdę Mayer zajmował się w Nowej Zelandii.

Potem się odprężył. Nie miał nic więcej do dodania.

Ciekawe, ile zarabia szef ochrony.

Uwiedziony przez kapitalizm, pomyślał i pożegnał się z Robertem Mayerem.



GDY Jan-Olov Hultin wrócił swoją wydreptaną ścieżką z toalety, przed drzwiami czekał na niego jakiś czterdziestoletni mężczyzna, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Najpierw pomyślał sobie, że to morderca z Kentucky, który dostał się niepostrzeżenie do budynku, żeby wbić szczypcę w jego gardło. Jednak jasnozielone spojrzenie oczu tamtego uspokoiło go; wyglądał raczej jak uczeń gimnazjum przed gabinetem dyrektora. Ono sprawiło, że z większym spokojem mógł przekłąć procedury bezpieczeństwa w recepcji.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

Zielonooki drgnął. Jego palce powędrowały do węzła krawata, zupełnie jakby żyły własnym życiem.

- Szukam kogoś, kto zajmuje się sprawą morderstwa we Frihamnen - powiedział niepewnie. - Nie wiem, czy dobrze trafiłem.

- Ależ tak. - Hultin wpuścił mężczyznę do środka.

Gdy mężczyzna o jasnozielonych oczach usiadł na rzadko używanej kanapie dla gości, Hultin postanowił, że nie będzie go pospieszać.

- Nazywam się Mats Oskarsson - odezwał się tamten po chwili. - Jestem z Nynashamn. Dzwoniłem tej nocy, w której doszło do morderstwa.

- O 3.07 z budki na Stureplan - powiedział bez emocji Hultin.

Mats Oskarsson spojrzał na niego i zamrugął kilkakrotnie oczami. Trochę jak lampy statku, któremu siadło zasilanie.

- Nie wiem dokładnie o której, ale na pewno ze Stureplan.

- Proszę przejść do rzeczy. I tak już wystarczająco utrudnił pan dochodzenie.

Tym samym Oskarsson został zdegradowany do ucznia podstawówki.

- Reszta uważała, że w ogóle nie powinienem dzwonić...

- Jaka reszta?

- Z drużyny hokeja. Sztokholmscy prawnicy. Graliśmy mecz gościnny w Knivsta i byliśmy w drodze do domu.

- Pozwoli pan, że sprawdzę, czy dobrze zrozumiałem - rzekł Hultin łagodnym tonem. Mats Oskarsson nawet nie domyślał się, jak złowróżbna była to łagodność. - O godzinie trzeciej w nocy grupa stróżów prawa wracała do domu po zakończonym meczu hokeja. Trafiła do Frihamnen, była świadkiem morderstwa i postanowiła zataić to przed długim ramieniem sprawiedliwości. Tak?

Oskarsson wpatrywał się w stół.

- Było już późno - bąknął tylko.

- Późno na ziemi\* - głos Hultina stawał się coraz łagodniejszy.

- Co takiego? - wybuchnął Oskarsson.

- Jesteś prawnikiem?

- Doradcą podatkowym w Hagman, Grafström i Rrantz, tak.

- To ty siedziałeś za kierownicą?

- Tak. Van marki Volkswagen.

- Chcesz, żebym odtworzył bieg zdarzeń? - zapytał Hultin retorycznie. - Zagraliście mecz, przegraliście i zalaliście się w trupa, potem jakimś cudem trafiliście do Frihamnen, natknęliście się na mordercę, który porzucił na jezdni zwłoki, doszło do was, że jesteście zalani, i postanowiliście udąć, że nic się nie stało. Później dopadły cię wyrzuty sumienia, może po tym, jak już porozwoziłeś całe towarzystwo, więc zadzwoniłeś z budki na Stureplan, chociaż pewnie mieliście w kieszeniach komórki. Prowadziłeś po pijaku?

*Późno na ziemi*, oryg. *Sent p& jorden* (1932) - tytuł debiutanckiego zbioru poezji Gunnara Ekelöfa żyjącego w latach 1907-1968 (przyp. tłum.).

- Nie - odparł Oskarsson. Od jego spojrzenia w blacie stołu zrobiły się dwie zielone dziurki.

- Ależ tak. - Hultin wciąż mówił łagodnie. - Mimo to zadzwoniłeś, a teraz jesteś tutaj. W gruncie rzeczy jesteś uczciwym człowiekiem, w odróżnieniu od twoich kolegów prawników z klubu, a jedynym powodem, dla którego zadzwoniłeś anonimowo, było to, że prowadziłeś po pijaku. No ale tego nie da się udowodnić.

- Nie - odpowiedział Oskarsson, choć nie miało to zabrzmieć tak wieloznacznie.

Czas na zmianę tonu.

- Wypluj to wreszcie z siebie, wtedy zobaczymy, czy będę mógł cię uchronić przed procesem - ryknął Hultin znacznie bardziej jednoznacznie.

Mats Oskarsson westchnął i wypluł z prawniczą precyzją:

- Było kilka minut po wpół do trzeciej. Facet był trochę więcej niż średniego wzrostu, dosyć potężnie zbudowany, miał na sobie czarne ubranie i czarną kominiarkę. Prowadził dziesięcio-, może dwunastoletnie granatowe volvo kombi z numerem rejestracyjnym zaczynającym się na literę B. Widzieliśmy, jak wkłada do bagażnika zawinięty w koc tłumok, drugiego już nie zdążył.

- A więc zadzwoniłeś dopiero po półgodzinie?

- Tak. Niestety. Przykro mi.

- Mnie również. Gdyby ta informacja od razu trafiła gdzie trzeba, dziś ten szalony seryjny morderca nie biegałby po ulicach Sztokholmu. Mam nadzieję, że twoje córki będą jego kolejnymi ofiarami.

Nawet w chwilach największego wzburzenia Hultin nie miał zwyczaju mówić za dużo, jednak jego ugruntowana nieufność wobec stróżów państwa prawa sprawiła, że otarł się o granicę. „Szalony seryjny morderca”. Musiał to jakoś zatrzeć.

- Czy poza „B” w numerze rejestracyjnym nic więcej nie pamiętasz?

- Nie - wymamrotał Oskarsson.

Niewiele było do dodania. Hultin mógł co prawda dać porządny wykład o zgniliznie prawnej w świecie szwedzkiego handlu, o konsekwentnej wyprzedaży państwa prawa przez zachodnie demokracje, o prawie, które miało chronić obywateli, ale stało się pośmiewiskiem i rywalizacją starych wyjadaczy, jakimi byli ceniący swoje usługi adwokaci, z kiepsko opłaconymi oskarżycielami bez praktyki, o samochodzie pełnym prawników, którym nawet do głowy nie przyszło, żeby odstawić na bok swoje ego i umożliwić zatrzymanie podwójnego mordercy. Mimo wszystko Mats Oskarsson pokazał przynajmniej kontury odwagi cywilnej, co więcej, wyglądał, jakby treść wykładu, którego nawet nie dane mu było usłyszeć, wbiła go w podłogę. Podreptał do drzwi. Gdy je otworzył, usłyszał ściszy głoś Hultina.

- Dziękuję.

Hultin spotkał spojrzenie jasnozielonych oczu. Wystarczyło za tysiąc słów.

Jan-Olov Hultin został sam. Wyprostował nogi pod biurkiem, uspokoił myśli i rozejrzał się po biurze. Po raz pierwszy uderzyła go jego anonimowość. Ani jednego odcisku palca Hultina. Był to tylko i wyłącznie pokój do pracy. Nie wysilił się nawet, żeby powiesić zdjęcie żony. W pracy był policjantem, i to na sto procent. Albo i więcej. Resztą nie dzielił się z nikim. Nawet po sukcesie, jakim okazała się sprawa Łowcy Rekinów, nie dopuścił do siebie nikogo. Właściwie to nie wiedział dlaczego. Atak z główki nie był już tajemnicą. Któregoś wieczoru na sztucznej murawie boiska w Stadshagen pojawili się Hjelm z Chavezem i zobaczyli go w akcji. Niestety, był to akurat mecz policji sztokholmskiej z drużyną Ragsvedalliansen. W jej skład wchodził ostry napastnik Carlos, którego Hultin grzmotnął z całej siły prosto w lewą brew. Chlusnęła krew. Niestety, Carlos miał na nazwisko Chavez. Hultin nie wiedział, czy Jorge poinformował swojego ojca, że to przez czaszkę jego szefa znalazł się w Szpitalu Świętego Jerzego po drugiej stronie ulicy.

Zaśmiał się. Przerwał mu dzwonek telefonu.

- Tak - powiedział do słuchawki. - Tak, tak. Rozumiem. Tak. Przez chwilę zamyślił się z palcem uniesionym nad guzikami telefonu. Wybrał numer Kerstin Holm.

- Kerstin, jesteś tam?

- Taak - zabrzmiał zniekształcony głos Kerstin Holm.

- Zajęta?

- Niespecjalnie. Próbuję się wgryźć w materiały FBI. Dużo tego.

- Możesz sprawdzić granatowe volvo kombi, modele z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Numery rejestracyjne zaczynające się na literę B. Mamy nowe zeznanie z Frihamnen.

- Jasne, nie ma sprawy.

Rozłączyła się, zanim zdążył odłożyć słuchawkę. Jego palec znów zawisł w powietrzu. Söderstedt? Niekoniecznie. Na miejscu jest też Norlander. Nie. A czy Nyberg wrócił już z LinkCoop? Pewnie nie. Chavez? Tak, ale nie sam.

Przyznał sam przed sobą, że jego wahanie wynikało raczej z uszanowania demokracji niż z rzeczywistej potrzeby. Wybrał numer Hjelma.

- Paul?

- Tak.

- Wpadnij do mnie. Weź Jorge.

Byli po pół minuty. Stanęli przed nim jak uczniowie.

- Skończyliście już z Labanem Hasselem? - zapytał. Dlaczego wszyscy zawsze stawali przed nim jak uczniowie?

- Tak - odparł Chavez. - Próbowaliśmy znaleźć jakieś podstawy do wniesienia aktu oskarżenia, ale przyznam, że nie do końca chcieliśmy je znaleźć. Mamy tylko nadzieję, że będzie szczęśliwy z Ingelą. Pomimo sterylizacji.

- No dobra. Mamy nowy ślad we Frihamnen. Niedaleko magazynów LinkCoop znaleziono samochód, który najwyraźniej nie został nigdzie zarejestrowany. Beżowy saab 900. Interesujący z dwóch powodów. Po pierwsze, jest całkowicie czysty, ani jednego odcisku palca, ani w środku, ani na zewnątrz. Po drugie, zarejestrowany jest na nazwisko Andreasa Gallana. Czy coś wam ono mówi?

- Gallano - odezwał się Hjelm. - Recydywista z Alby. Zgadza się?

- Tak.

- Właśnie! Andreas Gallano. Miałem z nim kilkakrotnie do czynienia, kiedy jeszcze pracowałem w Huddinge. Nie stronił od przemocy, o ile pamiętam. Za pierwszym razem wsadziliśmy go za pobicie, za drugim - za handel narkotykami.

- Racja! - krzyknął Chavez. - To ten, co uciekł z Hall.

- Zgadza się - potwierdził Hultin. - Jakiś miesiąc temu trafił znów za kratki za pobicie. Był jednym z trzech więźniów, którym udało się wyjść przez kuchnię w Hall. Precyzyjny plan.

Hjelm i Chavez skinęli głowami. O tej ucieczce było wyjątkowo głośno.

Hultin spojrział na nich. Próbował znaleźć potwierdzenie dla swoich przypuszczeń.

- Prawda, że ma to coś wspólnego ze sprawą? - Znak zapytania prawie się wyprostował.

Przytaknęli.

- Porzucony samochód Gallana, włamanie, dwa trupy - podsumował Hjelm i stwierdził: - No tak.

- Ale to nie jego trup? - zapytał niepewnie Chavez.

- Wówczas program do odczytywania linii papilarnych zawyłby na całego - zauważył Hjelm. - Z pewnością jednak odgrywa jakąś rolę w tym dramacie.

- Nadal nie mamy niczego na mordercę z Kentucky - westchnął Hultin.

- Oprócz przeczuć - powiedział Hjelm. - Ostatni adres?

- Ten sam od dziesięciu lat.

- Jedziemy.

Bmw Chaveza posłużyło za samochód służbowy. Przecięli w ciszy nękane deszczem miasto i wyjechali na Essingeleden. Spojrzeli w dół, Riddarfjarden wyglądał, jakby osiągnął stan powodziowy. W każdej chwili potop mógł zalać całe miasto, a kto dziś mógł liczyć na łaskę bycia ostrzeżonym i zbudować arkę?

Nikt, pomyślał Hjelm, i ogarnęło go uczucie osamotnienia. Chavez docisnął pedał gazu. Nad nikim z nas nie zlitowałby się Bóg. Utonęlibyśmy wszyscy w mazistej brei, pochłonęłaby nas rozszerzona ziemia. Z kosmosu wszystko wyglądałoby jak dawniej. Małe, ledwo zauważalne drgnięcie na wadze nieskończoności, nic więcej.

Oderwał myśli od mrocznych wizji i rozpoczął z góry skazaną na niepowodzenie walkę ze złem. Miał wrażenie, jakby walczyli z wiatrakami.

Jadący autostradą rzadko potrafią odróżnić Alby od Fittja albo Norsborg od Hallundy. Po wzgórzach pięły się rzędy podyktowanych szaleństwem budynków, niebotycznych i brutalnie jednakowych, które zgodnie z samospełniającą się przepowiednią wypełnił element przestępczy. Był to rezultat tej samej wizji społecznej, która obejmowała dalekosiężne plany zrównania Starego Miasta z ziemią, by zrobić Le Corbusierowi miejsce pod budowę pałaców ze szkła i betonu.

Ale nikt nie wiedział lepiej niż Paul Hjelm, że można tu było doświadczyć alternatywnej i niedostępnej gdzie indziej kultury, codziennego heroizmu na małą skalę, nieskończonego bogactwa wynalazków i ciągłej walki z przeciwnościami losu. To tutaj pracował aż do dnia, w którym zamiast wylecieć z policji, został przeniesiony do Drużyny A, która urzędowała w centrum miasta.

W dużej mierze była to zasługa Erika Bruuna, jego dawnego przełożonego w wydziale kryminalnym policji w Huddinge, którego znajomość z dawnym kolegą Janem-Olovem Hultinem okazała się rozstrzygająca. Stanął przed drzwiami do jego pokoju. Udało mu się przejść niezauważonym obok pokoi swoich byłych kolegów. Zastukał. Lampka przy drzwiach zaświeciła się na żółto, co oznaczało „czekać”. Hjelma dopadły złe przeczucia. Lampka Bruuna nigdy nie świeciła na żółto.

Nastąpiły trzy nerwowe minuty oczekiwania w poczuciu ciągłego zagrożenia, że zobaczą go tu koledzy. Nie wytrzymał i wszedł do środka.

Brunatny pokój, dawniej pokryty trującymi warstwami dymu z czarnych cygar Erika Bruuna, nabrał koloru wielkanocnego kurczaka. Klej do tapet nie zdążył jeszcze wyschnąć.

Za biurkiem Bruuna siedział czterdziestoletni mężczyzna ubrany w garnitur z krawatem, z kasztanowymi włosami zaczesanymi na zaczynającą się łysinę. Jego ręka sięgnęła instynktownie po służbową broń.

- Gdzie jest Bruun? - zdziwił się Hjelm.

Mężczyzna powstrzymał się przed wyjęciem pistoletu, ale rękę cały czas trzymał w gotowości.

- Było napisane „czekaj”, ale trzeba umieć czytać.

- Było napisane „czekaj” i „Bruun”. A tu jest żółto. Gdzie jest Bruun?

- A ty to kto?

- Hjelm. Pracowałem tu. Pod Bruunem. Gdzie jest?

- Hjelm. Aha. Człowiek, którego wylali, a potem awansowali.

- Zgadza się. Gdzie jest Bruun?

- Hjelm, tak... Nie tak dawno przeglądałem twoje akta. Mam nadzieję, że nie chcesz wrócić na swoje dawne stanowisko. Słyszałem, że Drużyna A pakuje manatki. Nie ma tu dla ciebie miejsca.

- Gdzie jest Bruun?

- Tu nie ma miejsca dla bohaterów i innych radykałów. Czas zaprowadzić porządek. Naprostować ścieżki.

- Gdzie jest Bruun?

- Czas już przewietrzyć stary mundur i przygotować się do rzetelnego patrolu.

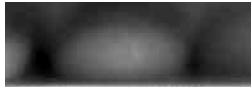
Hjelm poczuł, że ma dosyć. Obrócił się gwałtownie i ruszył w stronę drzwi, przy których czekał Chavez. Dobiegł go głos tamtego:

- Bruun miał zawał serca tydzień temu. Wystarczy wspo mnieć, jak wyglądał ten pokój.

Hjelm znów się obrócił.

- Nie żyje?





Mężczyzna za biurkiem wzruszył tylko ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Hjelm był zmuszony opuścić lokal bez zwłoki, inaczej nie mógłby już marzyć nawet o służbie patrolowej. Zbiegł po schodach do kuchni.

Miał wrażenie, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Każdy kubek, każda kostka cukru znajdowały się dokładnie tam, gdzie widział je półtora roku temu. Podobnie koledzy. Nie brakowało nikogo. Anders Lindblad i Kenneth Eriksson, Anna Vass i Johan Bringman. I jeszcze Svante Ernstsson, jego wierny kompan przez ponad dziesięć lat. Byli najlepszymi przyjaciółmi, od wielu miesięcy nie mieli jednak kontaktu.

- Proszę, proszę - zawołał Ernstsson. - Co za spotkanie. Ich uścisk dłoni był silny i jakby komicznie męski.

- Lepiej powiedzcie co z Bruunem?

Svante Ernstsson spojrzał na niego z powagą. Po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Małe zadrapanie, jak to sam określił.

- A tam co za pajac?

- Nowo mianowany inspektor kryminalny Sten Lagnmyr. Wrzód na dupie. Bruuna zastąpił prawdziwy nazista. Który na dodatek gustuje w żółtym.

- To Jorge Chavez, zapomniałem przedstawić. Przepraszam. Mój nowy kolega.

Chavez i Ernstsson podali sobie dłonie. Przez chwilę Hjelm miał wrażenie, że widzi Cille i Kerstin. Wzdrygnął się.

- Nie przyszliśmy tu z wizytą towarzyską, tylko żeby prosić was o pomoc. Czy prowadzicie w tej chwili jakieś energiczniejsze poszukiwania naszego starego znajomego Andreasa Gallano?

Ernstsson wzruszył ramionami i uniósł z zaciekawieniem brew.

- Takie jak i innych uciekinierów.

- Wiecie, czy w ogóle tu jest?

- O co chodzi?

- O morderstwo we Frihamnen.

Ernstsson kiwnął głową i postanowił już dłużej nie utrudniać.

- Nic nie wskazuje na to, żeby wrócił; to byłaby głupota po ucieczce z Hall. Mieszkanie było puste, żadnych oznak czyjejs obecności. W lodówce stało mleko sprzed pół roku. Jak zwykle jesteśmy zawaleni robotą i że tak powiem, Gallano nie jest teraz naszym priorytetem. Mieliśmy zająć się nim w przyszłym tygodniu.

- Dopilnuję, żeby Hultin zaopiekował się Lagnmyrem, będziecie wówczas mogli nam pomóc trochę bardziej oficjalnie. Czy powinniśmy zacząć od, jak on się nazywa, Stavros?

- Stavropoulis. Nie, już nie żyje. Przedawkował. Gallano musiał w związku z tym postarać się o nowe kontakty, dostał się do grupy dysponującej większymi środkami. Syntetyki. Dotarliśmy do niego przez dealera, Yilmaza. Mamy wciąż dobrą miejscówkę, o ile nie jesteście zbyt przywiązani do rewirów.

- Da się załatwić. Co możemy uzyskać dzięki Yilmazowi?

- Gurra odbiera od niego towar. Pamiętasz Gurrę?

- Jasne, kurwa! - ucieszył się Hjelm. - Szalony Gurra. Koledzy z dzieciństwa.

- Jeśli ktoś może wiedzieć, gdzie podziewa się Andreas, to tylko Gurra. *For old times sake* - dodał Ernstsson, nieco dwuznacznie.

- To jak robimy?

- Yilmaz ma niezłą miejscówkę, którą pozwoliliśmy mu zachować, bo mamy do niej idealny wgląd. Stare magazyny ICA. Będziemy sobie leżeć na pięterku i obserwować ich przez dziurkę w podłodze. Słabo?

- Nie da się inaczej dorwać Gurry?

- Ukrywa się. To najlepszy sposób.

- To co, jedziemy? Ernstsson

wzruszył ramionami.

- W sumie nie ma na co czekać.

Jorge Chavez próbował wyobrazić sobie, jakimi kolegami byli Hjelms i Ernstsson. Czy współpracowali w podobny sposób jak on z Hjelmem? Czy byli sobie bliżsi? Czy gra zespołowa wychodziła im równie dobrze? Przyglądał się im, gdy siedzieli na piętrze opuszczonego magazynu ICA. Czy w zachowaniu Hjelma wobec dawnego kolegi nie było jakiegoś wyczekiwania, jakiegoś poczucia winy, co przejawiało się pewną nienaturalnością w mowie ciała?

Pozycja, jaką przyjęli, była co najmniej dziwna. Mogli co prawda patrzeć przez dziurkę w podłodze i pod pewnym kątem obserwować przestępcze poczynania Yilmaza, ale oznaczałoby to leżenie z policzkiem przyciśniętym do ziemi, w szurzących odchodach i igłach do strzykawek, i to przez długie godziny. Łatwiej było wsunąć minikamerę w otwór i oglądać spektakl na monitorze, i to właśnie przed tym monitorem ukucnęli wszyscy trzej.

Klienci ciągnęli do tego niezbyt dobrze krytego *drug store* Yilmaza wartkim strumieniem. Stanowili pełny przekrój społeczny, od żywych skamielin z lat sześćdziesiątych, którzy znanymi tylko sobie sposobami uniknęli przedawkowania, do wymuskanych przedstawicieli klasy średniej w drodze na *rave party*, od prostytutek wyniszczonych przez AIDS do wysłanych z tajną misją sekretarek. Choć Hjelmowi zdarzało się czasem zatęsknić za dawną robotą, to teraz szybko mu przeszło.

Sam Yılmaz siedział jak turecki pasza na starej zamrażarce, wyjmując w miarę zapotrzebowania zamówiony towar z drugiej, stojącej obok. Był bogiem. Jego dobra wola oddzielała niebo od piekła. Wymachiwanie kluczami do królestwa niebieskiego przez tych kilka dodatkowych sekund sprawiało mu wyraźną satysfakcję.

Hjelms nienawidził każdej sekundy, nie tylko dlatego, że kolejka ponizonych zdawała się nie mieć końca, ale również dlatego, że czas płynął, a Gurry jak nie było, tak nie było. Pora przyjąć wkrótce się skończy i cały dzień pójdzie na marne. Mineły trzy

godziny. Było już popołudnie. Wilgoć wnikała coraz głębiej w zatechły magazyn. Strumień klientów jakby trochę osłabł.

W drzwiach pojawił się kolejny nastoletni przedstawiciel klasy średniej, żeby zaopatrzyć się w kilka kolorowych tabletek z wygrawerowanymi wesołymi ludkami. Miał może szesnaście, siedemnaście lat, podszedł pewnym krokiem do siedzącego na zamrażarce paszy. Z tyłu czekał na niego kolega, z rękoma w kieszeniach i lekko uniesionymi ramionami. Stał odwrócony tyłem do kamery i przestępował nerwowo z nogi na nogę. Gdy jego kolega wyciągnął rękę w stronę Yilmaza, rzucił krótkie, nerwowe spojrzenie za siebie.

Hjelmowi i tego było dość. Jego ciało skurczyło się w gwałtownej konwulsji. Rzuciło go na stronę, zwymiotował. Zdziwiła go ta reakcja, poczuł, jak ogarnia go wstyd i poczucie winy. To było jak film, który człowiek podobno widzi tuż przed śmiercią. Przebiegło mu przed oczami całe jego ojcowskie życie, zobaczył każdy swój błędny krok, każdą chwilę, kiedy zranił swego syna.

Gdy po pół minuty podniósł głowę, omijając starannie wzrokiem twarze zaskoczonych kolegów, Danne stał w tym samym miejscu, odwrócony plecami do kamery. Kolega przerwał na moment zakupy. Do środka wszedł jakiś zapuszczony ćpun, przez chwilę sprzeczał się o coś z Yilmazem.

- To Gurra - wyszeptał Svante Ernstsson.

Hjelmowi było już wszystko jedno. Wstając, przewrócił krzesło. Spieszył się. Spojrzenia zgromadzonych na dole skierowały się prosto na kamerę. Zaczęli pakować towar, chwilę potem Ernstsson i Chavez zobaczyli na ekranie, jak Hjelm wpada do środka z podniesioną bronią. Dopiero wtedy pomyśleli, że powinni pobiec za nim.

Hjelm zatrzymał wszystkich na miejscu. Masywny ochroniarz, który stał po przekątnej za Yilmazem, leżał już płasko na ziemi. Hjelm wyjął ogromny rewolwer zza paska i zbliżył lufę do czoła Yilmaza. Po chwili zastąpił go Chavez, przejmując Yilmaza i ochroniarza. Hjelm podszedł do nastolatka, który zaję-

ty był wciskaniem kolorowych tabletek w zmurszałą drewnianą podłogę. Złapał chłopaka za kołnierz i przyciągnął jego pobladłą ze strachu twarz do swojej; dzieliło ich tylko kilka żarzących się centymetrów.

- Twoja gęba zapisała się na zawsze na mojej rogówce, kutasie.

Czuł, jak chłopak robi pod siebie. Zwolnił uścisk. Tamten upadł na podłogę, pociągając nosem.

Hjelm odwrócił się w stronę syna. Danne stał w drzwiach, miał szeroko otwarte oczy. Poruszał ustami, nie dało się jednak usłyszeć ani jednego słowa.

- Wracaj do domu - powiedział Hjelm ze spokojem. - I się stamtąd nie ruszaj.

Danne zniknął. Kolega patrzył na niego z przerażeniem.

- Zmykaj - rzucił Hjelm.

Chłopak pognął do wyjścia na czworakach. Hjelm obrócił się w stronę Gurry, leżącego na brudnej podłodze pod Ernstsso-nem. Pod tym doskonale wyćwiczonym szyderczym uśmiechem dostrzegł prawdziwy blady strach.

- Andreas Gallano - powiedział Hjelm, akcentując każdą sylabę.

- O czym ty, kurwa, gadasz?

Hjelm pochylił się nad nim. Miał minę człowieka, który nie znał się na żartach. Gurra to zauważył.

- Spróbuj raz jeszcze - powiedział Hjelm łagodnym głosem.

- Nie widziałem go, odkąd trafił do kicia...

- Ale?

- Ale on... tak...

- To proste. Mówisz i żyjesz. Milczysz i giniesz.

- Dobra, kurwa, koleś i tak się teraz nieźle wozi. Ma kryjówkę gdzieś na północ od Sztokholmu. Chyba w Riali. Mam adres. W notesie.

- Zdziwiasz mnie - powiedział Hjelm. Udało mu się wyciągnąć plik powyginanych od wilgoci papierów z wewnętrznej kieszeni Gurry. - Masz notes z adresami, a w nim adres zbiega.

- Zakodowany - powiedział z dumą Gurra. - Pod nazwiskiem Ewy Svensson.

Hjelm wydarł stronę z adresem Ewy Svensson w Riali i wsadził notes z powrotem do kieszeni Gurry.

W oddali usłyszeli wycie syreny; Ernstsson zadzwonił po posiłki. Przeciągnęli Gurrę bliżej zamrażarek, gdzie był już Yilmaz z ochroniarzem.

- Zajmiesz się tym, Svante? - rzucił Hjelm na odchodne.

- Pilnuj ich - powiedział Ernstsson do Chavez'a i wziął Hjelma na stronę.

- Rozwaliłeś naszą najlepszą miejscówkę, Paul - stwierdził zawiedziony. Hjelm zamknął oczy. Nawet przez chwilę o tym nie pomyślał.

- Przykro mi - wyszeptał. - Sytuacja podbramkowa.

Svante Ernstsson zrobił krok do tyłu. Przyglądał mu się przez chwilę.

- Zmienił cię - oświadczył, a potem dodał, patrząc w bok:

- Mam nadzieję, że wyjaśnicie sobie wszystko z Dannem.

Hjelm skinął ciężko głową.

- Leć już - powiedział Ernstsson. - Zajmę się tym. Lagnmyr będzie wniebowzięty.

Już w samochodzie Hjelm zadzwonił do Hultina. W wielkim skrócie opowiedział mu, co się stało. Hultin obiecał, że skontaktuje się ze Stenem Lagnmyrem i spróbuje jakoś załagodzić sytuację. Poza tym Hjelm był całkowicie nieobecny myślami.

Chavez wciąż nie mógł wyjść z osłupienia. Wszystko zdarzyło się tak szybko. Zobaczył Paula Hjelma, jakiego nigdy wcześniej nie widział, nie był to nieprzyjemny widok. Postanowił nie poruszać tematu syna; zresztą dopiero na wysokości Skarholmen doszło do niego, że to musiał być syn Hjelma.

- Aha - powiedział tylko.

Hjelm spojrział na niego obojętnie, a potem znów zapadł się w siebie.

Starali się ominąć Sztokholm. Dało się teraz przejechać z południowych przedmieść na północ, ale cena była wysoka.

Gdzieś na wysokości Norrtull Chavez zaczął myśleć składnie.

Byli już w drodze do Riali, na Roslagen między Akersbergą a Norrtalje. Nie zamienili dotąd niemal ani jednego słowa. Z adresu wynikało, że to stojąca na uboczu leśna chata. Co ich tam czekało?

- Zajmiemy się tym sami? - zapytał Chavez. Hjelm nie odpowiedział. Patrzył tylko przez okno.

- Jesteś gotów? - zapytał Chavez trochę ostrzej.

Hjelm obrócił się. Na jego twarzy nie widać było żadnych emocji. A może tak wyglądała determinacja.

- Jestem gotów - powiedział. - I bierzemy to sami.

- Gdyby spojrzeć na sprawę racjonalnie, zajście we Frihamnen mogło być porachunkiem gangów narkotykowych. Jeśli tak, to w Riali może czekać nas niezłe piekło. Chata Gallana może być centralą jego nowego narkotykowego syndykatu.

- Po co więc zostawił ten czysty samochód we Frihamnen?

- Może Gallano był tym drugim trupem, a niezidentyfikowane zwłoki to jego kompan z zagranicy. Byli już niepotrzebni i się ich pozbyto. Ale chata może być pilnie strzeżona.

- To brzmi całkiem racjonalnie - przyznał Hjelm. - Ale pozwólmy sobie być nieracjonalni. Masz tu kawałek papieru i długopis, zapiszemy, co naszym zdaniem czeka nas w Riali, złożymy kartki i schowamy do kieszeni. A potem sobie porównamy.

Chavez zaśmiał się i zapisał. Najwyraźniej Hjelm doszedł już do siebie.

Wsunęli kartki do kieszeni.

Potem Hjelm znowu zapadł się w siebie. Jego wzrok rozplynął się w kaskadach deszczu.

Ojcostwo. Jak łatwo zranić w nieodwracalny sposób. Nieopatrnie rzucone słowo, chwilowy brak uwagi, zbyt silny uścisk,



wymagania, brak wymagań. Rozpadający się związek - co lepsze: cisza, wieczne kłótnie, rozwód? Piekło z lodu, w jakim na zawsze zamarł Laban Hassel? Czy może raczej gorące, trzeszczące płomieniami piekło kłótni? Ostatnie lato, Łowca Rekinów, separacja - jak ich nieobecność wpłynęła na dzieci w tym najtrudniejszym dla nich okresie? I co tak naprawdę było kwestią genów? Sztandar biologii zdawał się powiewać triumfalnie nad współczesnością. Jakby nie było już ważne, co takiego spotkało człowieka w życiu, jakby wszystko zostało z góry zaprogramowane. Paul Hjelm mógł w tym widzieć jakieś pocieszenie: może wcale nie z jego winy syn chodził do dealera, może miał w sobie gen nałogowca, który i tak by zniweczył wszystkie jego wysiłki? Bzdura. To on zawinił. Ale czym? Czy tym, że przy zmienianiu pieluchy zbierało mu się na wymioty? Czy używaniem męskiego słownictwa? Czy tym, że był policjantem?

Na czym, kurwa, polegała jego wina?

Wiedział, że nie ma j e d n e j odpowiedzi. To była zaleta jego pracy. Jedna odpowiedź, jeden winny. Pole widzenia zawężało się. Wszystko, co było wieloznaczne i skomplikowane, odsuwał na bok.

Łał deszcz.

Dwóch myśliwych jechało Norrtäljevagen na północ.

W dwóch kieszeniach parzyły dwie kartki.

W Riali było centrum, małe centrum, ale jakkolwiek patrzeć, miasteczko wyrosło w samym środku gęstego boru, a mapa prowadziła ich coraz głębiej i głębiej w odwieczny las. Na koniec droga zamieniła się w wąską ścieżkę.

- Stań tutaj - powiedział Hjelm ze wzrokiem utkwionym w szczegółową mapę policyjną.

Chavez zatrzymał samochód.

- Zostało jakieś dwieście metrów. W górę wzgórza, a potem na prawo. Chata leży w całkowicie odosobnionym miejscu.



Chavez kiwnął głową, wyjął służbową broń, sprawdził i włożył z powrotem do kabury.

- Jak myślisz, możemy zostawić otwarty samochód? - Uśmiechnął się.

Hjelm odpowiedział mu słabym uśmiechem, po czym wyskoczył w ulewę.

Było już po piątej. Ciężkie od deszczu niebo dostało wsparcie od nadchodzącego zmierzchu; las spowijały gęste ciemności.

Biegli pochyleni w jesiennej burzy. Nad ich głowami tańczyły korony drzew, zrzucając z siebie igliwie, które niesione deszczem wplątywało się w ich włosy. Błyskawica rozświetliła las przesywającą jasnością. Przez ułamek sekundy pnie drzew oddzieliły się od siebie, a gdy usłyszeli grzmot, zaledwie sekundę później, złąły się znów w jedno.

Chata stała na wzgórzu, wciśnięta między drzewa; gdyby nie wiedzieli, gdzie jej szukać, prawdopodobnie nigdy by jej nie zauważyli. Niepozorny domek pomalowany na brązowy kolor, w środku było ciemno. Podeszli do drzwi. Z uniesioną bronią, gotowi.

Przy drzwiach była szybka. W szybcie okragły otwór. Hjelm nacisnął cicho klamkę. Drzwi były zamknięte. Włożył rękę przez otwór w szybie i przekręcił zamek. Potem wyważył drzwi kopniakiem. Wpadli do środka.

Jeszcze zanim Chavez znalazł włącznik i oślepiło ich światło, obu uderzył smród. Wymienili między sobą spojrzenia. Dobrze wiedzieli co to.

Przeszli przez chatę, nie zajęło im to dużo czasu. Salon z aneksem kuchennym i minisypialnia. Wszędzie pusto, jakby nikogo tu nie było. Gdyby nie otwór w szybie i smród, pewnie schowaliby już broń.

Obok zlewu zauważyli drzwi. Hjelm uchylił je ostrożnie. Ciemne betonowe schody prowadziły do piwnicy. Nie zauważyli włącznika. Zeszli powoli na dół z podniesioną bronią.

Niczego nie widzieli. Byli już na dole. Smród się wzmagął.

Przesunęli dłońmi wzdłuż lodowato zimnej kamiennej ściany. W końcu Chavez znalazł włącznik światła. Pod sufitem zapaliła się goła, słaba żarówka. Na krześle siedział Andreas Gallano. Patrzył na nich. W jego oczach rysował się niemy ból. W jego odsłoniętej szyi zobaczyli dwie dziurki.

Wrócili na górę. Hjelmski usiadł na podłodze. Gdy wybierał numer Hultina, drżała mu ręka. Chavez przewiesił się przez zlew i włożył głowę pod kran. Wciąż trzymali kurczowo broń.

Chavez patrzył przez chwilę w hałaśliwe ciemności. Błyskawica rozświetliła las. Wydał mu się straszliwie obojętny.

Usiadł obok Hjelmskiego. Usłyszeli huk. Przysunął się bliżej. Hjelmski siedział bez ruchu. Dotknęli się ramionami. Potrzebowali tego.

Niemal jednocześnie wyciągnęli karteczki z kieszeni. Z trudem je rozwinęli.

„Trup z dziurami w gardle”, przeczytali na kartce Chaveza.

„Nieboszczyk z perforowanym gardłem”, przeczytali na kartce Hjelmskiego.

Uśmiechnęli się słabo do siebie.

Tworzyli znakomity tandem.

EMERYT. W drodze na przystań próbował kilkakrotnie smaku tego słowa. Właściwie nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić.

Życie na pełnych obrotach. Cały czas w biegu. Spotkania. Podróże. Fala radości przy podpisywaniu kontraktu.

Brakowało mu tego wszystkiego. Czuł to wyraźnie.

Została mu tylko łódź. Żona zmarła wiele lat temu, ledwo ją pamiętał. Migotanie gdzieś w kąciku krajobrazu z przeszłości.

Teraz wszystko obracało się wokół łodzi. Jego duma. Leciwa drewniana dwumasztówka, klasycznej i niestety zapomnianej marki Hummelbo. Z 1947 roku, w doskonałym stanie.

To dlatego, że tak bardzo o nią dbał.

Dwa razy dziennie schodził do przystani. Zamienił się w nieopłacanego stróża klubu żeglarskiego.

Nawet najgorsza zawierucha nie była w stanie go powstrzymać. Nietypowa pogoda jak na środek września. Czy to ów owiany złą sławą efekt cieplarniany pokazał swoją obrzydliwą gębę? Porzucił tę myśl - nawet w niego nie wierzył. Dziecinada zielonych. Zawsze zwalają na innych. Czy nie rozumieją, ile zawdzięczają przemysłowi i samochodom? Czym byliby bez nich? A ile syfu roznoszą stare frachtowce Greenpeace'u?

Jesienny sztorm nie dawał za wygraną. Mężczyzna zszedł z trudem na Lidingokusten i wyjąwszy pokaźny pęk kluczy, dostał się na teren klubu żeglarskiego. Jeszcze kilka kluczy i znalazł się na pomoście.

Ledwo co widział. Swoją żaglówkę dostrzegł dopiero wtedy, gdy przy niej stanął. Poczuł, jak zalewa go fala szczęścia zmieszanego

z dumą. Jego życie w miniaturze. Sprawdzał zamki. Łącuch był na swoim miejscu, przypominająca potrzask na lisy pułapka również. Ukłęknał, pochylił się i dotknął idealnie gładkiej dziobnicy. Prawdziwa rozkosz.

Pochylił się jeszcze trochę i przeciągnął dłonią po dziobie aż do linii wody. Złapał za coś ręką. Deszcz padał bez przerwy, nie potrafił niczego dojrzeć. To coś było śliskie. Niczym wodorosty.

Wodorosty? Dopiero co oczyścił łódź.

Złapał z całych sił i pociągnął.

Spojrzał w parę szeroko otwartych oczu.

Puścił natychmiast i zaczął krzyczeć.

Gdy ciało wpadło z powrotem do wody, zastanowiło go, skąd na białej szyi wzięły się dwie czerwone od krwi dziurki.

Wampiry na Lidingó?

VIGGO Norlander wrócił do swojej monotonnej oślej roboty, choć wciąż powtarzał sobie, że to, czym się zajmuje, nie ma nic wspólnego z osłami. Miał do wykonania ważne zadanie, które zostało mu przydzielone przez wzgląd na jego wyjątkowe kompetencje.

Dotarł do patologa jeszcze przed trupem, co już samo w sobie stanowiło dowód jego wyjątkowych kwalifikacji. Niestety, nie był sam.

Nie rozumiał do końca, jak to możliwe, ale na miejscu czekała już część zainteresowanych, których spotkał tego okropnego przedpołudnia; robił wszystko, żeby ostudzić rozgorączkowaną atmosferę.

Byli więc Johnssonowie, którzy wciąż mieli nadzieję, że odnajdą swojego zięcia u patologa w szpitalu Karolińska, a nie w jego bahrajńskim haremie. I stary flisak, powtarzający bez przerwy „mój syn, mój syn”. Była też Justine Lindberger, młoda urzędniczka z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, która tak bardzo tęskniła za swoim zaginionym mężem.

Gdy stary puchacz Sigvard Qvarfordt wyrzwał ze swojego gniazda, kiwając na Norlandera, ten zdążył już postanowić, że jako pierwszą przyjmą Justine Lindberger. Wyglądało na to, że zdążyła dojsć do siebie po porannym załamaniu, mimo to Norlander zatroszczył się, żeby personel medyczny był w stanie gotowości.

Wprowadził ją ostrożnie do chłodni. W odróżnieniu od niezidentyfikowanego mężczyzny z Frihamnen nowy trup nie trafił jeszcze do lodówki; leżał na noszach pośrodku pokoju przykryty

szpitalnym prześcieradłem. Qvarfordt został, żeby dopilnować, by przyszły materiał dowodowy nie uległ uszkodzeniu. Odchylił prześcieradło dla Justine Lindberger.

Mężczyzna był niewiele starszy od poprzedniego. Ciemne włosy kontrastowały silnie z bladoniebieską twarzą, lekko opuchniętą od leżenia w wodzie; w szyi miał dwie dziurki.

Justine Lindberger wydała z siebie cienki pisk, kiwnęła głową i wybiegła na korytarz. Na zewnątrz czekał już personel medyczny, zatrzymali ją. Gdy tylko igła strzykawki ze środkiem uspokajającym wbiła się w jej ramię, Norlander zadał zbyteczne, jak wszystko na to wskazywało, pytanie:

- Czy rozpoznała pani zmarłego?
- To mój mąż - szepnęła Justine Lindberger. - Erie Lindberger.

Po chwili zasłona z mgły zlitowała się nad Justine Lindberger i zakończyła ten długi, straszliwy dzień.

CENTRUM dowodzenia pozbyło się wreszcie towarzyszącego mu cudzysłowu. Najdobitniej świadczyła o tym biała tablica, która zawisała za katedrą Hultina. Nadszedł czas strukturyzacji. Kolorowe pisaki podskakiwały z niecierpliwości.

Jak to mawiają dziennikarze sportowi, z butelki keczupu potężnie strzyknęło. Najpierw nic, potem znowu nic, a na koniec wszystko naraz. Choć istniało również ryzyko, że na powszedni szwedzki chleb spadła tylko górna warstwa ulubionej amerykańskiej przyprawy. Kanapka mogła wkrótce zatonać w kleistej czerwonej mazi.

Jakkolwiek było, morderca z Kentucky przystąpił do działania. W ciągu jednej godziny dwie kolejne ofiary zostały dorzucone do rachunku prawdopodobieństwa. Coś ruszyło; zapewne dopiero się rozpędzało.

Minęła już dziewiąta. Wszyscy byli na miejscu. Nikomu nawet nie przyszło do głowy narzekać na niewygodne godziny pracy. Jan-01ov Hultin szalał w papierach. Fragmenty układanki wreszcie trafiły na swoje miejsce. Wstał, chwycił pisak i rozpoczął swój monolog.

- No tak. - Ze spokojem zabrał się do rysowania czworoboków i strzałek, nie przerywając wywodu. - Trzeciego września o godzinie 8.01 morderca z Kentucky przekroczył granice Szwecji z paszportem na nazwisko Edwina Reynoldsa, po tym jak poprzedniej nocy zamordował krytyka literackiego Larsa-Erika Hassela na lotnisku Newark na obrzeżach Nowego Jorku. Wkrótce udał się do Riali w Roslagen; stan, w jakim znajduje się ciało

Andreas Gallana, wskazuje na to, że został on zamordowany ponad tydzień temu, co by zgadzało się z czasem, który upłynął od przybycia mordercy z Kentucky do Szwecji. Andreas Gallano po ucieczce z Hall ukrył się najwyraźniej w chacie, która, pomijając szereg figurantów, należała do uciekiniera podatkowego Roberta Arkaiusa, swego czasu kochanka matki Gallana. Nie wiemy, co takiego się tam wydarzyło, wiemy jedynie, że morderca z Kentucky pozbawił go życia swoimi ulubionymi metodami. Są dowody, że spędził w towarzystwie rozkładającego się trupa jeszcze około tygodnia. Fakt, że udał się do kryjówki krótko po przybyciu, wskazuje na wcześniejsze kontakty z Gallanem bądź jego syndykatem narkotykowym. To jeszcze trzeba będzie sprawdzić. Teraz sprawy się komplikują. Beżowy saab Gallana został znaleziony w pobliżu miejsca podwójnego morderstwa. Mógł tam oczywiście stać od dawna z całkiem innych powodów, jednak w tej chwili wszystko wskazuje na to, że morderca z Kentucky wczorajszej nocy, to znaczy dwunastego września, pojechał samochodem Gallana do Frihamnen, gdzie zamordował kolejne dwie osoby, do tej pory niezidentyfikowanego mężczyznę, którego wzorem amerykańskim nazwiemy John Doe, czterema strzałami w serce, i trzydziestotrzyletniego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych Erica Lindbergera swoimi charakterystycznymi szczypcami. W tym samym czasie, gdy Hjelm i Chavez znaleźli Gallana, ciało Lindbergera odkrył emerytowany dyrektor Johannes Hertzwall na terenie klubu żeglarskiego na Lidingó. Eric Lindberger ma takie samo wampirze ukąszenie jak Gallano i Hassel. Z szybkich oględzin przeprowadzonych przez Qvarfordta wynika, że zmarł w podobnym czasie co nasz John Doe, czyli niecałą dobę temu; klub żeglarski położony jest w niedalekiej odległości od Frihamnen. Jest więc wielce prawdopodobne, że to ciało Erica Lindbergera o godzinie trzeciej w nocy zamaskowany mężczyzna załadował do bagażnika dziesięcioletniego volvo kombi z numerem rejestracyjnym zaczynającym się na literę B.





Hultin zrobił przerwę i rozejrzał się dokoła. Uczniowie siedzieli jak trusie, próbując ogarnąć rozrastający się w straszliwym tempie wykres. Mówił dalej:

- Czy mogę zaproponować prawdopodobny scenariusz? Morderca z Kentucky udaje się do Frihamnen, żeby dokonać dwóch, jak się zdaje, doskonale zaplanowanych zabójstw. Jedzie tam samochodem Gallana, ale na miejscu czeka na niego kolejny. Pozbawia swoje ofiary życia w jakiejś opuszczonej piwnicy, owija je w koce i wkłada do samochodu. Przerywa mu grupa prawników, którzy zeszli na manowce, pakuje więc tylko jedno ciało, Lindbergera. Drugie, dwudziestopięcioletniego Johna Doe, zostawia na miejscu. Jest przekonany o tym, że incydent z samochodem został zgłoszony na policję, postanawia więc jak najszybciej zejść jej z oczu, udaje się na Lidingó, pozbywa się ciała i znika.

- A więc zakładasz - odezwał się Gunnar Nyberg - że włamanie do magazynu LinkCoop nie ma nic wspólnego ze sprawą.

- Jakoś nie pasuje mi do scenariusza. Czy ktoś chciałby skomentować? Nie? Moim zdaniem to mało znaczące zdarzenie, które nie powinno nas interesować. Możliwe, że włamanie nie powiodło się, bo sprawcy stali się świadkami znacznie poważniejszego przestępstwa i uciekli.

- Niekoniecznie - stwierdziła Kerstin Holm z charakterystycznym dla niej namysłem. - Może masz rację, że sobie to wszystko zaplanował, ale jak już, to tylko w wypadku Lindbergera. Ten biedak rzeczywiście został potraktowany szczypcami. Ale jeśli za strzałami w serce również stoi morderca z Kentucky, to pierwszy raz zmienił metodę. Bardzo możliwe, że nasz John Doe to włamywacz, który jest przypadkowym świadkiem tego, jak morderca zaciąga do magazynu swoją ofiarę, zostaje zauważony i zastrzelony. Zgodzę się, że zabójstwo Lindbergera było dobrze zaplanowane, ale nie zabójstwo Johna Doe.

Hultin kiwnął w milczeniu głową. Potem zmienił wątek.

- *Bock to basics*. Dlaczego morderca z Kentucky wybrał Szwecję? Najwyraźniej w ten czy inny sposób znał Gallana, ale czy Gallano rzeczywiście był celem wyjazdu? Czy zrobił to, co zamierzał

- to znaczy zabił Gallana - zaraz po przyjeździe, a cała reszta to tylko efekt rozbudzonej żądzy krwi? Po dziewięciu dniach spędzonych w bliskości rozkładającego się ciała ta żądza całkowicie nim zawiądnęła: poczuł, że czas zabić kolejny raz. A może Gallano był tylko środkiem, a nie celem? Może celem był raczej Eric Lindberger? Wskazywałoby na to dziwne miejsce morderstwa; nie jedzie się przecież do pustego Frihamnen w środku nocy, żeby szukać ofiary. Nie, on w i e d z i a ł, że Lindberger tam będzie. Trzeba więc dokładnie prześwietlić Erica Lindberga.

- Nie jest powiedziane, że Lindberger naprawdę tam był - odezwała się Kerstin Holm. - Mógł zostać tam przewieziony. Albo morderca wybrał go na chybił trafił, uśpił, a potem przetransportował w odludne miejsce, gdzie znajdowały się odpowiednie pomieszczenia, albo też ustalili spotkanie z tego czy innego powodu i Lindberger przyjechał na nie dobrowolnie. Zarówno osoba, jak i miejsce mogą równie dobrze być przypadkowe.

Hultin skinął głową; powoli przyzwyczajał się do tego, że jego scenariusze są rozrywane na kawałki. Czy jego żądło się stępilo? Czy czas już przekazać ster drugiemu pilotowi? Kerstin Holm, która po latach rzeczywiście miała go zastąpić, w tej chwili z pewnością można było nazwać drugim pilotem.

- Powinniśmy ustalić miejsce morderstwa - powiedział tylko.

- W okolicy, w której znaleźliśmy Johna Doe, są pewnie setki odpowiednich pomieszczeń.

- LinkCoop wydaje się najbardziej prawdopodobny - rzucił Nyberg. Nie mógł przestać myśleć o wizycie w Taby.

Hultin zebrał siły.

- Wciąż za mało wiemy o mordercy z Kentucky - zaczął powoli.

- Najlepiej się w tym orientujesz. Prawda, że dużo brakuje?

- Moim zdaniem, jeśli mamy zająć się wątkiem szwedzkim, musimy być na miejscu w Stanach, żeby móc skonsultować się

z FBI i Rayem Lamerem. Nie jest powiedziane, że Amerykanie dostrzegliby wątek szwedzki, nawet gdyby podgryzał im kostki. Ledwo wiedzą, gdzie leży Szwecja. Szwajcarskie zegarki i niedźwiedzie polarne na ulicach... Holm zrobiła krótką przerwę i zmieniła nieco temat.

- Tym razem wymknął nam się dzięki twoim zagubionym prawnikom. Możemy sprawdzać w nieskończoność syndykat narkotykowy Gallana, Lindbergera, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, LinkCoop, ale wydaje mi się, że jedyną racjonalną drogą jest droga amerykańska. Żeby go złapać, musimy wiedzieć, kim on jest i dlaczego przyjechał do Szwecji. Inaczej tylko marnujemy czas.

- Teraz przynajmniej wiemy, że tu jest - powiedział Hultin. - Wcześniej nie pozwolono by nam marnować pieniędzy podatników na lot do Stanów. Teraz już tak. Teraz też mamy się na czym oprzeć - co więcej, mamy sporo do zaoferowania FBI. Jutro udam się do Mórnera i postaram się uzyskać zgodę na wysłanie dwojga z was do Stanów. Po pierwsze tej, która najlepiej zna materiał, czyli ciebie, Kerstin, po drugie kogoś bardziej - mruknął, patrząc z ukosa na Hjelma - przedsiębiorczego.

Hjelm wzdrygnął się. Chociaż robił, co mógł, był poważnie zdekoncentrowany. I to właśnie teraz, kiedy wszystko się zaczęło. Dopiero co widział nadgniłe ciało człowieka torturowanego w jakiejś piwnicy pośrodku głuchego lasu, a teraz czekał go jeszcze powrót do domu i rozmowa z synem. Na dodatek dowiaduje się, że ma lecieć do Stanów. Co więcej, z Kerstin. Tego było już trochę za dużo.

- Lagnmyr ostrzy na ciebie zęby - powiedział Hultin ze spokojem. - To dobra okazja, żeby zejść mu z oczu.

- Mam jechać do Stanów? - Hjelm był wyraźnie zdezorientowany. - I kto to jest, kurwa, Lagnmyr?

- Svante Ernstsson wziął na siebie, ile mógł - ciągnął Hultin, nie zwracając na niego uwagi - ale Lagnmyr go przejrzał. Chyba nawet nie znał tej spalonej miejscówki, ale nie przepada za tobą,

co do tego nie ma wątpliwości. Jedź więc lepiej do Stanów. Opowiedz Lamerowi o waszych fantazjach związanych z KGB. Na pewno znajdziesz w nim wiernego słuchacza.

- Ale ja nie powinienem jechać do Stanów - odparł Hjelm, nie mogąc wciąż dojść do siebie. - Przecież to tutaj wszystko się dzieje.

- Zobaczmy, jak sprawy się ułożą - powiedział Hultin odrobinę pojednawczo. - Spakuj w każdym razie ojcowski kuferek. W tej chwili podział pracy wygląda następująco: Paul i Kerstin jadą do Stanów, Jorge bierze Gallana, Gunnar pracuje nad Link-Coop, Viggo nad Johnem Doe, a Arto sprawdza Lindbergera i Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Brzmi rozsądnie?

Nikt się nie odezwał. Bez względu na wszystko robiło się już późno.

- Jeszcze jedno - rzekł Hultin ściszym głosem. - Już dłużej nie uda nam się utrzymać tego w tajemnicy przed mediami. Zaraz się zacznie. Można powiedzieć, że wchodzimy w nowy klimat społeczny. Czeką nas wyścigi na rozkładówki, zrobi się gorąco. W całej Szwecji ludzie zamontują w drzwiach dodatkowe zamki, zakupią tysiące broni, legalnej i mniej legalnej, a firmy ochroniarskie odnotują spore zyski. Do tej pory amerykańscy seryjni mordercy byli egzotycznym, ale odległym zagrożeniem. Nagle znaleźliśmy się znacznie bliżej amerykańskiego klimatu społecznego. Ostatni powiew względnej niewinności zniknie w tornadzie powszechnej podejrzliwości. Nikt nie odważy się spojrzeć za siebie.

Hultin oparł się o katedrę i przechylił do przodu.

- Szatan już tu jest, panie i panowie. Nawet jeśli uda się nam go schwytać, żadne egzorcyzmy nie pozwolą nam pozbyć się tego, co przyniósł ze sobą.

PAUL Hjelm szedł przez ciemne ulice Norsborgu z pożyczonym parasolem, dla niepoznaki upstrzonym policyjnymi logo. Deszcz najwyraźniej nie zamierzał odpuścić. Czarne jak piwnica niebo napępniało go przecuciem zbliżającego się potopu, który coraz częściej zalewał jego myśli.

Co takiego działo się ze Szwecją? Ten niewielki, leżący przy kole podbiegunowym rolniczy kraj, którego ruch ludowy wydał przed laty na świat pierwszą demokrację - sięgała społecznej głębi, lecz nigdy jej nie uwolniła - który wymigał się od koszmarów drugiej wojny światowej, chowając wszystkie trupy do szafy, dostał bajkowe wręcz fory w stosunku do reszty państw europejskich, więc stać go było na odgrywanie roli zadzierającego nosa sumienia świata, ale gdy kraje, których nie ograniczała wewnętrzna niemoc, dogoniły go, przepadł nie tylko najwyższy na świecie standard życia, ale i sumienie świata. Dziwne, naiwne, deterministyczne przekonanie o tym, że wszystko i tak zawsze jakoś się ułoży, doprowadziło do sytuacji, w której w latach osiemdziesiątych Szwecja bardziej niż jakikolwiek inny kraj oddała się w ręce kapitału międzynarodowego i pozwoliła, by ten rozpanoszył się bardziej niż gdziekolwiek indziej.

Krach, jaki nastąpił, był tak naprawdę jedynie kontynuacją całkowitego i świadomie przeprowadzonego demontażu politycznego zarządzania przepływami wirtualnego kapitału w latach osiemdziesiątych. Zapłacić mieli wszyscy - wszyscy, tylko nie wielkie spółki. Gdy kraj znalazł się na krawędzi bankructwa, one jeszcze zwielokrotniły swoje zyski. Obciążone zostały

gospodarstwa domowe, opieka zdrowotna, edukacja, kultura - wszystko, co jest dalekosiężne. Najmniejsza sugestia, że również spółki powinny zapłacić choć trochę, troszeczkę za to, do czego doprowadziły, odpierana była jednogłośnie groźbą przeniesienia kapitału za granicę. Cały naród musiał od tej pory myśleć o pieniądzach. Szwedzka dusza wypchana została po brzegi pogonią za pieniądzem, zostały tylko małe, malutkie otwory - a w nich nie starczyło oczywiście miejsca na nic dalekosiężnego, tylko na loterie, zakłady i telewizyjną sieczkę; miłość zastąpiły opery mydlane i porno z kablówki, potrzeby duchowe na bieżąco zaspokajano gotowymi do spożycia produktami New Age, docierająca do ogółu muzyka była szyta na wymiar sprzedaży, media ukradły język, a ze swojego uczyniły normę, reklama ukradła uczucia i przeniosła je z właściwych obiektów na swoje produkty, poważnie wzrosła sprzedaż narkotyków. W dekadzie lat dziewięćdziesiątych kapitał zafundował sobie jazdę próbną z przyszłości, w której zastępy dożywotnio bezrobotnych będą trzymane w szachu, żeby nie wszczęły rewolucji. Odurzająca rozrywka, lekarstwa bez recepty, konflikty etniczne, żeby skierować wściekłość w inną stronę, manipulacje genetyczne, aby ograniczyć konieczność przyszłej hospitalizacji, i koncentrowanie się na comiesięcznym tańcu na linii prywatnej ekonomii - czy potrzeba było czegoś więcej, by całkiem zmarnować hodowaną przez tysiące lat duszę ludzką? Czy gdzieś jeszcze istniała niebezpieczna przestrzeń, gdzie można było ukrócić wolne, kreatywne i krytyczne myślenie i skierować je na inne tory, zanim rozkwitnie tysiącem kwiatów?

Reakcją było polowanie na rekiny, jednak wciąż była to reakcja świadoma. Uderzająca na ślepo, pozbawiona litości przemoc nie była dotąd w Szwecji spotykana - bezgraniczna frustracja, lodowato zimny i pozbawiony empatii odwet na wszystkim i wszystkich. Teraz sytuacja miała się zmienić - zaczęło się i było to całkowicie logiczne. Dary władców wszechświata nie podlegają selekcji. Jeśli importuje się jakąś kulturę *en masse*, trzeba się

liczyć ze skutkami ubocznymi, które wystąpią, prędzej czy później.

Przez nieprzeniknioną ścianę deszczu Paul Hjelm dostrzegł oświetlone kontury założenia miejskiego Norsborg, którego celem niewątpliwie było pozbawienie człowieka resztek godności. Zatrzymał się, złożył parasol z iluzorycznym *signum* zwycięstwa porządku nad chaosem i pozwolił, by zalała go powódź. Kim był, żeby rzucić pierwszy kamień?

Zacisnął mocno oczy. Czy naprawdę nie zostało już nic z codziennej, prywatnej moralności, która nie kieruje się poklaskiem? Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe.

Zamierzał wypożyczyć pod koniec dnia służbowy samochód, ale ponieważ wyprawiał się w podróż do mekki współczesnej kultury, nie był mu już potrzebny. Ruszył spacerem ze stacji metra. Przyspieszył. Biegł. Przez strumienie wody, z parasolem wciśniętym pod ramię. Potrzebował tego. Chciał, żeby zalewające go zmęczenie wypchnęło wszystko inne. Gdy dobiegł do drzwi szeregowca, poczuł, że cel został osiągnięty. Wszedł chwiejnym krokiem do przedpokoju, jego zadyszce towarzyszył niepokojący dźwięk, którego nie rozpoznawał. W środku było ciemno, minęła już jedenasta. W salonie paliło się słabe światło. Nie był to telewizor, tylko niewielka świeca. Odczekał, aż uspokoi mu się oddech. Zdjął skórzaną kurtkę i zawiesił na wieszaku. Wszedł do środka.

W pokoju czekał na niego Danne. Żadnej MTV, żadnych komiksów, żadnych gier komputerowych. Tylko Danne i płomień świecy.

Paul potarł mokre od deszczu powieki i dopiero po chwili odważył się spojrzeć synowi w oczy. Beskutecznie. Danne siedział ze spuszczonego wzrokiem, wpatrując się w stół, na którym paliła się świeczka schowana w grocie ze szkła.

Podszedł bez słowa i usiadł obok niego na kanapie.

Przez kilka minut siedzieli w całkowitej ciszy. Żaden z nich nie wiedział, jak zacząć; żaden więc nie zaczynał.

Pierwszy odezwał się Danne; jego głos brzmiał, jakby wypłukał go płacz.

- On mnie tam zaciągnął. Nie wiedziałem, dokąd idziemy.
- Serio? - zapytał tylko Paul Hjelm.

Danne kiwnął głową. Znow zapadła cisza. Ojciec otoczył syna ramieniem. Ten nie stracił go.

Bycie dorosłym oznacza tylko tyle, że człowiek lepiej potrafi ukryć swoją niepewność.

- Za dużo w życiu widziałem - powiedział Paul ze spokojem. - Wystarczy raz, drugi i wszystko zmarnowane. Nie pozwolę na to.
- To się nie powtórzy.

Najpierw było niebo, słońce, księżyc, las, morze. Pierwszy człowiek widział to wszystko. Potem pojawił się ogień, który z początku przerażał, ale z czasem został okiełznany i potem już zawsze towarzyszył człowiekowi. Płonący przed nimi płomień świecy był ich ogniskiem. Wokół niego zebrał się klan. Chodziło o wierność krwi. Siedzieli jeszcze przez chwilę, wpatrzni w prastary obraz, który przywodził wspomnienia krwi.

Zła krew wraca.

Wstali. Spojrzeli na siebie.

- Dziękuję - powiedział Hjelm, choć nie wiedział, co ma na myśli.

Zdmuchnęli świeczkę i weszli razem po schodach. Gdy Paul otworzył drzwi do sypialni, odezwał się Danne:

- Byłeś twardy.
- Trząsałem się ze strachu.

Paradoksalnie poczuł, jak ogarnia go duma, gdy szedł po omacku przez czarną jak smoła sypialnię. Darował sobie mycie zębów, wślizgnął się do łóżka, przysunął do Cilli. Potrzebował jej ciepła.

- O co chodziło z Dannem? - zamruczała.
- O nic - powiedział. I naprawdę tak myślał.
- Jesteś zimny jak lód - powiedziała, ale nie odsunęła się.



- Ogrzej mnie.

Leżała obok, ogrzewając go. Pomyślał o czekającej go podróży do Stanów i związanych z nią ewentualnych komplikacjach. Tak naprawdę to chciał, by życie było możliwie jak najprostsze. Dzieci, które dają radość, i kobieta, przy której można się ogrzać.

- Jutro lecę do Stanów - powiedział, żeby trochę ją sprawdzić.

- Dobra - odezwała się przez sen.

Uśmiechnął się. Parasol był złożony, a on suchy. Jeszcze przez chwilę.

»

ARTO Söderstedt zwykle nie tęsknił za słońcem. Uwielbiał niuanse. Zauważył, że nowi mieszkańcy Sztokholmu delektują się miastem, łącząc powierzchowną fascynację turystów ze zubożętym wzrokiem tubylców. Słońce ułatwiało obie te postawy, ale by zadowolić nowego sztokholmczyka, potrzeba było przynajmniej częściowego zachmurzenia, dzięki któremu kolory wychodziły na wierzch, a nie spłaszczały się oświetlone jednostronnym słonecznym światłem.

To, że jego teoria mogła mieć coś wspólnego z jego własną nadwrażliwością na słońce, nie przyszło mu nawet do głowy.

Tymczasem teraz nawet on miał dosyć chmur. Stał pośrodku jednego z ulubionych miejsc w mieście i bardzo wyraźnie widział swoją dłoń, ale już nie Operę z jednej i Pałac Dziedzicznego Księcia z drugiej strony. To właśnie w jego kierunku dreptał, uzbrojony w błazeński parasol z niedźwiadkiem Bamse, który przez przypadek zabrał z domu; już widział minę córki, gdy spojrzył w nieboskłon policyjnych logo. Wdrapując się po budzących respekt schodach pałacu, musiał przyznać sam przed sobą, że naprawdę tęsknił za słońcem.

Nie był typem zazdrośnika, ale trochę posmutniał, gdy okazało się, że jego kandydatura nie została w ogóle wzięta pod uwagę w kontekście wyjazdu do Stanów; w końcu to on był ekspertem od seryjnych morderców. Zamiast tego wydreptywał monotonne ścieżki w terenie, które teraz prowadziły do recepcji Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Na przywitanie recepcjonistka oznajmiła, że Justine Lindberger jest na zwolnieniu lekarskim, że Erie Lindberger nie żyje i że w całym ministerstwie ustanowiono dzień żałoby. Soderstedt uznał, że nie ma potrzeby mówić jej, że informacja, której udzieliła, była zupełnie zbyteczna - nie tylko dla kogoś, kto zajmował się sprawą, ale dla każdego, kto miał otwarte oczy. Trąbiły o tym wszystkie poranne gazety i dzienniki telewizyjne. Nawet som-nambulik nie miał szans nie dowiedzieć się, że straszny morderca z Kentucky przyjechał do Szwecji, że policja wiedziała o tym od blisko dwóch tygodni i nie pisnęła ani słowa, nie dając obywatelom możliwości, żeby się odpowiednio przygotowali. Soderstedt naliczył ośmiu ekspertów, którzy domagali się, by spadły głowy zarządu policji.

- Czy państwo Lindberger pracowali w tym samym dziale?

Recepcjonistka, podejrzliwa kobieta około pięćdziesiątki, siedziała za oprawioną w ramę szybą i wyglądała jak współczesna wersja damy z obrazu Velazqueza. Wierny i jednocześnie wyjątkowo złośliwy portret wymierającej klasy. Soderstedt pomyślał, że mimo wszystko woli tę staroświecką, antypatyczną recepcjonistkę od nowoczesnych modeli o opływowych kształtach. Dama przejrzała z wyraźną niechęcią teczkę. Wymagało to wysiłku, któremu dała wyraz głębokim stęknieniem, by w końcu odpowiedzieć:

- Tak.

Znakomita odpowiedź, uznał Soderstedt, i zapytał:

- Kto jest ich bezpośrednim zwierzchnikiem? Kolejny wysiłek, napięcie, stęknienie. I wreszcie:

- Anders Wahlberg.

- Jest tutaj?

- Teraz?

Nie, w pierwszy wtorek po wniebowstąpieniu Chrystusa, pomyślał Soderstedt, ale odparł z przymilnym uśmiechem:

- Tak.

Wywołało to zwyczajową reakcję, związaną z olbrzymim wysiłkiem, tym razem wynikającym z konieczności naciśnięcia dwóch

klawiszy. Po tym niemalże nadludzkim trudzie dama zdołała wydobyć z siebie zaledwie krótkie:

- Tak.
- Myśli pani, że mógłbym z nim porozmawiać?

Wzrok, który napotkał, dobrze znali dawni plantatorzy z biczem. Czarna niewolnica po raz kolejny musiała się poniżyć. Recepcjonistka wcisnęła nie więcej jak tylko trzy przyciski na telefonie i resztkami sił wydusiła:

- Policja.
- Ach tak? - zdziwił się głos w słuchawce.
- Można?
- Teraz?
- Tak.
- Proszę.

W rezultacie tego inspirującego dialogu Söderstedt powędrował przez oświetlony kryształowymi lampami korytarz, który ciągnął się za oświetlonym kryształowymi lampami korytarzem, i zabłądził dwanaście razy. W końcu jednak udało mu się znaleźć budzące respekt drzwi, za którymi urzędował szef departamentu Anders Wahlberg. Zapukał.

- Proszę wejść - zabrzmiał władczy głos z głębi pieczary.

Arto Söderstedt wszedł najpierw do eleganckiego przedpokoju z milczącą sekretarką, a potem do jeszcze bardziej eleganckiego biura z widokiem na wody Strommen. Anders Wahlberg był po pięćdziesiątce i nosił swoje korpulentne ciało równie dumnie jak swój krawat w kolorze mięty, który wyglądał jak śliniak najmłodszej córki Söderstedta po skończonym karmieniu.

- Arto Söderstedt - powiedział Arto Söderstedt. - Rikskriminalen.
- Wahlberg - powiedział Wahlberg. - Rozumiem, że chodzi o Lindbergera. Co za historia. Jak świat szeroki, Erie nie miał nawet jednego wroga.

Söderstedt usiadł bez zbytnich ceregieli na krześle naprzeciwko mahoniowego biurka Wahlberga z kandelabrem.

- Czym zajmował się Lindberger?

- Podobnie jak jego żona specjalizował się w świecie arabskim. Ich domeną był handel z Arabią Saudyjską i oboje pracowali w tamtejszej ambasadzie. Młodzi i dobrze się zapowiadający. Przyszli dyplomaci najwyższej klasy. Tak nam się wydawało. Czy naprawdę zginął z rąk amerykańskiego seryjnego mordercy?

- Na to wygląda - uciął Söderstedt. - Ile mają lat? Albo raczej mieli?

- Justine ma dwadzieścia osiem, Erie miał trzydzieści trzy. Odejść w wieku trzydziestu trzech lat...

- W średniowieczu tyle wynosiła średnia życia.

- To prawda - przyznał zaskoczony Wahlberg.

- Zawsze pracowali razem?

- Z reguły tak. Byli różnie ukierunkowani w swoich kontaktach handlowych. Poza tym mieli to samo zadanie: ułatwiać handel między Szwecją a światem arabskim, głównie Arabią Saudyjską. Współpracowali blisko z przedstawicielami życia gospodarczego z obu krajów.

- Różnie ukierunkowani?

- Ericowi przypadły wielkie szwedzkie spółki eksportowe, Justine te trochę mniejsze. Oczywiście upraszcam.

- Zawsze podróżowali razem?

- Nie, nie zawsze. Dużo podróżowali, nie zawsze w tym samym czasie.

- Żadnych wrogów?

- Nie. Absolutnie nie. Żadnych minusów w aktach. Nienaganna i rzetelna praca, ogólnie rzecz ujmując. I świetlana przyszłość, można powiedzieć, choć brzmi to tak banalnie. Justine miała jechać w najbliższych dniach, ale domyślam się, że teraz to niemożliwe. Zakładaliśmy, że Erie zostanie w kraju kolejnych kilka miesięcy. Teraz zostanie tu na wieki wieków amen.

- Wie pan, czego miała dotyczyć podróż Justine „w najbliższych dniach”?

- Nie znam szczegółów. Dopiero dzisiaj miała mnie o wszystkim pokrótce poinformować. Coś związanego z wprowadzeniem

nowego prawa regulującego działalność małych przedsiębiorstw. Spotkanie z przedstawicielami rządu saudyjskiego.

- I mimo najszczerzych chęci nie widzi pan w śmierci Erica niczego poza losem czy zbiegiem okoliczności?

Anders Wahlberg pokręcił głową i spuścił wzrok. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać.

- Byliśmy przyjaciółmi - powiedział. - Był dla mnie jak syn. W weekend byliśmy umówieni na golfa. Nie pojmuję tego, to okropne. Czy był... torturowany?

- Obawiam się, że tak - odparł Söderstedt, stwierdzając jednocześnie, że jego pełen współczucia ton trąci fałszem. Zmienił go na bardziej szorstki: - Nie muszę chyba mówić, jak bardzo zależy nam na zatrzymaniu tego mordercy? Czy przypomina sobie pan coś jeszcze, związanego z pracą lub życiem prywatnym, co może być istotne dla sprawy? Nawet najmniejszy drobiazg może mieć znaczenie.

Wahlbergowi udało się zamieść swój smutek pod maskę prawdziwego dyplomaty.

- Niczego sobie teraz nie przypominam. Prywatnie byli jedyną znaną mi szczęśliwą parą. Łączyła ich naturalna więź. Nie mam dzieci, będę za nim tęsknić tak, jak tęskni się za synem. Będzie mi brakować jego śmiechu, jego naturalnej prawości, jego pokornego spokoju. Kurwa.

- Czy potrafi pan podać powód, dla którego mógł znaleźć się we Frihamnen o wpół do trzeciej w nocy?

- Nie. To brzmi całkowicie niedorzecznie. Nawet na piwo po pracy w piątek trudno go było wyciągnąć. Zawsze wracał prosto do domu, do Justine.

- Chciałbym zajrzeć do jego biura. Gdybym mógł jeszcze prosić pana o dopilnowanie, by dane z jego komputera zostały przesłane do mnie, byłbym dozgonnie wdzięczny.

Anders Wahlberg kiwnął w milczeniu głową i wstał. Wyszedł na korytarz i przemaszerował kawałek. Zatrzymał się, wskazał jedne z drzwi palcem i zawrócił. Söderstedt odprowadził go

wzrokiem. Ruszył, gdy ocieężała postać zniknęła już w swoim pokoju żałobnym. Drzwi na prawo od drzwi Erica Lindbergera należały do Justine. Małżonkowie żyli i pracowali dosłownie ramię w ramię. Wszedł do biura Erica. Było mniejsze od biura Wahlberga, brakowało w nim przedpokoju z sekretarką, a okna wychodziły nie na wodę, tylko na Fredsgatan. Do pokoju małżonki prowadziły drzwi. Dotknął klamki, były otwarte.

Rzucił okiem na biurko. Średni bałagan, nic szczególnego. Na zdjęciu ze ślubu bardzo młoda, ciemnowłosa Justine i trochę starszy i równie ciemnowłosy Erie. Ten sam szeroki uśmiech, który nie wyglądał na doklejony, jak by sugerował to charakter zdjęcia, ale na wyćwiczony i jednocześnie naturalny. Miało się wrażenie, że szczęśliwi nowożeńcy z urodzenia i jakby z przyzwyczajenia należeli do wyższych warstw mieszczańskich, z ich dbałością o etykietę. Nie wyglądali, jakby musieli jakoś szczególnie zabiegać o swoją karierę, oboje wydawali się stworzeni do bycia dyplomatami.

Być może wyciągał zbyt daleko idące wnioski ze zwykłej fotografii ślubnej.

Poza tym trochę porzucanych notatek na oficjalnej papeterii Ministerstwa Spraw Zagranicznych i żółtych karteczkach samoprzylepnych i jeszcze kalendarz, dosyć gruby, jak to się mówi? Organizator? Zebrał wszystko, włożył do teczki i otworzył drzwi do pokoju Justine. Był identyczny jak pokój Erica.

Sprawdził również jej biurko. Stało na nim to samo zdjęcie ślubne, a raczej jedno z wielu z tej samej serii. Uśmiechy były jakby słabsze, mniej oczywiste, unosił się nad nimi lekki niepokój, coś przeszkadzało. Ta niewielka różnica między zdjęciami przemówiła do niezwykle rozwiniętej wrażliwości Söderstedta na niuanse.

Podobnie jak na biurku męża leżało tu sporo różnych kartek, na blacie i w szufladach. Przejrzał je, choć trudno byłoby mu znaleźć na to jakieś usprawiedliwienie. Spisał część zaszyfrowanych notatek, po czym z jednej z szuflad wyjął kalendarz, taki

... sam jak męża. Obejrzał się za siebie, szukając czegoś. W końcu znalazł. Miniaturowe ksero w rogu pokoju. Lekko zdenerwowany skopował kartki z kalendarza - miesiąc do przodu i miesiąc do tyłu. Powinno wystarczyć. Spakował notatki i skserowane kartki do teczki i odłożył kalendarz Justine Lindberger na miejsce. Potem wrócił do pokoju Erica, wyszedł na korytarz i zszedł powoli ze schodów. Uśmiechnął się na pożegnanie do recepcjonistki, która wyglądała, jakby zjadła psią kupę, rozłożył wspaniałą parasolkę z niedźwiadkiem Bamse i wybiegł w deszcz.

Zaparkował służbowe audi po drugiej stronie Gustav Adolfs-torg, przy samej Operze, biegł więc teraz przez rynek z teczką przyklejoną do ciała; parasolka chroniła tylko jego głowę.

Względnie suchy wskoczył do audi i od razu przejrzał blade kopie kalendarza Justine, żeby mieć asa w rękawie przed spotkaniem z wdową; miał nadzieję, że nie będzie musiał z niego skorzystać.

Potem ruszył, sunął wzdłuż Strómmen, minął Operakalla-ren, przejechał Błasieholmen, Nybrokajen i Sibyllegatan i skręcił w prawo w Riddargatan przy Armemuseum; żaloszony balon turystyczny latający nad miastem przez całe lato wciąż był na miejscu, ale w strugach deszczu wyglądał, jakby ktoś o nim zapomniał.

Wjechał pod górę, zatrzymał się, zaparkował w niedozwolonym miejscu przed jednym ze sklepów i pobiegł w deszczu do klatki. Nacisnął guzik przy tabliczce z napisem „Erie i Justine Lindberger”. Po czterech sygnałach usłyszał słabe:

- Tak?
- Justine Lindberger?
- Mam nadzieję, że to nie znowu prasa?
- Policja. Komisarz kryminalny Arto Söderstedt.
- Proszę.

W zamku coś zabrzączało i wszedł do środka, po czym wdrapał się na szóste piętro. Windy nie było. Justine Lindberger czekała już na niego w drzwiach. Norlander nie przesadzał, opowiadając o jej kruchym pięknie, choć użył do tego raczej



mało poetyckich słów. Söderstedt wolał wyobrazić ją sobie jako długonogą arabską księżniczkę pędzącą przez pustynię na białym rumaku. Zawstydzilo go to stereotypowe pierwsze skojarzenie.

- Söderstedt - wysapał, wymachując legitymacją policyjną.
- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam pani za bardzo.
- Proszę - powtórzyła. Jej głos był słaby od płaczu.

Mieszkanie wyglądało mniej więcej tak, jak się tego spodziewał. Na wskroś eleganckie, ale nie krzykliwe, raczej surowe, klasyczne. Szukał w głowie odpowiedniego przymiotnika.

Wskazała mu miejsce na skórzanej sofie, która wyglądała na rzadko używaną. Nie zawiódł się, była wyjątkowo wygodna. Tak bardzo, że można było na niej usnąć. Justine Lindberger usiadła na samym brzegu stylowego żeberkowego krzesła po drugiej stronie długiego szklanego stołu kształtem przypominającego cytrynę. Szklane drzwi prowadziły na balkon z widokiem na Nybroviken i Skeppsholmen.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia - powiedział powoli.
- Czy prasa naprzykrzała się pani?
- Presja była rzeczywiście spora - przyznała.

Brak zrozumienia na samym początku nigdy nie wróży niczego dobrego. Postanowił, że nie będzie tego komentować. Poza tym musiał szybko zdecydować się, która forma będzie odpowiedniejsza: „ty” czy „pani”? Zdecydował się.

- Czy potrafisz wyobrazić sobie powód, dla którego twój mąż został zamordowany?

Pokiwała powoli głową. Wciąż unikała jego wzroku.

- Nie - powiedziała. - Jeśli zabił go seryjny morderca, to raczej przez przypadek. Najstraszliwszy z możliwych.

- A nie mógł na przykład zginąć z powodu czegoś, co ma związek z waszymi kontaktami w świecie arabskim?

- Nasze kontakty miały charakter pokojowy.
- Zamierzałaś lecieć w piątek do Arabii Saudyjskiej. Jaki był cel tej podróży?

Wreszcie spotkali się spojrzeniami. Jej ciemnobrązowe oczy wypełniał smutek; przez krótką chwilę zdawało mu się, że jest w nich coś jeszcze, coś więcej niż tylko poczucie winy, jakie odczuwa się w stosunku do zmarłego partnera. Wszystko to, czego nie zdążyli sobie powiedzieć i czego już nigdy nie powiedzą. To, o czym powinni byli porozmawiać, ale co zawsze odkładali na później. W jej oczach kryło się coś jeszcze, był tego pewien, ale zdążyła odwrócić wzrok, zanim zdążył ustalić co.

- Chodziło o szczegóły dotyczące kilku nowo uchwalonych saudyjskich praw importowych, z konsekwencjami dla szwedzkich małych przedsiębiorstw. Co to mogłoby mieć wspólnego ze sprawą?

- Z pewnością nic. Muszę tylko uzyskać jasny obraz sytuacji. Czy jest ktoś, komu zależałoby, żebyś nie stawiała się na tym spotkaniu, bo jak się domyślam, raczej się na nie nie wybierasz?

Pokręciła z namysłem głową.

Potem znów spotkali się wzrokiem. Możliwe, że zauważył w nich jakiś błysk.

- Sądzisz, że nie chodzi tu o... jak go nazywają... mordercę z Kentucky?

Niemal wypluła z siebie te słowa.

- Rozważam po prostu inne możliwości niż tylko czysty przypadek - powiedział łagodnym tonem Söderstedt.

- Moja praca polega na ułatwianiu szwedzkim firmom działalności handlowej w Arabii Saudyjskiej, kosztem rodzimych firm i firm z innych krajów. W tej chwili tylko ja mam pełen obraz sytuacji i moja nieobecność może być korzystna dla firm z innych krajów.

- Jakich branż dotyczą te nowe saudyjskie prawa?

- Głównie przemysłu maszynowego. Ale zmiany są zbyt małe, by z ich powodu miało dojść do złamania prawa, a tym bardziej do morderstwa.

Söderstedt kiwnął głową i zmienił kurs.

- Jak byś opisała wasz związek? Twój i Erica?

- Bardzo dobry - odrzekła bez wahania. - Bardzo, bardzo dobry.  
Na wszystkich płaszczyznach.

- Nie jest trudno pracować z mężem?

- Wręcz przeciwnie. Mamy te same zainteresowania. Mieliśmy.  
Czas przeszedł! - krzyknęła nagle, wstała i wybiegła do toalety.  
Usłyszał dziki szum wody lecącej z kranu, niczym w ekskluzywnej  
japońskiej toalecie.

Söderstedt wstał, żeby przejść się po mieszkaniu. Było znacznie  
większe, niż mu się na początku zdawało. Szedł bardzo długo, aż w  
końcu znalazł się z powrotem w miejscu, od którego zaczął.  
Przypomniał sobie, że na klatce schodowej zauważył troje drzwi,  
co oznaczało, że mieszkanie Lindbergerów obejmowało całe  
piętro, oryginalnie podzielone na trzy mieszkania. Naliczył co  
najmniej dziesięć pokoi. Trzy toalety. Dwie kuchnie. Po co komu  
dwie kuchnie?

Wiedział oczywiście, że urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagra-  
nicznych mieli dobrą płacę zasadniczą, którą mogli prawie po-  
dwoić premiami, ale takie mieszkanie musiało kosztować dziesiąt-  
ki milionów koron. Możliwe, że zainwestowano w nie kapitał obu  
rodzin.

Gdy wróciła, zastała go siedzącego na kanapie, zupełnie jakby  
wcale nie ruszył się z miejsca. Miała zaczerwienioną twarz, chyba  
dopiero co ją wytarła. Poza tym nic się nie zmieniło.

- Proszę wybaczyć - powiedziała, siadając na krawędzi  
krzesła.

- Nic się nie stało - uspokoił ją. - Nie macie dzieci?

Pokręciła w milczeniu głową.

- Mam dopiero dwadzieścia osiem lat. Mieliśmy jeszcze tyle  
czasu.

- To spore mieszkanie jak na dwie osoby... Spojrzała mu w  
oczy i z miejsca przyjęła linię obrony.

- Możemy trzymać się tematu? - rzuciła ze złością.

- Przykro mi, ale musimy mieć jasność co do kwestii dziedziczenia. No to jak? Odziedziczysz wszystko?

- Tak. Odziedziczę wszystko. Myślisz, że torturowałam własnego męża? Myślisz, że to ja kazałam mu cierpieć przez tę piekielnie długą godzinę, wciskając mu te okropne szczypce w szyję?

W porządku, pomyślał. Teraz zwolnij.

- Przepraszam - powiedział. - Przykro mi.

Nie wystarczyło. Wstała. W miarę jak rosła w niej panika, coraz głośniejsze krzyczała:

- Tacy ludzie jak ty nie mają pojęcia, jak bardzo go kochałam! On nie żyje, nie ma go, nie ma go już na zawsze. Jakiś pieprzony szaleniec torturował mojego ukochanego, a potem wrzucił go do morza. Czy potrafisz sobie wyobrazić, co przeżywał przez tę straszliwą godzinę? Czy w ogóle się domyślasz? Wiem, że w tej ostatniej chwili widział mnie, powtarzam sobie, że to podtrzymało go na duchu. Coś musiało. To moja wina, że umarł! Ja powinnam była umrzeć, nie on! On umarł zamiast mnie!

Gdzieś w połowie tego potoku słów Söderstedt zdążył dobiec do telefonu. Miał już wybrać numer pogotowia, gdy nagle Justine Lindberger zamilkła i znów usiadła.

Wciąż jeszcze zaciskała nerwowo ręce wokół kolan, ale nagle opanowała się na tyle, żeby powiedzieć:

- Wzięłam pastylki na uspokojenie. Zaczynają działać. Mów dalej.

- Jesteś pewna?

- Tak. Mów dalej.

Söderstedt podszedł niepewnym krokiem do kanapy i usiadł. Teraz on też siedział na brzegu mebla. Spróbował wrócić do wątku:

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że to ty powinnaś umrzeć?

- Był bardziej szczęśliwym człowiekiem ode mnie.

- Tylko tyle?

- To wcale nie tak mało. Świat by dużo zyskał, gdybym to ja umarła zamiast niego.

Söderstedt pomyślał o drobnej różnicy między zdjęciami ślubnymi na biurkach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i po cichu ucieszył się, że dobrze trafił.

- Możesz to rozwinąć?
- Ericowi wszystko zawsze łatwo przychodziło, płynął beztrudnie przez życie. Ja tak nie mam. W ogóle. Nic więcej nie powiem.

Söderstedt nie miał zamiaru się upierać; obawiał się o jej stan. W tej sytuacji zapytał:

- Czy znasz powód, dla którego znalazł się we Frihamnen o wpół do trzeciej w nocy?

- Nie mam pojęcia. Nie wierzę w to. Musiał zostać tam przewieziony.

Znów zmienił kurs, częściowo świadomie, częściowo spontanicznie:

- Jak w tej chwili wygląda sytuacja w Arabii Saudyjskiej?
- Co masz na myśli?
- Jak jest teraz przykładowo z fundamentalistami?

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale odpowiedziała z pełnym profesjonalizmem:

- Są. Ale nie stanowią żadnej przeszkody dla handlu. Rząd trzyma ich w szachu, nie przebierając zresztą w środkach.

- Jak wygląda sytuacja kobiet? Czy szyje się więcej burek?

- Nie zapominaj, że fundamentalizm to ruch ludowy i to, co z perspektywy Zachodu wydaje się przymusem, nie zawsze nim jest. Zbyt łatwo uznajemy nasze normy za jedynie słuszne. Na świecie wciąż jeszcze więcej ludzi podciera się lewą ręką, niż wita prawą.

- Oczywiście - zgodził się Arto Söderstedt, a potem się rozpędził: - Ale czy nie jest też tak, że wojna w Zatoce Perskiej przyniosła inny od zamierzonego efekt? Amerykanie skupili się na Saddampie Husajnie, zlaicyzowanym dyktatorze, mordowali cywilów, dzieci i kobiety, utrzymali Saddama przy władzy, zmobilizowali muzułmanów i tyle zainwestowali w Arabię Saudyjską, że duża część kasy trafiła w ręce saudyjskich fundamentalistów. Należą oni do najbogatszych i najlepiej zorganizowanych w całym świecie arabskim, są jak pająk w sieci, który żywi się amerykańskimi zasobami. Czy to nie ironia losu?

Justine Lindberger patrzyła ze zdumieniem na dziwnego, białego jak kreda policjanta mówiącego z fińskim akcentem, który najwyraźniej lubił od czasu do czasu przewietrzyć swoje polityczne teorie. Na koniec odezwała się zmęczonym głosem:

- Może powinieneś być zostać politykiem.
- Nie, dziękuję - powiedział Arto Söderstedt.

NAJPIERW deszcz, nieubłagany potop, grzmocąca nieustannie ciemność, która zalewała każdą iskrę światła, wilgoć zostawiająca po sobie gnijące rozpadliny i pleśń. Potem pędem do samego jądra, pierwotnego źródła, miotającego się, ryczącego piekła, w serce potopu, w zarzewie zgnilizny, w głębszą ciemność, nieogarnioną. A potem na drugą stronę, ku jasności. Do spokoju, światła, przestrzeni, dzięki której ciemność, jeszcze przed chwilą wszechogarniająca, staje się mała, odległa i możliwa do objęcia wzrokiem.

Paul Hjelm pragnął, by życie było jak samolot, który unosi się w jesiennej ulewie.

Albo chociaż żeby takie było to śledztwo.

Światło oślepiało jak ciemność człowieka dotkniętego ślepotą śnieżną. Rozświetlało poczerniałą górną warstwę chmur, tak że błyszczały niczym renensansowy brąz. Jak tło na obrazach Rembrandta.

Nie mógł oderwać oczu od tej gry kolorów; dawno nie widział czegoś podobnego. W czasie rzeczywistym jesienna zawierucha trwała zaledwie od kilku dni, ale czas rzeczywisty nie miał teraz nic do rzeczy - deszcz za jednym zamachem wymazał lato z jego pamięci. Siegała ona już tylko dnia, w którym morderca z Kentucky przybył do Szwecji. Wszystko, co miało miejsce wcześniej, spowijał mrok.

Miał nadzieję, że kolejne godziny lotu w słońcu wyrwą go z czasu, przynosząc jasność widzenia; mieli wylądować mniej więcej o tej samej porze, o której wystartowali. O ile samolot nie runie.

Nie bał się latać - a mimo to sekundy, w czasie których mało przyspieszenie, a koła samolotu odrywały się od ziemi, powodowały, że przechodził go głęboki dreszcz, jakby oddawał swoje życie w ręce nieznanego.

Na ponad kwadrans zapomniał się, zafascynowany, zanim w ogóle przyszło mu do głowy, żeby obrócić się w stronę Kerstin. Okazało się, że wciąż tam była. Rozpoznawał ten wyraz twarzy, którego nie zauważył nigdy u siebie, choć teraz, z perspektywy, uznał, że jednak musiał go mieć. Gdy minęła ich stewardesa z wózkiem, spojrzeli na siebie, stosunkowo naturalnie. Do słów było im wciąż daleko.

To tutaj siedział seryjny morderca, być może na tym właśnie miejscu, i patrzył przez okno - nie w oślepiające słońce, ale z pewnością w równie oślepiającą ciemność. O czym myślał? Co czuł? Przed chwilą zamordował człowieka - co wypełniało jego duszę?

I dlaczego wybrał Szwecję? W odpowiedzi na to pytanie kryło się rozwiązanie zagadki. Paul starał się zrobić podsumowanie. Pod koniec lat siedemdziesiątych jakiś człowiek zaczyna zabijać ludzi na środkowym zachodzie Ameryki. Jego metoda przypomina metodę stosowaną w czasie wojny w Wietnamie przez jednostkę specjalną zwaną Commando Cool. Osiemnaście ofiar w ciągu czterech lat, większość niezidentyfikowana, większość w Kentucky. Ofiary, których tożsamość ustalono, to przedstawiciele środowiska akademickiego, z zagranicy i z kraju. FBI udaje się namierzyć dowódcę owej jednostki specjalnej, Wayne'a Jenningsa, szuka też po omacku tajemniczego oficera, któremu podlegał ten ostatni, ukrywającego się pod pseudonimem Balls. Po szesnastym morderstwie Jennings ginie w wypadku samochodowym. Dwa kolejne zabójstwa mają miejsce zaraz potem, później jest przerwa, trwa ponad dziesięć lat. I wszystko zaczyna się od początku. Wiele wskazuje, że to ten sam sprawca. Atakuje w północno-wschodnich Stanach, głównie w Nowym Jorku. Tym razem udaje się zidentyfikować wszystkie ofiary, mają różne pochodze-



nie. Schemat działania mordercy wydaje się bardziej przypadkowy. Po szóstym zabójstwie w nowej serii, łącznie dwudziestym czwartym, dokonanym na Szwedzie Larsie-Eriku Hasselu, morderca nagle opuszcza kraj i ląduje w Sztokholmie, posługując się fałszywym paszportem. Udaje się do leżącej na odludziu chaty dealera Andreeasa Gallana kilkadziesiąt kilometrów na północ od Sztokholmu, która zgodnie z najnowszymi informacjami została skrzętnie oczyszczona z odcisków palców i włókien. Po ponad tygodniu morderca odjeżdża samochodem właściciela, którego uśmierca w charakterystyczny dla siebie sposób. Prawdopodobnie jeszcze tej samej nocy jedzie do Frihamnen, gdzie zabija kolejne dwie osoby: urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych Erka Lindbergera oraz dwudziestopięcioletka o nieznanym wciąż tożsamości. Pierwszy ginie w tradycyjny sposób, drugi - od strzałów w serce. Jak do tej pory to jedyna ofiara, w przypadku której morderca odstąpił od swojej metody i użył broni. W przypiływie patriotyzmu neofity przesiada się z saaba do volvo, dziesięcioletniego granatowego kombi z numerem rejestracyjnym zaczynającym się na literę B. Od tego czasu nie wychodzi z ukrycia. Jak to się, kurwa, ma do siebie?

- Jak to się, kurwa, ma do siebie? - odezwała się Kerstin Holm. Pierwszy raz od chwili, gdy samolot wystartował z Arlandy i obrał kurs na Nowy Jork. Najwyraźniej nadawali na tej samej fali.

- Nie wiem - westchnął Paul Hjelm.

Zamilkli.

Za połyskującą szybką z pleksi słońce świeciło oślepiająco i jakby poza kalendarzem; równie dobrze mogłaby być zima albo lato - a była akurat jesień. Znaleźli się w zawieszeniu. Jak podróż w czasie, jedyna możliwa. Czas płynął i nie płynął. Przestrzeń na kontemplację.

Miał ochotę napić się grogu, posłuchać muzyki i coś poczytać. Wszystko to musiało poczekać.

A hipotezy? Nawet one musiały poczekać. Teraz chodziło przede wszystkim o to, aby otworzyć się na te wszystkie informacje,

które - jak się domyślali - zaleją ich w Nowym Świecie. Nie spieszyć się z odpowiadaniem na pytania. Było ich całkiem sporo.

Dlaczego morduje? Czy z tych samych powodów przed przerwą i po niej? Dlaczego przestaje zabijać na prawie piętnaście lat? Czy to naprawdę ten sam morderca? Dlaczego wszyscy mają wrażenie, że coś się nie zgadza, że nie pasuje do modelu klasycznego seryjnego mordercy? Dlaczego Lars-Erik Hassel zostaje zabity na lotnisku? Dlaczego morderca udaje się do Szwecji? Dlaczego korzysta z paszportu trzydziestodwulatka, skoro przekroczył pięćdziesiątkę? Jak znajduje chatę Gallana w Riali? Dlaczego zmienia auto we Frihamnen? Czy dlatego, że chce, żeby dzięki samochodowi Gallana natrafiono na jego trupa? Również trup Lindbergera jest łatwy do znalezienia. Czy mimo wszystko jest tak, że jak większość seryjnych morderców chce, żeby było o nim głośno? Dlaczego zabija urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych Lindbergera? Co Lindberger robi w środku nocy we Frihamnen? Gdzie zostaje zamordowany? Czy nieudane włamanie do magazynów LinkCoop ma coś wspólnego ze sprawą? Dlaczego morderca strzela do Johna Doe, zamiast poddać go torturom? Kim, do jasnej cholery, jest John Doe, którego na próżno szukać w międzynarodowych rejestrach? Czy zadajemy właściwe pytania?

Prawdopodobnie ostatnie pytanie było najważniejsze. Czy było coś, co łączyło je wszystkie, coś, co stawało się widoczne dopiero z odpowiedniej wysokości, gdy można było spojrzeć prosto w jasne światło słońca?

Na razie chyba jeszcze nie.

Ale byli już w drodze.

OSA wleciała do pokoju po śmierć. Jakim cudem udało jej się przeżyć ostatnie dni, wiedziała tylko ona. Być może, bliższa śmierci niż życiu, schowała się przed zawieruchą w jakiejś zatechłej dziurze, najwyraźniej jednak nie udało jej się tam umrzeć. Wleciała do pokoju z naszykowanym żądłem, gotowa razić w tej swojej ostatniej chwili, gotowa zabić jeszcze po swojej śmierci. Naznaczona śmiercią wciąż żyła, ale zanikły już u niej wszystkie zmysły, poza ostatnim, szóstym: morderczym instynktem.

Wykonała kilka niekontrolowanych okrążeń wokół jarzeniówki, za nic mając sobie gorąco i światło. Zabzyczała. Już nie jak osa, bardziej głucho, ostrzej. Wystrzeliła w powietrze; ostatni atak kamikaze z zadartym żądłem. Zbliżała się.

Chavez zabił ją z litości precyzyjnym bekhendem. Pożółkły „Expressen” rzucił trupa w kąt za postępującą starą drukarkę matrycową; ze skulonego ciała sterczało żądło. Zostanie tu pewnie do przyszłego roku, gdy lekki wiosenny wiatr zdemaskuje ją jako grudkę pyłu, który trzymał się w kupie z przyzwyczajenia.

Jorge rozprawił się z nią w momencie nagłego olśnienia. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że ma jasny obraz całej sprawy. Nie potrafił jednak tego wyrazić.

Potem nadciągnęła rzeczywistość i przyćmiła jasność coraz dłuższą listą danych, która kładła się po podłodze, zakrywając ciało osy - całun codziennej rutyny przysłonił genialną myśl detektywa.

Drukarka skończyła pracę. Chavez wstał, oderwał listę, złapał się za głowę i popatrzył na swoją przyszłość, która ukazała mu się w dosyć pospolitej kryształowej kuli. Zobaczył ciąg granatowych volvo kombi z numerami rejestracyjnymi zaczynającymi się na literę B. Lista była długa, zaskakująco długa. Miał dosyć, i to jeszcze zanim zaczął.

Na początek postanowił wykreślić wszystkie auta mające ponad piętnaście i mniej niż pięć lat. Potem te spoza Sztokholmu i okolic. Zostało mu już możliwe do sprawdzenia całe sześćdziesiąt osiem sztuk.

Jorge Chavez rzucił listę na biurko i sięgnął po swoją własną. Jako punkt trzeci dopisał do niej: „Ryfa z volvo”. Punkt pierwszy brzmiał: „Ryfa z chatą”; chodziło mu o powrót do koszmarnej chaty w Riali i wsparcie pracujących wytrwale techników, którzy ku swojemu zdziwieniu nie znaleźli nawet jednego włosa na miejscu zbrodni, więc jeszcze bardziej zintensyfikowali poszukiwania. Punkt drugi brzmiał: „Ryfa z Hall”; zamierzał udać się do Hall, żeby porozmawiać z kumplami z celi Andreasa Gallana i przejrzeć jego rzeczy, które zostały w więzieniu.

Chavez wyciągnął pusty los z nazwiskiem Gallano; na domiar złego dostał jeszcze to cholerne volvo. Spuścizna po Kerstin, wobec której nie mógł nie poczuć ukłucia zazdrości; kurwa, byłoby lepiej, gdyby to on pojechał tam razem z Hjermem. Przecież ich tandem strzelał ostatnio bez pudła; najpierw Laban Hassel, teraz Andreas Gallano.

Zastanawiał się, co złego zrobił, żeby zasłużyć na taką robotę. Przecież nie biegał po Arlandzie, przewracając dzieci, nie dobierał się do kontrolerki paszportów. Nie udał się do Tallina z misją oczyszczenia miasta a la Charles Bronson i nie skończył przybity do podłogi jak jakaś upadła wersja Syna Umiłowanego. A mimo to wykonywał tę najgorszą robotę, a łachudra Norlander wysiłał swoje nieliczne komórki mózgowe i zawałał jedną z najbardziej stymulujących spraw: zabójstwo Johna Doe. Ta sprawa wymagała odpowiedniego człowieka - Norlander z pewnością nim nie był.

Jego wyważona prośba o zamianę dała w efekcie jedynie obojętne spojrzenie Hultina i listę dwustu granatowych volvo.

Włączył ekspres do kawy czubkiem palca u nogi i czekał, aż pierwsza kropla wody spadnie na jego świeżo zmielone kolumbijskie ziarna. Spojrzał na drugą stronę biurka, gdzie Hjelm świecił swoją nieobecnością.

Mężczyzna w złotym hełmie, pomyślał złośliwie. Fałszywka Rembrandta. Jeden z najbardziej podziwianych obrazów mistrza, który okazał się dziełem anonimowego ucznia.

Już za nim tęsknił.

Potem westchnął głęboko, sięgnął po kubek z wrzącą jeszcze kawą, dając przy tym istny popis zręczności, i zanurzył się w piekielne czeluści spod znaku Volvo.

Przyszłość z całą pewnością nie należała do niego.

SKOŃCZYŁ się bezczas. Nie było już nieistniejących godzin. Wylądowali na Newark w palącym słońcu przedpołudnia, które objęło swoimi ramionami rozległy system pasów startowych i lądowisk; z powietrza wyglądało to jak połyskująca w porannym słońcu mucha wędkarska.

Paul i Kerstin nie zamienili zbyt wielu słów w czasie lotu, nie tylko dlatego, że rozmyślali o sprawie. Ich relacja stawała się coraz bardziej skomplikowana - żadne z nich nie poświęcało temu jednak zbyt dużo uwagi.

Przeszli przez kontrolę paszportową i wkroczyli do ogromnej hali przylotów. Przywitały ich tłumy ludzi wymachujących kartkami z nazwiskami. Po krótkiej naradzie ustalili, że potężny facet w garniturze z kartką, na której widniało: „Jalm, Halm”, czeka właśnie na nich. Musiał go zainspirować Lewis Carroll. Słynna para komików Jalm & Halm przywitała się grzecznie z gigantem o nazwisku Jerry Schonbauer i została zaprowadzona do taśmy bagażowej. Tam czekał już na nich podobnie ubrany, choć trochę mniej sztywny i o wyglądzie trochę mniej wskazującym na pracownika FBI, czarny mężczyzna około pięćdziesiątki. Wielki Schonbauer był od niego o stopień niżej w hierarchii; ciemnoskóry mężczyzna wyciągnął dłoń na powitanie, czemu towarzyszył prawdziwie serdeczny uśmiech.

- *Ray Lamer, FBI. You must be officers Jalm and Halm from Stockholm.*

- Paul Hjelm - przedstawił się Jalm.

- Kerstin Holm - przedstawiła się Halm.

- *So he's started now* - zapytał Lamer z uśmiechem wyrażającym współczucie. *-A pair of fresh eyes is probably what this case needs.*

- *It's basically a matter of adding our information to your vast archive of knowledge* - odezwała się Kerstin ze schlebującą pokorą w głosie.

Larner kiwnął ciężko głową.

- Jak wiecie, poświęciłem temu człowiekowi kawał życia. A mimo to wciąż nie wiem, czym tak naprawdę się zajmuje. Jest najbardziej tajemniczy z wszystkich naszych seryjnych morderców. U większości z nich można przynajmniej dosyć szybko znaleźć jakiś motyw, określić profil psychologiczny, ale K nie pasuje do żadnego ze znanych nam schematów. Czytaliście mój raport?

Przytaknęli. Larner nazywał mordercę z Kentucky „K”, zupełnie jak internetowi znajomi Chaveza z FASK. Fans of American Serial Killers. Drgnęli jednocześnie.

Ruszyła taśma bagażowa. Usłyszeli stęknienie i z wnętrza popłynął równy strumień setek waliz. Po trzech kwadransach zobaczyli swoje torby; były tak małe, że klasyfikowałyby się jako bagaż podręczny. Ray Larner przez ten cały czas z nimi konwersował. Ani razu nie okazał najmniejszego zniecierpliwienia. Albo miał na wszystko przewidziany czas w kalendarzu, albo była to jego cecha charakteru - ta sama, która kazała mu poświęcić całe życie jednej sprawie, niezmordowana cierpliwość, za którą kryła się z pewnością nieugięta świadomość celu.

Rozmawiali o panujących w Nowym Jorku upałach, o nowym, skutecznym modelu zwalczania przestępczości w mieście, *community policing*, o strukturze służb policyjnych w Szwecji, zadziwiających priorytetach i o jesiennej słońcu. W kilku słowach wspomnieli również o FBI i mordercy z Kentucky; ilekroć rozmowa zahaczała o tematy, o których nie powinno się dyskutować w miejscach publicznych, Larner elegancko omijał rafy.

W trakcie rozmowy Hjelm przyglądał się Lamerowi. Język ciała mówił mu coś zupełnie innego niż oficjalny ciemny garnitur

FBI. Miało się wrażenie, że jego kontrolowana wesołość i płynne, precyzyjne ruchy prosiły o wybaczenie umundurowania. Hjelm bawił się w myślach porównywaniem tego, czego się spodziewał, z tym, co rzeczywiście zobaczył. Przede wszystkim nie sądził, że Larner jest czarny; z pewnością kryło się w tym całe mnóstwo stereotypów. Ale też nie sądził, że będzie tak energiczny; nie po tych wszystkich niepowodzeniach z K. Trwająca ponad dwadzieścia lat bezowocna pogoń, pościg za prawdopodobnie niewinnym dowódcą Commando Cool, Wayne'em Jenningsem, zakończony jego śmiercią, następujący po nim proces i degradacja, a potem wszystko od początku. A Larner jakby przez cały ten czas stał z boku i przyglądał się z wyrozumiętym uśmiechem. Najwyraźniej posiadał boską umiejętność oddzielania pracy od spraw osobistych; aż promieniował radością życia.

Nadjechały walizki. Nawet nie byli zaskoczeni, gdy zajął się nimi Jerry Schonbauer. W jego dłoniach wyglądały jak nesesery.

- Co powiecie na taki plan? - zapytał Larner retorycznie. - Najpierw odwieziemy was do hotelu, żebyście się trochę odświeżyli po podróży, później zjemy lunch w mojej ulubionej knajpie, a po południu siądziemy do roboty. Ale najpierw - kiwnął na Schonbauera, który ruszył już w stronę rysującego się w oddali wyjścia - krótka wycieczka z przewodnikiem po Newark International Airport.

Zostawili za sobą taśmę bagażową i przeszli do głównej części lotniska. Hjelm zatrzymał się na chwilę, spojrzał w górę na gigantyczne sklepienie, otworzył szeroko oczy i pomyślał: Jak wysoko! Miał wrażenie, że gdzieś już widział tę scenę. Potem dogonił Holm i oprowadzającego ją z gracją Lamera. Szli kilometr, może nawet więcej; krajobraz we wnętrzu wcale się nie zmieniał, nawet wartki strumień turystów wydawał się statyczny.

Na koniec stanęli przed niewielkimi drzwiami pośrodku morza ludzi. Larner wyjął pęk kluczy, wybrał jeden i otworzył. Spore pomieszczenie gospodarcze. Jarzeniówki na zawieszonym nisko suficie, czyste, bielone ściany, półki z pedantycznie ułożonymi



akcesoriami do sprzątanania: ścierkami, szczotkami, wiadrami, ręcznikami. Weszli za półki i znaleźli się w trochę bardziej przestronnym wnętrzu. Stało tam krzesło i biurko, na którym leżało kilka starych kanapek, nic więcej. Za niewielkim okienkiem przesuwały się cielska startujących i lądujących samolotów.

Tu Lars-Erik Hassel spędził ostatnią godzinę swojego życia.

Co to była za godzina.

Hjelm i Holm rozejrzeli się po pomieszczeniu. Nie było tu wiele do oglądania. Sterylna przestrzeń, w sam raz na sterylną śmierć.

Lamer wskazał na krzesło.

- Oryginał znajduje się oczywiście u nas - wyjaśnił. - Oprócz płynów fizjologicznych Hassela nie znaleźliśmy ani jednego śladu. Tak jest zwykle.

- Zwykle? - zdziwiła się Kerstin Holm.

- Gdy zaczynaliśmy, nie mieliśmy możliwości przeprowadzenia badań DNA - powiedział Lamer, wzruszając ramionami. - Ale wnioskując z tych sześciu morderstw w nowej serii, można sądzić, że niczego nie przeoczyliśmy. Ani śladu. Jakby był nadczłowiekiem. K.

Ostatnie słowo było pojedynczą literą, ale jego głos wyniósł je na astronomiczne wysokości.

- Dziewięciu - poprawiła Lamera Kerstin Holm.

Spojrzał na nią uważnie, a potem kiwnął ciężko głową.

Hjelm został z tyłu. Chciał przez chwilę być sam. Usiadł na krześle i rozejrzął się. Jak tu po amerykańsku sterylnie, wszystko w imię efektywności. Przymknął oczy, próbując choćby częścią siebie poczuć ten przerażający, niemy ból, którego świadkiem były te ściany; chciał nawiązać choćby cień kontaktu z tym, co zostało tu z cierpienia Larsa-Erika Hassela.

Nie dało się.

To coś tu było, ale brakowało na to słów.

Wszystko działo się bardzo szybko. Agent FBI Schonbauer przewiózł ich sprawnie przez uliczny chaos niewyobrażalnych wręcz rozmiarów. Hjelm i Holm siedzieli z tyłu. Larner z przodu, przysypiał. Czuli się mali, pomniejszeni. Z ogromnego Holland Tunnel pod Hudson River wyjechali na Canal Street, a potem skręcili na lewo w SoHo. Dalej 8th Avenue, aż w końcu dotarli do niewielkiego hotelu blisko Chelsea Park o nazwie Skipper's Inn. Ponieważ parking miał iście lilipucie rozmiary, wysadzili ich na chodniku z informacją, że Larner wróci po nich za półtorej godziny. Weszli po schodach do zaskakująco wąskiej kamienicy, manhattańskiego ostańca z przełomu wieków zakleszczonego między dwiema przeszklonymi elewacjami.

Dostali pokoje obok siebie z oknami wychodzącymi na West 25th Street, zajmując tym samym jedną czwartą piętra w hotelowym budynku, stylizowanym na angielską gospodę, a raczej na kilka angielskich gospód, ułożonych jedna na drugiej. Pokoje nie były zbyt duże, ale za to przytulne, utrzymane w stylu rustykalnym, o ile nie brać pod uwagę ryku samochodów za nieotwieralnymi czteroszybowymi oknami. Okna zastępowała klimatyzacja, ale mimo że chodziła na pełnych obrotach, próbując zagłuszyć hałas ulicy, temperatura w pokoju ani na chwilę nie spadała poniżej temperatury ludzkiego ciała.

Hjelm położył się na łóżku, zakołysało nim. Nigdy wcześniej nie był w Stanach. Kojarzyły mu się z klimatyzacją i kostkami lodu. Gdzie był lód? Wstał i podszedł do minibaru. Górną część ukrytej w nim lodówki stanowił zamrażalnik, który zgodnie z oczekiwaniami wypełniony był po brzegi kostkami lodu. Wziął dwie, wrócił na łóżko i pozwolił im chwilę potańczyć na swoim czole, zanim spłynęły, zatykając mu uszy.

W Sztokholmie tęsknił za słońcem. Teraz tęsknił za sztokholmskim deszczem. Trawa jest zawsze bardziej zielona gdzie indziej, pomyślał mało oryginalnie. Z mózgu zrobiła mu się papka.

W amerykańskich filmach Nowy Jork ma zwykle dwie twarze: albo iskrzy się w rozhisteryzowanym, lecz radosnym wigilijnym

śniegu, albo skwierczy na słonecznej patelni. Teraz już rozumiał dlaczego. Był środek września, a od wesołych bożonarodzeniowych płatków śniegu dzieliła go wieczność.

Doczłapał się do podniszczonej, ale w przyjemny sposób, łazienki. Był tu prysznic i niewielka umywalka. Wszedł pod prysznic, tak jak stał, nie mając mydła ani nic na zmianę. Cieszył się, że pamiętał, by ściągnąć ubranie. Nie wycierając się, podszedł do umywalki i zaczął gasić pragnienie. Po pięciu łykach uświadomił sobie, że nie powinien pić wody bezpośrednio z kranu, zaczął więc pluć i parskać. Jedyne, czego mu brakowało, to porządna turystyczna biegunka.

Spojrzał w lustro. Było - jak trzeba - stylowo pęknięte. Lekko przesunięty względem samego siebie, jak na kubistycznym obrazie, napotkał swoje spojrzenie. Na jego policzku widniała wciąż czerwona plamka; dziękował bogom, że w końcu przestała rosnąć. Przez jakiś czas poważnie się obawiał, że pokryje mu całą twarz.

Dlaczego obecność Kerstin sprawiała, że zawsze o nim myślał?

Przez chwilę chodził nago po pokoju. Kiedy oddalił się cztery metry od łóżka, był już suchy, kiedy po chwili się położył, na nowo zlał się potem. Leżał, przyglądając się swojemu członkowi. Przez chwilę rozważał, czy nie zacząć się onanizować - był to zawsze sposób, żeby poczuć się jak u siebie - ale warunki były kiepskie. Zamiast tego zaczął trenować odpowiednią technikę oddychania, wymagającą jak najmniej wysiłku. Potem zasnął.

Jak na zamówienie zjawiała się Kerstin. Był w innym pokoju hotelowym. Spał w śnie i śnił w śnie. Albo raczej w śnie znajdował się między snem a jawą. Właśnie wtedy nadeszła, nie wiadomo skąd. Nagle zobaczył przed sobą jej ciemną, drobną postać. Wcześniej wieczorem gadali o seksie, byli trochę pijani, rozmawiali otwarcie, dojrzałe, nowocześnie. Nie musiało to do niczego doprowadzić.

Przez przypadek, jeśli można to nazwać przypadkiem, wspomniał jej o swojej ulubionej fantazji i teraz oto leżała obok niego, onanizując się, oddalona o zaledwie kilkanaście centymetrów.

Jego podświadomość zachowała z całym pietyzmem wszystkie jej ruchy i w ciągu minionego roku uparcie przywoływał je nocą, ze szczegółami, wszystkie pieszczoty i kryjące się za nimi pragnienia i żądze, ktoś pukał do drzwi, a ona przeciągnęła dłonią przez trójkąt łonowy, ktoś pukał do drzwi, i rozchyliła powoli uda, ktoś pukał do drzwi, a ona chwyciła...

Ktoś pukał do drzwi.

Usiadł nagle na łóżku, miał wzwód.

- Paul? - usłyszał kobiecy szept za drzwiami. - Obudzony?

- Pobudzony! - zawołał. - Obudzony! - krzyknął jeszcze głośniej, mając nadzieję, że drzwi były odporne na freudowskie pomyłki. - Już czas?

- Nie, jeszcze nie - powiedziała Kerstin. - Wpuścisz mnie?

- Zaczekaj! - zawołał i wreszcie się obudził. Erekcja ustępowała, ale wciąż była widoczna. Musiał uciec się do kłamstwa. - Jestem pod prysznicem, jeszcze chwila!

Dlaczego nie mógł pracować z Kerstin, nie widząc w niej obiektu seksualnego? Czy to znaczyło, że nie jest dojrzałym mężczyzną? Sądził, że ma dosyć zdrowe poglądy dotyczące równouprawnienia, praw kobiet i tak dalej, ale pożądanie było jak tyran, który wciąż domagał się swego. Widział w niej zresztą raczej podmiot seksualny, ale kto wie, gdzie leży granica?

Tutaj. Wzwód jak na złość nie dawał za wygraną. Udało mu się wyjść z siebie, stanąć z boku i zaśmiać się z siebie. Co za głupek. Miał do wyboru albo pozbyć się jej teraz stąd i spalić resztki zaufania, jakie było między nimi, albo przyznać się i spalić resztki zaufania, jakie było między nimi.

Kilkusekundowy taniec na krawędzi i w końcu:

- Mam wzwód.

- Co ty, kurwa, wygadujesz? Wpuść mnie.

Owinął się ręcznikiem. Wyglądało to śmiesznie, tak śmiesznie, że gdy dotarł do drzwi i przekręcił klucz, przestało już być śmieszne. Weszła do środka, ubrana w elegancką, przylegającą do ciała małą czarną.

- Co mówileś? - zapytała, badając wzrokiem, czy pasuje do modelu świeżo wykapanego człowieka.

- Byłem pod prysznicem - odrzekł, wymachując niezdarnie rękoma. - Nie sądziłem, że już czas.

- Przecież jesteś suchy - zdziwiła się.

- Upał - wyjaśnił. - Wszystko od razu schnie.

- Jeszcze nie jest czas - powiedziała innym, bardziej profesjonalnym tonem i przysiadła na brzegu łóżka. - Pomyślałam tylko, że moglibyśmy omówić naszą strategię.

- Strategię? - zdumiał się, sięgając po torbę podróżną stojącą za łóżkiem. Rozpinając paski, drugą ręką musiał przytrzymywać ręcznik. Nie lada wyzwanie. Czuł się jak pajac.

- Chyba ci ciężko - powiedziała matczynym tonem i obróciła się. - Puść ręcznik. Obiecuję, że nie będę patrzeć.

Puścił ręcznik i wyjął nowe rzeczy do ubrania. Poczul ulgę, gdy włożył je na siebie.

- Po co nam strategia?

- Spotykamy się z FBI. Będą na nas patrzeć jak na biednych kuzynów ze wsi, którzy przyjechali z wizytą do miasta. Jak na razie dbają przede wszystkim o to, żeby ktoś nas nie przejechał, nie zamordował albo nie poczęstował narkotykami. Musimy ustalić, co robimy, i się tego trzymać. To oni mają dostarczyć nam informacji, nie odwrotnie, w końcu on teraz jest u nas. Po co tak naprawdę tu przyjechalіśmy?

Udało mu się znaleźć wąski fioletowy krawat. Zabrał się za wiązanie.

- Zajmiemy się szukaniem tropów i sprawdzimy, czy czegoś nie przeoczyli.

- Tak nie możemy im tego przedstawić. Masz zamiar go założyć?

Paul Hjelm spojrział na siebie.

- Ale co?

- Proszę cię, nie róbmy z siebie jeszcze większych wieśniaków. W końcu przyjechalіśmy tu z miasta, nawet jeśli to bardzo małe miasto.

- Co jest nie tak? - spytał zdezorientowany.
- Jaki kolor ma twoja koszula? - zapytała profesorskim tonem.
- Niebieski.
- Raczej lazuruowy. A krawat?
- Fioletowy?
- Pasują do siebie?
- Wzruszył ramionami.
- A nie?
- Chodź tutaj - powiedziała. Posłuchał. Rozwiązała krawat i zaczęła rozpinać mu koszulę. Trzymaj się, stary, nakazał swojemu krnąbrnemu podbrzuszu.
- Co robisz? - zapytał ze spokojem.
- Domyślam się, że masz tylko jeden krawat, trzeba więc zmienić koszulę. Co masz?
- Zajrzała do jego torby i wyjęła białą koszulę.
- Dobrze i to - powiedziała, rzucając mu ją. - Nie - dodała, zmieniając temat - nie możemy sprawiać wrażenia, że przyjechaliśmy tutaj, żeby ich pouczyć. Jeśli nie Larner, to jego przełożeni mogliby się poczuć dotknięci.
- Chcesz powiedzieć, że mamy się skupić na wątku szwedzkim?
- zapytał, zapinając guziki.
- Tak mi się zdaje. Przede wszystkim jednak powinniśmy podzielić się z nimi tym, co już wiemy; bardzo możliwe, że mogą coś dodać, ale to już będzie ich *goodwill*. Karty na stół. Może dostaniemy kilka innych w zamian.
- Strategia wygląda następująco. Po pierwsze: bez żadnych oporów wyrzygać wszystko, co wiemy, po drugie: powiedzieć, że chcemy przejrzeć cały materiał, żeby poszukać szwedzkiego wątku.
- I robić wszystko, by nie mieli wątpliwości, że jesteśmy tu tylko po to, aby spojrzeć na sprawę ze szwedzkiej perspektywy. Starać się nie nastąpić nikomu na odcisk. Postępować dyplomatycznie. Dasz radę?
- Powinien się obrazić, ale z drugiej strony była to jej pierwsza osobista uwaga.

- Tak - powiedział tylko.  
- Jak wiesz, zapoznałam się z udostępnionymi nam już materiałami. Oczywiście nie mam pojęcia, na ile są kompletne, ale wydaje się, że Lamer zbyt szybko uczepił się tego Wayne'a Jenningsa. Gdy ten zniknął z pola widzenia, skończyły mu się pomysły. W materiałach dotyczących zabójstw po przerwie nie znajduję ani jednej hipotezy. Być może jestem niesprawiedliwa, ale mam wrażenie, że Larner poddał się po wpadce z Jenningsem. Teraz już tylko kompletuje fakty. Chyba można było zrobić dużo więcej, również w późniejszych działaniach.

Kiwnął głową. Nawet jego znajomość faktów pozwalała się domyślić, że po piętnastoletniej przerwie, jaką zrobił sobie morderca, Amerykanie stali z opuszczonymi rękami.

- Czy mam przez to rozumieć, że na razie nie podzielimy się naszymi przypuszczeniami co do KGB? - zapytał ze śmiertelną powagą.

- Lepiej z tym zaczekajmy - odpowiedziała równie poważnie.

Lunch Raya Lamera składał się z klasycznego spaghetti carbonara w małej knajpce Divina Commedia na 11 th Street. Zdziwili się, gdy do posiłku podano szwedzką wodę stołową Loka, ale świat, jak wiadomo, stale się kurczy. Larner był w szczytowej formie i chciał mówić tylko i wyłącznie o włoskiej sztuce kulinarnej, na wszystko inne machał ręką, uznając za mało istotne. Zwycięstwo w długim i zażartym sporze o to, czy najlepsza oliwa z oliwek pochodzi z Hiszpanii, czy Włoch, Kerstin oddała w końcu walkowerem, przypominając sobie nagle o dyplomatycznej strategii. Szybkie kontry Hjelma o Grecji zostały zignorowane. Sąsiedni stolik kilka punktów niespodziewanie przyznał Australii.

- Gdy przejdę na emeryturę, przeprowadzę się do Włoch - powiedział głośno Larner. - Bycie emerytowanym wdowcem wiąże się z niekończącymi się przywilejami. Umrę z ustami

pełnymi makaronu, oliwy z oliwek, czosnku i czerwonego wina. Żadnej innej wersji nie biorę pod uwagę.

Nie byłoby przesadą powiedzieć, że odbiegał od stereotypu agenta specjalnego FBI.

- A więc jesteś wdowcem? - spytała Kerstin ze współczuciem.

- Moja żona zmarła w tym roku - odpowiedział Larner, nie przerywając żucia. - Na szczęście w miejsce smutku pojawia się szczeniackie poczucie wolności. Chyba że człowiek wcześniej się zabije albo popadnie w alkoholizm. A tak się dzieje w większości przypadków.

- Masz dzieci? - zapytał Hjelm.

- Nie - odparł Larner. - Zastanawialiśmy się nad tym do czasu, gdy zająłem się sprawą K. Pozbawił mnie całej wiary w ludzkość. Nie można rodzić dzieci na świecie, który potrafi stworzyć kogoś takiego jak K. Ale pewnie spotkaliście się już z podobną argumentacją.

- Ja tak - powiedział Hjelm. - To znaczy ja mam dzieci.

- Wtedy nie było jeszcze u was K. Zobaczysz, czy będziesz mieć jakieś wnuki.

- Nawet za Hitlera rodziły się dzieci - stwierdziła Kerstin.

Ray Larner zamilkł na chwilę. Potem pochylił się o ciężale ku niej.

- Masz dzieci, Halm?

Pokręciła głową.

- To, co zobaczysz dziś po południu - powiedział, odchylając się do tyłu na krześle - sprawi, że nigdy się na nie nie zdecydujesz.

*Zero tolerance* było zjawiskiem, które w dużej mierze stanowiło o atmosferze panującej w Nowym Jorku. To kolejne określenie nietolerancji sprawdzało się doskonale. Policja otrzymała nakaz, by nie tolerować niczego, co by wykraczało poza teren prawa. Najdrobniejszy występki i zajmowały się tobą odpowiednie służby. Całość opierała się na efekcie wertykalnego domina: jeśli znikną mali przestępcy, znikną też wielcy. Wierzone bowiem,



że ci, którzy popełniają ciężkie przestępstwa, zaczynają od tych lżejszych i najlepiej dopaść ich już na samym początku.

Ray Larner jako policjant federalny działał poza domeną policji stanowej. I chociaż pracował w samym sercu Nowego Jorku, przyglądał się temu nowemu zjawisku z pewnej odległości. Pomimo swojej otwartości, o której już wielokrotnie mieli okazję się przekonać, nie przekraczał nawet o centymetr granicy zakazanych terytoriów. A mimo to, gdy siedział w samochodzie FBI obok Jeny'ego Schonbauera i opowiadał im o nowej atmosferze panującej w Nowym Jorku, w tonie jego głosu coś brzmiało fałszywie. Czy była to wizja ponurej przyszłości?

Oczywiście największe miasto w Stanach potrzebowało nowych rozwiązań. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Dochodziło do licznych morderstw. Policja i sądownictwo były bezsilne. Pojawiły się dwa rozwiązania: długofalowe i krótkofalowe, prewencyjne i karzące. Niestety, sytuacja stała się na tyle poważna, że właściwie nie było już wyboru. Nie było czasu na budowanie w ludziach poczucia własnej wartości, aby stworzyć alternatywę dla prochów i pogoni za pieniędzmi. Nie tylko trwałoby to zbyt długo, ale oznaczałoby również zerwanie z kilkusetletnią tradycją. Najlepszym rozwiązaniem wydawała się synteza, łącząca krótkofalowe rezultaty z długofalowymi, która karząc, miała działać prewencyjnie. Efekty przekroczyły oczekiwania. Na każdym rogu pojawili się policjanci, *community policing*, a Nowy Jork ze ścisłej czołówki w rankingu miast z najwyższym współczynnikiem morderstw spadł na sam koniec listy. Uczciwi obywatele, to znaczy jako tako ustawieni, triumfowali. Znow można było biegać przez Central Park bez ryzyka dostania sztyletem między szóste a siódme żebro, jechać metrem, nie przesiadając się dziesięć razy. Wreszcie można było ruszać się po mieście.

Ale jaka była za to cena? Po pierwsze, całkowita i bezwarunkowa akceptacja *status quo*. Idea resocjalizacji więźniów przeminęła z wiatrem. Nikt nie miał już głowy do tego, żeby chronić obywateli przed zejściem na drogę przestępstwa; ważne było,

żeby się ich pozbyć, gdy już się na niej znaleźli. Ze skąpo porcjowanego tortu już nawet najmniejszy okrucieństwo nie trafiało do tych, którzy prowadzili działania prewencyjne, teraz wszystko szło na działania penitencjarne. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wspominał więc o starym amerykańskim credo *equal opportunities*, a wizja tygla narodów była już tylko czystą fikcją; nigdzie indziej grupy etniczne nie były od siebie do tego stopnia odseparowane. Policja mogła pojawić się wszędzie i o każdej porze, a ta strategia bez wątplenia była obciążona historycznym balastem. Przyszłość miała dać odpowiedź na pytanie, czy różnice sięgały już tak daleko, że zachowanie prawa i porządku wymagało wprowadzenia państwa policyjnego.

Poza tym nastąpiła nieprzyjemna zmiana sposobu podejścia do kwestii praw człowieka. Chodziło o karę śmierci. Akceptowało ją trzydzieści osiem stanów, w całym kraju dało się zauważyć znaczny wzrost liczby wyroków skazujących i wykonanych egzekucji. Ostatnim genialnym posunięciem było wprowadzenie zasady, że żaden z przysięgłych w procesie, w którym możliwe było skazanie na karę śmierci, nie mógł być jej zdecydowanym przeciwnikiem. Spośród owych „przysięgłych kwalifikujących do kary śmierci” dyskwalifikowani byli ci bardziej liberalni, co torowało drogę dla szybkich, nieprzemyślanych wyroków. Tak naprawdę jednak przestępczość bynajmniej nie malała w stanach, gdzie obowiązywała kara śmierci, w porównaniu do stanów - a była ich mniejszość - które się na nią nie zgadzały. Oznaczało to, że najważniejszy argument za karą śmierci - odstraszenie - nie miał uzasadnienia; ujawnił się jej prawdziwy sens: wyrównywanie rachunków, zemsta.

Spokój, z jakim Larner opowiadał o bieżącej sytuacji, nie ustępował w niczym spokojowi Hultina. Pytanie, czy kryło się w nim równie dużo złości. Albo czy Larner - jak sugerowała Kerstin - zajmował się tylko zbieraniem i relacjonowaniem faktów.

Hjelm już miał poddać go próbie, podług której dzielił ludzi na dwie kategorie: pytaniu o stosunek do kary śmierci. Ale w tej sa-

mej chwili wjechali na środek Mostu Brooklińskiego. Larner przerwał swój wywód i powiedział:

- Spójrzcie za siebie.

Obrócili się. Zobaczyli bajeczną panoramę Manhattanu skąpanego w słońcu.

- *A strange kind of beauty, isn't it!* Za każdym razem, gdy tędy jadę, zastanawiam się nad trwałością piękna. Czy naszym przodkom to też wydawało się piękne? A może raczej uznawali, że to obrzydliwe? Czy jest coś takiego jak wieczne piękno?

Widok był oszałamiający. Hjelm nie potrafił już nawiązać do pytania o karę śmierci. Widok na Manhattan otworzył w jakiś dziwny sposób drzwi miasta, pełen napięcia obserwował drogę do New York Field Office FBI. Schonbauer zjechał z mostu, skręcił i po chwili zawrócił po repete; najwyraźniej wybrali tę drogę tylko dla widoku. Pojechali znowu mostem aż do potężnego City Hall, skręcili w jedną z niewielu biegnących pod kątem ulic Manhattanu, otaczających City Hall Park, wyjechali na Broadway, skręcili w prawo, znów minęli City Hall i po minięciu kilku przecznicy dojechali do Federal Plaza, gdzie otworzyła się przed nimi brama garażu; wjechali do środka.

Znajdowali się w głównej siedzibie FBI na Manhattanie, 26 Federal Plaza. Oprócz niej były jeszcze lokalne biura w Brooklyn--Queens, na Long Island i lotnisku JFK.

Szli korytarzami, które nie przypominały zbyt korytarzy komendy na Kungsholmen. Wszystko było większe, czystsze, bardziej sterylne. Hjelm zastanawiał się, czy w ogóle byłby w stanie tu pracować. Miejsce wydawało się odporne na dzikość myśli, którą uznawał za swoją specjalność.

Bardzo szybko przestał liczyć drzwi, przez które przechodzili za pomocą różnych kart i kodów. Schonbauer robił za odźwiernego. Larner gadał bez przerwy. W powietrzu aż świszczą od liczb i danych: tyle i tyle zatrudnionych, działy, szkolenia, grupy eksperckie, wszystko, tylko nie to, co naprawdę istotne.

Wreszcie dotarli do serca budynku. Ostatnie drzwi, na monumentalnych zawiasach, otworzyły się przed nimi; zobaczyli gigantyczny system korytarzy, który najwyraźniej należał do części budynku mieszczącej sekcję do spraw seryjnych morderców wewnątrz nowojorskiego oddziału FBI. Nazwiska Lamera i Schonbauera widniały na dwojgu niepozornych drzwiach sąsiadujących ze sobą. Schonbauer wkroczył bez słowa do swojego biura, pozostali weszli do biura Lamera.

- Jerry przygotował dla was mały show multimedialny - wytłumaczył Lamer, siadając za biurkiem. Pokój był mały i podniszczony, stwierdził Hjelm z ulgą; przynajmniej tutaj dało się dostrzec cień człowieka. Na ścianach zamiast tapet były tablice, obklejone większymi i mniejszymi kartkami. Za Lamerem wisiała dobrze im znana biała tablica, a schemat stworzony ze strzałek, czworoboków i kresek przypominał do złudzenia dzieła Hultina.

- Tak, tu mamy wszystko w pigułce - powiedział Larner, podążając za wzrokiem Hjelma. - Dwadzieścia cztery czworoboki z ciałami poddanymi torturom. Czterdzieści osiem dziur w dwudziestu czterech szyjach. Trzeźwa schematyzacja tego, czego nie da się ująć w schemat. Koszmar zredukowany do kilku niebieskich kresek. Co więcej możemy zrobić? Resztę nosimy w sobie.

Hjelm spojrzał na Lamera. Bez wątpienia stojący przed nim agent FBI nosił dużo w sobie.

- Najpierw pytanie - powiedział ze spokojem Larner. - Czy to prawda, że waszym zdaniem zastrzelił jedną z ofiar?

- Na to wygląda - odparł Hjelm.

- W takim razie nieprawdziwy jest ubogi profil psychologiczny, jaki udało nam się wyskrobać.

- Z drugiej strony - odezwała się Kerstin Holm - zgodnie z twoją pierwotną teorią ten człowiek jest weteranem wojennym. Oni są raczej oswojeni z bronią.

Larner skrzywił się.

- Wiesz dobrze, co stało się z tą teorią...

- Oczywiście - powiedziała Kerstin, a Hjelm miał wrażenie, że oblała się rumieńcem. Dyplomatyczna wpadka już w pierwszym zdaniu. Słyszał, jak przeklina się w duchu. Z zewnątrz wyglądało jednak, jakby nie chciała odpuścić.

- Czy mógłbyś wytłumaczyć nam w kilku słowach, dlaczego odpuściłeś sobie pozostałych członków Commando Cool? Nie było nic o nich w materiałach, które przesłałeś nam do Szwecji.

Larner przeciągnął się i wydobyl informacje z wnętrza pokazanego archiwum w mózgu:

- Zdaje się, że grupa składała się z ośmiu członków, wszyscy świetnie wyszkoleni. Specjalizowali się w torturach w terenie, jak by to można brutalnie nazwać. Bardziej oficjalnie, gdy w ogóle udało mi się cokolwiek z tego zrobić bardziej oficjalnym, używa no określenia „wydobywanie informacji w terenie”; mam wrażenie, że wymyślili ten termin specjalnie dla mnie, robili wszystko, żeby nawet najmniejszy okrucieństwo informacji nie wydostał się poza wewnętrzny krąg grupy.

- Kto do niego należał? Czy byli to głównie wojskowi?

Larner spojrzał na nią ostro.

- Wywiad wojskowy - powiedział, choć chyba miał więcej na sercu. Kerstin to zauważyła.

- Tylko?

- Commando Cool - jak sama ta obrzydliwa nazwa każe przypuszczać, nic, co go dotyczyło, nie mogło wydostać się na zewnątrz... W każdym razie: Commando Cool w jakimś sensie podlegało bezpośrednio Nbcconowi, to było za jego kadencji, pod koniec wojny; jego utworzenie było, takie mam wrażenie, aktem desperacji. Formalnie stał za tym wywiad wojskowy, ale za kulisami działały inne siły.

- CIA? - zapytała Kerstin, która najwyraźniej zostawiła wszystkie dyplomatyczne maski w hotelu.

Ray Larner przełknął ślinę. Z jego spojrzenia można było wyczytać, że ich wzajemne stosunki uległy zmianie - niekoniecznie jednak na gorsze.

- Z licznymi stemplami „tajne przez poufne”, tak, być może. Musicie zrozumieć, jak bardzo napięte są stosunki między CIA a FBI. Jeśli wypłynię, że to powiedziałem, mogę zapomnieć o emeryturze. Mój prywatny telefon był na podsłuchu, mam nadzieję, że tutaj nie podłożono mi jakiejś pluskwy. Oni są zawsze krok do przodu. Ale jak sami rozumiecie, i tak już powiedziałem za dużo. Spróbujcie o tym zapomnieć.

- Zrobione - obiecała Kerstin. - Jesteśmy tu tylko po to, żeby się dowiedzieć, co go łączy ze Szwecją. Nic więcej nie trafi do naszego raportu.

Larner przyglądał im się przez chwilę, jednemu po drugim. Potem kiwnął głową.

- Ośmiu członków - powtórzył.

- A Balls? - przerwała Kerstin brawurowo. Larner wybuchnął głośnym śmiechem.

- Konsultowaliście się z FASK? Fans of American Serial Killers? Spojrzeli na siebie.

- Chodźcie - powiedział Larner, wstał nagle i wybiegł na korytarz. Minęli kilkoro drzwi. Zastukał do tych z nazwiskiem Bernharda Andrews i wszedł do środka. Zza potężnego komputera wychylił się młody chłopak około dwudziestki w dżinsach, T-shircie i okrągłych okularach. Wydawał się tu zupełnie nie na miejscu.

- Cześć, Ray. - Uśmiechnął się szeroko, podając listę danych.

- Wczorajszy łup. Król bawełny z West Virginii, klub golfowy w Arkansas i jeszcze kilka innych smakołyków.

- Cześć, Barry - powiedział Larner, biorąc listę do ręki. - To oficerowie Jalm i Halm ze Szwecji. Chodzi o K.

- Aha - zaśmiał się. - Koledzy Jorge Chaveza.

Opadły im szczęki.

- Urodzony w Szwecji w roku 1968 - ciągnął Andrews.

- W Raggswede, prawda? Rodzice: Chilijczycy o lewicowych poglądach.

- *It's called Ragsued* - wypalił Hjelm.

- Był tu tydzień temu - wyjaśnił Andrews, wyraźnie zadowolony z siebie. - Zgrabne, ale nieco prześwitujące przebranie. Wydał sto trzydzieści dolarów z kieszeni podatnika, żeby dostać się do bazy. To tak w ramach pomocy krajom rozwijającym się, drobny przelew ze szwedzkiej do amerykańskiej kasy.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem. Szczęki uderzały im o kolana.

- Barry jest hakerem - wyjaśnił ze spokojem Larner - jednym z najlepszych w kraju. Dla niego nie istnieje coś takiego jak brak dostępu. Mieliśmy szczęście, że go znaleźliśmy. Poza tym on jest FASK.

- *Fan of American Serial Killers* - przedstawił się Andrews.

- *Nice meeting you.*

- To jeden ze sposobów przyciągnięcia potencjalnych seryjnych morderców - dodał Larner, wymachując w powietrzu listą.

- Jakkolwiek by się przebrali, i tak Barry ich namierzy. Z pomocą FASK zatrzymaliśmy trzech. Śmiem twierdzić, że Barry jest najmniej znanym wielkim bohaterem tego kraju.

Bernhard Andrews uśmiechnął się szeroko.

- A więc Balls nie istnieje? - zapytała Kerstin, która oczywiście kojarzyła fakty szybciej niż Hjelm.

- Wziąłem go z Różowej Pantery - powiedział Andrews.

- Spec od kamuflażu, którego zatrudnia inspektor Clouseau i który przeżywa każdy zamach bombowy. Jedyne, czego można być pewnym w przypadku seryjnych morderców i ich fanów, to to, że nie mają poczucia humoru. Jakby byli na nie uodpornieni.

- W zamyśle to była prowokacja, chcieliśmy skłonić do mówienia kogoś, kto wie lepiej od nas. Ale jak na razie to się nie udało.

Pożegnali się z *Fan of American Serial Killers*. Barry uśmiechnął się szeroko i pomachał im ręką. Larner zaprowadził ich z powrotem do swojego biura. Na korytarzu powiedział:

- Mało co jest tym, czym nam się wydaje.

Opadł na krzesło.

- Nie sądziłem, że w swoich szeregach macie przedstawicieli mniejszości etnicznych - powiedział, celując prosto w szwedzki czuły punkt. - Ale nawet Chavez nie może dowiedzieć się o FASK. Barry jest jedną z naszych najbardziej tajnych broni w walce z seryjnymi mordercami.

Wyciągnął szufladę i wyjął z niej dwie kartki, położył na biurku i do każdej z nich dorzucił długopis z logo FBI.

- To nie jest tak, że wam nie ufam, ale moi przełożeni kazali mi dać wam to do podpisania. Zobowiązanie do zachowania tajemnicy pod groźbą kary według prawa amerykańskiego. Bądźcie tak mili i przeczytajcie, a potem podpiszcie.

Przeczytali. Tekst napisany drobnym drukiem był trudny do zinterpretowania. Oboje czuli instynktowną niechęć do złożenia podpisu pod niezrozumiałymi dokumentami, ale dyplomacja odniosła kolejne zwycięstwo. Podpisali.

- Doskonale - powiedział Larner. - O czym to mówiliśmy? Commando Cool. Ośmiu członków, żadnego Ballsa. Dowódca - bardzo młody Wayne Jennings, który w chwili zatrzymania był już weteranem, dwadzieścia pięć lat, sześć lat wojny i Bóg wie ilu zabitych na koncie. Najlepsze i najbardziej kształtujące lata życia w służbie śmierci. Dwadzieścia siedem lat w chwili zakończenia wojny, trzydzieści, gdy K rozpoczyna swoją działalność. Po wojnie wrócił na farmę zmarłego ojca we wschodnim Kentucky, u podnóża Cumberland Plateau, o ile coś wam to mówi. Raczej nie zajmował się rolnictwem, żył z pensji weterana. Był bez wątpienia najbardziej prawdopodobnym kandydatem na naszego mordercę, podobno bardzo sprawnie posługiwał się szczypcami. Trzeci trup został znaleziony jedynie trzysta mil od jego domu. Pod koniec wojny zginęło trzech członków Commando Cool. Nie licząc Jenningsa, zostało więc czworo, ich nazwiska znajdziecie w kompletnym materiale, który zostanie wam udostępniony. Był jeszcze jeden w Kentucky, Greg Andrews, przyjaciel Jenningsa z dzieciństwa, który jednak stoczył się



i zmarł z przedawkowania w 1986 roku. Zył więc przez cztery lata działalności K na środkowym zachodzie, ale był w dosyć kiepskim stanie i raczej nie nadawał się na mordercę. Doszczętnie zniszczony przez Vietnam. Zostało więc trzech: dwóch przeprowadziło się na północ, jeden do Nowego Jorku, Steve Harrigan, został maklerem giełdowym i w latach osiemdziesiątych należał do rekinów finansowych na Wall Street, jeden do Maine, Tony Robin Garreth - żyje z zabierania turystów na połowy. Obaj byli całkiem nieźle chronieni przed podejrzeniami. Ostatni, Chris Anderson, przeprowadził się do Kansas City i zajął sprzedażą używanych samochodów.

- Facet ze szwedzkim pochodzeniem? - zapytała Kerstin.

Larner uśmiechnął się słabo.

- Cztery pokolenia wstecz - powiedział. - Prapradziadek pochodził z jakiegoś miasta o nazwie Kalmar, jeśli coś wam to mówi. Ale Anderson był tak naprawdę numerem dwa na liście, najbliższy człowiek Jenningsa, tak samo zimny, tak samo zniszczony przez wojnę. Miał zwykle trochę lepsze alibi od niego. A Jennings był bardziej okrutny, to był mój główny argument, chociaż całkowicie oparty na intuicji. Biorąc to pod uwagę, i tak udało mi się całkiem sporo osiągnąć.

- Jak bardzo byłeś pewien, że to Jennings?

Larner odchylił się na krzesło, kładąc ręce na karku. Przez chwilę się zastanawiał.

- Całkowicie - odparł. - Na sto procent.

Wyjął grubą teczkę ze staroświeckiego sekretarzyka, który stał obok białej tablicy. Do pokoju zajrzał Jerry Schonbauer.

- Gotowe.

- Daj nam pięć minut - powiedział Larner i rzucił teczkę na biurko przed nos Kerstin. Otworzyła ją. Ze środka wysypały się zdjęcia i ułożyły się przed nimi w wachlarz. Pierwsze z nich było portretem. Trzydziestoletni Jennings, młody, zadbany mężczyzna z włosami w kolorze żyta i szerokim uśmiechem, jak również ze stalowobłękitnym chłodem w oczach, który w przedziwny

sposób dzielił zdjęcie na dwie części. Kerstin zakryła dłonią górną część jego twarzy - zobaczyli roześmianego młodzieńca. Potem zrobiła to samo z dolną częścią - zobaczyli mrożące spojrzenie człowieka, który nie cofnie się przed niczym.

- Właśnie tak - wybuchnął Larner. - Właśnie tak. Z początku był bardzo przyjemny, naprawdę sympatyczny. Dolna połowa. Z czasem coraz częściej ujawniała się ta górna.

Przejrzeli resztę zdjęć. Nastoletni Jennings w mundurze, trochę starszy w otoczeniu tak samo umundurowanych, Jennings z ogromnym tuńczykiem, Jennings z pistoletem maszynowym wycelowanym w obiektyw aparatu, z udawanym napięciem rysującym się na twarzy, Jennings tańczący ze śliczną, pochodzącą z Południa dziewczyną dwojga imion, Jennings z małym dzieckiem na kolanach, Jennings obściskujący wietnamską prostytutkę i Jennings zanoszący się śmiechem, z bronią przystawioną do skroni zalanego łzami nagiego Wietnamczyka, który klęczy, trzęsąc się ze strachu, nad głębokim dołem w ziemi. Kerstin przesunęła to ostatnie zdjęcie w stronę Lamera.

- Ano właśnie - westchnął. - Przy tym zapomina się o pozostałych. Okropne. Sporo bym za nie dostał, gdybym zdecydował się je sprzedać „Time Magazine”. Nie rozumiem, dlaczego je zachował. Wszystkie te zdjęcia znaleźliśmy w jego domu, już po śmierci.

- Jak umarł? - zapytała Kerstin. - Dokładnie.

- Pod koniec obserwowaliśmy go właściwie przez całą dobę... - zaczął Larner, ale usłyszał kolejne pytanie.

- Jak długo?

- Jakiś miesiąc przed jego śmiercią.

- Czy w tym czasie doszło do jakichś morderstw?

- Stan, w jakim znajdowane były ciała, zwykle uniemożliwił ustalenie dokładnej daty zgonu. Chociaż rzeczywiście, przed jego śmiercią znaleźliśmy wszystkie szesnaście. Był to jeden z powodów, dla których się upierałem, mimo że miałem przeciwko sobie każdą możliwą instancję. Im dłużej go obserwowaliśmy, nie

znajdując w tym czasie żadnych nowych ofiar, tym bardziej wierzyłem, że to morderca. Mogę mówić dalej?

- Oczywiście - zawstydziała się Kerstin. - Przepraszam.

- Próbowałem śledzić go osobiście tak często, jak to było możliwe. Tego dnia też tam byłem. Trzeci lipca 1982. Było potwornie gorąco, nie do wytrzymania. Jennings wybiegł z mieszkania, krzychał coś do nas; ostatnimi czasami zdarzało mu się to coraz częściej. Jakby był doprowadzony do ostateczności. Potem popędził do samochodu i odjechał z piskiem opon. Jechaliśmy za nim drogą krajową jakieś dziesięć mil na północ. W szalonym tempie. W którymś momencie zauważyliśmy słup dymu unoszący się nad drogą, byliśmy jeszcze za zakrętem. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, okazało się, że Jennings miał czołowe zderzenie z ciężarówką. Oba samochody stały w ogniu. Dobiegłem możliwie jak najbliżej, widziałem, jak rusza się powoli w aucie, miał liczne poparzenia.

- A więc nie widzieliście samej kolizji? - zapytała Kerstin.

Lamer uśmiechnął się, był to ten sam porozumiewawczo-pobłażliwy uśmiech, który stał się charakterystyczny dla ich wzajemnych relacji. Hjelm czuł się nieco wyobcowany.

- Rozumiem, dlaczego to drażysz, Halm - powiedział Larner.

- Nie, znajdowaliśmy się kilkaset jardów z tyłu, dzielił nas zakręt i nie widziałem jego płonącej twarzy. Tak, to było najlepsze miejsce na sfingowanie wypadku. Ale po pierwsze, nie było gdzie uciec, wokół płaski teren i ani jednego samochodu, po drugie - i najważniejsze - zęby w samochodzie należały do niego. Ja też potrzebowałem dużo czasu, żeby się przekonać, że on naprawdę zginął w tym wypadku. Ale tak właśnie było. Nie wierzcie, że było inaczej. Nie próbujcie, jak ja, przyczepić się do Jenningsa. To na zawsze utopiło tę sprawę. Już nawet nie potrafię sformułować sensownej hipotezy. K pozostaje zagadką. Mu siał śmiać się gdzieś w ukryciu, gdy ja niszczyłem zmęczonego, bezrobotnego weterana wojennego, doprowadzając do jego śmierci. Potem zamordował jeszcze dwa razy w ciągu pół roku,

pewnie tylko po to, żeby pokazać, jak bardzo się myliłem. Zrobił to długo po wypadku Jenningsa. Później słuch o nim zaginął. Lamer siedział nieruchomo z przymkniętymi oczami.

- Myślałem, że już do niego nie wrócę - zaczął powoli. - Jeszcze przez wiele lat po ostatnim morderstwie zajmowałem się tą sprawą, sprawdzałem każdy najmniejszy szczegół. Mija ponad dziesięć lat. Zabieram się za coś nowego. Rasiści na Południu, handel narkotykami w Vegas. Wciąż jednak nie potrafię o nim zapomnieć. A potem ten skurwysyn znowu zaczyna. Przeprowadził się do Nowego Jorku. Szydzi ze mnie.

- Jesteście pewni, że to on?

Larner przesunął palcem po nosie, wyglądał na zmęczonego.

- Ze względów bezpieczeństwa staramy się, by jak najmniejsza liczba agentów miała dostęp do kluczowych szczegółów. W tej sprawie byłem to ja i człowiek o nazwisku Camerun. Don Camerun zmarł na raka w 1986. Nikt poza mną nie zna tego konkretnego szczegółu, nawet Jeny Schonbauer. Chodzi o szczypcę. Są identyczne, wprowadza je w ten sam, skomplikowany sposób. Ponieważ teraz to wasze dochodzenie, wasza dwójka dostanie wgląd do dokumentu, w którym to opisano; domagam się z całą stanowczością, by nikt poza wami się o nim nie dowiedział.

- Co się stało z członkiem Commando Cool, który przeprowadził się do Nowego Jorku? - nie odpuszczała Kerstin. - Tym maklerem giełdowym?

Larner zaśmiał się głośno.

- Najwyraźniej wszystkie moje stare myśli unoszą się w powietrzu, a ty je wyłapujesz, Halm.

- Kerstin - powiedziała Kerstin.

- Okej, Charstin. Zgadza się. Steve Harrigan nie został wymieniony w raporcie, który wam wysłałem. Ale go sprawdziłem. Znajdziecie go w kompletnym materiale, który zostanie wam udostępniony. Harrigan jest miliarderem, ciągle gdzieś podróżuje. W czasie każdego z sześciu morderstw drugiej serii przebywał za granicą. A obecnie z pewnością nie ma go w Szwecji.

Pozwólcie więc, że pójdziemy teraz do Jerry'ego. Minęło już co najmniej pięć minut.

Poprowadził ich korytarzami do sali konferencyjnej, która wyglądała jak kino. Na końcu stołu pod samym ekranem siedział gigant i machał nogami. Podwinięte nogawki odsłaniały parę mocno owłosionych cienkich nóżek, wystających znad regulaminowych czarnych skarpetek.

- Jerry trafił tu z oddziału w Kentucky, wraz z początkiem nowej serii - powiedział Larner i rozsiadł się w jednym ze sprzyjających zaśniećiu foteli. - Jest cholernie dobrym agentem, to on zatrzymał Rogera Penny'ego, jeśli coś wam to mówi. Zaczynaj, Jerry. *I'm gonna take a nap.* Na początku może się wam zrobić niedobrze, ale po chwili się przyzwyczajcie. Zresztą zobaczycie sami.

Światło zostało przyciemnione. Poczuli się jak w kinie. Nie zabrakło również efektów specjalnych. Niestety, nie rodem z Hollywood.

- Michael Spender - usłyszeli basowy głos Schonbauera. Zobaczyli zdjęcie mężczyzny, którego jedyną częścią ciała zachowaną w całości była głowa. Na szyi świeciły dwa małe czerwone punkciki. Głowa odchylona do tyłu, biała i napuchnięta. Był na gi. W jego zgasłych oczach krył się ten sam straszliwy ból co w oczach Andreasa Gallana. Paznokcie u rąk i nóg były zerwane, od tułowia odcięto wąskie paski skóry, przyrodzenie rozcięte od żołądki po mosznę wisiało bezwładnie, dwa krwawe strzępy na obu pachwinach.

Zemdlilo ich. Nagle i jednocześnie. O mało co nie wybiegli. Schonbauer ciągnął beznamietnym głosem:

- Spender, informatyk w Macintoshu w Louisville, był pierwszą ofiarą. Na jego ciało natrafił zbieracz jagód w lesie w północno-zachodnim Kentucky mniej więcej dwa tygodnie po zabójstwie. Spendera nie było w pracy od lunchu czwartego września 1978. Znaleziono go po południu dziewiętnastego, sześćdziesiąt mil od miejsca zamieszkania. Pracował nad pierwszym dużym komputerem Apple.

Kolejna ofiara nie została zidentyfikowana. Mocno zbudowany mężczyzna o słowiańskich rysach. Zdjęcie było trochę bardziej łagodne dla żołądków. Ubrany, ale ze zniekształconymi palcami i narządami płciowymi.

- Wygląda na Rosjanina - stwierdził Hjelm i pomyślał o starym, absurdalnym tropie KGB.

- Bez wątpienia - przytaknął Schonbauer. - Bezzwłocznie wysłaliśmy odciski palców do rosyjskiej policji, ale nic to nie dało. Wiemy o nim tylko tyle, że znaleziono go w południowym Kentucky jakieś dwa miesiące po Spenderze. W starym wychodku obok opuszczonego gospodarstwa. Nie żył od ponad tygodnia.

Kolejne zdjęcie. Kolejny niezidentyfikowany. Szczupły, wysportowany biały mężczyzna około sześćdziesiątki, nagi, zdeformowany w ten sam sposób co Spender. Zdjęcie było wyjątkowo obrzydliwe. Zmrok, ponure wierzchołki drzew i świecący w ciemności trup. Mężczyzna siedział wyprostowany na kamieniu w lesie, był całkiem sztywny. Ramiona sterczały z ciała, jakby uniesione wewnętrzną, nieprzewyciężoną siłą, kości wystawały z rąk, jak gwoździe wypchnięte od wewnątrz. Miał otwarte oczy. Zobaczyli w nich oskarżenie.

Hjelm wcale nie uważał, że można się przyzwyczaić. Wprost przeciwnie, czuł, że żołądek podchodzi mu coraz wyżej do gardła.

Kolejne fotografie. Przerazająca kawalkada zastygłych w bólu ciał. Bardzo szybko przekroczyli granice ludzkiego pojęcia. Już sama liczba zdjęć przyprawiała o mdłości. Powoli docierał do nich rozmiar sprawy, ogrom cierpienia, z jakim mieli tu do czynienia. Kerstin zapłakała dwa razy, w zupełnej ciszy; Hjelm poczuł drżenie jej ramienia. Sam zapłakał raz, ale za to głośniej.

- Chcecie, żebym wyłączył? - zapytał ze spokojem Schonbauer. - Ja obejrzałem to do końca dopiero za trzecim razem. A niejedno już widziałem.

Usłyszeli chrapanie Lamera.

- Nie, nie przerywaj - powiedział Hjelm, jakby próbując przekonać samego siebie.

- Jest ich tak wielu - powiedział ściszym głosem Schonbauer. - Tak niesłychanie wielu seryjnych morderców i nikt nie potrafi naprawdę zrozumieć nawet jednego z nich. Oni siebie też nie.

Nie zaczęli co prawda chrapać, ale w końcu włączyły się mechanizmy obronne i popadli w ośpienie. Na potworne zakończenie obudził ich Lars-Erik Hassel. Siedział na krześle z powykrecanymi, zmiżdżonymi palcami, jego przyrodzenie wyglądało na półpłynną miazgę. W tle widać było małe okienko, a w nim ogromny samolot.

Patrzył na nich z odciągniętą do tyłu głową, ból w jego oczach mieszał się z obrzydzeniem, udręczenie z paradoksalnym poczuciem ulgi.

Może poczuł ulgę, że to nie Laban, pomyślał Hjelm.

Światło powoli rozjaśniło pokój. Schonbauer usiadł na biurku, wymachując nogami jak nastolatka. Lamer wybudził się w połowie chrapnięcia, pociągając głośno nosem. Hjelm poruszył ramionami. Holm siedziała jak skamieniała. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie chciało spojrzeć drugiemu w oczy.

Larner wstał, ziewnął i przeciągnął się tak, że strzyknęło w jego masywnym ciele.

- Rozumiem, że przygotowaliście dla nas deser? - powiedział tylko.

Kerstin podała szwedzkie teczki. Larner otworzył je, przerzucił szybko zdjęcia, po czym Schonbauer dołączył je do pozostałych.

Larner wyszedł bez słowa. Podziękowali Schonbauerowi, który kiwnął tylko głową, i podążyli za Lamerem. Stanęli przed drzwiami bez wizytówki. W środku nikogo nie było.

- Wasze biuro - oświadczył Larner, wskazując ręką. - Mam nadzieję, że jesteście przyzwyczajeni do pracy w zespole.

Pokój wyglądał zupełnie jak pokój Lamera minus wszelkie oznaki życia. Pytanie, ile mogli tu wnieść od siebie. Spod ściany

przyciągnięto biurko, do tego dwa krzesła, po jednym z każdej strony. Dwa komputery odwrócone do siebie plecami, telefon i spis numerów. Larner wziął go do ręki.

- Mój numer, numer Jerry'ego, mój pager, pager Jerry'ego, możecie zawsze nas złapać, nazwy plików, opis, osobiste hasła, gościnne karty wejściowe, ale obowiązujące tylko tutaj. Zamknij te drzwi to po prostu drzwi, do których nie macie dostępu. Nie macie ani możliwości, ani też powodu, żeby opuszczać ten korytarz. Toalety, damskie i męskie, znajdują się kilka drzwi dalej. Jest kilka stołówek, najlepsza La Traviata dwa piętra w dół, polecam. Jakies pytania?

Żadnych pytań. Albo też całe mnóstwo pytań - w zależności od tego, jak na to spojrzeć. W każdym razie żadne nie zostały zadane. Larner ciągnął dalej:

- Jest już wpół do czwartej. Jeśli chcecie, możecie posiedzieć tu jeszcze kilka godzin. Ja zostanę pewnie do szóstej. Dziś wieczorem jestem niestety zajęty, gdyby nie to, moglibyśmy zjeść razem kolację. Jerry zaoferował się pokazać wam miasto. Jeśli oczywiście macie ochotę. Dajcie mu znać. Pozostaje więc tylko życzyć wam powodzenia. Nie musicie się obawiać, że otworzycie czyjeś dokumenty, komputery mamy szyte na miarę, wszystkie tajne materiały są gdzie indziej. Kontaktujcie się ze mną lub z Jerryem, jeśli pojawi się problem lub gdy będziecie mieć jakieś pytania. Cześć.

Wyszedł. Zostali sami. Kerstin przetarła oczy.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czy dam radę - ziewnęła. - Jest wpół do dziesiątej szwedzkiego czasu. Trzymamy się szwedzkiego czasu?

- Być może nie powinniśmy od razu spadać - zastanawiał się Hjelm. - Lepiej dalej udawać dyplomatów.

Najwyraźniej odczuła lekko ironiczne uklucie w jego słowach i uśmiechnęła się.

- Tak, wiem, zwyciężyła ciekawość. Strategia poszła się bujać.

- CIA...

- Okej, okej, *rub it in*. Czuję, że się nie wścieknę.



- Nie wydaje mi się, że się wściekł. Raczej mu ulżyło. Jak myślisz?

- Nie wiem. Rozumiem, czemu upierał się przy Jenningsie.

- Ale ma rację, że musimy przestać o nim myśleć.

- Tak uważasz?

Spojrzeni na siebie. Jet lag plus nadmiar bodźców. Zaśmiali się głupkowato. Czuli, jak rozkłada ich zmęczenie. Hjelmowi podobala się ta niepoważna słabość, która zdawała się ich ogarniać, zwykle mechanizmy obronne przestały działać.

- Darujemy sobie wycieczkę z Schonbauerem? - zapytał.

- Czy potrafisz mu to zakomunikować w elegancki sposób?

- To ty jesteś dyplomatka.

- W teorii. A to jest praktyka. Byłeś dużo lepszy ode mnie.

- Po prostu się nie odzywałem - zaśmiał się i wykręcił numer Schonbauera. *-Jerry, this is Paul. Jalm, yes, Jalm.* Spróbujemy posiedzieć tu ile się da, a potem pozwolimy, by nasz jet lag przejął dowodzenie. Myślisz, że moglibyśmy przełożyć naszą wycieczkę po Manhattanie na jutro? Świetnie. Okej. *Bye.*

Odłożył słuchawkę i odetchnął.

- Myślę, że mu ulżyło.

- W porządku - powiedziała Kerstin. - Może po prostu sprawdzimy, co takiego jest w komputerach, i darujemy sobie detale. Na dziś mam już dosyć detali.

W komputerach znajdowały się wszystkie potrzebne informacje. Szczegółowa lista ofiar. Foldery ze sprawozdaniami z miejsca zbrodni. Foldery z poszczególnymi dochodzeniami. Folder z wyłaniającym się powoli wspólnym raportem z dochodzenia. Profil psychologiczny sprawcy stworzony przez grupę ekspertów. Folder z wynikami obdukcji. Folder z opisem broni, FYEO.

- Co to znaczy? - zapytał Hjelm.

- *For your eyes only.* Najwyraźniej tutaj znajdują się te okryte tajemnicą szczegóły, które łączą pierwszą serię z drugą.

Przejrzeni pliki. Przed ich oczami przesuwala się nieprawdopodobna liczba informacji. Jakim cudem mieli wnieść cokolwiek

do tak już rozbudowanego dochodzenia? Wyglądało to na tyle beznadziejnie, że zdecydowali się na fajrant. Poczuli przypływ dziecinnej wesołości, gdy zamykali komputery do taktu wyliczanki „Pałka, zapalka, dwa kije, kto się nie schowa, ten kryje”.

- Myślisz, że uda nam się wymknąć FBI? - zapytała Kerstin Holm.

Oczywiście, byłaby to świetna okazja, żeby zobaczyć *New York by night*, ale nie żalowali, że podziękowali Jeny'emu Schonbauero-wi. Nawet nie wyszli ze Skippe's Inn, cieszyli się spokojną kolacją w restauracji hotelowej po kilku godzinach niespokojnego snu; trochę tylko ciężko im było wstać o drugiej w nocy, bo właśnie taka była godzina w Szwecji, gdy weszli do westybulu. O godzinie ósmej lokalnego czasu szukali restauracji w środku restauracji. Innymi słowy restauracja była z tych raczej mniejszych.

Skipper's Inn dalej udawał gospodę. To, co restauracja traciła na wielkości, zyskiwała na jakości. Dostali jedno z dwóch dostępnych dań, pieczony filet z połównicy wołowej i butelkę bordeaux nieznaney marki Chateau Germaine. Usiedli przy stoliku pod oknem, przynajmniej tak mogli poczuć atmosferę Manhattanu. Byli pierwszymi gośćmi, ale restauracja zaczęła się zapełniać. Wkrótce wszystkie dwanaście stołów było zajęte.

Paul Hjelm miał silne poczucie *deja vu*. Poprzednim razem, gdy siedzieli sami i cieszyli się spokojną kolacją w restauracji w obcym miejscu, konsekwencje były, krótko mówiąc, namacalne. Kręcił się na krześle, myśląc o Cilli i dzieciach, o z trudem odbudowanej rodzinie. Rozmyślał też o nieprawdopodobnej pokusie, jaką wciąż była dla niego kobieta siedząca po drugiej stronie stołu, o tym, jak odwiedzała jego sny, i o tym, że wciąż stanowiła natrętną zagadkę. Zrobiła sobie delikatny makijaż, włożyła małą czarną z cienkimi ramiączkami, które krzyżowały się na nagich plecach. Była mała i krucha, a jej twarz wydawała się mniejsza niż zwykle w ramie

z ciemnego, lekko potarganego pazia. A może to taka fryzura. Nie mógł się powstrzymać.

- Pamiętasz, kiedy ostatnio tak siedzieliśmy?

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się nieprawdopodobnie czarująco.

- W Malmö.

Ten jej subtelny góteborski alt. Dźwięczały mu w uszach jej duety z Gunnarem Nybergiem. Melodie Schuberta. Wiersze Goethego. Nie wiedział, czy próbuje uciec, czy chce się zbliżyć. Otwierając usta, nie wiedział, co powie. Pozwolił, by wszystko działo się samo.

- Półtora roku - powiedział.

- Już wkrótce - odpowiedziała.

- Pamiętasz?

- Dlaczego nie miałabym?

- Cóż...

Spółeczny wyrzutek wypłynął na powierzchnię. Spróbował wcisnąć go z powrotem pod wodę. Zapytał krótko:

- Co takiego się wydarzyło?

Mogła to zinterpretować, jak chciała. Przez chwilę milczała.

- Musiałam pójść inną drogą - odezwała się w końcu.

- Jaka?

- Jak najdalej od pracy. Chciałam się zwolnić.

- Nie wiedziałem.

- Nikt poza mną nie wiedział.

On też nie? Dzięki Bogu nie powiedział tego głośno.

- On też nie - powiedziała.

Milczał. Nie miał zamiaru pytać. Mogła sama wybrać drogę, którą chciała pójść. Albo którą musiała pójść.

- Po tym, jak nie mogłeś się zdecydować, chciałam żyć bez mężczyzny - wyszeptła. - Potrzebowałam czasu, żeby wszystko przemyśleć. Potem spotkałam jego, zabawny zbieg okoliczności. Wydzwaniał do pracy, więc szybko się rozniosło, że z kimś się spotykam. Nikt nie wiedział jednak, że ma sześćdziesiątkę i jest pastorem.

Hjelm nie odezwał się ani słowem. Po chwili mówiła dalej, z wzrokiem utkwionym w widelec, którym dłubała rozkojarzo-na w napoczętym filecie.

- Nikt nie wierzy, że można mieć pełen namiętności związek z sześćdziesięcioletnim księdzem. Ale tak było. Tylko na takie związki mam dziś siłę.

Odwróciła się w stronę zatłoczonej West 25th Street i mówiła dalej tym samym, lekko jednostajnym, bezdźwięcznym głosem.

- Był wdowcem od dwudziestu lat, proboszczem w parafii, w której śpiewałam w chórze. Rozplakał się, gdy mnie usłyszał, podszedł do mnie i pocałował w rękę. Poczułam się jak uczennica, którą wreszcie ktoś pochwalił. Byłam córką i matką jednocześnie. Z nich dwóch zrodziła się powoli kobieta.

Unikała konsekwentnie jego wzroku.

- Chciał jeszcze tyle zrobić. Część udało nam się zrobić razem. Miał w sobie bardzo dużo spokojnej i pięknej mądrości życiowej. Nie wiem, czy to można zrozumieć. Każdy dzień był dla niego darem, którym się cieszył. Jeśli czegoś mnie nauczył, to właśnie tego.

- Co się stało?

Nareszcie odwróciła się do niego, krótkie spojrzenie. Jej oczy były lekko przymglone, ale w najwyższym stopniu ożywione.

- Zmarł - powiedziała i znowu skierowała wzrok na ulicę.

Wziął ją za rękę i przytrzymał. Nie ruszała się. Patrzyli na miasto. Czas jakby przestał istnieć.

- Był umierający, już gdy się spotkaliśmy - mówiła dalej ciicho. - Dopiero teraz zaczynam to rozumieć. Wiedział, że ma w sobie dużo życia. Chciał to komuś przekazać. Dać podarunek na pożegnanie żyjącym. Mam nadzieję, że dostał ode mnie coś, co mógł zabrać ze sobą. Trochę pasji, może coś jeszcze.

Przestał myśleć, jak powinien się zachować. Po prostu słuchał. Było mu dobrze.

- Wszystko stało się tak szybko. Czekala go trzecia chemioterapia. Olał ją. Zamiast walczyć do końca, wybrał ostatnie chwile

radości. Czuwałam przy nim przez tydzień, każdego dnia po pracy. Była wiosna. Wyglądał, jakby się kurczył. A jednak prawie cały czas się uśmiechał. Niesamowite. Nie wiem, czy cieszyło go dawanie, czy branie. Może właśnie wymiana. Jakby po raz ostatni mógł wejrzeć w misterium życia i już bez strachu czekać na to największe misterium.

Odwróciła się do niego na krótką chwilę, jakby chciała sprawdzić, czy wciąż tu jest. Był. Odwróciła się znowu.

- Nie wiem - powiedziała. - Te zdjęcia dzisiaj... Myślisz, że możesz się przygotować, ale to niemożliwe. Myślisz, że widziałeś już wszystko, ale to nieprawda. Jak gdyby istniały różne rodzaje śmierci. On też cierpiał, cierpiał straszliwie, ale mimo to się uśmiechał. Tu nie było nawet cienia uśmiechu, tylko twarze wykrzywione cierpieniem. Jak średniowieczny relief na fryzie przedstawiający mękę Chrystusa. Stworzony, by wywołać przerażenie. Straszny. Jakby ten człowiek chciał nas postraszyć życiem, jak średniowieczni prałaci. Prawie mu się udało.

- Nie wiem. Nie widzę w tym żadnego przesłania. Mam raczej wrażenie, że widzimy same szczątki, resztki, odpady produkcyjne, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. To przypomina mechaniczną, przemysłową śmierć w Auschwitz. O ile w ogóle można sobie pozwolić na takie porównanie.

Spojrzała mu w oczy. Wreszcie to z siebie wyrzuciła. Spojrzał w parę głębokich, zasmuconych, opustoszałych oczu i widział, jak zapala się w nich iskra, właśnie w tej chwili. Cudowna toń oczu.

Zastanawiał się, co ona widzi. Pajaca, który biega po pokoju, próbując ukryć swoją erekcję? Miał nadzieję, że był w tym choć mały ślad czegoś więcej.

- Być może to się nie wyklucza - powiedziała, a nowa energia nie zagłuszyła tonu zamyślenia. - Pogarda dla życia i chirurgiczna perfekcja w jednym uczynku. To przecież jest jeden i ten sam uczynek.

Zamyślili się. Sprawy zawodowe i sprawy prywatne bezustannie na siebie zachodziły. Wszystko się ze sobą łączyło.

Poczuł, że teraz kolej na niego. Znow chwycił ją za rękę. Nie opierała się.

- Czy to, co było między nami, to był czysty seks? - zapytał bez drżenia w głosie. - Czy jest coś takiego jak czysty seks?

Uśmiechnęła się gorzko, ale nie odsunęła ręki.

- Pewnie nie - powiedziała. - W każdym razie między nami było coś innego. To było... skomplikowane. Zbyt skomplikowane. Dopiero co udało mi się wyrwać z piekielnego związku z mężczyzną, który gwałcił mnie, nie zdając sobie z tego sprawy. Jak wiesz, był policjantem, a potem trafiłam na innego policjanta, kompletne przeciwieństwo. Twardy i spostrzegawczy jako glina, czuły i nieporadny jako człowiek. Obrazy nachodziły na siebie. Musiałam przed tym uciec. Wróciłeś na łono rodziny, ja nie miałam dokąd, więc poszłam w swoją stronę.

- W jakimś sensie życie teraz jest prostsze - odrzekł Paul.

- W innym trudniejsze.

Spojrzała mu w oczy.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem dokładnie. Mam poczucie, jakby otaczały nas ściany. Uchyliłiśmy drzwi. Teraz znowu się zamykają. A ściany coraz bardziej napierają.

Szukał słów. Nie znajdował. Próbował nazwać coś, czego jeszcze nigdy nie udało mu się nazwać.

- Nie wiem, czy można to zrozumieć - powiedział tylko.

- Wydaje mi się, że tak - odparła i dodała: - Zmieniłeś się.

- Może trochę - powiedział i zamilkł. Po chwili mówił dalej.

- Może z wierzchu, ale od czegoś trzeba zacząć. Dziedziczne nawyki łamią nas, zanim w ogóle mamy szansę z a c z ą ć żyć. Patrząc obiektywnie, w moim życiu w porównaniu z twoim nie wydarzyło się nic wielkiego, wręcz przeciwnie, był to dosyć ubogi w wydarzenia rok. Ale z drugiej strony otworzył nowe możliwości...

Kiwnęła lekko głową. Rozmowa urywała się; jakby przeniosła się do wnętrza. Ich spojrzenia się rozeszły i błędziły w nicości. W końcu odezwała się:

- Powoli dociera do mnie, jak ważne jest, żebyśmy go złapali.  
Kiwnął głową. Wiedział, co ma na myśli.

Wyszli z restauracji i wspiełi się po schodach, trzymając się za ręce. Stanęli przed jego pokojem.

- To jak? - zapytała. - O siódmej?

Westchnął lekko i uśmiechnął się.

- Okej, śniadanie o siódmej.

- Zapukam. Postaraj się nie stać pod prysznicem. Zaśmiał się.

Pocałowała go w policzek i weszła do swojego pokoju. Jeszcze przez chwilę nie ruszał się z miejsca.

PRZYBYLI, zobaczyli, zwyciężyli. Pokonali swój jet lag, i to był ich jedyny sukces. Pole widzenia skurczyło się, odcinając cały Nowy Jork. Zostało tylko biurko i dwa komputery.

Materiał był rzeczywiście gigantyczny. Tysiące stron z zadziwiającym bogactwem detali, również tych całkowicie nieistotnych, ciągnące się przez dziesiątki stron wywiady z ludźmi, którzy znaleźli trupa, i sąsiadami sąsiadów, do bólu naukowe porównania z dawniejszymi i współczesnymi seryjnymi mordercami, niesłychanie szczegółowe mapy miejsca zdarzenia, analizy społeczno-polityczne autorstwa profesorów uniwersyteckich, protokoły z obdukcji, w których odnotowano wstępną fazę próchnicy zębów ofiary i tworzące się kamienie nerkowe, szczegółowo przeprowadzone oględziny miejsca zbrodni i starannie przygotowany opis działalności Commando Cool w południowoazjatyckich dżunglach sporządzony przez Raya Lamera.

Nie powinien był od tego zaczynać, ale Hjelm od razu wciągnął się w to ostatnie. Jeśli informacje, do których dotarł Larner, były prawdziwe, Commando Cool powstało z inicjatywy prezydenta Nixona po tym, jak stało się jasne, że wzięci do niewoli na polu walki żołnierze Wietkongu umierają, zanim zdążą cokolwiek wyjawić. Potrzebowali małej, doświadczonej w boju jednostki, mobilnej tajnej grupy oprawców, nawet jeśli to słowo nie zostało nigdy oficjalnie wypowiedziane. Zadanie zostało powierzone wywiadowi wojskowemu - w tym miejscu Larner postawił kilka znaków zapytania - który zwerbował ośmiu orłów,



jednego młodszego od drugiego, i nadzorował ich działalność, intensywną zwłaszcza pod koniec wojny. Pochodzenie szczypiec nie było znane, jednak potrafiący czytać między wierszami Hjelm domyślał się, że chodzi o CIA. Przeszedł do najtajniejszego folderu dotyczącego szczypiec.

Były tu, czarno na białym: z lewej zdjęcie szczypiec do strun głosowych używanych przez Commando Cool, z prawej rysunkowa rekonstrukcja szczypiec należących do K. Działały w zasadzie tak samo, ale wyraźnie się różniły. Szczypce K to był model udoskonalony, efekt technologicznej modernizacji. Hjelm znalazł szczegółowe opisy działania szczypiec, czytał, jak stalowe cięgna poruszają się wewnątrz rurki regulowane miniaturowymi pokrętłami, jak penetrują krtań i małymi haczykami chwytają i zaciskają struny głosowe; lekki obrót jednym z pokręteł sprawiał, że z gardła mógł wydobyć się zduszony szept. Model po prawej stronie, należący do K, był zaprojektowany tak, by łatwiej było trafić w odpowiedni punkt, do końca wojny nie został jednak użyty przez Commando Cool. Oznaczało to dwie rzeczy: po pierwsze, że wcale nie jest powiedziane, że K był kimś z Commando Cool - w końcu szczypce się różniły, po drugie, że ten straszliwy wynalazek z czasów wojny w Wietnamie został udoskonalony. Dlaczego? I przez kogo? W raporcie Lamera nie znalazł żadnych hipotez.

Potem przyszła kolej na drugie szczypce, przeznaczone już wyłącznie do torturowania, które skręcały i zwierały wiązki nerwowe w szyi. Również one zostały zmodernizowane, gdy zlokalizowano nowe bolesne punkty; wbicie szczypiec powodowało jeszcze większe cierpienie. Znalazł też szczegółowy opis, jak rozchodził się ból, jak sunął wzdłuż pleców i ramion i jak wędrował z powrotem w górę, do samego mózgu, powodując kolejne eksplozje bólu.

W drugiej serii zabójstw użyto tych samych szczypiec co w pierwszej, niepodobnych do siebie, lecz, jak wskazywały na to niektóre cechy szczególne w sposobie powstawania ran,

dokładnie tych samych, co pozwalało wysunąć wniosek, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą, K.

Gdyby chodziło o produkt przemysłowy, to w pracach nad nim musiałyby być zaangażowane wiele osób, na przykład z wojskowej służby bezpieczeństwa lub z CIA czy jeszcze skądinąd. Grono potencjalnych podejrzanych tutaj zdecydowanie rosło, ale Larner napotkał mur milczenia. Czy dlatego z pomocą Andrews stworzył Ballsa? Czy podejrzewał, że rzeczywiście istniał tajny zwierzchnik, który z czasem zawędrował na sam szczyt Pentagonu i odciął dostęp do informacji? Jakim sposobem Larner uzyskał dane członków Commando Cool, skoro innych informacji nie udało mu się zdobyć?

Bez zbędnych ceregieli zadzwonił do Lamera i zapytał.

- To wszystko w ogóle dziwnie przebiegało - odpowiedział Larner przez telefon. - Potrzeba było wiele łapówek, machinacji i zawołanych gróźb. Stukałem do wszystkich możliwych drzwi i udało mi się dotrzeć do anonimowego urzędnika, który za kilka tysięcy dolarów skopiował cały, ściśle tajny plik o Commando Cool. Powinno być w nim wszystko, ale znalazłem tylko spis członków. Innymi danymi wojsko nie dysponowało.

- Czy to właśnie wtedy zacząłeś myśleć o CIA?

Larner roześmiał się.

- Myślałem o nich od początku - powiedział, odkładając słuchawkę.

Kerstin zajęła się innymi sprawami. Znalazła listę wszystkich ofiar i wydrukowała ją. Była to makabryczna wyliczanka, która zawierała wszelkie dostępne informacje: nazwisko, rasę, wiek, zawód, adres, miejsce znalezienia zwłok, szacowany czas śmierci:

- 1) Michael Spender, biały, 46 lat, inżynier w Macintoshu, zamieszkały w Louisville, znaleziony w północno-zachodnim Kentucky, zmarły około 5 września 1978.

- 2) Niezidentyfikowany biały mężczyzna, około 45-50 lat, znaleziony w południowym Kentucky, zmarły na początku listopada 1978.
- 3) Niezidentyfikowany biały mężczyzna, około 60 lat, znaleziony we wschodnim Kentucky, zmarły około 14 marca 1979.
- 4) Yin Li-Tang, obywatel tajwański, 28 lat, zamieszkały w Lexington, biolog na Uniwersytecie Stanu Kentucky, znaleziony na terenie uczelni, zmarły 9 maja 1979.
- 5) Robin Marsh-Eliot, biała kobieta, 44 lata, zamieszkała w Waszyngtonie, korespondent zagraniczny „Washington Post”, znaleziona w Cincinnati w stanie Ohio, zmarła w czerwcu-lipcu 1979.
- 6) Niezidentyfikowana biała kobieta, około 35 lat, znaleziona w południowym Kentucky, zmarła około 3 września 1979.
- 7) Niezidentyfikowany biały mężczyzna, około 55 lat, znaleziony w południowym Illinois, zmarły w styczniu-marcu 1980.
- 8) Niezidentyfikowany mężczyzna pochodzenia hinduskiego, około 30 lat, znaleziony w południowo-zachodnim Tennessee, zmarły 13-15 marca 1980.
- 9) Andrew Schultz, biały, 36 lat, zamieszkały w Nowym Jorku, pilot Lufthansy, znaleziony w południowym Kentucky, zmarły w październiku 1980.
- 10) Niezidentyfikowany biały mężczyzna, około 65 lat, znaleziony w Kansas City, zmarły w grudniu 1980.
- 11) Atle Gundersen, biały, obywatel norweski, 48 lat, zamieszkały w Los Angeles, fizyk kwantowy na UCLA, znaleziony w południowo-zachodniej West Virginii, zmarły 28 maja 1981.
- 12) Niezidentyfikowany biały mężczyzna, 50-55 lat, znaleziony we Frankfort w Kentucky, zmarły w sierpniu 1981.
- 13) Tony Barrett, biały, 27 lat, zamieszkały w Chicago, inżynier chemii w Brabham Chemicals, znaleziony w południowo-zachodnim Kentucky, zmarły 24-27 sierpnia 1981.
- 14) Niezidentyfikowany biały mężczyzna, 30-35 lat, znaleziony w północnym Kentucky, zmarły w październiku-listopadzie 1981.

- 15) Niezidentyfikowany biały mężczyzna, 55-60 lat, znaleziony w południowej Indianie, zmarły w styczniu 1982.
- 16) Lawrence B.R. Carp, biały, 64 lata, zamieszkały w Atlancie w stanie Georgia, wicedyrektor RampTech Computer Parts, znaleziony w swoim domu, zmarły 14 marca 1982.  
[Główny podejrzany Wayne Jennings zmarły 3 lipca 1982]
- 17) Niezidentyfikowany czarny mężczyzna, 44 lata, znaleziony w południowo-zachodnim Kentucky, zmarły w październiku 1982.
- 18) Richard G. de Ciarke, biały, obywatel RPA, 51 lat, zamieszkały w Las Vegas, właściciel pornoklubu w Las Vegas, znaleziony we wschodnim Missouri, zmarły 2-5 listopada 1982.  
[Przerwa trwająca blisko piętnaście lat]
- 19) Sally Browne, biała, 24 lata, zamieszkała w Nowym Jorku, prostytutka, znaleziona w East Village na Manhattanie, zmarła 27 lipca 1997.
- 20) Nick Phelps, biały, 47 lat, zamieszkały w Nowym Jorku, bezrobotny stolarz, znaleziony w SoHo na Manhattanie, zmarły w listopadzie 1997.
- 21) Daniel „Dan the Man” Jones, czarny, 21 lat, zamieszkały w Nowym Jorku, raper, znaleziony na Brooklynie, zmarły w marcu-kwietniu 1998.
- 22) Alice Coley, biała, 65 lat, zamieszkała w Atlantic City w stanie New Jersey, na rencie zdrowotnej, znaleziona w swoim domu, zmarła 12-14 maja 1998.
- 23) Pierre Fontaine, biały, obywatel francuski, 23 lata, zamieszkały w Paryżu, turysta, student, znaleziony w Greenwich Village na Manhattanie, zmarły 23-24 lipca 1998.
- 24) Lars-Erik Hassel, biały, obywatel szwedzki, 58 lat, zamieszkały w Sztokholmie, krytyk literacki, znaleziony na lotnisku Newark, zmarły 2 września 1998.
- 25) Andreas Gallano, biały, obywatel szwedzki, 42 lata, zamieszkały w Alby, dealer, znaleziony w Riali, zmarły 3-6 września 1998.

- 26) Erie Lindberger, biały, obywatel szwedzki, 33 lata, zamieszkały w Sztokholmie, urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, znaleziony na Lidingó, zmarły 12 września 1998.
- 27) Niezidentyfikowany biały mężczyzna, 25-30 lat, znaleziony w Sztokholmie, zmarły 12 września 1998.

Kerstin Holm zamyśliła się. Czy rzeczywiście nie dało się wyciągnąć innych wniosków, niż zrobił to Lamer? Ogarnęło ją krótkie, nieprzyjemne podejrzenie, że Larner prowadził podwójną grę.

Przeszła do profilu psychologicznego. Grupa ekspertów starała się znaleźć wytłumaczenie dla piętnastoletniej przerwy. Najwyraźniej zadanie nie należało do najłatwiejszych; za okrągłymi sformułowaniami wyczuwało się różnice zdań, które starano się za wszelką cenę załagodzić. Rezultat był fascynujący. Zastanawiała się, dlaczego profil nie znalazł się w materiałach wysłanych przez Lamera do Szwecji.

Zdaniem grupy eksperckiej początkowe morderstwa wskazywały na stosunkowo młodego mężczyznę, który nienawidzi władzy uosabianej przez starszych, wykształconych mężczyzn. Próbuje uciszyć głosy, które trzymają go przy ziemi, być może odmawiając mu wstępu na uniwersytet. Jego kompleks niższości przeobraża się w manię wielkości. Nieosiągalni stają się osiągalni, potrafi odebrać im głos, zadać znany sobie ból, a nawet decydować, jak wiele z tego bólu mogą wyrazić. Wystarczy obrócić pokrętko - czy nie tak zachowywali się w stosunku do niego, pozbawiając go możliwości mówienia, jednym ruchem odsuwając go od możliwości zdobycia wyższego wykształcenia, które pozwoliłoby mu zrozumieć i wyrazić swoje cierpienie? Jego postępowanie to wypaczona odmiana zasady „oko za oko”; przenosi na inną płaszczyznę to, czego sam doświadczył. Odbiera władzę. Liczba zmarłych nie wskazuje na to, by był coraz bardziej spragniony krwi - nie ma tu mowy o żadnym nagłym przyspieszeniu - pozwala się raczej domyślić stopnia poniżenia, jakiego

doświadczył. Potrzeba osiemnastu ofiar, by wypłynął na powierzchnię i wszedł między ludzi. Może jest nawet tak, że zew krwi powoli słabnie, morderstwa mają prawdziwie terapeutyczny efekt. Dociera do punktu, w którym czuje, że osiągnął równowagę, przerywa i pnie się wyżej, pracując. Tak mija piętnaście lat. Dochodzi do władzy. Być może zdobywa wykształcenie i awansuje na szefa, ale jego przeszłość nie daje o sobie zapomnieć. Teraz sam staje się opresorem, to w tym celu się kształcił. I teraz kieruje atak na słabszych. Nienawiść w stosunku do przełożonych była tylko zazdrością. Zazdrościł im władzy. Teraz to on jako pierwszy uderza i wydłubuje oko, nie tylko się mści. Gra pierwszoplanową rolę. Nie tylko n a s ł a d u j e silniejszego, on już nim jest. Teraz już nic go nie zatrzyma.

Morderca z Kentucky jest więc prawdopodobnie białym mężczyzną na stanowisku kierowniczym, który zdobył je, stawiając wszystko na jedną kartę. Tak brzmiało podsumowanie opinii grupy eksperckiej.

Kolejny raz zapomniała o dyplomacji i zadzwoniła do Lamera.

- Ray, tu Kerstin. Halm, tak, Halm, do licha. (To ostatnie już po szwedzku). Zastanawiam się, dlaczego nie mieliśmy wglądu do profilu psychologicznego stworzonego przez grupę ekspercką?

- *Because it's bullshit* - zadudniło w słuchawce.

- Co masz na myśli? Jest tu cała masa wątków, których nie wzięliśmy pod uwagę.

- Byłem w tej grupie. Zgadza się, sama opowieść jest całkiem spójna. Wszystko gra. Ale zagubił się w niej najważniejszy kontrargument przedstawiony przez policjantów. Przez tę spójność zignorowano najbardziej podstawowy z faktów.

- Jaki?

- Profesjonalizm.

- Co przez to rozumiesz?

- On nie próbuje nikomu dorównać, to nie jest proces, tylko seria egzekucji wykonywanych z zimną krwią. Nie zostawia po

sobie płonących znaków, tylko zamarznięte resztki. To są ruiny, on niczego nie buduje.

Zamilkła. Rozpoznawała ten tok myślenia. Podziękowała i odłożyła słuchawkę.

- Zgadza się z tobą - powiedziała prosto przed siebie.

Paul Hjelm zajęty był przyglądaniem się cienkim liniom odzielającym klawisze klawiatury. Wzdrygnął się.

- O czym ty mówisz? - zdenerwował się.

- O niczym - powiedziała, próbując po raz kolejny wczytać się w materiał. Nie szło jej najlepiej. Chwyciła za słuchawkę. Głos Lamera był nieodmiennie cierpliwy.

- Czy w drugiej serii rzeczywiście mamy do czynienia z profesjonalizmem? - wypaliła prosto z mostu.

- Jak pewnie zauważyliście, mam niewiele do powiedzenia na temat drugiej serii. Nie rozumiem jej. To ten sam profesjonalizm, ten sam sposób działania. Zmienił się jedynie charakter ofiar.

- Ale dlaczego? - Była bliska krzyku. - Dlaczego przerzucił się z inżynierów i naukowców na prostytutki i emerytów?

- Rozwiąż to, a rozwiążesz sprawę - powiedział ze spokojem Larner. - Tylko czy ta zmiana rzeczywiście nastąpiła? W końcu wśród waszych ofiar są krytycy literaccy, dyplomaci i dealerzy. Ludzie z elity i ludzie z nizin, można by powiedzieć.

- *I'm sorry* - przeprosiła. - To jest takie frustrujące.

- Frustrujące to jest dopiero po dwudziestu latach...

Odłożyła słuchawkę i znów pochyliła się nad materiałem. Najtrudniej było nie tworzyć hipotez, niczego nie wymyślać, tylko cały czas chłonać. Poszerzać pole widzenia, a nie je zawęzać. Zaczekać na odpowiedni moment.

Cały dzień upłynął im na próbie nakreślenia obrazu. Podobnie wieczór. Spacer po Manhattanie musieli odłożyć na później.

Następnego dnia zaczęli powoli zawęzać pole widzenia i przeczesywać tysiące stron w poszukiwaniu potencjalnych szwedzkich wątków. Dlaczego przyjechał do Szwecji? Gdzie tu kryło się rozwiązanie.

Hjelm zajął się jedenastą ofiarą, Norwegiem, fizykiem kwantowym Atle Gundersenem. Skontaktował się z UCLA, próbując odszukać jego ewentualnych szwedzkich kolegów z początku lat osiemdziesiątych, zadzwonił do rodziny w Norwegii. Tak spędził pół dnia, ale niczego nie znalazł.

Z kolei Holm zajęła się Chrisem Andersonem, członkiem Com-mando Cool o szwedzkich korzeniach. Nawet do niego zatelefo-nowała. Miał zmęczony głos. Już tyle razy go przesłuchiowano. Wietnam był tak dawno temu, dlaczego wciąż nie pozwalali mu zakopać wspomnień, które nawiedzały go każdej nocy? Robili okropne rzeczy, ale była wojna, a oni podlegali bezpośrednio prezydentowi, czy mieli jakiś wybór? Nie, nie znał szczegółów dotyczących zwierzchnictwa i przekazywania rozkazów, powinno być o tym w materiałach z dochodzenia. Tak, przyjaźnił się z Wayne'em Jenningsem, ale ich drogi rozeszły się po wojnie. Nie, Anderssona nie łączyło nic z krajem przodków, nie rozmawiał nawet z rodzicami.

Szukali dalej, jak w amoku. Gdy pojawiała się kolejne palące pytanie, Lamer rzucał na nie cierpliwie swój koc gaśniczy. -Wyglądało na to, że nic nie umknęło jego uwagi. Przewartościami jego pracę. Brak hipotez i pomysłów wynikał najwyraźniej z tego, że nic nie zostało do dodania. Starał się myśleć trzeźwo i nie pozwolić, by szalone hipotezy rozpanoszyły się pod nieobecność rozsądnych.

Iść dalej, nie mając żadnych śladów - bez wątpienia było to jedno z największych wyzwania tego zawodu.

A jednak czuli - duzo o tym rozmawiali, w ogóle duzo rozmawiali, powoli zamiast kochankami stawali się przyjaciółmi - że brak im tylko jednego, niepozornego kawałka, by układanka złożyła się w całość. Czuli, że są już bardzo blisko, frustrująco blisko, choć tak naprawdę nie mieli po temu najmniejszego powodu.

- Coś pominęliśmy - powiedział któregoś wieczoru Paul, gdy siedzieli w hotelowej restauracji. Przestali już nawet myśleć o tym,



że mogliby spędzać czas gdzieś indziej niż w budynku FBI, w taksówce lub w hotelu. Przyzwyczaili się. Hjelm miał dosyć dobry kontakt z Cillą i rodziną w Szwecji; z początku, kiedy jeszcze nie wiedział, co może wydarzyć się między nim a Kerstrn, nie dzwonił, coś go powstrzymywało, ale w miarę jak stawali się coraz lepiej funkcjonującym policyjnym tandemem, niesmak mijał, a jego rozmowy z Cillą coraz bardziej normalniały. Czasem po prostu za nią tęsknił - gdy pozwalał na to czas.

- Jasne - odparła Kerstin, przeżuując pieczony filec z dorsza.

- Cały czas coś pomijamy. Im więcej znajdujemy, tym więcej pomijamy.

Wypiła łyk wina. Czy zbliżyli się do siebie tak bardzo, że przestała mu się wydawać piękna? Przyglądał się jej szyi, gdy przełykała wino. Nie, to nie tak. Być może pożądanie znalazło inną drogę, której nie było wcześniej na jego mapie. Wszedł na teren dziewiczy - i przeklinał dosłowność języka.

- Wciąż mam wrażenie, że mamy już wszystko.

- W takim razie co tutaj robimy?

- Szukamy impulsu. Elektrycznej iskry, która połączy wszystko.

- Romantycy - powiedziała i uśmiechnęła się. Czy widział ten uśmiech tak często, że przestał go zachwycać? Ta myśl go rozbawiła.

Przestali liczyć dni. Siedzieli jak dwie ryby w akwarium. Ktoregoś wczesnego ranka w drzwiach pojawił się Larner. Zdyszany, z bronią w kaburze pod pachą.

- Znudziło wam się? - zawołał wesoło.

Czworo zmęczonych oczu spojrzało na niego ze sceptycyzmem.

- Co powiecie na prawdziwą policyjną robotę? Zagraniczni obserwatorzy w czasie nalotu na melinę narkotykową?

Wymienili szybko spojrzenia. Właśnie tego im było trzeba.

- Okej - rzucił Larner, gdy biegli korytarzem za Jerryem Schonbauerem, pod którym podłoga trzęsła się tak, że mieli wrażenie, jakby obszar sejsmiczny przeniósł się z zachodniego wybrzeża

na wschodnie. - Przerzucili nas do ATF, trochę nie wiedzą, co z nami zrobić, po tym jak K przeniósł się do was. Reszta stanowych seryjnych morderców trafiła w inne ręce. To wytwórnia cracku w Harlemie. Okazja, żeby spojrzeć amerykańskiej rzeczywistości prosto w oczy. Za mną.

Byli już na zewnątrz. Prowadzili ich potężni czarni Amerykanie. Wskoczyli na miejsce obok Lamera i Schonbauera. Cała czwórka zmieściła się na tylnym siedzeniu. Obaj agenci zarzucili na siebie kurtki ze świecącymi żółtymi literami na plecach: ATF, Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms. Jak procesja pogrzebowa, której ktoś mógł ukraść miejsce pochówku, ich karawan przeciskał się przez ulice Nowego Jorku i zbliżał do północnego Manhattanu, dzielnicy pozbawionych nadziei, dzielnicy złożonych w ofierze, dzielnicy pogrzebanych. Mijali coraz bardziej zniszczone fasady domów, w końcu mieli wrażenie, jakby znaleźli się w zbombardowanym mieście. Tak musiało kiedyś wyglądać Drezno. Twarze w tłumie stopniowo ciemniały, w końcu wszędzie widzieli już same czarne. Była to straszna i zupełnie logiczna zmiana, konsekwentne przejście z białego Downtown do czarnego Harlemu. Nie było co udawać, że jest inaczej.

Samochody zatrzymały się w równym rzędku. W podobnym rzędku eksperci z ATF przebiegli przez spalony ogród, depcząc wszystko, co stało na ich drodze.

- Trzymajcie się z boku - powiedział Larner, dołączając do reszty niszczycieli. Ustawili się w mniej lub bardziej widocznym szeregu wzdłuż chodnika. Wszystkie oczy zwrócone były w stronę tego samego, chwiejącego się budynku, jednego z dwóch, jakie ostały się w okolicy. Otoczyły go już zastępy ATF uzbrojone w broń maszynową. Byli wszędzie, przyciśnięci do zatęchłych ceglanych murów, które zdawały się pękać w tym pustynnym słońcu. Drżał asfalt. Było cicho i pusto. Zamiast czarnych twarzy - czarne kurtki z żółtymi literami. Kilka gołębi poderwało się i zatoczyło parę okrążeń, wznosząc się ku górze, jakby chciały

lecieć do słońca. Jedyna chmura rozplynęła się na ich oczach. Wszyscy byli na swoich miejscach. Wyglądało to jak fotografia, martwa natura. I nagle jakby coś drgnęło, poruszyli się - wszyscy naraz. Wbiegli do budynku, armia postawionych wyżej w hierarchii mrówek, gotowych, by przejąć podupadające mrowisko. W końcu zostali sami na ulicy, zagubiona para zagranicznych obserwatorów, którzy w każdej chwili mogli zostać wciągnięci do bramy, żeby posmakować prawdziwie amerykańskiej rzeczywistości. Z domu dochodziły ich pojedyncze strzały, stłumione, jakby nierzeczywiste, całkiem jak z hollywoodzkich filmów. Kilka salw pistoletów maszynowych, pojedyncze strzały. Słabsza eksplozja. Już po minucie zrobiło się całkiem cicho. W drzwiach pojawiła się czarna postać w czarnej kurtce. Kiwnęła ręką. Potrzebowali dłuższej chwili, żeby zrozumieć, że to do nich i że to Larner. Podeszli do niego.

- Chodźcie - powiedział, machając pistoletem. - To jest rzeczywistość.

W drzwiach weszli w chmurę krystalicznego pyłu mieszającego się ze słońcem. Drapało ich w gardle. Powoli docierało do nich, że to crack, narkotykowa chmura. Na pierwszym piętrze byli tylko ludzie, wielcy czarni mężczyźni leżący na podłodze z rękoma na szyi. Obstawa, rozbrojona. Dwóch z nich nie trzymało rąk na karku; opierali się o ścianę z nienaturalnie wygiętymi nogami i plecami. Z otwartej rany kapały krople lepkiej krwi, ostatnia z nich nie spadła, lecz zatrzymała się i została jakby wessana z powrotem. Weszli na drugie piętro. Kolejne pokoje, kolejne laboratoria, popękane kolby, przewracane butelki, płonące palniki gazowe - i coraz gęstsza chmura. Na stole, pośród kawałków rozbitego szkła, trup; rozstrzelany, postrzępiony, częściowo przykryty białym pyłem, przechodzącym stopniowo w róż. Znowu ludzie na podłodze, ręce na karku. Spokój. Cisza po burzy. Wyższe piętro, już trzecie. Kolejne laboratorium, kolejne urządzenia. Paczki plastikowych torebek z czymś białym w środku, pootwierane, z unoszącym się wszędzie proszkiem, jak mgła

ścieląca się nad stawem. Ręce na karku. Przewieszony przez parapet martwy mężczyzna. Kawał szkła wbity w plecy, jak pletwa rekina. Otworzyli okna. Chmura pyłu pofrunęła nad miasto. Zamroczone gołębie zagruchały głośno. Biały wiatr przeleciał przez dom, wpadł do najpilniej strzeżonego pokoju, porywając zielone banknoty uwolnione przez rozdarte banderolki. Furkotały w powietrzu. Pokój wirował. Brązowa plama rozlała się wokół leżącej pary dzinsów. Byli najgłębiej, w samym środku. Larner uśmiechnął się. Jego uśmiech zdawał się dzielić twarz na pół. Górna połowa uniosła się o jakieś pół metra, po czym opadła na miejsce. Skóra zsunęła się z twarzy, odsłaniając czaszkę, i podskoczyła z powrotem.

Hjelm, zataczając się, podszedł do otwartego okna, wciągnął łąpczywie brudne, ale przynajmniej wolne od pyłu powietrze.

- Przez kilka minut będziecie pod wpływem narkotyków - powiedział Larner. - Ale to minie.

Kerstin usiadła na podłodze przy oknie. Zasłoniła się ramionami. Hjelm wychylił się przez okno, próbując się uspokoić, zatrzymać na czymś wzrok. Wszystko fruwało. Martwa natura poruszyła się. Cisza umarła. Wynoszono ludzi, krzyk i zawrodo. Nie widzieli tego.

Para gołębi sfrunęła z nieba, lądując miękko na położonym niżej dachu sąsiedniego domu. Hjelm zatrzymał na nich wzrok. Siedziały nieruchomo. Stały punkt w wirującym świecie.

- Spróbujcie nie oddychać przez chwilę - powiedział za jego plecami Larner. - Człowiek uczy się na błędach. *Trial by error.*

Ukarał ich, teraz to do niego dotarło, ukarał ich. Hjelm nie spuszczał oczu z gołębi. Odfrunęły kawałek i zaczęły coś dziobać, podfrunęły raz jeszcze, wciąż miał je w polu widzenia. Podązał wzrokiem za torem ich lotu, ich powtarzalnym ruchom nie można było odmówić finezji. Zbliżywszy się do zionącej pyłem kamienicy, uniosły się pionowo w górę, a potem sfrunęły przez pylistą zawieszinę i usiadły na najwyższym położonym parapecie sąsiedniego domu. Okno zabłysło w słońcu jak złoto. Spojrzał w nie. Zza

brudnej, ale złocącej się szyby wylaniał się obraz. Stali tam, mężczyzna i chłopiec. Zobaczył w zwolnionym tempie, jak ojciec podnosi rękę na syna i uderza go; klasyczne, dziedziczone z pokolenia na pokolenie uderzenie w policzek. Ten sam ruch, kilka razy. Jakby specjalnie dla niego powtarzał się odcinek czasu, domagając się jego uwagi - i nagle zamiast się powtarzać, obrazy zaczęły układać się warstwami, w bajkowej multiprojekcji. Spojrzenie syna po uderzeniu, spojrzenie syna na ojca, bezdenne. Najpierw Laban Hassel, patrzący w górę na ojca, potem Danne, patrzący w górę na ojca, i dzieci Gunnara Nyberga, patrzące w górę na ojca. Na koniec K. Na samym końcu K, który patrzył prosto na K. Zła krew wraca.

- No żeż kurwa! - zawołał na całe gardło.

Kerstin podniosła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Widziała, że zobaczył.

- To jest tutaj! - krzyknął znowu, jakby całkiem oszalał.

Poczuł na sobie wzrok ludzi z ATF. Było mu wszystko jedno.

- O co chodzi? - zawołała Kerstin dziwnym, stłumionym głosem.

- Impuls - powiedział z nagłym spokojem. - Czysty impuls.

Obrócił się nagle i podszedł do Lamera, który przyglądał mu się sceptycznie.

- *I've got him* - rzucił tylko i popatrzył Lamerowi w oczy.

Potem zbiegł szybko po schodach. Larner spojrzał pytająco na Kerstin. Kiwnęła głową. Pobiegli za nim. Stał na ulicy, zdążył już złapać Schonbauera, który właśnie pakował równie krzepkiego wytwórcę narkotyków do jednego z czarnych samochodów. Schonbauer usiadł za kierownicą innego auta, Hjelm wskoczył do środka, za nim Kerstin i Larner. Ruszyli. Paul nie odezwał się nawet słowem. Jego spojrzenie było skoncentrowane i niezmacone.

- Co robimy? - zapytał Larner po kwadransie.

- Popatrzmy na zdjęcie - powiedział Hjelm. Przez resztę drogi do siedziby FBI panowała cisza.

Przeszli przez korytarz. Hjelm wkroczył pierwszy do pokoju Lamera. Chwycił grubą teczkę Wayne'a Jenningsa i przerzucił fotografie. Znalazł okropne zdjęcie z Jenningsem i Wietnamczykiem, ale odłożył je na bok. W końcu znalazł to z Jenningsem z dzieckiem na kolanach.

- Kto to jest? - zapytał.

- Syn Jenningsa - powiedział ze zdziwieniem Larner. - Lamar.

Hjelm położył zdjęcie na biurku i przyłożył do niego palec. Jennings wyglądał jak kowboj minus kapelusz kowbojski: dzinsy, flanelowa koszula w czerwono-biało-niebieską kratę, brązowe, brudne od piasku kowbojki z wężowej skóry. Położył dłoń na głowie syna, ale się nie uśmiechał. Jego twarz była całkowicie pozbawiona emocji, a lodowate niebieskie spojrzenie celowało prosto w obiektyw. Można było niemal odnieść wrażenie, że przyciskał głowę syna, jakby starał się go przytrzymać. Spojrzenie syna było inne. Miał może dziesięć lat, takie same blond włosy i niebieskie oczy, ale jego oczy nie patrzyły. Gdy się im bliżej przyjrzało, można było dostrzec w nim absolutną nieobecność, jak gdyby została z niego już tylko skorupka.

- To jest K - powiedział Hjelm. - I to też.

Wyszedł wreszcie ze swojego maniakalnego stanu, zrzucił teatralny kostium i znów był policjantem. Odchrząknął i spytał:

- Co stało się z rodziną Jenningsa po jego śmierci?

- Mieszkali tam jeszcze jakiś rok. Potem żona popełniła samobójstwo. Chłopak trafił do domu dziecka, a potem do rodziny zastępczej.

- W jakim był wieku?

- Miał jakieś jedenaście lat, gdy zmarł Jennings.

- Musiał to widzieć.

- O czym ty mówisz?

Hjelm przeczesał kilkakrotnie włosy dłonią, zbierając się, by odpowiedzieć.

- Musiał to widzieć. Musiał widzieć ojca w akcji.

Wziął głęboki oddech i mówił dalej:

- To by tłumaczyło, dlaczego pierwsza seria różni się od drugiej, jak również to, dlaczego udał się do Szwecji. Pierwsza seria to dzieło Wayne'a Jenningsa, dokładnie tak jak myślałeś przez cały ten czas, Ray. To są egzekucje, robota profesjonalisty, dlaczego - jeszcze do tego wrócimy. Ale druga seria to dzieło poważnie poharatanego psychicznie człowieka. Dzieło syna. Musiał przez przypadek zobaczyć ojca w trakcie tortur, gdy miał dziewięć, dziesięć lat. To go zniszczyło, był bez szans. Musimy przyjąć, że był to tylko punkt kulminacyjny piekielnego dzieciństwa z biciem, lodem w sercu i tak dalej. Gdy ojciec umiera, przejmuje jego szczypce, widział, jak używa ich do swoich koszmarnych celów, i każdy, nawet najmniejszy ruch wyrył się w jego pamięci. To jego talizman, chociaż nie wie, co z nimi zrobić, nie jest mordercą, jest zamordowanym. Mija jakiś rok i coś się wydarza. Obstawiam, że w ten czy inny sposób dowiaduje się, że ojciec żyje. Jestem przekonany, że Wayne Jennings żyje, że udało mu się sfingować wypadek, co wymagało pewnych środków, nie ma jednak wątpliwości, że takie posiadał. Schodzi do podziemia i morduje jeszcze dwa razy, moim zdaniem głównie po to, żeby cię ukarać, Ray. Za twój upór i żeby, że tak powiem, pośmiertnie udowodnić swoją niewinność. Po morderstwach numer siedemnaście i osiemnaście trafiasz przed sąd. Wtedy Jennings opuszcza kraj. Fala zabójstw ustaje. Tak zwana wdowa po Jenningsie odbiera sobie życie; albo już wie, że mąż jest mordercą z Kentucky, wiedziała to przez cały czas i już nie może tego w sobie nosić, albo dowiaduje się dopiero teraz i w akcie desperacji popełnia samobójstwo. Gdy syn już jako dorosły dowiaduje się, że ojciec żyje, dochodzi do niego, że również śmierć matki jest dziełem ojca, poza tym wreszcie znajduje kogoś, kto jest bezpośrednio winien jego własnego cierpienia. Jest już zniszczony, poza wszelką nadzieją, teraz on też staje się mordercą. Jego czyn jest czynem szaleńca, odreagowuje albo morduje dla przyjemności, tego nie wiemy, ale też ćwiczy, szykuje się do tego jednego zabójstwa, tego właściwego: ojcobójstwa. Jakimś sposobem dowiaduje się, że

ojciec przebywa za granicą - w Szwecji - i postanawia go odnaleźć. Zna dobry adres w Szwecji, położoną na odludziu chatę na północ od Sztokholmu. Udaje się tam ze sfalszowanym paszportem i przygotowuje się. Co dzieje się potem, nie wiemy - w każdym razie w Szwecji mamy nie jednego, ale dwóch morderców z Kentucky. Lamer osunął się w krzesło, zamknął oczy i zamyślił się.

- Doskonale go pamiętam - zaczął powoli. - Wydawał się obłąkany, co do tego masz zupełną rację. Siedział zawsze u mamy na kolanach, nie odzywał się ani słowem, wydawał się niemal autystyczny. To by sporo tłumaczyło. Co ty sądzisz, Jeny?

Schonbauer siedział na biurku, wymachując nogami; najwyraźniej najlepiej mu się myślało w tej pozycji. Siedział tak jeszcze przez chwilę bez słowa, stół skrzypiał pod nim złowieszczo.

- *It's a long shot* - odparł. - Ale warto spróbować.

- To może być całkiem łatwe - powiedziała Kerstin. - Masz książkę telefoniczną?

Larner zaśmiał się pod nosem i rzucił opasłą książkę telefoniczną na biurko. Kerstin przekartkowała ją nerwowo. Potem bez pardonu wyrwała jedną stronę.

- W Nowym Jorku jest tylko jeden jedyny Lamar Jennings. W Cjueens.

- *Lefs go* - rzucił Larner.

W drodze do samochodu zatrzymali się tylko raz. Larner zaprowadził ich do pomieszczenia z poczwórnymi zamkami i potrójnymi kodami. Z ogromnej metalowej szafy wyjął dwie kabury z bronią i rzucił je Szwedom.

- Stan wyjątkowy - powiedział i wyszedł z pokoju. Zapięli szelki kabur, czekała ich podróż do jądra ciemności. Pobiegli za nim.

Był to niczym niewyróżniający się dom czynszowy w niekończącym się rzędzie identycznych domów, w przypominającej fort



dzielnicy na przecznicy ogromnego Northern Boulevard w Queens. Biednie, ale nie ruiny. Slums, ale nie getto. Klatka schodowa była zgodnie z prawami gatunku ciemna i zaniedbana. Na schodach wałały się śmieci, chyba od dawna nikt tu nie sprzątał.

Weszli na górę. Z każdym piętrem było coraz ciemniej, coraz goręcej. Klatka schodowa, skąpana w nieruchomym gorącu, suchym od kurzu. Czuli, jak spływa po nich pot.

Na koniec stanęli przed jednymi z wielu drzwi na długim korytarzu. Widniała na nich niepozorna wizytówka z nazwiskiem Jenningsa.

Wyciągnęli broń, wszyscy naraz. Mieli napięte szczęki, urywany oddech. Obawiali się bardziej o swoje dusze niż o swoje ciała. Byli w drodze do jaskini lwa. Jak poważnie wypaczony był człowiek, którego mieli tam spotkać?

Schonbauer nacisnął dzwonek. Żadnej reakcji, najmniejszego ruchu. Położył ostrożnie dłoń na klamce. Zamknięte. Spojrzał na Lamera, w odpowiedzi otrzymał kiwnięcie głową. Kopnął z całej siły w drzwi. Wystarczyło raz. Wpadł do środka, osłaniając resztę jak olbrzymia tarcza.

W mieszkaniu nie było nikogo. Słabe światło, które wtargnęło za nimi przez wyważone drzwi, było pierwszym, które zagościło tu od bardzo dawna. Powoli odsłaniało panującą w pokoju pustkę. Był nagi, gładki, wilgotny. Powietrze stało w miejscu, gorące. Cząsteczki kurzu wirowały wybudzone ze snu, zataczając piruety. Nie zobaczyli ludzkich skór rozpiętych na ścianach, zgniłych głów nabitych na pale czy diabelskich insygniów. Była to tylko zimna kawalerka z biurkiem i łóżkiem. Pusta wnęka kuchenna i pusta toaleta. Opuszczona czarna roleta na jednym jedynym oknie.

Larner podciągnął ją do góry. Słońce wpuściło swoje niefiltrowane promienie, odsłaniając bezwstydnie nieliczne znaki życia, amerykańską schedę po Lamarze Jenningsie.

Hjelm podszedł do biurka i spojrział na jedyną rzecz, jaką znalazł na zimnym blacie: kopczyk popiołu ze skrawkami spalonego

papieru, który wżarł się w drewno. Prawdopodobnie zrobił to chwilę przed wyjściem; może myślał, że w ten sposób uda mu się spalić mieszkanie. Pożar na pożegnanie. Hjelm wyciągnął rękę.

- Niczego nie ruszaj - uprzedził go Larner, wyjął parę gumowych rękawiczek z kieszeni i naciągnął je na ręce. - Jesteście wciąż tylko obserwatorami. Jerry, sprawdzisz sąsiadów?

Schonbauer wyszedł z mieszkania. Larner przyglądał się górcie popiołu.

- Chciał wywołać pożar? - zapytał Hjelm.

- Nie wydaje mi się - odparł Larner, dotykając resztek papieru. - Coś dla naszych techników. Nie wolno niczego ruszyć nawet o mikrometr.

Wyjął komórkę z kieszeni marynarki i wybrał numer.

- Technicy kryminalistyczni, jednostka wyborowa - powiedziało krótko. - 147 Harper Street, Queens, ósme piętro. Szybko.

Rozłączył się i włożył z powrotem telefon do marynarki.

- Przejdź na drugą stronę biurka, ostrożnie. Każdy najmniejszy podmuch może pozbawić nas ważnego słowa.

Hjelm odsunął się powoli na bok. Larner wyciągnął górną szufladę. Znajdowała się w niej tylko jedna rzecz. Więcej nie potrzebowali. Policjant zaśmiał się cicho i pokręcił głową. To było jak kpina. Zobaczyli portret młodego uśmiechniętego Wayne'a Jenningsa. W jego gardle tkwiła pinezka przytwierdzająca zdjęcie do dna szuflady jak zasuszonego motyla.

- Wiadomość dla mnie - powiedział ze spokojem Larner.

- Dwadzieścia lat - dodał. - Jak ty to, kurwa, zrobiłeś? Widziałem, jak płoniesz. Widziałem twoje zęby.

Wyciągnął kolejną szufladę. Leżało w niej kilka kartek podartych na małe, centymetrowe kawałki. Na jednym z nich widniała data.

- Dziennik? - zapytał Hjelm.

- Wystarczająco dużo nam zostawił - odrzekł Larner. - Wystarczająco, byśmy mieli cień pojęcia o piekle, przez które przeszedł. Ale nic więcej.

Potem nie było już nic, nic więcej.

Jeny Schonbauer wszedł z drobną, niemal przezroczystą starszą panią, która sięgała mu najwyżej biodra. Zatrzymali się w przedsionku.

- Tak? - zapytał Larner.

- To jedyna sąsiadka, którą udało mi się znaleźć i która w ogóle wiedziała, że ktoś tu mieszkał - powiedział Schonbauer. - Pani Wilma Stewart.

- Pani Stewart, co może nam pani opowiedzieć? - Larner podszedł i przywitał się ze starszą panią. Rozejrzała się po pokoju.

- Właśnie taki był - odrzekła. - Bez wyrazu, anonimowy. Nie chciał, żeby go widziano. Niechętnie się witał. Zaprosiłam go kiedyś na filiżankę herbaty. Odmówił, ani grzecznie, ani niegrzecznie, powiedział tylko „nie, dziękuję”, i odszedł.

Larner skrzywił się.

- Co on takiego zrobił? - zapytała pani Stewart.

- Czy mogłaby nam pani pomóc w stworzeniu portretu pamięciowego? - poprosił Larner. - Bylibyśmy bardzo wdzięczni.

- Mógł mnie zamordować - powiedziała ze spokojem i zrozumieniem.

Larner uśmiechnął się na pożegnanie, a Schonbauer odprowadził ją do samochodu. W korytarzu ta niedobrana para minęła skromny zastęp techników. Jeden z nich podszedł w drzwiach do Lamera.

- Przejmujemy to - rzucił.

Larner kiwnął ręką na Szwedów.

- Zaczekajcie - powiedział, kiedy zaczęli schodzić po schodach z ósmego piętra. - I tak wykonaliśmy większość roboty.

Kilka pięter niżej odwrócił się do nich i stwierdził:

- Siedlisko diabła nigdy nie wygląda tak, jak się tego człowiek spodziewał.

»

GDY złączyły się dwie nawet niezbyt mądre głowy, zawsze rodziło się coś nowego. Viggo Norlander pracował nad Johnem Doe, a Gunnar Nyberg nad LinkCoop. W którymś momencie ich z trudem rodzące się myśli spotkały się, a świat nabrał nowego kształtu.

Początkowo Norlander dreptał w miejscu. Nie miał zbyt wiele do dyspozycji. Czytał wciąż od nowa protokół z obdukcji. Naprzeciw niego siedział znacznie bardziej rozgorączkowany Arto Söderstedt, który zażyczył sobie białej tablicy i bawił się w Hultina.

- Czym ty się, kurwa, zajmujesz? - zirytował się Norlander.

- Mażonkami Lindberger - odpowiedział Söderstedt, nie przerywając rysowania.

- I do tego potrzeba białej tablicy?

- Potrzeba, nie potrzeba... Zostawił po sobie mnóstwo notatek, które trzeba jakoś ułożyć. Ona zresztą też...

- Ona? Zwędziłeś jej notatki?

Arto Söderstedt spojrział znad tablicy z pogardliwym uśmiechem.

- Nie zwędziłem, Viggo. Policjant nie kradnie. Podobnie jak policjant nie molestuje kontrolerek paszportów i nie przewraca małych dziewczynek.

- Pajac.

- Policjant nie kradnie, policjant kopiuje. Zabrał się za uzupełnianie swoich czworokątów.

- Jakby to była jakaś różnica - obruszył się Norlander.

Söderstedt przerwał i znów spojrział znad tablicy.

- To dużo lepsze. Również dlatego, że będę mógł porównać to z tym, co ona zdecyduje się ujawnić. To zasadnicza różnica. Gdy tylko skończę, poproszę ją, żeby pokazała mi swój kalendarz, i sprawdzę, co z niego usunęła. *Comprende?*

- Człowieku, ta kobieta jest w żałobie. Zostaw ją w spokoju.

Sóderstedt odłożył pisak i spowaźniał.

- Coś mi tu podejrzanie pachnie - powiedział. - Mają około trzydziestki i mieszkają w wielkim apartamencie na Óstermalm. Jedenaście pokoi, dwie kuchnie. Oboje pracują w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i wyjeżdżają na pół roku. Do Arabii Saudyjskiej. Jeśli prowadzili jakieś podejrzone interesy w świecie arabskim i ma to coś wspólnego ze śmiercią Erica, to bardzo prawdopodobne, że ona będzie kolejną ofiarą. Nie zamierzam jej dręczyć, Viggo. Próbuję ją chronić.

Norlander skrzywił się.

- W takim razie każ jej pilnować.

- Na razie nie mam wystarczających dowodów. Muszę sobie wszystko poukładać. Jeśli to w ogóle możliwe w tych warunkach.

Norlander rozłożył ramiona.

- Tak mi cię, kurwa, żal - powiedział. Próbował wrócić do protokołu z obdukcji. Nie szło mu najlepiej. Wciąż rozmyślał o synu, który dopiero był w drodze na ten świat. Spojrzał przez okno.

Było późne popołudnie, niedługo mieli iść do domu. Na zewnątrz panowała gęsta ciemność, strugi deszczu zalewały Sztokholm. Pomyślał o powodzi w Polsce, o tym, jakie to spowoduje zanieczyszczenie Bałtyku. Ile potrzeba, żeby wylało jezioro Malaren?

Drzwi się otworzyły i do środka zajrzał Chavez.

- Cześć białym mężczyznom w średnim wieku - powiedział zadowolony. - Jak leci?

- Cześć, śniady młodzieńcze - odrzekł Sóderstedt. - A tobie?

- Do luftu. Właśnie wróciłem z Hall, gdzie dla odmiany wachałem stare kalesony Andreasa Gallana. Co robicie?

- Próbuję uporządkować sprawę Johna Doe - westchnął Norlander. - Jeśli to w ogóle możliwe w tych warunkach.

- Okej, okej - powiedział Chavez, zatraskując za sobą drzwi. Ruszył dalej korytarzem, doszedł do drzwi Hultina, zapukał, otrzymał w odpowiedzi trudne do zinterpretowania mruknięcie i wszedł do środka. Hultin przesunął sobie okulary na czoło i spojrzał na niego chłodno.

- Jakież wieści ze Stanów? - zapytał Chavez.

- Jeszcze nie - odparł Hultin. - Dajmy im czas. Jak ci idzie?

- Właśnie wróciłem z Hall. Żaden ze współwięźniów nie miał nic sensownego do powiedzenia, żaden nie wiedział, czy Gallano miał jakieś kontakty w Stanach. Nowy syndykat narkotykowy, do którego podobno należał, pozostaje w ukryciu. Mam tu listę rzeczy, które zostawił w celi: kalesony, kilka listów z ponagleniem z różnych urzędów, golarka i tym podobne. Jedno wielkie nic. Byłem też w tej chacie w Riali i rozmawiałem z technikami. Chyba się już poddali, są na maksa sfrustrowani tym, że nie znaleźli ani jednego śladu. Z wyjątkiem rzeczy w lodówce, mam nawet listę: masło, kilka opakowań chrupkiego pieczywa, hamburger, serek Philadelphia, miód, pietruszka, woda mineralna, banany.

Hultin westchnął i zdjął okulary.

- A samochody?

- To zajmie trochę czasu. Gdy zaczynaliśmy, było ich sześćdziesiąt osiem w rejonie sztokholmskim. Dzięki policyjnej piechocie udało się wyeliminować czterdzieści dwa, większość z nich została już sprawdzona. Sam sprawdziłem osiem granatowych dziesięcioletnich volvo kombi z numerem rejestracyjnym zaczynającym się na literę B, były czyste. Dwa, których wciąż brakuje, są dosyć interesujące, jeden należy do nieistniejącej firmy, zarejestrowanej na adres, którego nie ma, drugi do recydywisty Stefana Helgę Larssona. Pozostałych dwudziestu czterech nie zdążyliśmy sprawdzić, bo musiałem jechać do Norrkóping.

Hultin patrzył na niego ze spokojem.

- Wyjść.  
- Zrozumiano - powiedział Chavez i wypadł na korytarz. Dobiegł do drzwi białych panów w średnim wieku. Nie mógł się powstrzymać. Otworzył drzwi i krzyknął:

- Bu!

Sóderstedt zrobił grubą kreskę w poprzek białej tablicy. Norlander podskoczył pół metra. Rzucił protokołem z obdukcji w zamknięte pospiesznie drzwi.

- Błazen - wymamrotał Norlander, schylając się po kartkę. Sóderstedt zaśmiał się pod nosem, wycierając starannie tablicę.

Norlander postanowił dać protokołowi ostatnią szansę. Cztery strzały w serce, każdy z nich śmiertelny. Żadnych kul, kaliber prawdopodobnie dziewięć milimetrów. Poza tym w dobrej kondycji. Trochę starych blizn, prawdopodobnie rany od żyłki na przegubach ręki, co najmniej dziesięcioletnie, seria jeszcze starszych okrągłych blizn na całym ciele. Papieros? - napisał Kvar Fort swoim rozstrzelonym piśmem starszego mężczyzny. Czy tego starego dziada całkiem ominęła komputeryzacja? Na jakiej planecie żył?

Ubrania. Niebieski T-shirt bez nadruku. Beżowa wiatrówka. Dżinsy. Adidasy. Białe, brudne skarpetki. Bokserki. Zupełnie anonimowe.

Przeszedł do rzeczy zmarłego. Po raz kolejny wysypał zawartość niewielkiej plastikowej torebki na stół, najwyraźniej o jeden raz za dużo. Sóderstedt spojrział na niego wymownie.

Podróbka rolexa, rolka dziesięciokoronówek, klucz. Wyglądał na nowy. Obracał go w palcach. Dostyc spory klucz do drzwi. Pewnie do jakiegoś masywnego zamka, najprawdopodobniej patentowego; więcej nie potrafił na ten temat powiedzieć. Widniały na nim napisy „CEA” i „Made in Italy”. Spotyka się je często na dorabianych kluczach. Ale czy w tego rodzaju punktach można legalnie dorabiać klucze patentowe?

Gdzieś z tyłu głowy podskoczyła rozpalona komórka mózgowa. Czy nie natknął się na to przy jakiejś okazji, zupełnie

przypadkiem, czy nie mignęło mu w kąciuku oka? W czasie jednej z tych durnych robót? Jasne, no żeż kurwa, dokładnie na początku sprawy zajmował się zgłoszeniami „przestępstw popełnionych przez obywateli amerykańskich w Szwecji”. Amerykanin, który obnażył się i dostał lanie od damskiej drużyny piłki nożnej, Amerykanin, który kopiował banknoty tysiącronowe na kolorowym ksero - i Amerykanin, który dorobił patentowy klucz w ulicznym punkcie. Czy to mogło być to, o czym myślał?

Rzucił się do komputera. Söderstedt spojrzał na niego ze zdziwieniem. Viggo zabrał się do przeszukiwania swojego archiwum, poczuł się jak haker. Znalazł sprawę przekierowaną do sekcji do spraw oszustw policji sztokholmskiej. Dlaczego akurat sekcja do spraw oszustw? Po trudzie wystarczająco długim, by zabić w nim ambicję zostania hakerem, trafił na mikroskopijnej wielkości dokument sporządzony przez służby porządkowe. Jest. Czwartego września. Punkt naprawy butów na Rindögatan na Gardet. Właściciel Christo Kavafis dorobił nielegalnie klucz z oryginału odcisniętego w modelinie, dopadły go wyrzuty sumienia, a potem był na tyle głupi, że zgłosił to na policję. Został zatrzymany, ale sprawa została zamknięta ze względu na inne priorytety.

Norlander nie miał jeszcze całości obrazu, ale nie było na co czekać. Złapał skórzaną kurtkę i wybiegł na korytarz. Gdy mijał drzwi Gunnara Nyberga, kolejna narowista komórka mózgowa ruszyła w szalony tan z tyłu jego głowy. Zatrzymał się. Jak się nazywała ta firma? I klucz? Czy to się czasem ze sobą nie łączyło? Podszedł do drzwi i dostał nimi prosto w twarz.

Wyjrzał zza nich Nyberg. Patrzył ze zdziwieniem na kucającego i klnącego Norlandera.

- Chyba na coś trafiłem - powiedział Nyberg, być może nie zdając sobie sprawy z dwuznaczności swoich słów. - Czy John Doe nie miał przypadkiem przy sobie klucza? Zastanawiam się, czy nie powinniśmy pojechać do magazynów LinkCoop. W tym włamaniu jest coś tajemniczego.



Norlander w mgnieniu oka zapomniał o bólu. Zbliżył klucz do twarzy Nyberga, jakby próbował go zahipnotyzować. Nyberg dał się zahipnotyzować.

- Prowadzę - oświadczył Norlander.

Nyberg ruszył za nim. Gdy obaj postawni panowie przebiegli truchtem przez korytarze, na lokalnym sejsmografie pojawił się nieoczekiwany zapis wstrząsu.

Wyjechali z garażu służbowym autem Norlander a, które miał już od czterech lat, i skierowali się w stronę Frihamnen.

Taki mieli w każdym razie zamiar. Ale utknęli w korkach już na Scheelegatan. Były akurat godziny szczytu, jakby z każdym dniem gorsze. Czy galopujące bezrobocie nie powinno było przerzedzić zastępów interesantów mających coś do załatwienia w mieście o godzinie wpół do szóstej, która wybiła, gdy się poddali?

- Zatrzymajmy się coś zjeść - zaproponował Nyberg.

- A ty się czasem nie odchudzałeś? - zdziwił się Norlander.

- Bardzo zasadny czas przeszły - odparł Nyberg. Norlander zaparkował, łamiąc wszystkie przepisy, na Kungsbrolan. Przebiegli przez kaskady deszczu do najbliższego lokalu. Nazywał się Pies Andaluzijski i był tak przytulny, że niemal zapomnieli, dlaczego im się tak spieszyło. Norlander wlał w siebie jakąś meksykańską breję. Nyberg połknął cztery pieczone ziemniaki z pastą z krewetek.

- Mógłbyś czasem zmienić repertuar - westchnął Norlander.

- To dietetyczne - powiedział Nyberg z połową czwartego ziemniaka w ustach.

O wpół do siódmej byli najedzeni, a korki jakby trochę zelzały.

- Kurwa, teraz ma już pewnie zamknięte - krzyknął Norlander, zrywając się z miejsca.

- Kto? - spytał Nyberg.

- Ślusarz. Na Rindögatan.

- Podjedziemy i sprawdzimy. To i tak po drodze.

Podjechali i sprawdzili. Kungsgatan do Stureplan, Sturegatan do Valhallavagen, Erik Dahlbergsgatan do Rindögatan.

- Lepiej było jechać Lidingóvagen - powiedział Nyberg.
- Odpieprz się - odparł Norlander. - Ale przydałyby się parasole.

Zrobiło się zupełnie ciemno, jak w środku nocy, chociaż była dopiero za piętnaście siódma. Nieco w górę Rindógatan znajdował się punkt szybkiej naprawy butów. W niewielkim zakładzie wciąż paliło się słabe światło. Wybiegli na ulewę i zadudnili w szybę, za którą leżały stare obcasy i klucze z lat sześćdziesiątych, zbierając kurz. Niski Grek około sześćdziesiątki wyjrzał przezornie przez szybę. Patrzył przerażony na ociekających deszczem nordyckich gigantów, którzy walili w jego okno. Cyklopi, pomyślał.

- Policja - pokazał na migi Norlander, wyjmując legitymację.
- Możemy na chwilę?

Grek otworzył drzwi, wykonał nieznaczny gest i wpuścił do środka policyjnych olbrzymów. Na starym stole roboczym leżała otwarta książka oświetlona małą lampką szewską. Mężczyzna podszedł do stołu i podniósł książkę. Była po grecku.

- Znacie Konstandinosa Kavafisa?
- Patrzyli na niego w osłupieniu.
- Jeszcze nigdy współczesna greka nie brzmiała tak pięknie
  - powiedział, gładząc okładkę. - Wyniósł nas na poziom antycznych Greków. Zawsze siedzę przez chwilę po zamknięciu zakładu i czytam. Wiersz dziennie to najlepszy lek na demencję. Był wujem mojego pradiada.

- Christo Kavafis? - uciął Norlander.
- Zgadza się. Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt?
- Kilka tygodni temu dorobiłeś klucz, posługując się odciskiem w modelinie, tak?

Kavafis zbladł.

- Myślałem, że jestem czysty - powiedział i poczuł na karku oddech przemocy.

Pewnie pomyślał sobie: moje imię to Nikt.

- Tak, jesteś czysty, nie bój się. Opowiedz.

- Już opowiadałem.  
- Jeszcze raz.  
- Młody mężczyzna mówiący po angielsku z amerykańskim akcentem przyszedł do mnie i poprosił, żebym dorobił klucz, posługując się odciskiem w modelinie. Wiedziałem, że to nielegalne, ale to było prawdziwe wyzwanie; w pracy nie mam ich zbyt dużo, więc nie potrafiłem sobie odmówić takiej przyjemności. Potem tego pożałowałem i zadzwoniłem na policję, przyjechali i mnie aresztowali. Siedziałem przez noc w więzieniu. Nie bałem się tak od czasu wojny domowej. Wróciły wszystkie wspomnienia.

- Jak on wyglądał? Ten Amerykanin?

Kavafis potrząsnął głową.

- To było dawno temu. Normalny. Zwykły. Młody. Dosyć jasne włosy.

- A ubranie?

- Nie pamiętam. Szara kurtka, tak mi się wydaje. Adidasy. Nie wiem.

Norlander wyjął klucz i zbliżył go do twarzy Kavafisa. Ten nie dał się zahipnotyzować.

- Czy to ten klucz?

Kavafis wziął klucz do ręki, obrócił go w palcach.

- Możliwe. Podobny.

- Czy możesz przyjść do nas jutro i pomóc w sporządzeniu jego portretu? To bardzo ważne.

Kavafis skinął głową. Norlander wyjął pobrudzoną wizytówkę z portfela i podał Grekowi. Pożegnali się. Mężczyzna wydawał się zamyślony.

- Zastanawiam się - powiedział - co jeszcze pamiętam. Płacił dziesięciokoronówkami. Z długiej rolki.

Nyberg i Norlander wymienili spojrzenia. Dobrze trafili. John Doe był Amerykaninem. Zrobił odcisk zamka patentowego w modelinie. Udał się do punktu na Gardet, żeby dorobić klucz. Potem został trafiony w serce. Dlaczego? Gdzie? W tej chwili nie

potrafiliby jeszcze połączyć wszystkich wątków, ale musieli jechać do Frihamnen, tyle wiedzieli na pewno.

Było już prawie wpół do ósmej, gdy dotarli do budki strażnika przed magazynami LinkCoop. Niebo było czarne jak asfalt, jego bramy stały szeroko otwarte. Nie mieli parasoli, mieli za to co najmniej trzydzieści czworo drzwi do sprawdzenia. Mimo to ruszyli naprzód bez wahania.

W budce strażnika siedział jakiś inny ochroniarz. Nyberg podszedł do niego, wymachując legitymacją policyjną.

- Musimy zajrzeć do waszych magazynów w związku z włamaniem - powiedział przez uchylone okienko. - Benny nie pracuje?

- Ma urlop - odparł ochroniarz.

- Od jak dawna?

- Kilka dni. Od włamania.

- Dziwny czas na urlop - stwierdził Nyberg i poczuł ukłucie podejrzliwości.

- Wiem - odpowiedział ochroniarz. Do złudzenia przypominał Benny'ego Lundberga. Myśl o sterydach wyparła zapach ozonu w powietrzu. - Miał urlop w sierpniu, więc to trochę dziwne. Wyjechał. Za granicę, tak mi się wydaje. Chyba na Kanary.

Nyberg kiwnął głową. Nadbiegł Norlander, który zdążył już zaparkować samochód za rogiem. Weszli na teren i ruszyli prosto do drzwi pomieszczenia, do którego się włamano. Były zabite grubymi deskami. Nyberg podciągnął się i wskoczył na rampę. Włożył klucz. Pasował. Ale zamek ani drgnął.

- W każdym razie to ten sam typ - powiedział. - Zacznijmy od lewej.

Ruszyli rampą wzdłuż ciągu drzwi na drugi koniec wielkiej hali magazynowej. Na lewo od wejścia było mniej więcej tyle samo drzwi co na prawo. Na tyłach budynku powinno być jeszcze kilka. Szef ochrony Mayer wspominał o trzydziestu czterech pomieszczeniach; po sprawdzeniu dziesięciu z nich wydawało im się, że skontrolowali ich znacznie więcej. Byli przemoknięci

do suchej nitki. Nawałnice wespół ze szkwałami. Dwa zapalenia płuc unosiły się w powietrzu, szukając swoich prawowitych właścicieli.

Klucz pasował do wszystkich drzwi, ale żadnych nie otwierał. Wzięli się za sprawdzanie drugiej połowy. Ogarniało ich coraz większe poczucie beznadziei. Robota głupiego. W dodatku sami się do niej zgłosili. Nadgodziny, z których pewnie nawet nie będą mieli odwagi się rozliczyć. Przecież równie dobrze mogli z tym zaczekać do jutra?

Zbliżali się do końca rzędu. Gdy dotarli do ostatnich drzwi, byli już zupełnie zrezygnowani.

- Jak myślisz? - powiedział Nyberg, trzymając klucz kilka centymetrów od zamka.

- Nie ma drzwi na tyłach budynku?

- Zobaczymy. - Nyberg włożył klucz. Obrócił. Cha, cha, zaśmiał się i uchylił drzwi na kilka centymetrów.

Potem dostał nimi w twarz. Wystrzeliły kopnięte od środka z olbrzymią siłą. Przewrócił się. Ubrana na czarno postać w kominiarce przeskoczyła nad nim i rzuciła się do ucieczki wzdłuż rampy. Norlander wyjął broń i ruszył w pościg w ulewnym deszczu. Nyberg podniósł się, przykładając dłoń do twarzy. Zawył. Czuł, jak krew przepływa mu między palcami. Już miał pobiec za nimi, gdy nagle odwrócił się i zajrzał w głąb magazynu.

Na dole zobaczył Benny'ego Lundberga. Ochroniarz siedział przywiązany do krzesła, całkiem nagi. Krew płynęła ze zmiażdżonych opuszków palców. Jego genitalia były przebite igłą. Z gardła wystawały dwie lekko drżące końskie strzykawki.

Gunnar Nyberg zamarł. Ból zniknął natychmiast. Odsunął rękę z twarzy i pozwolił, by krew płynęła z nosa. Zszedł po schodach. Trząsał się. Naga żarówka rzucała trupią poświatę na tę makabryczną scenę.

Benny Lundberg żył. Oczy miał wywrócone, widać było tylko białka. Po twarzy przebiegały spazmatyczne skurcze. Konwulsje

przetaczały się przez jego napompowane ciało. Z ust toczyła się biała piana. Nie wydawał najmniejszego dźwięku.

Gunnar Nyberg zobaczył niemy ból.

Jego wielkie ciało zatrzęsło się. Co mógł zrobić? Nie miał odwagi dotknąć straszliwych szczyptec w gardle Lundberga. Każdy ruch mógł mieć fatalne konsekwencje. Nie miał nawet odwagi poluzować skórzanych rzemieni wokół ramion i nóg. Czym skończyłby się konwulsyjny upadek na podłogę? Jedyne, co mógł zrobić, to wyciągnąć długą igłę z jego członka. Zrobił to.

W końcu udało mu się wydobyć komórkę z kieszeni, skoncentrował się i wybrał numer. Nie rozpoznał głosu, który wzywał pogotowie.

- Musi przyjechać lekarz - powiedział ten głos. - Laryngolog.

Potem pochylił się nad Lundbergiem. Położył dłoń na drżącym policzku. Próbował mówić do niego łagodnym głosem. Objął go. Próbował być bliźnim, najlepiej jak tylko potrafił.

- Tak, tak, Benny, już dobrze. Pomoc jest w drodze. Dasz radę. Trzymaj się, Benny. Tak. Wszystko jest dobrze. Tylko spokojnie.

Skurcze i dreszcze zaczęły ustępować. Benny Lundberg uspokajał się - a może umierał w jego ramionach? Gunnar Nyberg poczuł, że kapią mu łzy.

Norlander biegł za ubranym na czarno człowiekiem. Był w formie, powoli go doganiał. Ale mężczyzna był szybki i zwinny. Zeskoczył z rampy i popędził w stronę stróżówki. Gdy Norlander mijał budkę, wyrzwał z niej ochroniarz.

- Dzwon na policję! - krzyknął policjant w biegu.

Ubrany na czarno mężczyzna rzucił się w przecznicę i na chwilę zniknął mu z pola widzenia.. Potem Norlander zobaczył, jak tamten chowa się za jeden z domów kilkanaście metrów dalej. Nie zastanawiając się zbyt długo, pobiegł tam. Broń dyndała mu w rękę. Mężczyzna w kominiarce wychylił się i strzelił.

Norlander zarył w błoto. Przez chwilę sprawdzał, czy wszystko z nim w porządku, i zaraz zerwał się na równe nogi. Pistolet leżał uwalany w błocie. Próbował go wytrzeć w biegu. Dotarł do rogu budynku i ostrożnie wyrzwał. Było pusto, zaułek. Podbiegł schyłony do następnego rogu i znowu wyrzwał. Pusto. Do następnego. Wyrzwy ostrożnie.

Usłyszał za sobą tylko krok, plaśnięcie. A potem poczuł straszliwy ból w karku. Wpadł prosto w błoto, jak jakieś prosię. Był bliski omdlenia. Spojrzał w górę przez strugi deszczu. Wszystko tańczyło. Nie mógł dojrzeć jego oczu. Widział tylko pistolet z tłumikiem, skierowany pewnie w jego twarz.

- Spadaj - syknął mężczyzna. - Już cię nie ma.

Potem zniknął. Norlander usłyszał start silnika. Podniósł się i wyrzwał za róg. Kręciło mu się w głowie. Świat wirował. Dostrzegł słaby zarys samochodu. Możliwe, że był brązowy, możliwe, że jeep.

Potem upadł i jeszcze bardzo długo leżał w błocie.

#

SŁOŃCE w Nowym Jorku zdawało się równie szalone jak deszcz w Sztokholmie. Czas stanął. Brakowało tylko, żeby urodziły się konie z dwiema głowami i kawki z dziobami wystającymi spod ogona.

Było potwornie gorąco. Nawet supernowoczesna klimatyzacja FBI nie dawała rady. Ene, due, rike, fake też nie działało, stwierdził Hjelm. Był znudzony, miał wrażenie, że zatrzymał się w połowie kroku.

Czekali. Oczekiwanie jest czule na irytację. Wszyscy denerwowali wszystkich. Nawet Jerry Schonbauer dostał ataku i zdarł z siebie mokrą koszulę, tak że posypały się guziki. Gdy jeden z nich wybił soczewkę z lewego oka Kerstin, Jerry na powrót spotulniał. Przeprosino nie było końca.

- Nie wiedziałem, że nosisz soczewki - odezwał się Hjelm po chwili.

- Nosłam - poprawiła go, przyglądając się rozdartej na pół soczewce przyklejonej do kciuka i palca wskazującego. - Teraz będziesz miał okazję zobaczyć mnie w okularach.

Wyjęła soczewkę z prawego oka i wyrzuciła ją. Wyciągnęła klasyczne owalne oprawki i założyła je na swój piękny nos. Żeby nie wybuchnąć rehotem, który mógłby zniszczyć resztki przyjaźni, skoncentrował się na upale.

Nie dało rady. Roześmiał się.

- Zobacz, jaki śmieszny ptaszek - powiedział mało przekonująco, pokazując coś za oknem.

- Miło, że mogę się na coś przydać - zażartowała z przekąsem i nasunęła okulary głębiej na nos.



Byli u młodego specja od komputerów Bernharda Andrews. Przeszukał wszystkie zakamarki sieci w poszukiwaniu Lamara Jenningsa. Liczył, że gdzieś znajdzie jego zdjęcie. Ale jak się tego spodziewali, nie było go nigdzie. Ani jednej wzmianki o Jenningsie; przez dwadzieścia pięć lat trzymał się poza systemem kontroli społeczeństwa. Jedyne, co znaleźli, to jego akt urodzenia. Zupełnie jakby urodził się, a potem zniknął.

Pani Wilma Stewart bezskutecznie próbowała stworzyć portret młodego Jenningsa. Obraz powstawał na ekranie komputera. Pochylili się nad kruchą staruszką. Wciąż tylko kręciła głową. Szersze wargi. Węższe wargi, przecież mówiłam, młody człowieku. Dlaczego nie słuchasz? Szersze wargi, powiedziałam.

Upał doliczył kolejną ofiarę do rachunku. Staruszka przysnęła przed ekranem komputera, ale obiecała, że wróci i spróbuje jeszcze raz.

Technicy kryminalistyczni przekazali pierwszy raport z mieszkania Lamara Jenningsa. Była to próba rekonstrukcji kartek z dziennika. Każde z czwórki natychmiast zabrało się do lektury swojego egzemplarza. Schonbauer siedział na biurku Lamara, wymachując nogami, ubrany w niedbały podkoszulek, który ukazał się po incydencie z koszulą. Larner na swoim krześle z nogami opartymi o biurko, a Jalm & Halm na krzesłach dla gości odsuniętych na odpowiednią odległość od siebie.

Były to luźne, niełączące się ze sobą fragmenty, jak podpunkty do opowieści o życiu. Larner miał rację, mówiąc, że Lamar zostawił tylko tyle, by pokazać głębię swojego bólu. Każdy fragment zawierał wycinek informacji:

„nie wiem, dlaczego piszę, zakłęcie? czy próbuję się powstrzymać, zanim zdążę”

„grób w doskonałości wielkiej pustki”

„sąsiadka zaprosiła mnie na herbatę, powiedziałem nie, dziękuję, gdybym mógł, tobym na nią rzygnął”

„są tacy mali, nie chcą zrozumieć jak”  
„silniejsi i silniejsi. Dlaczego wciąż są silniejsi i si”  
„w środku nocy, cień w garderobie, utknął, niewidoczne za-  
wiasy”  
„zredukowany, mniej niż zero, pod nim też jest życie”  
„mimoходом, żar papierosa, już słyszę skwierczenie, czuję  
swąd, ale bólu nigdy nie przewidzę, tylko”  
„19 września. Jaką siłę mają teraz, nie mogę się opanować”  
„babcia nie żyje. Aha. Przyszła paczka. Same śmieci, poza  
jednym listem. Przeczytam go. Charakter pisma napawa lękiem”  
„ziemia grobowcem, ludzie robakami gnilnymi, ale gdzie jest  
trup? czy to ten martwy bóg, którego ciało przelykamy”  
„schody znikąd donikąd, jak we śnie. Nadchodzą jak błyskawice,  
jak gdyby to poruszało się we mnie, jakby mnie prowadziło do  
celu”  
„pójść tam tak po prostu, powiedzieć, że jestem chory, poprosić  
o pomoc”  
„jeśli obrazy mogą stać się opowieścią”  
„27 lipca. Co takiego sobie wmawiam? Jest tylko jedno wyjście.  
Aztekowie zabijali, żeby żyć. Ofiara ludzka. Ja”  
„idę za cieniem, utknął rękaw płaszcza, drzwi, schody”  
„listleży tamczekamniemogę niepotrafię”  
„Babcia nie żyje. Spróbuję raz jeszcze. Babcia nie żyje. Aha”  
„Światło za drzwiami jak rama ikony, ciemniejsza ciemność,  
muszę wyjść, muszę rzucić zaklęcie”  
„schody prosto w dół, nie mogę iść, tylko błyskawice”  
„piwnica piwnica piwnica”  
„chory S.O.B w klubie, Arkaius, pieprzone imię, chwali się  
chwali chwali, mnóstwo domów na całym świecie, obciążam mu,  
sztywny, potrzebuję adresu teraz, nagroda”  
„otwieram list, czytam, wiedziałem, to niemożliwe, że on”  
„otwieram drzwi, na światło. Chaos, muszę wyjść, muszę”  
„żar papierosa, nasza mała tajemnica, nasze małe piekło”

„dlaczego my, w obliczu tej doskonałości, nawet taki mięczak jest lepiej przystosowany do życia na ziemi, nie potrafi cierpieć”

Czytali, zerkając na siebie. Gdy skończyli, odezwał się Larner:

- Dlatego to się nie składało. Mamy tu klasycznego seryjnego mordercę, typ intelektualisty, potwornie zranionego, bardzo inteligentnego. Nie dało się tego skojarzyć z wcześniejszym chłodem. Powinienem był zrozumieć. Dwudziesty siódmy lipca. Mamy datę. Dwudziesty siódmy lipca 1997 na Manhattanie została zamordowana prostytutka Sally Browne. Pierwsza zbrodnia Lamar Jenningsa. Tu się to zaczyna: „Aztekowie zabijali, żeby żyć”. Widzicie tu coś jeszcze?

- Arkaius - powiedziała Kerstin Holm. - Robert Arkaius to szwedzki uciekinier podatkowy. Jest właścicielem domu, w którym Lamar popełnił pierwsze morderstwo w Szwecji. Prawdopodobnie dostał ten adres jako zapłatę za usługi seksualne. Arkaius nie mógł w każdym razie wrócić do Szwecji. Nie mógł też wiedzieć, że syn jego byłej kochanki, Andreas Gallano, ukrył się tam po ucieczce z więzienia.

Larner skinął w milczeniu głową. Odezwał się Schonbauer:

- Zaczyna mordować po tym, jak otworzył list i dowiedział się, że ojciec jest w Szwecji. Potrzebuje schronienia w Sztokholmie, w podejrzanych klubach szuka więc odpowiednich Szwedów. Zdaje się, że seks nie ma tu nic do rzeczy. Trauma jest jeszcze przed okresu dojrzewania.

- Rekonstrukcja, na jaką możemy sobie pozwolić - powiedział Larner - w dużej mierze pokrywa się z tym, co mówiłeś, Jalm. Chłopak był w dzieciństwie bity przez ojca, to, co widzimy, to przypalenia papierosem, natomiast apogeum przypada rzeczywiście na moment, gdy chłopak schodzi po schodach, otwiera drzwi i widzi ojca, zawodowego mordercę, w akcji. Potem już nic nie jest takie samo. Nadchodzą kolejne ciosy. Ojciec umiera, po roku matka popełnia samobójstwo; powodem może być właśnie ten list, który dociera do niej w niewiadomy sposób i który potem

chowa do kartonu u swojej matki. Gdy ta umiera, list trafia do rąk dwudziestoczwolletniego Lamara mieszkającego w Nowym Jorku - jak można wywnioskować z mieszkania - na granicy ubóstwa. List potwierdza to, czego przez cały czas się domyślał: ojciec żyje. Prześladowca nie umarł, unosi się nad nim i bierze go we władanie. Wracają spychane do podświadomości obrazy z przeszłości, wszystkie one poruszają się w tym samym kierunku: „jak gdyby to poruszało się we mnie, jakby mnie prowadziło do celu”. W końcu obrazy prowadzą go do tych drzwi. Otwiera je i staje twarzą w twarz z najbardziej spychanym do podświadomości obrazem, ojcem, który pochyla się nad toczącą pianę ofiarą z mikroszczypcami wbitymi w szyję. Jedynym sposobem na pozbycie się go jest skorzystanie z praw homeopatii: podobne wytrąca podobne. Ma już szczypce, teraz może ich użyć. Wspomnienie jest bardzo wyraźne, wie, co robić. Gdy tylko wracają obrazy, wychodzi i zabija. To go uspokaja: „jeśli obrazy mogą stać się opowieścią”. Dzięki morderstwom te pojawiające się jak błyskawice obrazy zamieniają się w łatwiejszą do przyswojenia opowieść. Ale tak jak mówiłeś, Jalm, nadrzędnym celem jest przygotowanie się do wielkiego, kluczowego morderstwa, ojciec musi zginąć, i to uśmiercony własnymi metodami, o których wciąż nie może zapomnieć jego syn. Zdobywa wreszcie adres domu w okolicach Sztokholmu; już czas. Z listu najwyraźniej dowiedział się, że ojciec mieszka w Sztokholmie i, co najważniejsze, jak się teraz nazywa. Bez tego nie byłby w stanie zrealizować swego planu. Technicy powinni niedługo skończyć prace nad spalonym listem. Jeśli będziemy mieć szczęście, znajdziemy to nazwisko. No nic, w każdym razie zdobywa fałszywy paszport na nazwisko Edwina Reynoldsa i udaje się na lotnisko Newark. Niestety, w samolocie do Sztokholmu nie ma już wolnych miejsc. Żaden problem, może polecieć później, ale akurat trafia przypadkiem na Larsa-Erika Hassela. Być może obrazy wracają na lotnisku, może pojawia się myśl, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: dostać bilet oraz pozbyć się obrazów i mieć spokojny lot; dla uniknięcia sześciogodzinnego piekła

warto zaryzykować. Hassel zdradza się w jakiś sposób, że podróżuje do Sztokholmu i jeszcze nie przeszedł przez odprawę, wciąż więc można zająć jego miejsce. Zaciąga Hassela z bagażem do pomieszczenia gospodarczego i dokonuje swojego czynu; być może znów używa seksu jako przynęty. Potem zabiera Hasselowi bilet, dzwoni i odwołuje rezerwację na jego nazwisko, rezerwuje bilet na nazwisko Reynolds i może się cieszyć spokojnym lotem. Najprawdopodobniej nie ma bladego pojęcia, jak bliscy jesteśmy zatrzymania go na Arlandzie. Ma ze sobą tylko bagaż podręczny, wsiada więc od razu do taksówki, zatrzymuje się gdzieś po drodze, kupuje trochę jedzenia i jedzie prosto do chaty. Na miejscu jest dealer. Ale Lamar Jennings jest już wprawnym mordercą, wchodzi do środka i zabija dealera. Od czasu do czasu ogląda sobie trupa w piwnicy, co wystarcza, żeby trzymać obrazy na odległość, gdy szuka ojca i planuje, jak by się tu nim zająć w najlepszy możliwy sposób. Wszystko, co dzieje się potem, to już wasza działka.

Nikt nie miał żadnych zastrzeżeń. Tak było. Myśli Hjelma powędrowały jednakże w innym kierunku:

- Czy na farmie Wayne'a Jenningsa była piwnica?

Larner spojrział na niego. Myślał, że będzie mógł odetchnąć po swoim wywodzie. Musiał natychmiast się zrestartować.

- Tak, była tam niewielka piwnica - powiedział. - A raczej przyjemny kącik, pokój z kominkiem, sprawdzaliśmy go kilka razy. To nie tam mordował.

- Kto teraz mieszka w domu na farmie?

- Z tego, co pamiętam, po nagonce w mediach nie dało się go sprzedać. Po śmierci żony stopniowo popadał w ruinę. Stoi opuszczony.

- Jest tu coś o garderobie, o której Larner najwyraźniej chce nam opowiedzieć. Ciężko w garderobie nocą, drzwi, które przytrzasnęły rękaw płaszcza, potem schody. Czy w domu mogła być jeszcze jedna piwnica? Źródło historii mordercy z Kentucky?

Larner zastanowił się przez chwilę. Potem podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Bill, ile wam jeszcze zejdzie na ten list? Okej. Jadę do Kentucky. Jerry zostanie na posterunku.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na nich zaczepnie.

- To co, leciecie ze mną?

Podróż do Louisville w Kentucky minęła jak z bicia strzeł. Na lotnisku czekał już na nich helikopter FBI, zabrał ich na wschód. W oddali zobaczyli wysoki masyw górski.

- To Cumberland Plateau - powiedział Larner, pokazując palcem.

Helikopter wylądował na skraju plantacji tytoniowej, pobiegli z Lamerem i trzema mięśniakami z FBI przez pole i dalej na drogę. Zagajnik wysokich, trudnych do zidentyfikowania drzew liściastych okrywał cieniem zapadłe zabudowania farmy na pustkowiu; w promieniu kilometrów nie było ani jednego sąsiada.

Z bliska farma wyglądała jak miejsce, gdzie straszą duchy. Piętnaście lat zrobiło swoje. Domy czują się najlepiej, gdy ktoś w nich mieszka - inaczej usychają. Farma Wayne'a Jenningsa bez wątpienia uschła. Raczej nigdy dobrze się nie czuła, ale teraz osiągnęła stadium całkowitego rozkładu. Drzwi wejściowe były wypaczone od wiatru, żeby je otworzyć, potrzeba było skumulowanej siły mięśni FBI. Otworzyć to znaczy rozerwać na kawałki.

Weszli do korytarza. Dom był nieszczelny. Wszystko pokrywała cienka warstwa piasku, którego tumany wzbijały się w powietrze przy każdym kroku. Minęli kuchnię, naczynia stały na wierzchu przykryte warstwą piasku, jakby czas zatrzymał się w potoku codzienności. Minęli schody prowadzące do niewielkiej piwnicy; Hjelm spojrzał w dół. Na stole stały trzy puszki z piwem. Piasek okleił ich brzegi, wyglądały jak trzy słupy soli na słonej pustyni. Weszli do pokoju, zobaczyli łóżko. Na ścianach wciąż wisiało kilka odklejających się plakatów, Batman, drużyna piłki nożnej. Na biurku leżała rozłożona książka, *Mary Poppins*. Na poduszce

siedział stary miś pokryty piaskiem. Kerstin podniosła go, na łóżku została jego noga. Zdmuchnęła z niego pył. Wyglądała, jakby miało pęknąć jej serce.

Z pokoju Lamara przeszli do pokoju rodziców; wychodził na rozległą, równą przestrzeń, ciągnącą się aż do Cumberland Plateau. Larner wskazał na podwójne łóżko; w miejscu jednej z poduszek była wielka dziura, puch unosił się wciąż w gryzącym od piasku powietrzu.

- Tutaj pewnego gorącego dnia lata Lamar znalazł swoją matkę - powiedział przez ściśnięte gardło. - Srutowka. Głowa prawie odstrzelona.

Przeszli korytarzem do następnego pokoju, gościnnego, z własnym wejściem przez altanę.

- To musi być tutaj.

Larner podszedł do garderoby i otworzył ją. Połączone siły FBI stały się z arsenałem mniejszych i większych narzędzi. Jeden z mężczyzn przeciągnął mikrofonem po ścianie.

- Tutaj - stwierdził. - Z tyłu jest pusta przestrzeń.

- Sprawdźcie, czy uda wam się odnaleźć mechanizm - powiedział Larner, robiąc krok do tyłu. Szukali. Larner usiadł na łóżku, na którym już zdążyli usiąść Szwedzi.

- Możesz już go odłożyć.

Kerstin wpatrywała się w siedzącego na jej kolanach misia. Odłożyła go na łóżko. Z dziury w nodze wysypał się piasek, tak że został z niego już tylko kawałek sztucznej skóry.

- Co my robimy naszym dzieciom - powiedziała tylko.

- Ostrzegalem cię - odparł Larner.

Blisko kwadrans trwały intensywne poszukiwania. W końcu jednak znaleźli skomplikowany mechanizm za mocno przykręconym kawałkiem blachy. Najwyraźniej Wayne Jennings nie chciał, żeby ktokolwiek tam wszedł po jego tak zwanej śmierci. I najwyraźniej zrobił to jego syn, zabierając stamtąd jego szczypce.

Wewnątrz garderoby uchyliły się masywne żeliwne drzwi; Hjelmowi zdawało się, że dostrzega rękaw płaszcza, który pewnej

nocy zaklinował się, nie pozwalając domknąć się drzwiom. Odszedł kawałek i stanął na progu pokoju gościnnego. Przykucnął, próbując ustalić wysokość, z jakiej widzi dziesięciolatek. To w tym miejscu stał Lamar, tutaj zobaczył cień przesuwany się w garderobie i poszedł za nim. Grube metalowe drzwi nie domknęły się.

Larner wszedł do garderoby i otworzył je; mechanizm trochę zardzewiał, zatrzeszczał w sposób, w jaki na pewno tego nie robił dwadzieścia lat wcześniej. Włączył wielką latarkę i ruszył naprzód. Podążyli za nim.

Zobaczyli wąską klatkę schodową z żeliwną balustradą. Gdy schodzili, pod ich stopami skrzypiał piasek. Schody były długie, zadziwiająco długie, ale w końcu stanęli przed masywnymi, zardzewiałymi żeliwnymi drzwiami. Larner otworzył je i oświetlił ściany jasnym światłem latarki.

Była to nieprzyjemna piwnica, wąska, zaskakująco mała. Sześćcian z betonu gdzieś na pustyni. W środku stało masywne żeliwne krzesło, przytwierdzone kilkoma śrubami do podłogi; z oparcia i nóg zwisały skórzane rzemienie. Była tam też stabilna ława, trochę jak stół stolarski. To wszystko. Larner wyciągnął kilka szuflad spod ławy. Były puste. Usiadł na żeliwnym krześle. Niewielki sześćcian z betonu wypełniał się powoli ludźmi; ostatni człowiek z FBI już się nie zmieścił, musiał grzecznie czekać na schodach.

- Te ściany dużo widziały - powiedział Larner.

Przez krótką sekundę Hjelmowi wydawało się, że nawiązał kontakt ze skumulowanym w ścianach cierpieniem, poczuł, jak przeszywa go gorący i jednocześnie lodowaty powiew. Ale na to nie było słów.

Larner podniósł się, składając dłonie jak do modlitwy.

- No cóż, przeprowadzimy staranne oględziny miejsca zbrodni, ale nie ma wątpliwości, że to tutaj większość ofiar mordercy z Kentucky spotkało swoją upragnioną śmierć.

Weszli na górę. Czuli nadciągającą klaustrofobię.



Co tak naprawdę się stało, gdy dziesięcioletni Lamar wszedł do sali tortur? Jak zareagował Wayne? Czy zbił go do nieprzytomności? Czy próbował go pocieszyć? O to można było zapytać już tylko samego Wayne'a Jenningsa i Paul Hjelm obiecał sobie i światu, że to zrobi.

Był coraz bardziej pewny, że gdyby doszło do spotkania ojca z synem w Szwecji, wygrałby ojciec. Zabiłby syna po raz kolejny.

Wrócili helikopterem do Louisville i w ostatniej chwili złapali samolot do Nowego Jorku. Wszystko trwało zaledwie kilka godzin. Na JFK zastało ich popołudnie, długie, gorące popołudnie. Pojechali taksówką do siedziby FBI. Jerry Schonbauer siedział, wymachując nogami, z plikiem papierów w ręku. Jakby nic nigdy się nie stało.

A jednak.

- Gratuluję wyczucia czasu - powiedział Schonbauer. - Właś nie dostałem wstępny protokół oględzin mieszkania. Wraz ze wstępną rekonstrukcją spalonego listu. Poza listem nic nowego. Ani jednego śladu. Mam tu kopie, po jednej dla każdego. Proszę.

Udało się odtworzyć datę: 6 kwietnia 1983. Blisko rok po sfinansowanej śmierci Wayne'a Jenningsa. List, którego nie musiał pisać, może nawet nie powinien był pisać. Fakt, że jednak to zrobił, ujawnił jego ludzką cechę. Cechę, której Hjelm nie chciał zobaczyć.

- Kiedy jego żona popełniła samobójstwo? - zapytał.

- Latem 1983 - powiedział Larner. - Minęło najwyraźniej kilka miesięcy, zanim zrozumiała ogrom tego wszystkiego.

Wśród spalonych resztek znajdowała się również koperta. Stempel pocztowy z napisem „Sztokholm” był wyraźny. Na kopercie znajdował się adres farmy; Jennings musiał wiedzieć, że FBI nie czyta listów wdowy rok po jego śmierci.

To, co udało się zrekonstruować, brzmiało tak, z komentarzami techników w nawiasach kwadratowych:

*Dear Mary Beth. Jak widzisz, nie umarłem. Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł wytłuma [przerwa, spalone] zobaczymy w innym życiu.*

*Może za kilka lat będzie m [przerwa, spalone] było absolutnie konieczne. Byliśmy zmuszeni zapewnić mi to przeb [przerwa, spalone] dzieję, że możesz żyć z tą wiedzą i [przerwa, spalone] der ca z Kentucky to ja i niej [przerwa, spalone] pod nazwiskiem [przerwa, wycięte] omy, że Lamar ma lepiej beze mnie, nie byłem zawsze [przerwa, spalone] sisz spalić ten list natychmia [przerwa, spalone] Na zawsze twój, W.*

- Lamar nie chciał dać nam tego nazwiska - odezwał się Lamer, odkładając list. - Resztę być może tak, zależy, jak spojrzeć na ten nie do końca udany pożar, ale nazwiska nie chciał nam dać. Wyciął je przed spaleniem listu.

- Kochający mąż - stwierdziła Kerstin.

- Co tu jest właściwie napisane? - zapytał Hjelm. - „Morderca z Kentucky to ja i nie ja”: czy tak powinniśmy to rozumieć? I dalej: „Byliśmy zmuszeni zapewnić mi to przebranie”? My?

- Seryjny morderca na usługach - powiedział Lamer. - Pod koniec lat siedemdziesiątych potrzebowano wydobyć informacje od inżynierów, naukowców, dziennikarzy. I całej rzeszy ludzi niezidentyfikowanych, prawdopodobnie obcokrajowców. Wezwali więc do siebie eksperta, który być może od zakończenia wojny w Wietnamie miał przerwę. Z jakiegoś powodu dali mu kostium szaleńca. Narodził się seryjny morderca. Dorobił się wielu naśladowców.

To słowo unosiło się w powietrzu. Nikt nie chciał wypowiedzieć go na głos. W końcu Hjelm odchrząknął.

- CIA?

- To już nasza działka - westchnął Lamer. - Nie będzie lekko.

Kerstin i Paul spojrzeli na siebie. Stary, dobry trop KGB nie był aż tak chybiony. To b y ł świat wielkiej polityki. Chociaż o f i a - r ą było samo KGB. Być może.

- Na waszym miejscu - powiedział Lamer - przyjrzałbym się liście imigrantów z roku 1983. Ostatnia ofiara zmarła na początku listopada 1982. List został nadany w Sztokholmie w kwietniu 1983. Być może znajdziecie Jenningsa wśród imigrantów z tego okresu.

Do środka zajrzał człowiek z FBI.

- Ray - powiedział. - Mamy portret.

Wstali jednocześnie i poszli za nim. Mieli zobaczyć, jak wygląda Lamar Jennings.

Inspektor Jan-Olov Hultin patrzył z niedowierzaniem.

- Spadaj? - zapytał. - Już cię nie ma?

- Tak powiedział - potwierdził Viggo Norlander.

Leżał w łóżku w szpitalu Karolińska. Do rany na szyi miał przyłożony duży kompres, był ubrany w dziwaczny uniform. Wciąż kręciło mu się w głowie.

- To znaczy, że mówił po szwedzku? - Hultin pochylił się nad ponownie pokonanym bohaterem, nie zmieniając swojego profesorskiego tonu.

- Tak - odparł sennym głosem Norlander.

- Nic więcej nie pamiętasz?

- Był cały ubrany na czarno. W kominiarce. Nawet nie drgnął, gdy wycelował we mnie pistolet. Musiał celowo nie trafić. Potem wskoczył do dosyć dużego samochodu, możliwe, że jeepa, możliwe, że brązowego.

- To szaleniec, seryjny morderca, z niejednym życiem na sumieniu. Nieraz już strzelał. Dlaczego cię nie zabił?

- Dzięki za wsparcie w tym trudnym dla mnie czasie - powiedział Norlander i odpłynął.

Hultin wstał i podszedł do sąsiedniego łóżka. Leżał w nim drugi ponownie pokonany bohater. Dwóch jego mięśniaków powalił ten sam człowiek; nie czuł się z tym najlepiej.

Bandaż Gunnara Nyberga należał do kategorii większych. Kość nosową miał nieźle pogruchotaną; nie mógł uwierzyć, że taka mała kość może się złamać aż w trzech miejscach. Najbardziej jednak bolała go dusza. Wiedział, że nigdy, bez względu na to, jak bardzo będzie próbować, nie wyrzuci przerażającego widoku Benny'ego Lundberga ze swojej pamięci. Istniało duże

prawdopodobieństwo, że będzie mieć go przed oczami w chwili śmierci.

- Co z nim? - zapytał.

Hultin jęknął, siadając na taborecie dla gości.

- Viggo? Dochodzi do siebie.

- Nie Viggo. Benny Lundberg.

- Ach tak. Ostatnie wieści nie są najlepsze. Żyje i będzie żyć.

Ale struny głosowe ma poważnie uszkodzone, a wiązki nerwowe w szyi są jedną wielką płataniną. Leży pod respiratorem. Najgorsze jednak, że wciąż jest w stanie ekstremalnego szoku. Przeciągnął go przez granicę człowieczeństwa, pytanie, czy jest jakaś droga z powrotem.

Hultin położył absurdalną kiść winogron na stoliku Nyberga i mówił dalej:

- Twoja jasność umysłu uratowała mu życie, chcę, żebyś to wiedział. Gdybyś zaczął wyciągać szczypcę, umarłby natychmiast. Laryngolog, którego wezwałeś, walczył z tym przez godzinę. Musiał operować na miejscu. Dobrze, że to ty, a nie Viggo, wszedłeś do środka, mogę to teraz powiedzieć, bo śpi.

Hultin zamilkł. Spojrzał w oczy Nyberga. Coś się zmieniło.

- Wszystko z tobą w porządku? - zapytał.

- Nie, nie jest ze mną w porządku - powiedział Gunnar Nyberg.

- Jestem wściekły. Dorwę tego skurwysyna, nawet jeśli będzie to ostatnie, co zrobię w życiu.

Hultin nie potrafił się zdecydować; z jednej strony dobrze, że Nyberg wyrwał się z apatii i tęsknoty za emeryturą, z drugiej

- wściekły Nyberg to był pędzący szaleńczo przed siebie parowóz.

- Wróc najszybciej, jak będziesz mógł - powiedział tylko.

- Jesteś potrzebny.

- Już bym wrócił, gdyby nie to cholerne wstrząśnienie mózgu.

- Jakieś choróbsko wisi w powietrzu.

Źle widzieli, pomyślał Nyberg. To nie dwa zapalenia płuc unosiły się w powietrzu, szukając swoich prawowitych właścicieli, to były dwa wstrząśnienia mózgu.

- Gdybyśmy nie zatrzymali się, żeby coś zjeść, tobyśmy go uratowali - zasepił się.

Hultin patrzył na niego przez chwilę, potem pożegnał się, wyszedł na korytarz, a potem na zewnątrz, na codzienny brak umiaru niebios. Zanim dosięgnęła go nocna ulewa, rozłożył parasol z logo policji, który skutecznie opierał się nawałnicy do chwili, kiedy Jan-01ov doszedł do swojego volvo turbo. Służbowy samochód był jedynym związanym ze stanowiskiem przywilejem, na jaki sobie pozwalał.

Jechał przez wygaszone miasto, w górę Sankt Eriksgatan, dalej Fleminggatan i Polhemsgatan. Splatał fakty z domysłami i w związku z tym stanowił poważne zagrożenie na drodze; na szczęście ulice były praktycznie puste. Dlaczego Benny Lundberg? Co takiego widział lub zrobił ochroniarz tamtej nocy? Przecież był tam i rozmawiał z nim wtedy, wszystko wydawało się normalne. Za tym włamaniem musiało kryć się coś jeszcze. Zaraz po nim Lundberg wziął urlop, a teraz ledwo uszedł z życiem, zaatakowany przez seryjnego mordercę, który mówił po szwedzku, poradził sobie z dwoma roslymi policjantami i postanowił oszczędzić Norlandera, mimo że miał go na muszce. Gdyby nie wiedział tak dużo o Norlanderze, pomyślałby, że to krecia robota, glina na usługach świadka przestępczego.

Wszedł do ciemnego budynku. Panowała cisza. Nieprzerwane dudnienie deszczu stało się częścią tła i gdyby kiedyś, w przyszłości, deszcz przestał padać, pomyślałby, że coś jest nie w porządku, że to zaburzenie normalnego stanu.

Wszedł na korytarz Drużyny A. Z jednego z pokoi dochodziło słabe światło; od razu domyślił się z którego. Wskoczył z niego Chavez. Podbiegł do swojego szefa.

- Teraz zobaczysz diabła - cieszył się jak siedmiolatek.

Jan-01ov Hultin chciał się zastanowić, a nie oglądać diabła.

W ostatnich tygodniach zbyt często go widywał. Czuł się jak stary, naburmuszony dziad, co zresztą - uświadomił sobie - było zgodne z prawdą. Poszedł za Chavezem bez protestów.

Na miejscu Hjelma przy biurku siedział inny dziad, niski człowiek o śródziemnomorskim wyglądem. Jego twarz oświetlał ekran komputera.

- To Christo Kavafis. Ślusarz. Pozwoliłem sobie go tutaj przyprowadzić. A to jest Jan-Olov Hultin, mój szef.

- Miło mi - powiedział Christo Kavafis.

Hultin skinął głową i spojrzał zdziwiony na Chaveza, który podbiegł w podskokach do Greka.

- Gdy usłyszałem, że klucz Johna Doe otworzył drzwi do miejsca zbrodni, coś mnie tknęło - mówił rozgorączkowany.

- Wszystko wskazuje na to, że Amerykanin, który wjechał do Szwecji jako Edwin Reynolds, wygląda... tak.

Chavez przekręcił ekran komputera o jedną czwartą obrotu. Hultin patrzył na twarz mordercy z Kentucky. To był John Doe, ich niezidentyfikowany trup. Przez chwilę był cicho. Wszystko zaczęło się układać w całość.

- To znaczy, że jest dwóch morderców z Kentucky - powiedział Hultin.

- Teraz już tylko jeden.

Hultin wyjął komórkę i wybrał numer Hjelma w Stanach. Było zajęte. Bardzo dziwne. Na ten numer tylko on mógł dzwonić.

Pochylili się nad ekranem komputera, przed którym siedziała Wilma Stewart.

- Właśnie tak wyglądał - kiwnęła głową. - Dokładnie tak. Lamar Jennings.

Kerstin i Paul patrzyli na twarz mordercy z Kentucky.

To był John Doe, ich niezidentyfikowany trup.

Hjelm wyjął komórkę i wybrał numer Hultina w Szwecji. Było zajęte. Bardzo dziwne. Na ten numer tylko on mógł dzwonić.

Hultin nie dawał za wygraną. Spróbował raz jeszcze. Tym razem mu się udało.

- Hjelm - odezwał się Hjelm po drugiej stronie Atlantyku.
- John Doe to morderca z Kentucky - powiedział krótko Hultin.
- Jeden z nich - poprawił go Hjelm.
- Patrzę właśnie na jego portret pamięciowy.
- Ja też.

Hultin wzdrygnął się, a potem mówił dalej:

- Próbowałem przed chwilą zadzwonić.
- Ja też.

Trudno było się w tym wszystkim połapać. Hultin ciągnął więc dalej:

- Norlanderowi i Nybergowi już prawie udało się go zatrzymać. Tego drugiego. Mówi po szwedzku.

- Mieszka w Szwecji od 1983. Jak bardzo prawie?
- Na tyle, żeby oberwać. Obaj oberwali. W magazynach Link-Coop. Miał Vigga na muszce, ale odpuścił. Jest policjantem?
- W pewnym sensie. Potem ci powiem. Czyli jest na wolności?
- Tak, ale było blisko. Mamy szczypce. I na pół żywego ochroniarza.

- Benny Lundberg?

- Tak. Niestety, jest już warzywem. Możesz to jakoś wyjaśnić?

- Jest ich dwóch, ojciec i syn Jenningsowie. Jeden pojechał do Szwecji, żeby zabić drugiego. Role się odwróciły.

- A więc to był Wayne Jennings... To znaczy, że żyje?

- Od piętnastu lat mieszka w Szwecji. Wiemy, że Lamar nie żyje. To tłumaczy, dlaczego John Doe został zastrzelony, nie torturowany. Może widział z ukrycia, jak ojciec torturuje Erica Lindbergera. Potworne *deja vu*. Został nakryty i zastrzelony. Możliwe, że Wayne Jennings nawet nie wie, że zabił syna.

- Czyli to jemu przeszkadzili prawnicy z drużyny hokeja?

- Tak. Szwedzkie ofiary zginęły z rąk dwóch sprawców. Hassel i Gallano to dzieło Lamara, przypadkowo wybrani,

jeden dla biletu lotniczego, drugi dla chaty. John Doe to ich morderca, Lamar Jennings. A on zginął z ręki Wayne'a, również przypadkowo. Zostaje Lindberger. Jego śmierć nie była przypadkowa, Wayne nie zabija przypadkowo. Jest profesjonalistą.

- Profesjonalny morderca i „w pewnym sensie” policjant? Sugerujesz, że...

- Nie mów. Ale to prawda.

- Okej. Potrzebuję całego zespołu. Skończyliście już? Możecie wracać?

- Teraz?

- Jeśli się da.

- Okej.

- Pozdrów Lamera i podziękuj.

- Jasne. Cześć.

- Cześć.

Hjelm się rozłączył. Wpatrywał się w telefon. Byli bliscy zatrzymania go. Norlander i Nyberg, akurat oni.

- Słyszałaś? - zwrócił się do Kerstin, która stała pochylona nad nim.

- Tak - powiedziała. - Jedzie do Szwecji, żeby raz na zawsze zemścić się za życie poniżej zera, jak napisał. Przygotowuje się wyjątkowo starannie, namierza ojca, śledzi go i czeka na odpowiedni moment. Wtedy ujawnia się w jakiś sposób i zostaje oczywiście natychmiast zamordowany. Po raz drugi. Przez ojca. Który nawet o tym nie wie. Co za straszna ironia.

- Postaraj się za dużo o tym nie myśleć. Wracamy. Teraz. Dorwiemy go.

Kiwnęli w milczeniu głowami. Podeszli do

Lamera i wyjaśnili sytuację.

- A więc im groził? - powiedział zmęczonym głosem. - Miał waszego kolegę na muszce, ale zdecydował się nie strzelać? Profesjonalista aż po czubki palców, bez dwóch zdań.

- Tak - zgodził się Hjelm. - Ale dorwiemy go.



- Zaczynam w to wierzyć. Przyjechaliście tu jak jacyś kuzyni ze wsi i rozwiązaliście sprawę w kilka dni. Czuję się stary i zgrzybiały. Ale zdjeliście ciężar z moich barków.

- To był czysty przypadek - powiedział Hjelm. - I to ty rozwiązałeś sprawę, nie wierz w nic innego. To twój upór zmusił go do ucieczki z kraju. Inna sprawa, że zapomniał o starej prawdzie.

- Jakiej prawdzie?

- Zła krew wraca.

\*

NASTĘPNEGO ranka, co ciekawe, wszyscy byli na miejscu. W zasadzie powinno być ich tylko dwóch, nie licząc Hultina: Chavez i Söderstedt. Para starych komików Jalm & Halm przyjechała prosto z lotniska, o czym świadczyły przekrwione oczy. W drugim rzędzie siedziała para dużo świeższa: doskonale wszystkim znane obandażowane głowy tandemu NN; nie było takiej siły, która powstrzymałaby Norlandera i Nyberga przed przyjściem tutaj.

Hultin też nie wyglądał na człowieka po dobrze przespanej nocy, ale okulary były gdzie trzeba, podobnie jak jego ostre spojrzenie.

- Ostatnio dużo się wydarzyło - powiedział. - Depczemy mu po piętach. Czy zdążyliście zapoznać się z raportem, który przygotowałem w nocy z pomocą małej telekonferencji w przestrzeni powietrznej nad Atlantykiem?

- Często wytrącałem łokciem telefon w oparciu fotela, teraz pierwszy raz go użyłem - powiedział sennym głosem Hjelm.

- Zdążyliście? - powtórzył pytanie Hultin.

Wszyscy kiwnęli głowami, niektórzy jakby ociężale.

- W takim razie wiecie już, jakie jest nasze główne zadanie: zdobyć szwedzkie nazwisko Wayne'a Jenningsa. Pytania: 1) Dla czego korzystał z magazynów LinkCoop? Musiał to robić regularnie, w przeciwnym razie jego syn nie dorobiłby klucza. 2) Dla czego torturował stróża Benny'ego Lundberga? 3) Jak ma się nieudane włamanie do LinkCoop do zamordowania w tym samym czasie Erica Lindbergera i Lamara Jenningsa dziesięć drzwi

dalej? 4) Dlaczego zginął Erie Lindberger? 5) Czy ma to jakiś związek z jego kontaktami arabskimi? 6) Czy życie Justine Lindberger jest również zagrożone? Na wszelki wypadek dam jej ochronę 7) Czy możemy znaleźć Wayne'a Jenningsa w rejestrze imigrantów z roku 1983? 8) Trudne i delikatne pytanie: Czy Wayne Jennings jest z CIA?

- Możemy pójść oficjalną drogą i po prostu zapytać CIA - zaproponował Arto Söderstedt.

- Obawiam się, że wtedy już na pewno zapadnie się pod ziemię.

- Sądząc po tym - odezwał się Chavez, wymachując raportem Hultina - mógł równie dobrze należeć do wojskowej służby bezpieczeństwa albo został zwerbowany przez przeciwnika lub mafię, a może syndykat narkotykowy czy jeszcze inne radykalne ugrupowanie.

- Zgoda - powiedział nieoczekiwanie Hultin. - Za wcześniej, żeby uznać CIA za główny trop. Coś jeszcze? Nie? W takim razie przejdźmy do szczegółów. Arto dalej zajmuje się Lindberge-rem, Jorge - volvo, Viggo i Gunnar, zostaniecie dziś na miejscu, zajmiecie się listą imigrantów, Paul pojedzie powęszyć do Frihamnen, Kerstin prześwietli Benny'ego Lundberga. Jak ci idzie z Lindbergerem, Arto?

- Erie Lindberger zostawił po sobie mnóstwo notatek, które udało mi się już sprawdzić. Żadnych tajemnic. Ale w jego kalendarzu znalazłem wyjątkowo interesujący zapis: na wieczór poprzedzający jego śmierć miał zaplanowane spotkanie. Jego ciało zostało przewiezione o godzinie trzeciej w nocy przez Wayne'a Jenningsa dwunastego września, to wiemy na pewno. O godzinie dziesiątej poprzedniego wieczoru miał zaplanowane spotkanie, niestety zapisał tylko nazwę miejsca, bar Riche. Sprawdziłem go wczoraj po południu. Liczny personel, trudno trafić na kogoś, kto stał za barem o dziesiątej tamtego wieczoru, ale w końcu udało mi się namierzyć Luigiego Engbrandta. Stawał na głowie, żeby coś sobie przypomnieć, ale do tego baru przychodzi

dużo ludzi. Zapamiętał kogoś podobnego do Lindbergera, jeśli to był on, to siedział przez chwilę przy barze i na kogoś czekał. Niestety, Luigi nie potrafi sobie przypomnieć, czy ten ktoś przyszedł. Sprawdziłem również konto bankowe Erica. Zostawił po sobie spory, ale nie oszałamiający majątek, łącznie sześćset tysięcy koron. Dziś zajmę się Justine.

- Dlaczego Justine? - zdziwił się Norlander. - Zostaw ją w spokoju.

- Niezgodności - wyjaśnił Söderstedt. - Wielkie mieszkanie, współpraca małżonków, kilka dziwnych sformułowań, których użyła w czasie naszej ostatniej rozmowy. W jej kalendarzu jest też kilka interesujących punktów, które powinna skomentować.

- Okej - powiedział Hultin. - Znalazłeś coś jeszcze na temat samochodów, Jorge?

- Samochody - skrzywił się Chavez. - Zaangażowałem do tego cały garnizon piechoty. Niedługo skończą. Żadne z aut, które udało nam się sprawdzić do tej pory, nie zostało skradzione ani wypożyczone w nocy, w której doszło do zabójstwa. Drobnym przestępcą Stefan Helgę Larsson, którego volvo zniknęło wraz z nim, wróciło po miesięcznej wycieczce do Amsterdamu. Drogówka w Dalshammar, gdziekolwiek to jest, zatrzymała go, tu cytat, „pod wyjątkowo silnym wpływem narkotyków”, na E4. Jechał pod prąd. W tej chwili zajmuję się samochodem, który został zarejestrowany na nieistniejącą firmę. Tak wygląda mój plan na dzisiaj.

- Rozumiem, że wszystko jasne - powiedział krótko Hultin. - No to do roboty. Musimy go zatrzymać. Do zrobienia na wczoraj, jak mawiają korposzczury.

- Co dzieje się w mediach? - zapytała Kerstin Holm w typowo amerykańskim stylu.

- Polowania na czarownice ciąg dalszy - odparł Hultin. - Odnotowano wzrost sprzedaży zamków, broni i owczarków niemieckich. Żądają głów na tacy. Głównie Mórnera. Dopadła go

całodobowa panika. Jak chcecie, mogę go zaprosić, żeby wygłosił małą mowę ku pokrzepieniu serc.

To działa lepiej niż niebieskie światło w tyłku, stwierdził, spoglądając na opustoszałą centralę dowodzenia.

Zaraz potem Arto Söderstedt zadzwonił do Justine Lindberger. Wdowa była w domu. Jej głos brzmiał zadziwiająco rześko.

- Justine.
- Tu Söderstedt, z policji.
- Ach tak.
- Myślisz, że mogę zajrzeć do twojego organizera?
- Do czego?
- Nie onizera, organizera.
- Masz na myśli mój organizer? Obawiam się, że został w MSZ.

Nie rozumiem, co może mieć wspólnego ze sprawą.

- Sam po niego pojedę, jeśli to dla ciebie zbyt duży kłopot.
- Nie! Nie, dziękuję. Nie chcę, żeby policja grzebała mi w biurku. Dostarczą mi go kurierem. Będziesz mógł przyjść i poszperać.

- Teraz?
- Dopiero wstałam. Jest dziesięć po dziewiątej. O jedenastej?
- Doskonale. Do zobaczenia.

Ma czas na wprowadzenie poprawek, pomyślał. Kolejny krok.

Bank. Ten sam co współmałżonka. Ten sam urzędnik. Zadzwonił.

- Halo, tu Söderstedt - powiedział z zaśpiewem.
- Kto?
- Policja. Wczoraj był pan tak uprzejmy i umożliwił dostęp do konta świętej pamięci Erica Lindbergera. Dziś muszę sprawdzić konto jego współmałżonki Justine.
- To co innego. Przykro mi, ale nie da rady.
- Da radę - mówił dalej śpiewnie. - Mogę pójść drogą oficjalną, ale nie mam na to czasu, a jeśli wyjdzie na jaw, że

przeszkodził pan w najważniejszym we współczesnej Szwecji dochodzeniu w sprawie morderstwa, zaręczam panu, że pański szef będzie uszczęśliwiony. Przez chwilę panowała cisza.

- Puszczę faksem - powiedział urzędnik bankowy.

- Tak jak wczoraj - zaśpiewał Söderstedt. - Wielkie dzięki.

Odłożył słuchawkę i zastukał palcem w faks. Maszyna zaczęła wypluwać z siebie kartki papieru z ciągami cyfr. W tym czasie zadzwonił do spółdzielni mieszkaniowej i dowiedział się szczegółów dotyczących dziedziczenia mieszkania. Zadzwonił do biura rejestracyjnego, urzędu skarbowego, rejestru łodzi, MSZ i biura nieruchomości. Zadzwonił również do przyszłych ochroniarzy Justine Lindberger.

- Pojedziecie ze mną o jedenastej do Lindberger. Od tego momentu nie możecie spuszczać jej z oczu.

Potem tanecznym krokiem wyszedł na korytarz.

Punkt jedenasta był na miejscu przy domofonie na Riddar-gatan. Minutę później siedział już na kanapie u Justine Lindberger.

- Piękne mieszkanie - powiedział.

- Mój organizier - wyciągnęła w jego stronę rękę z kalendarzem. Przejrzał go z obojętną miną, ale jego mózg pracował na najwyższych obrotach. W jej nieocenzurowanym kalendarzu, który skserował w MSZ, było siedem pozycji, których nie udało mu się rozszyfrować. G co drugi poniedziałek o dziesiątej, RO w niedziele o czwartej, S powracający nieregularnie co któryś wieczór, Bro w każdy wtorek o różnych godzinach, PPP siódmego września o godzinie 13.30, DZ czternastego sierpnia przez cały dzień i SK dwudziestego ósmego września o godzinie 19.30. Miał to wszystko w głowie i teraz wysilał się, żeby wyglądać na przygłupa, przedzierając się przez oficjalną wersję organizera.

- Co znaczy G? - zapytał. - Albo RO?

Wyglądała na zakłopotaną.

- G oznacza manikiur, moja manikiurzystka ma na imię Gunnilla. RO to rodzice, w każdą niedzielę o czwartej spotykamy się na rodzinnym obiedzie. Mam dużą rodzinę - dodała.

- PPP i DZ? Jak to możliwe, że zapamiętujesz te wszystkie skróty?

- PPP to lunch z dziewczynami, siódmego, z Paulą, Petronellą i Priscillą, jeśli chcesz znać szczegóły. DZ to szkolenia w MSZ, dziennikarstwo zagraniczne. Chyba już wystarczy.

- SK? - nie dawał za wygraną.

- Spotkanie klasowe - odparła. - Z dawnymi kolegami z liceum.

- S i Bro? - zapytał dokładnie tym samym tonem.

Wyglądała, jakby strzelił w nią piorun.

- Nie ma niczego takiego - powiedziała, próbując zachować spokój.

Oddał jej szarmancko kalendarz.

- S w niektóre wieczory, Bro w każdy wtorek o różnych porach - powiedział z uprzejmym uśmiechem.

- Teraz to przesadziłeś.

- Zapisałaś to długopisem, musiałaś więc zadać sobie dużo trudu, żeby wyjść i kupić nowy organizer i zamienić strony z S i Bro. Co znaczy S i co znaczy Bro?

- Nie miałaś prawa zaglądać do moich rzeczy. - Była już bliska płaczu. - Straciłam męża.

- Przykro mi, ale mam wszelkie możliwe prawa. Chodzi tu o morderstwo wielkiego kalibru. Mów.

Zamknęła oczy. Milczała.

- To mieszkanie należy do ciebie - zaczął powoli. - Kupiłaś je dwa lata temu, zapłaciłaś dziewięć i dwie dziesiąte miliona go tówką. Masz również duże mieszkanie w Paryżu za dwa miliony, domek letni na Dalaró za dwa i sześć dziesiątych miliona i dwa samochody warte siedemset tysięcy, i jeszcze trochę odłożonej gotówki, łącznie osiemnaście i trzy dziesiąte miliona koron. Masz dwadzieścia osiem lat i zarabiasz trzydzieści jeden

tysięcy miesięcznie w MSZ. Do tego należałoby doliczyć porządne diety na wyjazdy zagraniczne. Pochodzisz ze stosunkowo zamożnej rodziny, ale nikt z twoich bliskich nie dysponuje takimi sumami. Możesz to wytłumaczyć? Jak to tłumaczyłaś Ericowi?

Podniosła wzrok. Jej oczy były czerwone, ale nie płakała, jeszcze nie.

- Eric o nic nie pytał. Mówiłam, że mam bogatą rodzinę, a jemu to wystarczało. Tobie też powinno. Cieszyło go wszystko, co dodawało trochę radości życiu. Pieniądz rodzi pieniądz. Jak się ma majątek, to on na ciebie pracuje. W tym kraju tak właśnie jest, tacy jak ty muszą to też zaakceptować.

- Ja nie - powiedział Söderstedt, nie zmieniając tonu głosu.

- A powinieneś! - krzyknęła.

- Co oznacza S i Bro? - zapytał.

- Bro oznacza Bro! Co wtorek spotykałam się z mężczyzną o nazwisku Herman w Bro. Pieprzyliśmy się. Okej?

- To też dodawało trochę radości życiu Erica?

- Odczep się! Myślisz, że nie miałam wyrzutów sumienia? Wiedział, co robię, akceptował to.

- A co znaczy S?

Patrzyła na niego dzikim wzrokiem. Jej ciało skurczyło się. Czy był za ostry?

- Wtedy biegam - powiedziała ze spokojem i głęboko odechnęła. - To mój jogging. Mam tyle pracy, że nawet to muszę zapisywać.

- S jak jogging?

- S jak stretching. Rozciąganie zajmuje więcej czasu niż samo bieganie.

Patrzył na nią rozbawiony.

- Wpisujesz do kalendarza stretching? Chcesz, żebym w to uwierzył?

- Tak.

- A pieniądze?



- Pomyślne spekulacje na giełdzie. Dzięki Bogu znów można w Szwecji zarabiać.
- I nie ma to nic wspólnego z podejrzanymi interesami w świecie arabskim?
- Nie.
- Doskonale. Od kwadransa jesteś pod ochroną Rikskrim. Uważamy, że twoje życie jest w niebezpieczeństwie.
- Patrzyła z nienawiścią na przebiegłego szwedzkiego Fina.
- Pod ochroną czy obserwacją? - zapytała, próbując zachować spokój.
- Wybierz sama - powiedział Arto Söderstedt i pożegnał się.
- Mogło pójść trochę lepiej, ale i tak był zadowolony.

Jorge Chavez odłożył listę stu samochodów na półkę i skoncentrował się na tym jednym. Liczył na łut szczęścia. Nieistniejąca firma była cukiernią i nazywała się Ciastko Owsiane. Brzmiało to wyjątkowo niewinnie i właśnie dlatego stanowiło idealną przykrywkę. Powinna znajdować się na Fredsgatan w Sundbyberg, ale nie znalazł tam żadnego cholernego ciastka owsianego, tylko zwykły, smutny Konsum.

Przedzierał się z typowym dla siebie zapalem przez rejestr firm Urzędu Patentowego, w końcu udało mu się odszukać właściciela, niejakiego Stena-Erika Bylunda, który w chwili założenia firmy w roku 1955 mieszkał na Rasundavagen w Solnie. Z rejestru zakładu ubezpieczeń wynikało, że firma zbankrutowała, Chavez musiał więc przejść na sterowanie ręczne i zajrzeć do papierowych dokumentów. W końcu znalazł to, czego szukał; Ciastko Owsiane zbankrutowało w 1986 roku. Volvo z numerem rejestracyjnym zaczynającym się od litery B zostało natomiast zarejestrowane w roku 1989, czyli całe trzy lata po tym, jak cukiernia wydała ostatnie technienie. Do dzisiaj ta fizycznie nieistniejąca firma była formalnym właścicielem samochodu. Podatki i ubezpieczenia opłacano, ale pieniądze nie pochodziły z Ciastka Owsianego.

Odszukał dane Stena-Erika Bylunda, mieszkał w Rissne. Nie wiele się nad tym zastanawiając, udał się pod aktualny adres, żeby go przyprzeć do muru, co jednak okazało się trudne do zrealizowania, jako że pod tym adresem znajdował się dom opieki, a sam Bylund był zgrzybiałym dziewięćdziesięciolatkiem. Chavez nie zniechęcił się, tylko usiadł naprzeciwko jedzącego podwieczorek starca, przyglądając się, jak ten celuje bananem pod ramię i polewa lysinę zupą jagodową. Czy mógł mieć coś wspólnego z CIA?

- Dlaczego zarejestrował pan samochód volvo kombi na cu kiernię Ciastko Owsiane, chociaż firma splajtowała trzy lata wcześniej? Kto opłaca rachunki? Gdzie jest auto?

Sten-Erik Bylund pochylił się ku niemu, jakby chciał mu przekazać tajemnicę wagi państwowej.

- Siostra sroga kuternoga - powiedział. - A z mojego ojca była surowa dama, która lubiła, by ją uszczypnąć w biegu.

- W biegu? - zapytał zafascynowany Chavez. Czyżby mówił szyfrem?

- No mówię ci. Biegał jak suka między kundlami. Cycki Liny jak maliny.

Chociaż Chavez wciąż był jeszcze zamroczony po szybkiej jeździe, zaczęły go nachodzić pierwsze wątpliwości, które się pogłębiły, gdy Bylund nagle wstał i pokazał swoje klejnoty starszej pani, która tylko głośno ziewnęła.

- Mój Alfons to dopiero miał się czym pochwalić - powiedziała do sąsiadki przy stole. - Miał niezłe zawieszenie, mówię ci. Prawdziwy stek wołowy. Niestety, tylko sobie wisiał.

- Tak, kochanieńka - odparła sąsiadka. - Kiedy ja i mój Oliver pewnego razu pieściliśmy się w ciemnościach, a on wyciągnął go w moją stronę, powiedziałam: a nie, dziękuję, kochanie, nie mam ochoty na papierosa. Robiliśmy to całymi godzinami, aż padałam ze zmęczenia. Mimo że sama mam większą, no wiesz, o czym mówię.

Chavez musiał przyznać się do sromotnej porażki. Gdy odchodził, doszedł go szept dam:

- Czy to nie był ten nowy lekarz, kochanieńka? Ten z Libanu. Im mniejsze ciało, tym większy członek, jak to mówią w tropikach.

- Myślę, że to był mój OHver. Czasem mnie odwiedza. Jak na nieboszczyka ma całkiem jędrny tyłek, kochanieńka.

Paul Hjelm trzął się z zimna. Ze wszystkich granic, jakie przekroczył w ciągu ostatniej doby, najbardziej przykra była granica pogody. Stał pod parasolem upstrzonym logo policji i przyglądał się z oddali rzędom magazynów LinkCoop rysujących się w strugach odwiecznego deszczu. Rozumiał już, co miał na myśli Nyberg, mówiąc o leżących wysokościami w Taby i Frihamnen. Oba się przewróciły.

Minął stróżówkę z uniesioną do góry legitymacją i skierował na prawo, do budynku z rampą. Piekło miało wiele twarzy. Był już w fabryce cracku w Harlemlu, w smutnym mieszkaniu Lamara Jenningsa, w komnacie tortur w Kentucky: tak różne, a mimo to tak podobne. A teraz jeszcze zwykły, szary magazyn we Frihamnen, gdzie jedyną od lat inwestycją był montaż logo firmy, które błyszczało w spektakularnym spektralnym spektrum. Ten magazyn był piekłem Erica Lindbergera, Benny'ego Lundberga i Lamara Jenningsa.

Zajrzał za biało-niebieską taśmę oplatającą drzwi najdalej na prawo w długim ciągu magazynów. Za kurtyną deszczu zobaczył techników kryminalistycznych, chodzących tam i z powrotem. Zrobił krok i stanął na schodach do pomieszczenia, które do złudzenia przypominało tajemną komnatę tortur w Kentucky. Niemal identyczne żeliwne krzesło przytwierdzone do podłogi, betonowe ściany i goła żarówka.

- Jak wam idzie? - zawołał do techników.

- Nie najgorzej - odpowiedział jeden z nich. - Dużo materiału organicznego. Zakładam, że głównie ofiary, ale że nie zdążył posprzątać, możemy mieć dziś szczęście.

Światło rozjaśniło wnętrze. Magazyn wyglądał dosyć niewinnie, jak gdyby został rozbrojony. A więc to tutaj doszło do konfrontacji. Lamar Jennings dostał się do środka za pomocą klucza dorobionego na podstawie odcisku w modelinie, położył się za kartonami w rogu i czekał na ojca; taka wersja wydawała się Hjelmowi najbardziej prawdopodobna. Wayne Jennings przybył z Erikiem Lindbergerem, albo już nieprzytomnym, albo w jego towarzystwie, posadził go na krzesło, wyjął szczypce i zabrał się do roboty. Konfrontacja z ojcem, diabłem wcielonym, którego od piętnastu lat uważał za zmarłego, jak również z najstraszliwszym z jego wewnętrznych obrazów, to było za dużo dla Lamara, który nie potrafił się opanować i zdradził swoją obecność. Wayne usłyszał go, wyjął broń i zastrzelił bez ceregieli.

Trudno to nawet nazwać konfrontacją. To była raczej szybka egzekucja, bez żadnej refleksji, coś jak pacnięcie muchy podczas koszenia trawy. Zakończenie godne mistrza.

Hjelm wkroczył do środka przez wejście pod wielkim, groteskowym logo LinkCoop i zamienił kilka słów z recepcjonistką, opaloną na brąz czterdziestopięcioletnią damą ubraną w kombinizon roboczy, pełniącą również obowiązki administratora.

- Co to za magazyn na samym końcu? - zapytał Hjelm.

- Zapasowy - odpowiedziała, nie podnosząc wzroku; najwyraźniej nie pierwszy raz pytano ją dzisiaj o to. - To znaczy, że stoi pusty. Zdarzają się dostawy większe od oczekiwanych, więc mamy trochę dodatkowego miejsca. Jest tu takich kilka.

- Czy ktoś ma w zwyczaju tam przesiadywać?

- W magazynach się nie przesiaduje - wyjaśniła. - Trzyma się tam rzeczy.

Zamienił kilka słów z magazynierami. Nikt nic nie wiedział, nikt niczego nie rozumiał. Włamanie, tak, to już się zdarzało, ale morderstwo? To jakieś kompletne szaleństwo.

Zmęczył się i pojechał do domu.

To znaczy na komendę.

Kerstin Holm nie czuła się na siłach, by odbyć trudną rozmowę z rodzicami Benny'ego Lundberga. Miała za sobą stresujący tydzień, jet lag jeszcze nie ustąpił. Potrzebowała snu. Mimo to siedziała w małym mieszkaniu w Bagarmossen w towarzystwie pogrążonej w bólu pary, która winiła ją osobiście za swoje nieszczęścia.

- Policja schodzi na psy - stwierdził ojciec, choć pod maską stanowczości skrywał głęboki smutek. - Gdyby zajmowali się ściganiem bandytów zamiast parytetami i innymi głupotami, nasz syn nie leżałby teraz jak cholerne warzywo, do którego można już tylko strzelić z litości. Co drugi pieprzony glina to kobieta. Jestem tylko starym tłustym stróżem w szkole, ale z łatwością dałbym sobie radę z dziesięcioma gliniarami i prysnął stamtąd, wierz mi.

- Wierzę ci - powiedziała gliniara, próbując nie dać się zbić z tropu.

- Niech mężczyźni robią swoje, a kobiety swoje.

- Waszego syna torturował mężczyzna, nie kobieta.

- Całe szczęście, kurwa! - krzyknął zdeorientowany. - Mój dom, moja twierdza. Wszystko schodzi na psy.

- Skończ już - musiała w końcu wrzasnąć. - Siadaj.

Wielki mężczyzna spojrział na nią z niedowierzaniem, zamilkł w połowie swojej perory i usiadł jak zbesztany uczeń. Kerstin mówiła dalej:

- Współczuję wam z całego serca, ale wasz syn potrzebuje pomocy, nie strzałów z litości.

- Lasse nigdy by tego nie zrobił - chlipnęła skulona matka. - On tylko tak...

- Wiem - przerwała jej Kerstin. - Nic się nie stało, postarajcie się tylko uspokoić i odpowiadać na moje pytania. Przecież Ben-ny z wami mieszkał. W sierpniu miał urlop. Wiecie, dlaczego zaraz znów wziął wolne?

Ojciec siedział jak skamieniały. Matka trzęsła się, ale odpowiedziała:

- W sierpniu był na Krecie z kilkoma przyjaciółmi z wojska. Nie zamierzał brać więcej urlopu. Ale ostatnio niewiele z nami rozmawia.

- Czy nie mówił, dlaczego jest w domu?  
- Dostał dodatkowy urlop. Tylko tyle powiedział. Taki bonus.  
- Bonus za co?  
- Tego już nie mówił.  
- Jaki był w ciągu tych ostatnich dni?  
- Wesoły. Bardziej niż zwykle. Pełen nadziei, o tak. Jakby wygrał w totka albo coś takiego.

- Mówił dlaczego?  
- Nie. Nic. My też nie pytaliśmy. Martwiłam się, że w coś się wplątał, gdy wreszcie dostał porządną pracę.

- A zdarzało mu się wcześniej?  
- Nie.  
- Jestem tutaj, żeby odnaleźć jego - o mało co nie powiedziała „mordercę” - jego dręczyciela, nie żeby wsadzić Benny'ego za kratki. Opowiadajcie.

- Był skinem. Ale to było dawno temu. Potem zrobił kurs na ratownika i stał się nowym człowiekiem. Chciał być żołnierzem zawodowym i zdawał do szkoły policyjnej, ale miał za słabe stopnie. I wtedy dostał tę pracę ochroniarza. Bardzo się cieszyliśmy.

- Jest notowany? - Przekleła w myślach swoje otepienie; nie powinna była przecież o to ich pytać, powinna była sama sprawdzić wcześniej. Czy nie mógł się tym zająć ktoś, kto był bardziej w temacie? Gunnar Nyberg nie marzył o niczym innym jak tylko o pracy w terenie. Przecież dopiero co wróciła ze Stanów. Wredny dziad, pomyślała o Hultinie.

- Kilka wyroków za pobicie z czasów młodości - odparła matka zakłopotana. - Ale to były same czarnuchy - dodała szybko.

Widzisz i nie grzmisz, pomyślała Kerstin Holm. Na głos powiedziała:

- I nic od tego czasu.

- Nie.

- Okej. Co się działo wczoraj?

- Był dosyć spięty. Siedział zamknięty w pokoju i rozmawiał dużo przez telefon.

- Nie słyszałaś przypadkiem, co takiego mówił?

- Myślisz, że podsłuchuję własnego syna?

Tak, pomyślała Kerstin.

- Nie - powiedziała na głos - oczywiście, że nie. Ale czasem można coś usłyszeć.

- Nie, nie można.

Wielka szkoda, pomyślała Kerstin i jęknęła. Wmawiała sobie, że większość jęku stłumiła w sobie.

- Przepraszam. - Była już zmęczona. - Co stało się potem?

- Wyszedł około piątej. Nie mówił dokąd, ale sprawiał wrażenie zdenerwowanego i ożywionego. Jakby miał odebrać wygraną w totka albo coś takiego.

- I nie mówił nic, co pozwoliłoby się domyślić, dokąd idzie lub co będzie robić?

- Powiedział tylko jedno: Teraz się stąd wyrwiemy, mamo.

- Czy ruszałaś coś w jego pokoju?

- Przez całą noc siedzieliśmy w szpitalu. Nie, niczego nie ruszałam.

- Mogę tam zajrzeć?

Kobieta pokazała jej drzwi zalepione starymi, odklejającymi się naklejkami z gum do żucia. Drzwi do chłopięcego pokoju.

W środku wyglądało zupełnie inaczej. Podziękowała matce i zamknęła je przed jej nosem. Wielka szwedzka flaga pokrywała dwie ściany pokoju, zgięta w połowie za łóżkiem. Odchyliła materiał. Zobaczyła kilka schowanych opasek. Nie widziała ich dokładnie, ale rozpoznała czarno-biało-czerwone paski; prawdopodobnie były to miniaturowe flagi nazistowskie. Przejrzała płyty CD. Głównie heavy metal, ale też kilka płyt *white power*. Benny Lundberg nie zerwał ze swoją przeszłością, co do tego nie było wątpliwości.

Podeszła do telefonu stojącego na nocnym stoliku i rozejrzała się za jakimś notatnikiem. Leżał na podłodze. Był czysty, ale na pierwszej stronie odcisnęły się litery; technicy kryminalistyczni będą mieli w co wbić zęby, pomyślała i zdała sobie sprawę, że kogoś cytuje. Podniosła słuchawkę i wcisnęła klawisz ponownego wybierania numeru. Usłyszała monotony głos zegarynki. Na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Jedyne wnioski, jakie dało się z tego wyciągnąć, to że Lundberg pilnował jakiejś godziny i że bardzo nie chciał się spóźnić.

Zadzwoniła do biura numerów.

- Mówi Kerstin Holm z Rikskriminalen. Czy wyświetlił ci się mój numer? W porządku. Czy możesz sprawdzić rozmowy przychodzące i wychodzące z ostatniej doby i przesłać je mejlem do inspektora Jana-Olova Hultina z Rikskrim? Najwyższy priorytet. Dziękuję.

Przeszukała szybko zabałaganione biurko. Komiksy, walające się wszędzie pornosy, co powiedziałyby na to mama? Darmowe długopisy, pisma militarne, śmieci. W górnej szufladzie dwie interesujące rzeczy: torebka pigułek, pewnie rosyjskie anaboliki, i niewielki słoik z kluczami - do roweru, klódek, walizek i jeszcze jeden, który wydał jej się znajomy. Czy to nie klucz do skrytki bankowej? Co takiego mógł Benny Lundberg trzymać w takiej skrytce? Broń? Spodziewała się, że pod deskami podłogi schował cały arsenał, ale żeby w skrytce? Nie, to nie pasowało do profilu. Podniosła słuchawkę.

- Dział obsługi klienta w Sparbanken? Dzień dobry, mówi Kerstin Holm, Rikskriminalen. Czy macie centralny rejestr właścicieli skrytek bankowych? Czy powinnam raczej... okej, zaczekam. Dzień dobry, policja, Kerstin Holm, Rikskriminalen. Czy macie centralny rejestr właścicieli skrytek bankowych? Czy muszę udać się osobiście do każdego banku? Ach tak, doskonale. Chodzi o Lundberga, Benn/ego. Tak jak się mówi. Okej. Dziękuję za pomoc.

Korzystając z pomocy biura numerów, zadzwoniła do kolejnych kilku banków. Wreszcie jej się udało. Handelsbanken, Göt-



gatan przy Slussen. Podziękowała. Zabrała notatnik i klucz do skrytki, powinno wystarczyć. Matka Benny'ego stała pod drzwiami, była zajęta wycieraniem jakiejś plamki. Nie zdziwiło to specjalnie Kerstin.

- Czy ma pani jakieś aktualne zdjęcie Benny'ego? - rzuciła tylko.

Matka kręciła się przez chwilę po pokoju, próbując znaleźć coś odpowiedniego. W końcu znalazła rodzinną fotografię. Benny stał pośrodku, obejmując rodziców, wyglądali przy nim na bardzo małych. Uśmiechał się szeroko i trochę sztucznie. Okej, to powinno się nadać.

Gdy wychodziła z mieszkania, zostawiając w nim rodziców z ich wypaczonym smutkiem - a który smutek nie jest wypaczony? - ojciec siedział wciąż jak skamieniały na kanapie.

Pojechała metrem do Slussen. Zajęło to chwilę. W strumieniach deszczu weszła na Peter Myndes backe i skręciła w zaczynającą się tu Gótgatan, minęła bankomaty i weszła do Handels-banken. Zignorowała elektroniczną kolejkę, czym spowodowała głośne protesty, wyjęła więc policyjną legitymację.

- Chodzi o skrytkę bankową - powiedziała do kasjerki.

- To tam. - Kobieta wskazała na mężczyznę w krawacie, który w godzinach szczytu siedział, skubiąc paznokcie. Na widok policyjnej legitymacji wyprostował się.

- Skrytka bankowa. Benny Lundberg - rzuciła krótko.

- Znowu? - zdziwił się mężczyzna.

Drgnęła.

- Jak to znowu?

- Jego ojciec był tutaj z samego rana i otworzył skrytkę. Miał ze sobą upoważnienie, dowód syna i swój.

- Jasna cholera. Jak wyglądał? Czy tak?

Pokazała mu zdjęcie rodziny Lundbergów. Wziął je do ręki i natychmiast oddał.

- W żadnym wypadku. To jest robo... zupełnie inny typ.

- To jest ojciec Benny'ego Lundberga - powiedziała. Mężczyzna otworzył szeroko oczy. - Jak wyglądał?

- Starszy, dystyngowany pan z brodą.  
- No to pięknie. Z brodą. Pójdziemy teraz na komisariat, pomożesz w sporządzeniu portretu pamięciowego.

- Ale ja pracuję.  
- Fajrant. Najpierw zajrzemy do skrytki. Domyślam się, że jest pusta. Numer?

- 254 - odpowiedział, wskazując drogę.  
Skrytka Benny'ego Lundberga rzeczywiście była pusta. Zupełnie czysta.

Wzięła ze sobą urzędnika bankowego i wsiadła do taksówki. Kolej na nowe portrety pamięciowe. Czują, że ma już dosyć.

Vigga Norlandera bolała głowa. Gunnara Nyberga bolała głowa. Norlander przeniósł swoje graty do Nyberga, dokonując okupacji miejsca Kerstin Holm pod jej nieobecność. Siedzieli więc, starając się nie zderzać swoimi mądrymi głowami.

Na biurku leżała gruba teczka. Imigranci z roku 1983, zebrani w jednym, wyjątkowo skompresowanym i równie egalitarnym getcie. Wydruk zrobił Chavez, dopilnował, żeby przy nazwiskach obywateli amerykańskich pojawiła się gwiazdka. Poza tym obowiązywała chronologia.

Tysiące nazwisk, z czego jakąś setkę stanowili Amerykanie. I tak wymagało to sporo czasu. Masa informacji, które trzeba było przebrać, sprawdzić pod względem wieku, płci i tak dalej.

Norlander źle się czuł. Za szybko wyszedł ze szpitala. Miał mroczki przed oczami. Przeklinał nadgorliwe Chaveziątko; oczywiście wybrał czcionkę, która wyjątkowo skutecznie utrzymywała ból głowy i wywoływała odruchy wymiotne. Wybiegł i puścił pawia na korytarzu. Nyberg słyszał go przez otwarte drzwi. Była to imponująca kaskada, której echo rozniosło się po całej komendzie.

- Ale ulga - stwierdził po powrocie.

- Jedź do domu się przespać - powiedział Nyberg, dotykając bandaża na nosie.

- Pod warunkiem, że ty też.

- Okej, w takim razie do roboty. I już żadnych przerw.

Norlander posłał mu mordercze spojrzenie i zabrał się do pracy.

W końcu wykrystalizowała się lista dwudziestu ośmiu osób, Amerykanów, którzy utrzymywali, że urodzili się około 1950 roku. Szesnastu z nich mieszkało w rejonie Sztokholmu od 1983. Teraz musieli porównać tę listę z rejestrem ludności, by sprawdzić, którzy z owych dwudziestu ośmiu mężczyzn wciąż znajdowali się w Szwecji i mieszkali w okolicach Sztokholmu. Zeszli do czternastu.

- Czy ta lista obejmuje też dyplomatów? - zapytał Nyberg.

- Nie wiem. Nie wydaje mi się. Nie są imigrantami.

- Czy mógł trafić do ambasady amerykańskiej?

- Morderca z Kentucky w ambasadzie amerykańskiej? To dosyć odważna hipoteza.

- Aha. Tak tylko przyszło mi do głowy.

- Zapomnij.

- A stypendiści? To nie jest kompletna lista.

- Muszę wyjść - powiedział Norlander, który na nowo przybrał kolor bandaża. Biorę górną połowę, do - co tu jest napisane? - Harolda Mallory'ego na Vasastan. Od A do Ma. Ty bierzesz dolną część.

Norlander zniknął, zanim Nyberg zdążył odradzić mu jazdę samochodem. Nie chciał, by zatrzymano go w Dalshammar jako, cytując, „będnącego pod wyjątkowo silnym wpływem narkotyków”.

Nyberg siedział dalej. Patrzył się na gryzmoły Norlandera, spisana ręcznie listę siedmiu amerykańskich obywateli przybyłych do Szwecji w roku 1983, którymi miał się zająć. Morcher, Orton-Brown, Rochinsky, Stevens, Tran, Wilkinson, Williams. Jak ktoś mógł nazywać się Tran? I czy „tran” znaczyło to samo po angielsku?

Gunnar Nyberg nie czuł się zbyt zmotywowany, choć przecież powinien być. Rozpaczliwe, rutynowe poszukiwania. Chciał jak najszybciej sprać mordercę po gębie. Gdy już opadł z niego stres związany z Bennym Lundbergiem, nie mógł darować sobie, że Wayne Jennings powalił go na ziemię.

Nikt nie mógł powalić Gunnara Nyberga na ziemię. To była zasada numer jeden.

Został trochę dłużej, niż planował. Podszedł do lustra na ścianie i przyjrzał się swojej twarzy. Zamiast bandaża miał już tylko plastikową osłonkę na nos, taką, jakie zakładają bohaterscy piłkarze po zatamowaniu przez lekarza krwotoku z nosa. Pod osłonką zaczęły rozlewać się sińce. Starał się nie myśleć, jak to wygląda pod spodem. Że też, kurwa, zawsze musiał tak wyglądać na sam koniec sprawy!

Bo przecież zbliżali się do końca?

Wrócił do biurka i opadł na krzesło. Zaskrzybiało złowrogo. Słyszał już historie o duchach i krzesłach biurowych, które oszalały i zamieniały się w straszliwe narzędzia tortur, mechanizmy, które przebijały się jakieś pół metra przez odbytnicę. Przypomniało mu się jego pęknięte łóżko; zakołysał się lekko na krześle. Dźwięk mrozący krew w żyłach. Zemsta krzesel biurowych IV. Sukces kasowy hollywoodzkiej wytwórni filmów. Wysiedziane fotele kinowe wiwatowały i strzelały sprężynami, celując w ekran. Ekran komputera zalewały się łzami. Firanki wycierały nosy w siebie. W całych Stanach nie było biura, które by nie przyłączyło się do tej rewolucji.

Rozkojarzenie to było jego drugie imię. Dlaczego? Jego napady rozkojarzenia były zwykle czymś spowodowane. Coś gdzieś swędziało, irytowało. Coś sprawiało, że nie był usatysfakcjonowany listą.

Zaczął sortować nazwiska, ustawiać je w odpowiedniej kolejności. Trzech mieszkało w centrum, dwóch na północy, jeden na południu miasta. Teraz miejsca pracy. Huddinge, dwóch w Ki-sta, dwóch przy Tekniska högskolan, Nynashamn, Danderyd. Ko-

lejność: Danderyd, Teknis, Kista, Huddinge, Nynashamn. Albo Kista, Danderyd, Teknis, Huddinge, Nynashamn. Może tak będzie lepiej.

Odłożył listę i wbił wzrok w ścianę. Prześwyczał gamę dla sprawdzenia głosu. Nieprzyjemny nosowy dźwięk. Kolejny raz ucierpiał jego głos. Było w tym coś niepokojącego. Kara? Upomnienie? Być może upomnienie. Wspomnienie.

Nagle znów tu byli. Gunilla. Rozkwaszone brwi. Okrągłe ze zdziwienia oczy Tommy'ego i Tanji. Dlaczego wracacie właśnie teraz?

Jedyne, co w jego przeszłości w jakiś sposób go rehabilitowało, to że nigdy nie tknął dzieci. Ani razu nie podniósł ręki na Tommy'ego i Tanję.

I z tego powodu wciąż obrywał, a jego głos ulegał zniekształceniu? Żeby nigdy nie zapomniał, dlaczego śpiewa? I właśnie dlatego, że była to najmniej odpowiednia chwila, postanowił, że zrobi to właśnie teraz.

W Uddevalli było dwóch Tommych Nybergów. Zadzwoił do pierwszego. Miał siedemdziesiąt cztery lata i był głuchy jak pień. Zadzwoił do drugiego. Odebrała kobieta. W tle usłyszał płacz niemowlęcia. Mój wnuk? - pomyślał.

- Chciałbym rozmawiać z Tommym Nybergiem. - Nawet nie zadrżał mu głos.

- Nie ma go w domu - odpowiedziała kobieta. Miała ładny głos. Mezzosopran, ocenił.

- Czy mogę tylko zapytać: ile lat ma Tommy?

- Dwadzieścia sześć. Kto mówi?

- Jego tata - odparł, niewiele się nad tym zastanawiając.

- Jego tata nie żyje. Daruj sobie.

- Poważnie?

- Śmiertelnie. Sama go znalazłam. Przestań się zgrywać, stary dziadzie.

Rzuciła słuchawką. Przecież nie musiał nadal mieszkać w Uddevalli. Poza tym jego Tommy, jak zdążył policzyć, miał dwadzieścia

cztery lata. Dziadzie? Zaśmiał się. Śmiech wisielca. Miał jeszcze jedną szansę.

Była jedna Tanja Nyberg-Nilsson. Mężatka. I nic mu o tym nie powiedziała.

Zadzwoił. Usłyszał kobiecy głos. Przyjemny. Spokojny.

- Tanja.

Jakie miał prawo zakłócać jej spokój? Odlóż słuchawkę, odlóż słuchawkę, odlóż słuchawkę, mówił głos. Spaliłeś wszystkie mosty. Jest już za późno.

- Halo - powiedział i przełknął ślinę.

- Halo, kto mówi?

No więc, kim był? Powiedział „tata” do nieznajomej kobiety, zupełnie bezmyślnie. Czy naprawdę zasłużył na ten tytuł?

- Gunnar - powiedział, nie znajdując lepszego słowa.

- Jaki Gunnar? - spytała kobieta i zamilkła. Mówiła dialektem z zachodniego wybrzeża, brzmiał trochę jak góteborski, ale nie do końca. - Gunnar Trolle? - rzuciła po chwili, trochę podejrzliwie. - Czemu dzwonisz? To się skończyło dawno temu, wiesz przecież.

- Nie Gunnar Trolle. Gunnar Nyberg.

Przez chwilę panowała cisza. Odłożyła słuchawkę?

- Tata? - wyszeptała.

Okrągłe ze zdziwienia oczy. Czy zechce dalej rozmawiać?

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Tak - powiedziała tylko. - Dlaczego...

Zamilkła.

- Dużo o was ostatnio myślałem.

- Jesteś chory? - zapytała. Tak,

nieskończenie.

- Nie. Nie, ja... nie wiem. Musiałem tylko sprawdzić, czy was całkowicie nie zniszczyłem. Tylko to.

- Obiecałeś, że nigdy nie będziesz się z nami kontaktować. Tak nam mówiła mama.

- Wiem. Dotrzymałem słowa. Jesteście dorośli.

- Powiedzmy. Nigdy o tobie nie rozmawialiśmy. Jakbyś nigdy nie istniał. Bengt był naszym ojcem. Naszym prawdziwym ojcem.

- Bengt jest waszym ojcem. - Kim do kurwy nędzy był Bengt? Mówił dalej: - Jestem kimś innym. Chciałbym się z tobą spotkać.

- Pamiętam tylko krzyki i przemoc. Nie wiem, co to mogłoby zmienić.

- Ja też nie. Zabroniłabyś mi przyjść?

Milczała.

- Nie - odrzekła w końcu. - Nie, nie zabroniłabym.

- Wyszłaś za męż - rzucił, żeby ukryć rozpierające go szczęście.

- Tak - powiedziała. - Nie mamy jeszcze dzieci - dodała. - Nie mamy wnuków dla ciebie.

- Nie dlatego dzwonię.

- Ależ tak.

- Co u Tommy'ego?

- W porządku. Mieszka w Ósthammar. Ma syna. No to masz już swojego wnuka.

Przyjmował te małe ciosy z otwartymi ramionami. Prosto w osłonkę na nosie. Z uśmiechem.

- A Gunilla? - zapytał ostrożnie.

- Mieszka dalej w domu z tatą. Chcą go zamienić na mieszkanie i kupić domek letni.

- Dobry pomysł. W takim razie do zobaczenia. Odezwę się.

- Pa. Uważaj na siebie.

Obiecał to sobie. Bardziej niż kiedykolwiek. Ten jej miękki dialekt z Uddevalli. A przecież kiedyś miała taki wyraźny sztokholmski. Pamiętał te jej „e” w miejsce „a”. Można było stać się kimś innym. Zmienić dialekt i stać się kimś innym.

Wtedy go oświeciło. Właśnie tam i właśnie wtedy go oświeciło.

Właśnie tam i właśnie wtedy Gunnar Nyberg schwytał mordercę z Kentucky.

Przecież nie musiał być Amerykaninem. To by nawet bardziej pasowało. Zapewne nie zrobili z niego ani Norw<sup>T</sup>ega, ani Kenijczyka, raczej kogoś bardziej wiarygodnego.

Zaczął nerwowo przeszukiwać listy. Sprawdzał kolejne nazwiska, ignorując te z gwiazdkami.

Wszedł Hjelm. Patrzył ze zdziwieniem na pogrążonego w lekturze giganta. Aura energii unosiła się nad nim niczym burzowa chmura.

- Też cię miło widzieć - powiedział.
- Stul pysk - odrzekł z czułością Nyberg.

Hjelm usiadł i zrobił, jak mu kazano. Nyberg czytał dalej. Minął kwadrans, może dwadzieścia minut.

Kwiecień, maj. 3 maja: Steiner, Wilhelm, Austria, urodzony w 42 r., Hiin, Gaz, Mongolia, urodzony w 64 r., Berntsen, Kaj, Dania, urodzony w 56 r., Mayer, Robert, Nowa Zelandia, urodzony w 47 r., Harkiselasie, Winston, Etiopia, urodzony w 60 r., Stankovskij, B...

Gunnar Nyberg zatrzymał się.

- Trafiony, zatopiony! - krzyknął. - The Famous Kentucky Killer. Przynieś zdjęcie Wayne'a Jenningsa. Migiem!

Hjelm spojrzał na niego z niedowierzaniem i wyszedł potulnie, nagle potwornie zdegradowany. Nyberg wstał i zaczął chodzić po pokoju, nie, raczej rzucać się po pokoju jak jakiś przekarmiony szczur w za małej karuzeli.

Wrócił Hjelm i rzucił na biurko duży portret Wayne'a Jenningsa z czasów młodości.

- Nie widziałeś tego zdjęcia wcześniej? - zapytał.

Nyberg wbił w nie wzrok. Szeroko uśmiechnięty młodzieniec o stalowoniebieskich oczach. Przykrył dłonią zdjęcie, odsłaniając tylko oczy. Już gdzieś je widział. W wyobraźni dodał siwizny włosom i odsłonił czoło. Dorzucił też kilka zmarszczek.

- Poznaj Roberta Mayera - powiedział - szefa ochrony Link-Coop w Taby.

Hjelm spojrzał na Jenningsa, a potem na Nyberga.

- Jesteś pewien? - zapytał.

- Było w nim coś znajomego, ale nie potrafiłem tego nazwać. Musiał przejść jakąś operację plastyczną, ale trudno zmienić spojrzenie. To on.



- Okej. - Hjelm próbował się opanować. - Musimy to potwierdzić. Nie powinno go zdziwić, że chcesz z nim rozmawiać po tym, co stało się z Bennym Lundbergiem.

- Ja? - zdziwił się Nyberg. - Spiorę go na kwaśne jabłko.

- Jeśli pójdzie tam ktoś inny, on może się czegoś domyślić. To musisz być ty. I musi to wyglądać na rutynową kontrolę. Udawaj głupka, powinno zadziałać. Weź jakieś słabe i zupełnie niezwiązane ze sprawą zdjęcie.

Szukał nerwowo jakiegokolwiek fotogram. Otworzył z impetem szufladę biurka i znalazł zdjęcie paszportowe uśmiechniętego mężczyzny około sześćdziesiątki.

- To będzie dobre - powiedział. - Kto to?

Nyberg rzucił na nie szybko okiem.

- Pastor Kerstin.

Hjelm zatrzymał wzrok na zdjęciu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że siedzi na miejscu Kerstin.

- Słyszałeś? - zapytał.

- Tak - odparł Nyberg. - Powiedziała mi.

Hjelm poczuł lekkie ukłucie, zamachał odruchowo zdjęciem.

- Okej. Powinno zadziałać. Wytrzymaj je, a ty postaraj się, żeby znalazły się na nim odciski palców Mayera.

- Czy nie możemy go tu po prostu ściągnąć? Gdy będziemy mieć odciski palców, wszystko będzie jasne.

- Możemy nie mieć okazji. W to są zamieszane grube ryby. Jego adwokat może go uwolnić, jeszcze zanim pobierzemy odciski. Nie możemy go o nic prosić. Zwieje. Sprawdzę, co na to Hultin.

Zadzwoił. Hultin pojawił się natychmiast, jakby stał za drzwiami. Z miejsca zrozumiał sytuację. Spojrzał na Hjelma. Potem kiwnął głową.

- Okej, niech tak będzie. To, że Gunnar i Viggo przyjechali do Frihamnen sprawdzić resztę pomieszczeń, powinien być uznać za czysty zbieg okoliczności, co zresztą nie odbiega daleko od prawdy. Nie wie, na jakim etapie jest dochodzenie. Pod warunkiem, że nie ma wycieku z FBI. Przed chwilą dostałem raport od

Kerstin, jest już w drodze. Benny Lundberg przechowywał coś w skrytce bankowej. To coś zostało dziś rano zabrane przez jakiegoś mężczyznę, zapewne Roberta Mayera z doklejaną tandetną brodą. Dostaniemy portret pamięciowy.

- Co z czytnikiem linii papilarnych? - zapytał Hjelms. - Mamy gdzieś te w wersji mini.

- Wiesz, jak się je obsługuje?

- Nie. Jorge wie.

- Przyrowadź go. Pojedziemy razem. Na wypadek gdyby chciał zwać Gunnarowi.

Hjelms pobiegł do swojego pokoju. Chavez wciąż zastanawiał się nad znaczeniem słów „Siostra sroga kuternoga” i „Cycki Liny jak maliny”. Czy rzeczywiście były to tylko niewinne rymowanki?

- Przynieś laptop z czytnikiem - powiedział Hjelms. - Jedźmy po K.

Rymowanki rozwiały się w powietrzu, a Chavez popędził po komputer. Pojawił się jako ostatni przy samochodzie służbowym Hultina i wskoczył na tylne siedzenie obok Hjelmsa, trzymając laptop na kolanach. Hultin jechał jak szalony. Gunnar Nyberg siedział obok niego. Zebrał myśli, przygotował się do roli zblazowanego policjanta i zadzwonił do LinkCoop. Zastał Roberta Mayera w pracy. Będzie na miejscu jeszcze przez kilka godzin. Nyberg zapytał, czy może przyjść porozmawiać o tym, co wydarzyło się w nocy. Miał do pokazania pewne zdjęcie.

Robert Mayer nie widział przeszkód.

Zjechali z Norrtäljevagen, minęli centrum Tabu, które majaczyło za zasloną deszczu, i skręcili w lokalne uliczki.

- To nie jest dobry pomysł - odezwał się nagle Nyberg. - Mają silną ochronę. Wartownika przy szlabanie. Monitoring. Wszystko zobaczy.

Hultin zatrzymał się na przystanku autobusowym. Przez chwilę się zastanawiał i pojechał z powrotem. Było to straszliwie frustrujące. W garażu policyjnym Nyberg wskoczył do swojego

starego, dobrego renault. Pojechali do Taby dwoma samochodami.

Volvo Hultina zaparkowało przy budynku przemysłowym jakieś kilkaset metrów przed bramami LinkCoop. Czekali w deszczu.

Gdy Nyberg mijął stróżówkę, wszystko było tak jak ostatnio. Pozornie.

Te same piękne recepcjonistki. I choć dobrze znał drogę, jedna z nich poprowadziła go przez stylowe korytarze; był coraz bardziej pewien, że to przemyślana strategia marketingowa. Jego zainteresowanie spółniczką i tym, co skrywała, było jednak bliskie zeru. Niewiarygodnie spięty, patrząc na pokryte migającymi ekranami ściany, wszedł do biura szefa ochrony Roberta Mayera.

Mayer wbił w niego swoje lodowate niebieskie oczy. Oczy Wayne'a Jenningsa. Nyberg starał się za wszelką cenę nie sprawiać wrażenia zdenerwowanego. Robert Mayer wyglądał na całkowicie wyluzowanego; tylko wzrok miał skupiony. Przeszywający. Poprzedniego wieczoru Robert Mayer torturował Ben-ny'ego Lundberga, pobił do nieprzytomności Vigga Norlandera i złamał nos Nybergowi w trzech miejscach. Sam Mayer sprawiał wrażenie rzeźkiego jak skowronek.

- Nie wygląda najlepiej - powiedział, stukając się lekko po nosie.

- Taka robota - odparł Nyberg i uściśnął wyciągniętą dłoń Mayera. Tym razem darował sobie uścisk dłoni Mistera Szwecji.

- Sprawdziłem ten lokal - powiedział Mayer i usiadł, zakładając ręce za szyję. - Zdaje się, że stał pusty, były w nim tylko stare kartony. Był więc ogólnie dostępny. I jak widać, mógł być wykorzystywany do różnych celów.

Profesjonalizm Mayera nie mógł nie zrobić wrażenia na Nybergu.

- Okropna historia - powiedział tylko.

- Doprawdy - przytaknął ze zrozumieniem Mayer. Nyberg był bliski puszczenia pawia.

- Oczywiście to rzuca nowe światło na włamanie.

Mayer kiwnął z namysłem głową.

- Benny, tak - powiedział. - Zgłasza włamanie do magazynu w czasie, gdy morderca z Kentucky działa w innym. Potem sam o mało co nie zostaje zamordowany. Wyciągacie z tego jakieś wnioski?

- Nie, przynajmniej na tę chwilę - odrzekł Nyberg obojętnym głosem. - Ale można by się zastanawiać, czym tak naprawdę zajmował się Benny Lundberg.

- To rzeczywiście bardzo dziwne. Wiedzieliśmy, że w przeszłości był skinem, ale naszym zdaniem zasługiwał na drugą szansę. Teraz wszystko wskazuje na to, że miał coś wspólnego z włamaniem.

- Nie do końca rozumiem - stwierdził Nyberg, udając rozkojarzonego.

- Nie chcę się wtrącać do waszej roboty - powiedział krótko Mayer. - W zasadzie nie potrzebuję. Prawie go mieliście.

- Chętnie przypisałbym sobie tę zasługę, ale prawda jest taka, że byliśmy tu tylko po to, żeby przeprowadzić rutynową kontrolę magazynów w tej okolicy.

Nyberg wyjął zdjęcie pastora i podał je Mayerowi. Do góry nogami. Mayer musiał je obrócić. Pokręcił głową. Nyberg schował fotografię do portfela.

- Przykro mi - powiedział Mayer. - Powinienem go znać?

- Zatrzymaliśmy go, gdy wyjeżdżał z Frihamnen z bardzo dużą prędkością. Jednemu z magazynierów wydawało się, że skądś go zna. Że być może pracował kiedyś w LinkCoop.

- Nie. Nie znam go.

Nyberg skinął lekko głową i wstał z miejsca. Wyciągnął rękę do Mayera. Uścisnęli sobie dłonie po ludzku.

Musiał się opanowywać, żeby nie pobiec przez korytarze. Uśmiechnął się do recepcjonistek i w odpowiedzi dostał podwójną porcję. Samochód wytoczył się spokojnie przez bramę i wziął łagodnie zakręt.

Ostatnie dwadzieścia metrów Nyberg przygazował; uznał, że może sobie na to pozwolić. Pochylił się nad volvo turbo Hultina, a potem wskoczył do środka i sapnął.

- Wszystko w porządku? - zapytał Hultin.

- Tak mi się zdaje - powiedział, podając zdjęcie Chavezowi, który siedział już w rękawiczkach. Hjelm zobaczył je kątem oka. Było coś głęboko niepokojącego w odcisku palca mordercy z Kentucky pośrodku twarzy cichego, chorego na raka pastora. Chavez włożył zdjęcie do skanera doczepionego do przenośnego komputera. Wszystko było gotowe. Odcisk palca Nyberga został załadowany, po chwili również odcisk palca Wayne'a Jenningsa. Po nieprzyjemnie długiej chwili komputer zapiszczał. Na ekranie pojawiło się słowo „MATCH”, oznaczające zgodność.

- Mamy „match” na odcisk palca Gunnara Nyberga - powiedział Chavez.

Nikt się nie odezwał. Czekali. Czas nie znał granic. Każdy krok przybliżał ich ku beznadziei. Potem kolejne dzyń, kolejne „match”.

- Znowu Nyberg?

- „Match” na Roberta Mayera - powiedział Chavez. - Wayne Jennings i Robert Mayer to ta sama osoba.

Srebrnoszare volvo turbo na parkingu przemysłowym w Taby aż podskoczyło od wspólnego westchnienia ulgi.

- Nie możemy tak po prostu wejść do środka - stwierdził Hultin. - Zobacz nas przynajmniej dwie minuty wcześniej. Założę się, że potrzebuje góra dziesięciu sekund, żeby rozplynać się we mgle.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu - burza mózgów, można by powiedzieć, chociaż trafniej byłoby to nazwać wichurą w trupich czaszkach.

- Pójdę tam sam - powiedział Nyberg. - Wydaje mi się, że byłem przekonujący w roli przygłupa. W końcu mogłem o czymś zapomnieć.

- Masz wstrząśnienie mózgu - dodał Hultin.

- Święta prawda. - Nyberg wskoczył do swojego samochodu. Opuścił szybę. - Bądźcie gotowi. Dam wam znać, jak tylko coś zacznie się dziać.

- Uważaj na siebie - zawołał Hultin. - To jeden z bardziej wprawnych profesjonalnych morderców.

- Dobra, dobra. - Nyberg zamachał zirytowany ręką i odjechał.

Ochroniarzowi powiedział, że zapomniał o coś zapytać; został wpuszczony do środka. Mayer-Jennings miał go na podglądzie przez długie piętnaście sekund; możliwe, że zdążył już zniknąć. Z całego serca miał nadzieję, że zrobił na nim jak najgorsze wrażenie jako glina. Że Mayer uznał go za nedorajdę. Recepcjonistki przywitały go uśmiechem, nawet nie spojrział na rozkołysaną miniówkę; dziewczyna z pewnością nie zginie. W głowie huczały mu myśli. Jak ma się zachować? Mayer był na pewno uzbrojony. Nawet najmniejsze podejrzenie mogło kosztować go życie, nie miałby cienia szansy. Chciał zobaczyć swoje wnuki. Podjął decyzję.

Mayer czekał na niego w korytarzu przed drzwiami swojego biura; przyglądał mu się jakby nieufnie, co pewnie oznaczało, że aż gotowało się w nim od podejrzeń. Nyberg rozpromienił się na jego widok.

- Przepraszam - powiedział zdyszany, przekrzywiając lekko głowę. - Coś sobie przypomniałem.

Mayer uniósł jedną brew, był gotów. Jego dłoń przesunęła się kilka milimetrów w stronę klapy marynarki i cofnęła się.

Gunnar Nyberg powalił Mayera na ziemię. Potężny cios rzucił nim przez korytarz. Głowa uderzyła o ścianę. Nie ruszał się.

I po sprawie.

WYŚMIENITY plan - westchnął Jan-01 ov Hultin.

- Ale zadziałał - powiedział Gunnar Nyberg i zaśmiał się pod nosem. Miał złamane trzy palce prawej ręki. Gips ledwo zdążył wyschnąć.

Nyberg wciągnął Mayera do jego biura i zadzwonił po Hulti-na. Postanowili, że spróbują trzymać media z daleka, żeby nie ograniczać sobie pola działania. Ustalili strategię. Hjelm wszedł do LinkCoop pod pretekstem, że musi natychmiast rozmawiać z Nybergiem, i podążył za rozkołysaną spódniczką jednej z bliźniaczek. Obaj odszukali odpowiednie tylne drzwi, przy których zostawili Mayera, z Hjelmem w roli ochroniarza. Potem Nyberg opuścił budynek firmy po bożemu; jego uśmiech w stronę bliźniaczek w recepcji był jednak lekko wymuszony. Podjechał do tylnego wejścia i zapakował Mayera do bagażnika. Potem również Hjelm wyszedł z budynku LinkCopp przez recepcję. Bliźniaczki jak zwykle wyglądały oszłamiająco.

Początkowo obawiali się, że Nyberg zabił Mayera, na co nie do końca mogliby znaleźć usprawiedliwienie. Ale mężczyzna był profesjonalistą w każdym calu. Ocknął się po półgodzinie w celi. O tym, że tu jest, wiedzieli tylko oni. Hultin nie chciał, żeby sprawa nabrała rozgłosu, również wewnątrz samej policji. Lekarz policyjny stwierdził wstrząśnienie mózgu i pęknięcie kości jarzmowej. Nie doszło jednak do złamania szczęki - mógł więc mówić. Co nie znaczyło jednak, że miał zamiar z tego skorzystać.

Hultin zrobił pierwsze podejście. Hjelm usiadł na krześle za nim po przekątnej w sterylnej i odosobnionej celi w piwnicach

komendy policji. Przy drzwiach siedzieli Viggo Norlander i Jorge Chavez. Wzdłuż jednej ściany Arto Söderstedt i Kerstin Holm. Cała drużyna. Nikt nie chciał tego przepuścić. Z wyjątkiem Gunnara Nyberga. On nie przyszedł.

- Nazywam się Jan-Olov Hultin, jestem inspektorem - przedstawił się grzecznie Hultin. - Być może widział pan moje nazwisko w gazetach. Żądają mojej głowy na tacy.

Robert Mayer siedział przykuty kajdankami do przytwierdzonego do ziemi stołu i patrzył na nich obojętnym wzrokiem. Godny rywal, pomyślał Hultin.

- Wayne Jennings - powiedział. - Czy powinienem raczej powiedzieć morderca z Kentucky? Albo K?

To samo lodowate spojrzenie. I ta sama cisza.

- Jak na razie w LinkCoop nikt cię nie szuka, media też jeszcze niczego nie zwietryły. Gdy twoje nazwisko pojawi się w gazetach, sytuacja ulegnie drastycznej zmianie, sam rozumiesz. Nawet twoi zleceniodawcy nie wiedzą, że tu jesteś. Powiedz więc lepiej, o co w tym wszystkim chodzi.

Lodowate spojrzenie Wayne'a Jenningsa było naprawdę nieprzyjemne. Przygwaźdżało. Czuli się tak, jakby byli na celowniku snajpera.

- Dalej. Czym się zajmujesz? Dla kogo pracujesz?

- Mam prawo zadzwonić - powiedział Jennings.

- W Szwecji obowiązują nieco kontrowersyjne prawa antyterrorystyczne, których osobiście nie pochwalam, ale które są jak znalazł w tego rodzaju sytuacjach. Otóż nie masz prawa zadzwonić.

Jennings milczał.

- Benny Lundberg - powiedział Hultin. - Co takiego było w jego skrytce bankowej?

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, podsunął mu portret Jenningsa z brodą.

- Po co ci była ta broda?

Żadnej reakcji, nawet najmniejszego drgnięcia.



- Czy mogę zaproponować scenariusz? - odezwał się z kąta Hjelm. - Nazywam się Paul Hjelm, dotychczas nie zdążyłem się przedstawić. Mamy wspólnego znajomego. Nazywa się Ray Lamer.

Głowa obróciła się o kilka milimetrów, Paul Hjelm po raz pierwszy spotkał wzrok Jenningsa. Zrozumiał, jak musieli czuć się żołnierze Wietkongu w wietnamskich dżunglach. Jak musiał czuć się Erie Lindberger. I Benny Lundberg. I dziesiątki innych, dla których to spojrzenie było ostatnim kontaktem z drugim człowiekiem.

- Noc z jedenastego na dwunastego września nie należała do najłatwiejszych - zaczął Hjelm. - Nie wszystko poszło po twojej myśli. Tej nocy w swojej prywatnej sali tortur we Frihammen gościłeś urzędnika MSZ-etu Erica Lindbergera. Do złudzenia przypomina tę pod twoją farmą w Kentucky. Czy przyjechałeś tu ze swoim osobistym architektem?

Możliwe, że oczy Jenningsa zwięziły się trochę. Możliwe, że nabrały nowej ostrości.

- Do Lindbergera jeszcze wrócimy, ponieważ na nim opiera się ciąg dalszy dochodzenia. Czekasz, aż Lindberger traci świadomość, i przywiązujesz go do krzesła. Rozpoczynasz swoją operację. Z chirurgiczną precyzją wprowadzasz szczypce do jego gardła. Nagle rozsypują się kartony. Stoi za nimi młody mężczyzna. Likwidujesz go w jednej chwili. Bang bang bang bang, cztery strzały w serce. Ale kto to jest, do kurwy nędzy? Czy policja jest na tropie? Już? Jak to możliwe? Młodzieniec nie ma przy sobie dowodu osobistego, niczego nie ma. Sprawdzasz jego torbę. Znajdujesz - szczypce do strun głosowych i wiązek nerwowych. Być może rozpoznajesz swoje dawne narzędzia. O co chodzi? Czy już wtedy domyślał się, kto to jest, czy może raczej myślisz, że to konkurent? Wielbiciel? *Copycat*? Jeszcze do tego wróci my. Kończysz to, co zacząłeś, ale zamiast z jednym trupem musisz wyjść z dwoma, na domiar złego zjawia się bus z pijanymi prawnikami, porzucasz więc zwłoki nieznajomego na ulicy. Jesteś pewien, że ci z busa zgłosili numer rejestracyjny na policję, nie

masz chwili do stracenia. Jedziesz na Lidingó i wrzucasz Lindbergera w sitowie. Spodziewasz się, że zaraz zjawi się policja, przeszuka pomieszczenia i znajdzie twoją komnatę tortur. Musisz więc jakoś odwrócić ich uwagę. Masz tylko jedno wyjście: Benny Lundberg. Wykorzystujesz fakt, że jesteś jego przełożonym, dzwonisz do stróżówki i nakazujesz mu jak najszybciej sfingować włamanie w jednym z magazynów. W nagrodę obiecujesz mu kasę i urlop. Rzeczywiście, policja sprawdza pomieszczenie, do którego niby się włamano, i na tym poprzestaje. A trup na miejscu przestępstwa nie dziwi. Wszystko jest cacy. Ale Benny Lundberg ma inne plany. Próbuje wymusić od ciebie pieniądze. W znanym tylko sobie miejscu ukrywa list, w którym szczegółowo opisuje nocne wydarzenia, co ma stanowić coś w rodzaju ubezpieczenia na życie. Niestety, nie wie, że specjalizujesz się w zmuszaniu ludzi do mówienia. Udaje ci się to chwilę przed tym, gdy na miejscu zjawiają się dwaj policjanci. Uszkadzasz ich, ale ich nie zabijasz. Jednemu z nich potem puszcza nerwy i spuści ci lanie. A teraz jesteś tutaj.

Jennings wpatrywał się w niego w trakcie całego wywodu. W jego zimnych niebieskich oczach zachodził jakiś proces. Twarz zaczęła mu puchnąć i nabierać koloru; działo się to jakby poza nim.

- Dwa pytania - ciągnął Hjelm. - Pierwsze: Co takiego miał ujawnić Erie Lindberger? Drugie: Czy wiesz, kogo zastrzeliłeś?

Pauza. Najmniejszej reakcji.

- Drugie pytanie jest podchwytliwe - mówił dalej Hjelm. - Bo to był morderca z Kentucky.

Lodowate oczy zwięzły się. Tak mu się wydawało. Może tylko mu się przywidziało.

- Wiedziałeś, że w Nowym Jorku od roku działa twój *copycat*. Ktoś położył rękę na twoich dawnych szczypcach i ruszył z nimi w miasto. Czytasz szwedzką prasę, wiedziałeś, że przyleciał do Szwecji; nie dało się tego nie zauważyć. Miał dwadzieścia pięć lat i szukał ciebie. Zabiłeś go z zimną krwią. Wiesz, kim był?

Jennings nie spuszczał z niego oczu. Czy był w nich choć ślad ciekawości? Czy naprawdę się nie domyślał?

- Nie spodoba ci się to - powiedział Hjelm. - Nazywał się Lamar Jennings.

Wayne Jennings odchylił się do tyłu o decymetr. W tych okolicznościach było to bardzo dużo. Lodowate spojrzenie zerwało się z łańcucha. Poszybowało pod sufit. A potem wróciło. Niezłomne.

- Nie - powiedział. - Kłamiesz.

- Zastanów się. Co stało się z twoimi szczypcami po tym, jak oszukałeś Lamera i zszedłeś do podziemia? Zostały na miejscu. A to ci dopiero wpadka. Potrzebowałeś ich, w końcu musiałeś popelnić jeszcze dwa morderstwa, żeby doprowadzić do wsadzenia za kratki Lamera. Szczypce musiały być identyczne, tak żeby zostawiały identyczny ślad i stanowiły dowód na to, że K żyje. Te same ślady i znaki szczególne. Musiałeś się nieźle wysilić.

Jennings siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę.

- Twój syn nakrył cię pewnej nocy w twojej komnacie tortur w Kentucky. Był to punkt kulminacyjny trwającej od kilku lat przemocy. Do jasnej cholery, dlaczego podniosłeś rękę na własnego syna? Na dziecko? Nie rozumiesz, co się stało? Stworzyłeś potwora. Naśladował cię. Przyjechał tu, żeby poddać cię stosowanemu przez siebie zabiegowi, a ty zabiłeś go jak psa. Zła krew wraca.

- Mówi się „echo wraca” - poprawił go Jennings.

- Teraz to się nazywa „zła krew wraca”. Zmieniłeś powiedzenie.

- To był Lamar?

- Tak. Czytałem jego dziennik. Piekielna lektura. Prawdziwie piekielna. Zamordowałeś go dwa razy. Co z nim zrobiłeś po tym, jak nakrył cię w piwnicy? Miał dziesięć lat, kurwa, co z nim zrobiłeś?

- Zbiłem go, oczywiście - powiedział Wayne Jennings bezbarwnym głosem.

Zamknął oczy. Pod powiekami aż się kotłowało. Gdy znów je otworzył, jego wzrok był inny, skupiony i jednocześnie zrezygnowany.

- Po wojnie byłem bardzo zmęczony - mówił dalej. - Nie wiesz, co to znaczy. Od dwustu lat nie mieliście wojny. Gdy na niego patrzyłem, widziałem dawnego siebie. Zwykłego, słabego człowieka. Wkurzał mnie. Przypalałem go czasem papierosem. Był moim wentylem. W zasadzie nie różniłem się zbytnio od mojego ojca.

- Opowiedz nam o tym.

Jennings pochylał się do przodu. Widać było, że coś postanowił.

- Dobrze zrobiliście, że nie zaprosiliście tu mediów. To byłby poważny błąd. *Ym the good guy*. Nie wierzycie mi, ale tak na prawdę jestem po dobrej stronie. To brzydsza część tej dobrej strony. Ta bardziej nieprzyjemna, ale niezbędna. Chodziło o to, by zmusić wrogów do mówienia.

- W jakim sensie Erie Lindberger był wrogiem?

Jennings patrzył Hjelmowi prosto w oczy. Jego spojrzenie się zmieniło.

- Zaczekajmy z tym. Muszę zastanowić się nad konsekwencjami.

- Okej. Jak to wszystko się zaczęło?

Jennings zapał się, pochylał do przodu i rozpoczął swoją opowieść:

- Nie wiem, czy potraficie zrozumieć, czym jest patriotyzm. Poszedłem na wojnę, żeby uciec przed ojcem. Miałem siedem naście lat. *Poor white southern trash*. Byłem dzieckiem, które zabiło inne dzieci. Zauważyłem, że mam talent do zabijania. Inni też to zauważyli. Szybko awansowałem. I nagle zostaję wezwany do Waszyngtonu i staję oko w oko z prezydentem, dopiero co skończyłem dwadzieścia lat. Mam dowodzić ściśle tajnym komandem w Wietnamie, które podlegać będzie bezpośrednio prezydentowi. Cywile uczą mnie, jak używać nowej, ściśle tajnej broni. Staję się ekspertem. Potem uczę innych. Tylko ja mam

kontakt z cywilami. Przez cały czas tylko ja. Nie wiem, kim są. Po wojnie mówią tylko: „Bądźmy w kontakcie” i wypłacają mi pensję. To bardzo dziwne. Po powrocie jestem wrakiem człowieka. Nie potrafię zbliżyć się do żony. Zabiłem w sobie wszystkie uczucia. Dręcę swojego syna. I nagle kontaktują się ze mną. Wychodzą z cienia.

- CIA? - zapytał Hultin. Hjelm spojrzał na niego zdziwiony.

Jennings pokręcił powoli głową.

- Zaczekajmy z tym. W każdym razie nagle zrozumiałem, czego ode mnie oczekują. W tym czasie, pod koniec lat siedemdziesiątych, zimna wojna wkroczyła w nową fazę, nie mogę wchodzić w szczegóły, ale to była prawdziwa wojna. Istniało bezpośrednie zagrożenie, potrzebne były informacje, całe mnóstwo informacji. To samo działo się po drugiej stronie. Zacząłem sukcesywnie wyłapywać agentów, wobec których toczyło się śledztwo. Zarówno profesjonalnych szpiegów, jak i zdrajców. Pracowników akademickich, którzy sprzedawali tajemnice państwowe. Sowieckich agentów. Ludzi na usługach KGB. Wydobyłem ogromną liczbę kluczowych informacji. Ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby upozorować to na czyn szaleńca, nie wiem kto, więc musiałem udawać seryjnego mordercę, również gdybym został zatrzymany. I wtedy uczepił się mnie Larner. Nie potraficie sobie wyobrazić, ile pracy go kosztowało, żeby dotrzeć do wszystkich członków Commando Cool. Stanowił zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Na froncie politycznym zaczęło się uspokajać, umarł Breżniew, Związek Radziecki chylił się ku końcowi, pojawili się nowi wrogowie. Miałem bardziej się przydać w jakimś kraju pomiędzy Wschodem a Zachodem, gdzie będzie się odbywać wymiana handlowa; uciekając, miałem pogrążyć Lamera, ośmieszyć go.

- Opowiedz o ucieczce. W samochodzie znaleziono twoje zęby i człowieka.

- Przygotowania trwały całymi tygodniami. Dużo nocnej roboty na pustyni. Gotowi na każde zawołanie współpracownicy.

Świetny sprzęt. Perfekcyjnie skopiowane uzębienie. Zamaskowany sowiecki agent z wyrwanymi zębami. Przysłonięty otwór w ziemi, do którego można było się wturlać razem ze sztabem współpracowników i zostać tam jakąś dobę. Wszystko jest możliwe, a co nie jest, zajmuje tylko trochę więcej czasu. Hjelmski czuł, że ma dosyć. Musiał zapytać:

- Dla jakich ideałów pracujesz? Jak wygląda życie, którego bronisz, robiąc to, co robisz?

- Jak twoje - odpowiedział Wayne Jennings bez wahania. - Nie jak moje, jak twoje. Ja nie mam życia. Moje życie skończyło się w Wietnamie. Wydaje ci się, że twoja wolność i przywileje nie mają swojej ceny? Wydaje ci się, że Szwecja jest wolna od układów i neutralna?

Na chwilę zamilkł, wpatrując się w ścianę. Potem przeniósł wzrok na Norlandera. Napotkał oczy pełne nienawiści. Nie pierwszy raz. Zignorował to.

- Gdzie jest Gunnar Nyberg? - zapytał nagle.

- Leczy swoją złamaną rękę. Czemu pytasz?

- Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie wykiwał. Nikomu nie udało się mnie tak oszukać. Myślałem, że to idiota.

- Identyfikuje się z Bennym Lundbergiem. Siedział z nim, gdy ten przechodził najgorsze. Ciepło Gunnara uratowało mu życie. Potrafisz to zrozumieć?

- Ciepło ratuje bardziej niż zimno. Ale zimno też jest potrzebne. W przeciwnym razie na ziemi zapanuje wieczny chłód.

- Czy o tym jest historia Lindbergera? Wieczny chłód? Broń jądrowa? Chemiczna? Biologiczna? Czy to LinkCoop? Komputery? Systemy sterujące do broni jądrowej? Arabia Saudyjska?

Jennings uśmiechnął się. Być może był nawet pod wrażeniem szwedzkiej policji. I Paula Hjelmskiego.

- Nadal się zastanawiam. Mógłbym poprosić was, żebyście skontaktowali się z pewną instancją, ale nie wiem. To ryzykowne.

- Czy dociera do ciebie, że siedzisz tu oskarżony o dwadzieścia zabójstw i jedno usiłowanie zabójstwa? Że jesteś przestęp-

cą? Wrogiem ludzkości? Niszczycielem ludzkiej godności, której zbudowanie zajęło nam, jakkolwiek patrzeć, kilka tysięcy lat? A może wydaje ci się, że możesz wyjść stąd w każdej chwili? Że to tylko kwestia wybrania odpowiedniego momentu? Wstaniesz z krzesła, uwolnisz się z kajdanek i urwiesz mi głowę?

Jennings znów się uśmiechnął tym swoim uśmiechem, który nie sięgał oczu.

- Nie wolno robić z ludzi maszyn do mordowania.

Hjelm spojrzał na Hultina. Nagle poczuli się zagrożeni. Od maszyny do mordowania dzieliły ich tak naprawdę tylko marne kajdanki.

- Nie zabijasz policjantów - powiedział z przekonaniem Hultin.

- Za każdym razem ważę za i przeciw. Rozwiązanie, za którym przemawia najwięcej, wygrywa. Gdybym zamordował tego policjanta - kiwnął głową w stronę Norlandera - nie cackalibyście się teraz tak ze mną. Wówczas mielibyśmy problem.

- Liczyłeś się z tym, że wpadniesz? Żartujesz!

- To było na piętnastym miejscu na liście możliwych scenariuszy. Po wizycie Nyberga spadło na miejsce siedemnaste. To dlatego nie byłem do końca czujny. Gratuluję tej akcji.

Jennings przymknął oczy, ważył za i przeciw. Potem jednym szybkim ruchem wyswobodził się z kajdanek.

Chavez sięgnął pierwszy po broń. Holm druga. Norlander trzeci. Söderstedt wstał. Hultin i Hjelm nie ruszyli się z miejsca.

- Szybka reakcja tam w rogu - powiedział Jennings, wskazując na Chaveza. - Jak się nazywasz?

Chavez i Holm podeszli z uniesioną bronią. Na wszelki wypadek Hjelm wyją! również swoją. Trzymali Jenningsa w szachu, gdy Holm i Söderstedt skuwali go na nowo, tym razem dużo ciaśniej.

- Mam za sobą miesięczne całodniowe szkolenie z kajdanek - powiedział Jennings ze spokojem. - Mówiąc całodniowe, mam na myśli całodniowe. Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

- Okej - odezwał się Hjelm. - *You ve made your point*. Opo-  
wiedz nam, jak wyglądały argumenty za i przeciw siódmego  
kwietnia 1983 roku.

Jennings dokonał szybkiego przeszukania banku pamięci. Potem  
uśmiechnął się. Uśmiech szybko zniknął.

- Rozumiem - rzucił tylko.

- Co takiego rozumiesz?

- Że niezły z siebie policjant, Hjelm, naprawdę niezły.

- Dlaczego napisałeś ten list do żony?

- Słabość - odrzekł Jennings bezbarwnym głosem. - Czysty  
minus. Ostatni.

- A Nyberg?

- Zobaczymy - powiedział tajemniczo.

- Znaleźliśmy niemal całkowicie spalony list w mieszkaniu  
Lamara.

- Czy to z niego dowiedzieliście się, jak się teraz nazywam?

- Niestety nie. Wówczas Benny Lundberg nie leżałby dzisiaj na  
pół żywy w szpitalu. Dlaczego napisałeś swoje nazwisko? Przecież  
Mary Beth to nie obchodziło? Czysta dziecinada. Twoje wyznanie  
przywiodło tutaj Lamara, a potem go zabiło.

- To było jak pożegnanie ostatnich resztek życia osobistego,  
jakie jeszcze miałem. List miał zostać natychmiast spalony. Ze-  
mściła się na mnie, nie niszcząc go.

- Lub też chciała zachować ostatnie wspomnienie mężczyzny,  
którego kiedyś, na swoje nieszczęście, pokochała. To się nazywa  
ludzkie uczucia. Dla ciebie to coś, co mają inni, a co ty możesz  
wykorzystać.

- To było ostatnie pożegnanie - powiedział tylko Jennings,

- Twoje ostatnie pożegnanie pozbawiło życia całą twoją ro-  
dzinę. To przez nie twój syn odszukał cię i został przez ciebie  
zamordowany, przez nie twoja żona odebrała sobie życie. Do-  
prawdy, uroczne pożegnanie.

Czy dało się go zranić? Patrzył na Hjelma. Oczy znów się  
zweżyły. Czy trafił w czuły punkt?



- Odebrała sobie życie? Nie wiedziałem.
- Nie działaś w próżni. Zabijasz, a to zawsze ma nieprzewidywalne konsekwencje. Roztaczasz wokół siebie aurę śmierci, czy naprawdę tego nie rozumiesz? Wiesz, dla ilu seryjnych morderców stałeś się inspiracją? Masz fanklub w internecie. Jesteś cholerną legendą. Są T-shirty z K, herbatniki w kształcie K z napisem *The Famous Kentucky Killer*, plakietki z apelem *Keep on doing it, K*, szczypcy z lukrecji. W sposób jak najbardziej aktywny przyczyniłeś się do tego, że przerażająca liczba seryjnych zabójców niszczy kraj, który twoim zdaniem chronisz. Jesteś szaleńcem, którego trzeba zatrzymać. Sam się zatrzymaj, do kurwy nędzy.
- Nie jestem sam - powiedział i spojrzał w sufit. - To mój zawód. Wypełniam rozkazy i co miesiąc dostaję pensję. Jeśli odejdę, zwolnię miejsce, na które jest wielu chętnych.
- Zastanowiłeś się?
- Tak - odparł szybko. - Będę się streszczał. Nadstawcie uszu. LinkCoop jest podejrzaną spółką. Utrzymuje się z nielegalnego obrotu wojskowym sprzętem komputerowym, reszta to przykrywka. Dyrektor Henrik Nilsson to łajdak. LinkCoop położył rękę na systemach sterujących do broni jądrowej, dokładnie tak jak powiedziałeś, Hjelms. Erie Lindberger z MSZ był pośrednikiem między LinkCoop a saudyjskim ruchem islamistycznym. Myślałem, że eliminując Lindbergera, uda mi się to powstrzymać. Jako jedyny nie mówił, przyciśnięty, *chapeau bas*. Ale na tajne konto LinkCoop trafił dziś spory przelew. To oznacza, że sprzęt jest już u szwedzkiego pośrednika w nieznanym miejscu i wkrótce będzie w drodze do szwedzkiego portu, nie wiadomo którego, skąd zostanie dalej przetransportowany do fundamentalistów.
- A więc torturowany Erie Lindberger nie pisał ani słowa tylko dlatego, że po prostu nic nie wiedział? Że był niewinny? Szwedzki pośrednik to ktoś inny?
- Otrzymałem pewne informacje z... moich źródeł. Wcześniej ci ludzie nigdy się nie mylili.

- Jak dokładnie brzmiała wiadomość? - odezwał się nagle Arto Söderstedt spod ściany.

Głowa odwróciła się o niezbędny milimetr, nie więcej. Tym razem Soderstedtowi było dane napotkać wzrok Jenningsa. O rany, pomyślał.

- To była wiadomość kodowana - odparł Jennings - i brzmiała: „E. Lindberger MSZ”. Nie było wątpliwości.

- Elisabeth Justine Lindberger - skwitował Söderstedt. Oczy znów się zwięzły. Niewielki ruch, w samym kąciuku.

- O! - powiedział tylko Jennings.

- Nie „O”, tylko „E” - poprawił go Söderstedt. - Litera, która wyprawiła całkowicie niewinnego człowieka w piekielną podróż zakończoną śmiercią.

- Ma ochronę? - zapytał Jennings.

Arto Söderstedt skrócił wszystko, co miał na języku, do lakonicznego:

- Tak.

- Natychmiast ją wzmocnijcie.

- Pozwólcie, że się upewnię, czy dobrze rozumiem - wtrącił Hultin. - Rozkazujesz nam? Jeden z najgorszych seryjnych morderców w historii, który wreszcie został zatrzymany, daje rozkazy policji?

- Nie ja - powiedział Jennings. - Ja nie daję żadnych rozkazów. Jestem Nikt. Mogę natomiast zadać wam dwa pytania. Pierwsze: Czy chcecie mieć wojnę jądrową, czy nie? Drugie: Jaki porządek świata wolicie: amerykański kapitalizm czy islamski fundamentalizm? Świat jest dziś globalny, tego nie da się już odwrócić: dziś bardziej niż kiedykolwiek ważne jest, by świat miał swojego lidera. I to wy możecie go wybrać, wasza siódemka.

- Zastanawiam się, czy to takie proste - powiedział Hjelm.

- Właśnie teraz, w ciągu najbliższych godzin, to jest takie proste. Potem możecie zrobić ze mną, co chcecie.

- A z jaką instancją chciałeś nas skontaktować? - zapytał Hultin.

- Nie teraz. To zajmie zbyt dużo czasu. Teraz musicie dopilnować, by statek nie opuścił portu.

- Czy Henrik Nilsson z LinkCoop coś wie?

- Nie, jego nie interesuje nic poza pieniędzmi. Pośrednik dostarcza ładunek w neutralne miejsce. Stamtąd przewożony jest do portu. Zarówno miejsce, jak i port są nieznane. Statek wypływa dziś lub jutro. To wszystkie informacje, jakie dostałem. Oprócz wiadomości o żonie Lindbergera.

- Port docelowy?

- Fałszywy. Może to być cokolwiek.

- Okej - uciął Hultin. - Zbiórka na zewnątrz.

Wstali i wyszli pojedynczo z celi. Hjelm został jeszcze przez chwilę.

- Cała ta gadanina, całe to przyznanie się do winy było tylko po to, żeby zyskać na czasie, prawda, zdobyć czas na ocenę sytuacji? Przeciągnąć nas na swoją stronę? Czy coś z tego, co powiedziałeś, było prawdą?

- Liczy się cel - stwierdził Jennings obojętnie.

- A Nyberg? - zapytał Hjelm. - Jak wyglądała twoja ocena sytuacji, gdy zobaczyłeś go nadchodzącego korytarzem? Czy już wtedy przewidywałeś taki scenariusz? Czy jego atak choć trochę cię zaskoczył?

Jennings spojrzał mu prosto w oczy. Hjelm miał wrażenie, jakby patrzył w wieczną ciemność. W ślepiach rekina.

- Tego nigdy się nie dowiesz - odparł Jennings.

Hjelm zrobił krok do przodu i pochylił się nad nim. Celowo stanął tak blisko, żeby Jennings miał możliwość go zabić w ułamku sekundy. Nie wiedział tak naprawdę, dlaczego wkłada głowę do paszczy lwa. Kuszące wołanie z drugiej strony. Syreni śpiew? Szyderczy śmiech w twarz śmierci?

- Po raz pierwszy w życiu mam pewne zrozumienie dla kary śmierci - powiedział.

Na twarzy Jenningsa pojawił się ten jego ulotny uśmiech, niemający nic wspólnego z radością.

- Jako jednostka zasługuję z pewnością na karę śmierci. Ale ja nie jestem jednostką, jestem instancją.

Hjelm wyszedł. Reszta stała już na korytarzu. Arto Söderstedt rozmawiał przez komórkę.

- Mówi prawdę? - zapytała Kerstin Holm. - Czy rzeczywiście chodzi tu o systemy sterujące do broni jądrowej? Czy też po prostu chce się od nas uwolnić?

- Pomocnik diabła - stwierdził gorzko Hjelm. - Nieznane są jego ścieżki. Do czego jesteśmy mu potrzebni? W co on gra?

- Czy nie wchodzimy na teren Sapo? - zaniepokoił się Chavez.

- Czy nie powinniśmy przenieść tego na poziom rządowy? - zapytała Holm.

Hultin stał bez ruchu. Zastanawiał się czy też nie wiedział, co robić?

- Wejdziemy do środka i go sprzątniemy - zaproponował chojracko Norlander.

Söderstedt rozłączył komórkę i westchnął głęboko.

- Justine uciekła ochronie - powiedział.

Hultin zrobił grymas; pierwszy od dłuższej chwili znak życia.

- Zajmiemy się tym sami - oświadczył ze spokojem. - Czymkolwiek zajmowała się Justine, jest to nielegalne. Znajdźcie ją. I sprawdźcie wszystkie zaplanowane odejścia ze wszystkich szwedzkich portów w ciągu najbliższej doby.

- A Jennings? - zapytał Hjelm.

- Ścisła ochrona. Załatwię to. Arto, masz jeszcze notatki Justine?

- W pokoju.

Poszli tam. W środku siedział Gunnar Nyberg, wpatrując się w swoją zagipsowaną prawą rękę. Spojrzał na nich sceptycznie.

- Podpisaliście kontrakt z diabłem - stwierdził. - Miejcie się, kurwa, na baczności. Ja się w to nie mieszam.

- Należysz do drużyny, Gunnar - powiedział Hultin. - Musimy odnaleźć Justine Lindberger. To wielka polityka.

- Wal się.

Hultin spojrział na niego ze spokojem.

- On was wkręca - mówił dalej głośno Nyberg. - Nie widzicie, że wodzi was za nos? Ze mną też mu się udało. Podstawił się. Widziałem jego spojrzenie. To wszystko była gra. Teraz wszystko rozumiem.

- Możliwe - powiedział Hultin. - Ale to, że Justine Lindberger uciekła ochronie, jest faktem. Potrzebujemy ciebie.

Nyberg pokręcił głową.

- Nigdy w życiu.

- Od tej chwili jesteś na chorobowym. Idź do domu. Nyberg rzucił mu wściekłe spojrzenie i wyszedł z pokoju.

Zatrzymał się w korytarzu i parsknął ze złości. Potem poszedł prosto do aresztu w piwnicy. Dwóch postawnych, ubranych po cywilnemu policjantów właśnie ulokowało się przy drzwiach. Siedzieli na krzesłach w ciemnym korytarzu, pośrodku ustawili stół do gry w karty. Spojrzeli trochę niepewnie na Nyberga, który usiadł na wolnym krześle pod ścianą.

- Nie przeszkadzajcie sobie. Mnie tu nie ma.

Był tu i nie miał zamiaru się ruszyć. Nagle wszystko stanęło mu przed oczami. Korytarz w LinkCoop. Kroki. Spojrzenie Roberta Mayera. Mały, ledwo zauważalny ruch w stronę marynarki. Cofająca się dłoń. Przyjęty z zimną krwią cios.

Zostanie tu.

W tym samym czasie Arto Söderstedt stał przed swoją białą, dokumentnie zarysowaną tablicą.

- Wszystkie notatki małżonków L. Na lewo Justine, na prawo Erica.

- Czy jest tu coś, co mogłoby być nazwą statku albo datą dzisiejszą lub jutrzejszą bądź nazwą portu? - zapytał Hultin i dodał:

- Albo coś, co wydaje się zakodowane?

Söderstedt podrapał się po nosie.

- Możliwe, że od czasu do czasu spotykała się z kimś o na zwisku zaczynającym się S. To jedna z informacji, które zdecydowała się usunąć z kalendarza. Twierdzi, że tak oznaczała

jogging, S jak „stretching”. Niestety, nie ma nic więcej na ten temat. Usunęła też informację dotyczącą jej kochanka Hermana w Bro. Nic więcej na jego temat. Ma trzy przyjaciółki, które wydają się jej bliskie: Paula, Petronella i Priscilla. Dysponuję ich pełnymi nazwiskami i adresami. Poza tym ma dużą rodzinę, która również wydaje się dosyć zżyta. Wszystko powinniśmy sprawdzić. Mamy tu jeszcze kilka informacji, za którymi może się coś kryć. Karteczka z napisem „Niebieski Wiking”. To może być kod, może to być miejsce, przykładowo knajpa, ale niczego nie ustaliłem. Jest coś jeszcze, nie potrafię tego rozszyfrować: „orphlinse”, tylko tyle. Miała to napisane na żółtej karteczce samoprzylepnej. Chciałbym tylko dodać, że ochrona Justine nie była zbyt rozgarnięta, wymknęła im się w Ostermalmshallen.

- Podzielimy się - powiedział Hultin. - Paul spróbuje odszukać Hermana w Bro. Kerstin, bierzesz przyjaciółki i rodzinę, zadzwoni do wszystkich, których uda ci się znaleźć. Viggo, skontaktujesz się z ochroną i sprawdzisz, jak i gdzie dokładnie Justine zniknęła, weź ich do Ostermalmshallen. Jorge zajmuje się Niebieskim Wikingiem i tą drugą karteczką. Arto, ty i ja sprawdzimy porty; mamy ich w Szwecji pod dostatkiem. Do roboty.

Hjelm znalazł informację, że Bro to miasto-sypialnia z sześćdziesięcioma tysiącami mieszkańców między Kungsängen a Balstą. W różnych bazach odnalazł ośmiu Hermanów w Bro. Dwóch z nich było na emeryturze; pozostali potencjalni kandydaci mieli od dwudziestu dwu do pięćdziesięciu ośmiu lat. Zadzwonił do nich. Trzech z nich nie zastał w domu, pozostali trzej twierdzili, że nie znają Justine Lindberger, chociaż podkreślał, jakie to ważne, i gwarantował zachowanie tajemnicy, co jednego z nich wyraźnie rozwścieczyło, Hermana Anderssona, wiek czterdzieści cztery lata. Po chwili udało mu się zlokalizować miejsca pracy pozostałej trójki. Żaden z nich nie znał Justine, wszyscy wydawali się szczerze zdziwieni. Nagle nie miał już nic więcej do roboty. Po kilku minutach był z tego powodu wściekły. Postanowił jechać do Bro. Pełen złych przeczuc różnego rodzaju opuścił komendę,

by ruszyć na wycieczkę do Uppland. Była trzecia, wciąż lał deszcz.

Kerstin Holm odnalazła PPP. Paula Berglund rozplakała się na myśl o tym, że jakiś szaleniec gania za jej przyjaciółką; przypomniała sobie, że ta kilka razy niespodziewanie wybrała się do Vasteras i Karlskrony i prawdopodobnie w jeszcze jedno miejsce. Petronellę af Wirsen rozbawił do rozpuku fakt, że Justine uciekła policji, i stwierdziła, że pewnie jest w swoim mieszkaniu w Paryżu albo w willi na Dalaró. A Priscilla Bafwer przypomniała sobie różne tajemnicze wycieczki na Gotlandię, do Södertalje, Halmstad i Trelleborga. Rodzina była mniej skora do współpracy; domagała się głów całego zarządu policji na gigantycznej tacy. Biedna zagubiona Justine - powiedziała jedyna rozmowna, ciotka Gretha, którą przez przypadek udało się zlokalizować - ona zawsze odstawała od reszty rodziny, nie interesowały jej pieniądze ani władza, zawsze pochylała się nad biednymi owieczkami z marginesu społecznego. Ciotka Gretha była pełna wątpliwości co do majątku Justine; po prostu nie mógł należeć do niej.

Jorge Chavez użerał się z karteczkami. Włożył całą swoją energię i swoją matematyczną inteligencję, żeby zrozumieć notatki, które Justine Lindberger zostawiła na swoim biurku w Pałacu Dziedzicznego Księcia. „Niebieski Wiking” i „orphlinse”. Po chwili zastanawiania się nad szeregiem możliwych zakodowanych znaczeń wybrał najprostszą drogę - i udało mu się znaleźć kilka knajp w różnych częściach Szwecji, w których nazwie był Niebieski Wiking: kawiarnia Niebieski Wiking w Harnósand, Restauracja & Bar Niebieski Wiking w Halmstad, kawiarnia Niebieski Wiking w Visby oraz kioski z kielbaskami Niebieski Wiking w Teckomatorp i w Karlshamn. Harnósand, Halmstad, Visby i Karlshamn były miastami portowymi. Jeśli chodziło o drugą karteczkę, przeklinał sam siebie, że tyle czasu zajęło mu znalezienie małej kropki w „orphlinse”, tak że powstało z tego „orphlin.se”, czyli adres strony internetowej. Był to szwedzki oddział

Orpheus Life Line, międzynarodowej organizacji humanitarnej, interesującej się głównie Irakiem. W deklaracji programowej przeczytał, że Orfeusz potrafił swoim przejmującym śpiewem wyprowadzić zmarłych z królestwa śmierci. Taki był też ideał organizacji. W tej chwili skupiała się głównie na Iraku po wojnie w Zatoce Perskiej - na blokadach i kryzysie związanym z odmową wpuszczenia inspektorów rozbrojeniowych. To, co się tam działo, przypominało prawdziwe piekło - wymieniano szereg przypadków łamania praw człowieka. Organizacja opierała się najwyraźniej na tajnych członkach; był to jedyny sposób, żeby w królestwie Saddama działać możliwie bez przeszkód. Chavez zastanawiał się, dlaczego adres Orpheus Life Line znalazł się na biurku Justine. Czy z powodu jej ogólnego zainteresowania światem islamskim, czy jeszcze z jakiegoś innego powodu?

Viggo Norlander udał się w towarzystwie dwóch wyraźnie speszonych funkcjonariuszy do Óstermalmshallen. Młodszy policjant śledczy Werner siedział w samochodzie na Óstermalms-torg, obserwując ulicę Humlegardsgatan, w czasie gdy kolega, młodszy policjant śledczy Larsson, szedł, tu cytat, „przyklejony jak cień” do Justine. Bliższa analiza Norlandera wykazała, że za tym dziwnym określeniem kryła się odległość piętnastu metrów, co, biorąc pod uwagę liczne stoiska i harmider panujący w środku, nie było wcale tak mało. Larsson stał zaraz przy wejściu i pokazywał Norlanderowi wewnątrz hali, gdzie w przesyconym aromatami powietrzu kołysały się części zwierząt niczym uszkodzone helikoptery. Justine zniknęła gdzieś w drugim końcu, bardziej na lewo. Mogła się więc wymknąć przez trzy stoiska: klasyczne szwedzkie delikatesy, tajską minires-taurację i kawiarnię serwującą kawę w mikroskopijnych filiżankach. Po kilku przeprowadzanych po raz pierwszy rutynowych kontrolach Norlander stwierdził, że wyjść mogła tylko przez kawiarnię; co prawda istniała możliwość, że ukryła się na chwilę w delikatesach lub w rajskiej restauracji, ale tylko



kawiarnię łączył ze światem zewnętrznym długi korytarz. Norlander przespacerował się nim, nawet na chwilę nie spuszczać z oczu płonącego ze wstydu Larssona. Wyszli na Hum-legardsgatan prosto w wilgotny wiatr. Norlander podszedł do siedzącego w samochodzie Wernera i obdarzył go tym samym spojrzeniem, co przed chwilą Larssona. Potem wrócił do hali i bez słowa wyprowadził głośno protestującego właściciela kawiarni.

Fawzi Ulaywi z Bagdadu siedział teraz, zalewając się potem, za szybą jednego z pokoi przesłuchań. Widzieli go z korytarza. Norlander powiedział:

- Musiał ją przechować. Musiał pójść z nią do pokoju na zapleczu i tam ją ukryć. Pracuje sam w kawiarni, a drzwi do korytarza na ulicę Humleg&rdsgatan były zamknięte.

- Skąd on jest? - dociękał Chavez, patrząc na wydruk ze strony Orpheus Life Line. - Z Iraku? To już skończyliśmy z Arabią Saudyjską?

- Co takiego mówiliśmy o portach? - zapytał Hultin. - Które z nich pojawiły się kilka razy?

- Kilka to może za dużo powiedziane - odezwał się Söderstedt - ale Niebieski Wiking i zeznanie świadka wskazują na Halmstad, Gotlandię i być może Karlskronę wraz z Karlshamn, jeśli mamy traktować je razem jako reprezentację Blekinge. W ciągu najbliższej doby z Halmstad odpłynię sześć statków, z Visby trzy, a z Blekinge szesnaście.

- Żadne z tych miejsc nie jest bardziej prawdopodobne od pozostałych - stwierdziła Holm. - Podzielimy się?

- Kiedy wypływa najbliższy statek? I gdzie się, kurwa, podział Hjelm?

- W Bro - powiedziała Holm.

- Jest wpół do piątej - powiedział Söderstedt. - Mamy dziś kilka odejść. Następny jest „Vega” do Wenezueli z Karlshamn o 18.00, potem „Bay of Pearls” do Australii o 19.45 z Halmstad, potem „Lagavulin” do Szkocji o 20.30 z Visby. To te najbliższe.

- Musimy mieć coś, co by nam wskazało właściwe miejsce. Jakies zeznanie świadka. Jorge i Arto pójdą z Kerstin. Przyciśnijcie rodzinę. Viggo, ty i ja zajmiemy się naszym znajomym właścicielem kawiarni.

Hultin i Norlander weszli do pokoju przesłuchań. Z Fawzie-go Ulayego nie przestawał łać się pot. Pod jego uporem krył się strach. Zapewne był już w podobnej sytuacji i za wszelką cenę starał się nie myśleć, co się wtedy wydarzyło.

- Moja kawiarnia - powiedział. - Moja kawiarnia stoi pusta. Ktoś może wejść i wziąć moje rzeczy i pieniądze.

- Na resztę doby postawiliśmy tam kompetentną obstawę - zakpił Norlander. - Policjanci Larsson i Werner.

Wciąż stał przy drzwiach, starając się robić wrażenie potężnego i brutalnego. Hultin usiadł naprzeciwko Fawziego Ulay-wiego i odezwał się ze spokojem:

- Dlaczego pomogłeś dziś w ucieczce Justine Lindberger?

- Niczego nie zrobiłem - odparł stanowczo Ulaywi. - Nie rozumiem.

- Znasz organizację Orpheus Life Line? Działa w Iraku.

Fawzi Ulaywi zamilkł. Wyraz jego twarzy jakby trochę się zmienił. Przeleciał po niej strach, zostawiając po sobie bruzdy. Widać było, że się zastanawia, i to bardzo dokładnie.

- Wyjechałem z Iraku dziesięć lat temu - powiedział w końcu. - Nie wiem, co się tam dziś dzieje.

- Czy ci z Orpheusa są uwikłani w interesy z bronią jądrową?

Ulaywi patrzył na niego dzikim wzrokiem, jakby próbując ułożyć w głowie strzępy informacji. Milczał. Hultin ciągnął:

- Powiedz nam wszystko, co wiesz. To bardzo ważne, nie mamy czasu na przekomarzania.

- Możecie mnie torturować. Już to przerabiałem.

Hultin spojrzał na Norlandera. Norlander mrugnął trochę niepewnie. Nie miał zamiaru nikogo torturować. Czy naprawdę tak należało interpretować spojrzenie Hultina? Hultin mówił dalej ze spokojem:

- Wymienię teraz nazwy kilku szwedzkich portów i sprawdzę, jak zareagujesz: Halmstad. Karlskrona. Visby. Karlshamn.

Tylko pot, skupienie ledwo maskujące strach, dziesięć lat nocnych koszmarów, które teraz niespodziewanie powróciły. Ulay-wi próbował zebrać myśli. Aż zatrzeszczało.

- Halmstad - rzekł w końcu. - Przyszła do mnie do kawiarni kobieta. Powiedziała, że śledzi ją gwałciciel. Pomogłem jej uciec. Mówiła coś, że musi wyjechać, chyba wymieniła Halmstad.

Norlander i Hultin spojrzeli po sobie. Hultin kiwnął ręką, wyszli na korytarz. Rozmawiając, patrzyli przez szybę na Ulay-wiego. Wciąż się pocił. Wydawał się jakby trochę bardziej spokojny.

- On w tym siedzi - stwierdził Hultin. - Jest częścią tego łańcucha przemytniczego. Nic więcej nie powie. Możemy wykreślić Halmstad.

- Wykreślić? - wybuchnął Norlander. - Ale...

- Klasyczny fałszywy trop. Spójrz na niego. On nie jest z tych, co mówią.

Hultin wszedł do siedzących ze słuchawkami w rękę. Byli w trzech pokojach, musiał więc powtórzyć trzy razy:

- Blekinge albo Visby. Nie Halmstad. Potem wyjął komórkę i wybrał numer.

- Paul? Gdzie jesteś?

- Na Norrtull. Zmąciłem spokój rodzinny w kilku domach w Bro. Już nigdy te żony nie zaufają swoim Hermanom. Od jednej z nich oberwałem.

- Masz coś?

- Żaden nie miał nic wspólnego z Justine Lindberger z górnego Óstermalm. Strata czasu.

- Wracaj szybko. Zostały nam do sprawdzenia Visby, Karlskrona albo Karlshamn. Może coś z tego będzie.

- Okej.

Holm wybiegła ze swojego pokoju. Zawołała:

- Ciotka Gretha miała numer komórki Lindberger, którego do tej pory nie znaleźliśmy.

Podala karteczkę Hultinowi, który rozłączył się z Hjelmem i wybrał numer.

- Słucham? - odezwał się głos w słuchawce. Kobięcy.

- Justine? - spytał Hultin.

- Kto mówi?

- Orfeusz - spróbował Hultin. - Gdzie jesteś?

Przez chwilę panowała cisza. Potem Justine Lindberger powiedziała:

- Hasło?

Hultin spojrział na Holm i Norlandera. Pokiwali głowami.

- Niebieski Wiking.

- O, kurwa. - Justine się rozłączyła.

- Do diabła - powiedział Hultin.

- Jakież odgłosy w tle? - zapytała Kerstin Holm.

Hultin pokręcił głową. Wybrał znów numer. Nie odbierała.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Była za piętnaście piąta. Za jakąś godzinę frachtowiec „Vega” opuści port w Karlshamn. Nie zdążą. Wskazujące na Karlshamn poszlaki były wyjątkowo słabe: sugestia jednej z przyjaciółek, że Justine była w sąsiedniej Karlskronie, knajpa o nazwie Niebieski Wiking, którą być może od razu powinni byli wziąć pod obserwację, ale wówczas musieliby wciągnąć w to policję z Blekinge, a niby jak miałiby się wytłumaczyć? Sam tego do końca nie rozumiał. Miał pozwolić odpłynąć „Vedze”, czy wysłać tam lokalną policję? Siedział dalej w swoim pokoju, ramiona mu ciążyły, jakby przygniatał je jakiś straszliwy ciężar.

Kerstin Holm i Viggo Norlander stali w korytarzu. Jakby otaczała ich mgła. Dokąd zmierzały myśli Hultina?

Zjawił się Hjelm. Miał podbite oko.

- Nie pytajcie - uprzedził. - Kobięty - wyjaśnił trochę tajemniczo.

- Bro. - Kerstin wyciągnęła palec w jego stronę. - Coś miałam ci powiedzieć o Bro.

- Bro bro breja - rzucił Norlander. Wyglądało, jakby się poddał. Spojrzał z żalem na Fawziego Ulaywiego: w jego rękach są losy całego świata, a on nie chce mówić.
- Kto to jest? - zainteresował się Hjelm.
- A Bro to nie jest dosyć popularna nazwa? - zapytała Holm.
- Człowiek, który pomógł uciec Justine - wyjaśnił Norlander.
- Irakijczyk. Jeden z tych, którzy kryją się za lewą organizacją humanitarną Orpheus Life Linę. Prawdopodobnie fundamentalistyczni szpiecy. Stanowi nasz jedyny łącznik z antenami sterującymi.
- To się nazywa systemy sterujące - poprawił go Hjelm - do broni jądrowej.
- Słyszeliście w ogóle, co powiedziałam? - zirytowała się Holm.
- Może się nadziać na tę swoją antenę - bąknął Norlander.
- Czy będzie moralnie usprawiedliwione, jeśli wejdę i go przycisnę? Z całej siły?
- Tak jak zrobiłby to Wayne Jennings? - zapytała Kerstin Holm.
- Już tak bardzo się do niego upodobniliśmy? Szybko poszło.
- Co takiego powiedziałaś? - zapytał Paul Hjelm.
- Staliśmy się marionetkami mordercy z Kentucky.
- To wcześniej. O Bro.
- Pytałam, czy Bro to nie jest dosyć popularna nazwa. O to ci chodzi?
- Chcesz powiedzieć, że byłem w złym Bro? Gdzie są pozostałe?
- Nie wiem. Tak tylko strzelałam.
- Skoro Herman jest kochankiem, z którym spotyka się co wtorek, to nie może być położone zbyt daleko.
- A może Herman to wcale nie kochanek? Arto ją przycisnął, zaskoczył ją swoją sztuczką z kalendarzem, musiała więc naprędce coś wymyślić. Może Herman to prawdziwe imię. Może musiała je zakryć kłamstwem o kochanku.

Pobiegli do biura Kerstin i znaleźli atlas samochodowy. Bro w Uppland, Bro w Varmland, Bro w Bohuslan - i Bro na Gotlandii.

- Zaledwie kilka kilometrów od Visby - powiedziała Kerstin.
- Mała wioska z kościołem.

Norlander uruchomił komputer i otworzył rejestr telefonów. W Bro na północny wschód od Visby mieszkało dwóch Hermanów.

Hjelm włączył komórkę. Kerstin wyjęła mu ją z rąk i wybrała pierwszy z dwóch numerów.

- Bengtsson - odezwał się męski głos z dźwięcznym gotlandzkim akcentem.

- Herman. Mówi Justine.

Odpowiedziała jej cisza. Im bardziej się wydłużała, tym bardziej rosła w nich nadzieja.

- Dlaczego dzwonicz? - spytał w końcu Herman Bengtsson.
- Czy coś się stało?
- Tylko sprawdzam - wydusiła Kerstin.
- Jestem w drodze.

Rozłączyła się. Na krótką sekundę zacisnęła pięść. Pobiegli do Hultina.

Pięć minut później z dachu budynku policji wystartował helikopter. Dosyć dobre tempo, pomyślał Hultin, który siedział obok Norlandera i przeglądał papiery.

- Frachtowiec „Lagavulin” opuści port w Visby o godzinie 20.30. Teraz jest piętnaście po piątej. Powinniśmy być dużo przed czasem.

- Czy Lagavulin to nie słodowa whisky? - zapytał Hjelm.

- Najlepsza - potwierdził Chavez. - Mocny torfowo-dymny aromat.

W dole mignęły im ostatnie szkiery, zalewane deszczem; Hjelmo wi wydawało się, że rozpoznaje wśród nich Uto. Potem już tylko otwarte, smagane wiatrem morze, jakby bardziej białe niż czarne. Helikopterem mocno kołysało w nieustępliwej jesiennej zawierusze. Hjelm rzucił okiem na pilota; nie podobał mu się wyraz jego

twarży. Również mina Norlandera nie napawała optymizmem. Wziął do ręki hełm, który wisiał na ścianie helikoptera, i zwymiotował. Ucieszył się, że ucierpiał na tym tylko jego imiennik\*.

Reszta też cierpiała. Pilot wyjął foliowe torebki, żeby uratować pozostałe hełmy. Biała skóra Arto Söderstedta nabrała koloru miętowozielonego, dokładnie takiego jak jego wymiociny, zauważył Hjelm. Jedynie Hultinowi i Holm udało się utrzymać w miejscu zawartość żołądka. Żałosna grupka policjantów wyskoczyła z helikoptera na położonym na uboczu lądowisku, nieco na wschód od Visby; czekały już na nich dwa bez wątpienia cywilne samochody. Stali przez chwilę, pozwalając się obmyć deszczowi. Był to szczególny rodzaj oczyszczenia. Kolor twarzy wrócił do normy. Znowu żyli. Pytanie tylko, co takiego przygotowała dla nich w porcie Justine Lindberger.

Okrążyli Visby i pojechali wzdłuż Farjeleden. Minęli wielkie promy kursujące na Gotlandię i już byli na miejscu. Statek stał dość daleko przy pirsie przy północnym falochronie, objijając się o rzędy gumowych opon.

„Lagavulin” nie był tak naprawdę frachtowcem. Był na to za mały, przypominał raczej większy szkuner. Stał tam całkiem samotny. Nie widać było na nim żadnego znaku życia. Wokół krążyło kilka mew, jak sępy wokół padliny. Minął go duży tankowiec wypływający na Bałtyk, na burzowym niebie połyskiwały słabo latarnie; kołyszac się, przepłynął jak wielki, zimny, niedostępny potwór morski. Niebo obniżyło się, wydawało się, że gęste chmury deszczowe schyliły się i lizały ziemię, jakby znaleźli się w jądrze potopu. Czy po drugiej stronie była jeszcze ta wielka, czysta, rozświetlona słońcem przejrzystość? Czy była utopia? Czy było na nią miejsce?

Zaparkowali samochody trochę dalej, przy szkole. Pod osłoną nocy ruszyli w kierunku pirsu i biegli nim, pochyleni. Nie czuli już ozonu, tylko zapach morza.

*Hjelm* (szw.) - hełm (przyj. tłum.).

Byli blisko. Nigdzie ani jednego ochroniarza. Zebrali się wokół trapu, ciekła z nich woda.

Chavez i Norlander weszli pierwsi na pokład, w zupełnej ciszy, z uniesioną bronią. Potem Hjelm i Holm. Na końcu Söderstedt i Hultin. Wszyscy odbezpieczyli pistolety.

Minęli zaciemnioną sterówkę i posuwali się dalej. Wszystkie światła były wygaszone. Statek sprawiał wrażenie opuszczonego. Nagle wiatr przyniósł słabe głosy. Ruszyli, idąc za nimi, aż doszli do drzwi w rzędzie okien z zaciągniętymi zasłonkami. Ze środka biło słabe, migoczące światło.

Norlander ocenił wytrzymałość drzwi. Przygotował się, zaparł plecami o reling. Hjelm nacisnął ostrożnie kłamek. Drzwi były zamknięte. Chwilę potem Norlander wyważył je kopniakiem. Wystarczył jeden. Zamek wisiał jeszcze przez kilka sekund, uderzając o ścianę, aż w końcu spadł na ziemię.

W pomieszczeniu przypominającym stołówkę siedziało pięć osób przy lampie naftowej z przykręconym knotem. Młody blondyn w kurtce od Helly'ego Hansena, trzech potężnych śniadych mężczyzn w średnim wieku w grubych kurtkach puchowych - i Justine Lindberger w prochowcu. Patrzyła na nich z przerażeniem w oczach. Na widok Söderstedta jakby odetchnęła.

- *Hands on your heads!* - zawołał Norlander.

- *It's just the Swedish police!* - krzyknęła Justine do trzech mężczyzn. Położyli ręce na głowę. Blondyn wstał.

- O co chodzi? Co tutaj robicie? - zapytał z gotlandzkim akcentem.

- Herman Bengtsson, jak się domyślam - powiedział Hultin, kierując na niego pistolet. - Siadaj natychmiast i połóż ręce na głowie.

Bengtsson posłuchał go z niechęcią.

- Przeszukajcie ich - rozkazał Hultin.

Norlander i Chavez zrewidowali zatrzymanych. Nikt nie miał przy sobie broni. Pojawiły się pierwsze niepokojące znaki.



- To wy do mnie dzwoniście. - Justine Lindberger kiwnęła z zamyśleniem głową. Widać było, że nad czymś się intensywnie zastanawia.

- Gdzie są komputery? - zapytał Hultin.

- Jakie znowu komputery? - zdziwił się Herman Bengtsson. - O czym ty mówisz?

- Ilu ludzi jest jeszcze na pokładzie?

- Nie ma już nikogo - westchnęła Justine Lindberger. - Załoga będzie tu za godzinę.

- A ochrona? Nie możecie przecież przewozić systemów sterujących do broni jądrowej bez ochrony?

Justine Lindberger siedziała bez ruchu. Myślała. Intensywnie. Potem jakby coś ją olśniło. Na kilka sekund zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, jej wzrok był inny, bardziej zrezygowany, niemal żaloszny. Jakby stała przed plutonem egzekucyjnym.

- Nie szmuglujemy broni jądrowej - powiedziała. - Wręcz przeciwnie.

- Jorge, Viggo, Arto. Idźcie sprawdzić. Bądźcie ostrożni.

Wyszli. Na miejscu zostali Jan-01ov Hultin, Paul Hjelm, Kerstin Holm, Justine Lindberger, Herman Bengtsson i trzech śniadych mężczyzn o spojrzeniach naznaczonych śmiercią. Justine zaczęła opowiadać. Mówiła z namysłem, jakby od jej słów zależało ich życie.

- Herman i ja należymy do Orpheus Life Line, tajnej organizacji humanitarnej, która działa w Iraku. Musi być tajna, wrogowie są potężni. Erie też do niej należał. Zmarł, niczego nie wyjawiając. Był silniejszy, niż myślałam.

Wskazała ręką na trzech mężczyzn siedzących na kanapie.

- To trzech wysokich oficerów irańskiej armii. Są dezertarami. Posiadają niezwykle ważną informację dotyczącą wojny w Zatoce Perskiej, którą Saddam i Stany Zjednoczone chcą utrzymać w tajemnicy. Są w drodze do Stanów, gdzie przejdą pod ochronę dużej spółki medialnej. Informacja pójdzie w świat, nie będzie

odwrotu. Już tylko amerykańskie media są na tyle silne, żeby się sprzeciwić.

Hultin spojrział na Hjelma, Hjelm spojrział na Holm, Holm spojrziała na Hultina.

- Musicie nas zostawić - powiedziała Justine Lindberger.  
- Ktoś was oszukał. Ktoś was wykorzystał.

Hjelmowi stanął przed oczami Wayne Jennings. Powiedział: „Nigdy się tego nie dowiecie”. Miał ochotę zwymiotować, ale nie miał już czym.

- Jeśli to prawda, to są już na waszym tropie - odezwała się Kerstin Holm. - Musimy was stąd zabrać.

- Nie możemy pozwolić, by statek odpłynął - dodał Hultin.

- Musi zostać dokładnie sprawdzony. Zabieramy was stąd na tychmiast.

- Od teraz to wasz obowiązek nas chronić - powiedziała Justine Lindberger. Wyglądała na wykończoną. - Przywieźcie ich tutaj, teraz musicie nas osłaniać własnymi ciałami.

Hultin spojrział na nią przepaszająco i zaczął wycofywać się przez wyłamane drzwi. Usunął się na bok. Pierwsza wyszła Holm. Potem Herman Bengtsson, trzech Irakijczyków, Justine i Hjelm. Stanęli na pokładzie. Wiał wiatr. Lał deszcz.

Ruszyli w kierunku trapu.

Wtedy coś się stało. Jakby padł rozkaz, jakby to oni go wydali.

Głowa Hermana Bengtssona oderwała się, fala krwi cisnęła nim o pokład. Seria niewidocznych kul zmiotła trzech mężczyzn pod ścianę. Puchowe kurtki zalały się czerwienią, wyfrunął z nich puch. Osunęli się na ziemię. Kerstin rzuciła się na Justine; nie zastanawiała się, była żywą tarczą. Poczula smagnięcie na ramieniu; zobaczyła, jak kula wbija się w prawe oko Justine jakieś dziesięć centymetrów od niej. Zwymiotowała krwią na twarz Kerstin. Ostatni wydech.

Hultin stał jak skamieniały. Patrzył w górę na rozświetlone Visby, które wznosiło się nad nimi jak miejsce Sądu Ostatecznego.

Pistolet Hjelma zawisł w powietrzu. Jego ciało obracało się dokoła, ale nie miał w co celować, zupełnie w nic. Schował pistolet do kamizelki i nagle zrozumiał, jak to jest zostać zgwałconym. Objął ramieniem Kerstin. Płakała.

Krwawy, ciężki od deszczu puch otulił powoli miejsce koszmaru kołdrą zapomnienia.

Jakby nic się nie stało.

GUNNAR Nyberg musiał pójść do toalety. Siedział bez ruchu na krześle w podziemiach komendy przez kilka długich godzin. Nawet na sekundę nie spadł mu poziom koncentracji. Strażnicy przez cały czas grali w karty, potem zmienili ich koledzy, którzy również usiedli przy stole, żeby zająć się tym samym.

Innymi słowy panowała nieprawdopodobna monotonia, do czego niewątpliwie przyczyniał się wygląd budynku. Niedbale pomalowane ściany w kolorze jasnej żółci, pokryte cienką warstwą kurzu jarzeniówki zalewające korytarz obrzydliwym światłem, a teraz jeszcze przepełniony pęcherz, który zastawił na niego pułapkę.

Przyniesiono posiłek dla Jenningsa. Moment ryzyka. Absurdalna miska z zupą stała jeszcze długo na stole strażników, aż przestała unosić się nad nią para. Byli w środku partii blackjacka, która dłużyła się niemiłosiernie. A myślałem, że blackjack to szybka gra - syknął jego pęcherz. Raz-dwa do dwudziestki jedyński i po sprawie?

Strażnicy spojrzeli ponuro na Nyberga. Potem wzięli miskę z zupą, chleb i kubek mleka i przygotowali się do wejścia.

Weszli do środka. Zamknęli za sobą drzwi. Nyberg został na korytarzu. Wyjął broń, odbezpieczył i skierował prosto na grube drzwi swoją zdrową lewą ręką. Bał się tego, co stamtąd wypęźnie. Siedział pięć metrów od drzwi, jeśli strzeli - zabije.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Strażnicy nie wychodzili. Z każdą sekundą był coraz bardziej pewien. Zapomniał, że w ogóle chciał pójść do toalety.

Drzwi uchyliły się.

Wayne Jennings wydawał się zaskoczony, gdy zobaczył Nyberga z pistoletem wycelowanym w jego głowę.

- Gunnar Nyberg - powiedział uprzejmie. - Bardzo mi miło.

Nyberg wstał. Krzesło upadło na podłogę, echo rozeszło się po całym korytarzu, objijając się we wszystkie strony w jamie dzikiego zwierza.

Trzymał broń blisko serca. Jennings zrobił krok do przodu.

Gunnar Nyberg strzelił. Dwa strzały w serce. Jenningsa odrzuciło do tyłu. Leżał bez ruchu.

Nyberg zbliżył się do niego na kilka kroków. Wciąż celował do niego z pistoletu.

Wayne Jennings wstał.

Uśmiechnął się. Jego lodowate oczy były takie jak zawsze.

Nyberg zadrżał. Dzieliły ich dwa metry. Opróżnił magazynek, strzelając w ciało mordercy z Kentucky. Jenningsa znowu odrzuciło do tyłu. Leżał.

Gunnar Nyberg był już bardzo blisko.

Wayne Jennings znów wstał. W jego białej koszuli świeciły czarne otwory po kulach. Uśmiechał się.

Nyberg znowu nacisnął spust. Pistolet nie wystrzelił. Odrzucił go na bok. Wymierzył w Jenningsa cios pięścią. Tym razem Jennings się nie podniesie.

Uderzył w powietrze. Nie było go tam. I wtedy przeszył go straszliwy ból. Nie przypuszczał, że ciało może tak szybko dygotać. Leżał na podłodze. Jennings uciskał jakiś punkt na jego szyi. Widział przed sobą jego twarz. Sytuacja była poważna.

- Zapomnij o mnie - wyszeptał Wayne Jennings. - Musisz wymazać mnie ze swojej pamięci. Inaczej nigdy nie zaznasz spokoju.

Puścił go. Nyberg próbował usiąść, ale wciąż dygotał na całym ciele.

Zanim spadła na niego ciemność, usłyszał jeszcze dobiegający skądś głos:

- Jestem Nikt.

■

DESZCZ nie przestawał padać. W Sztokholmie zamknięto część ulic. Kilka zabytkowych kamienic uległo podmyciu i trzeba było z nich ewakuować mieszkańców. Na przedmieściach było jeszcze gorzej, zalane zostały całe dzielnice. Burza uszkodziła linie energetyczne i telefoniczne w niektórych częściach Szwecji. Stan alarmowy zbliżał się wielkimi krokami.

Komenda policji była jednak wciąż bezpieczna. Chociaż „centrum dowodzenia” zdołał na powrót cudzysłów. Unosił się nad nimi w pokoju jak jakiś szyderyczy nietoperz.

- Dlaczego nie strzelałem w głowę - zasepił się Gunnar Nyberg. - Przynajmniej jedną kulę mogłem mu wpakować w głowę. Kurwa, ale byłem głupi.

- Nie mogłeś wiedzieć, że strażnicy mieli na sobie kuloodporne kamizelki - pocieszał go Hultin - ani że wziął jedną z nich.

- Nie powinienem był pozwolić im tam wejść.

- Tyle jeszcze powinniśmy byli zrobić - powiedział ze smutkiem Hultin. - Przede wszystkim jednak wiele nie powinniśmy byli zrobić.

Patrzył na Nyberga ze swojej katedry. Ten wyglądał przerażająco. Oprócz osłonki na nos i zagipsowanej ręki miał jeszcze wielki bandaż owinięty wokół szyi. Nie powinno go tu być, powinien skorzystać z chorobowego i odespać podwójne wstrząśnienie mózgu. Nie było jednak siły, która potrafiłaby go stąd wyciągnąć.

Sowie okulary Hultina były na miejscu, wszystko inne jednak się zmieniło. Gdzieś zapodział się jego wyważony spokój. Jakby dogonił go wiek. Wyglądał, jakby się skurczył. Czas ojca narodu

dobiegł końca. Może uda mu się jeszcze otrząsnąć przed emeryturą. Mówił powoli, słabym, niemal starym głosem:

- Zarówno Gunnar, jak i strażnicy wyszli z tego bez większych obrażeń. Legitymacja Gunnara, którą Jennings się posłużył, żeby wyjść z budynku, została znaleziona kilka godzin później w koszu na Arlandzie. To była wiadomość do nas. Jak rozumiem, podziękował nam za pomoc.

Zrobił przerwę i przejrzał swoje dokumenty. Trochę to potrwało. Mówił dalej:

- Zobaczyliśmy efekt działania trzech karabinów snajperskich z wyjątkowo skuteczną amunicją. Możemy założyć, że śledzili nas helikopterem do Visby, aż do samego portu, a potem zajęli pozycje na wzgórzu w mieście. Być może była to współpraca CIA z Saddamem, tego nigdy się nie dowiemy. Nie dowiemy się również, co takiego na temat wojny w Zatoce Perskiej mieli do przekazania ci trzech oficerowie. Zwłaszcza o tym musimy zapomnieć. Zajęto się ich ciałami. Jak pewnie wiecie, musieliśmy ściągnąć Sapo; teraz to już ich sprawa. Nic nie przedostało się do prasy, a my, nawet jeśli byśmy tego chcieli, nie mamy co powiedzieć ludziom. Sprawa zostanie uznana za nierozwiązaną, ludzie będą dalej kupować broń i zatrudniać agencje ochrony. Może postępują słusznie. Wiecie, co powiedział Fawzi Ulaywi, kiedy go wypuszczaliśmy? Nigdy tego nie zapomnę. „Pieprzeni mordcy!”. Myślę, że miał rację. Jego tożsamość wyszła prawdopodobnie na jaw. Może zdąży jeszcze zniknąć i uniknie śmierci, może nie. On, Herman Bengtsson i małżonkowie Lindberger byli szwedzką ekspozyturą Orpheus Life Line. Nic już z niej nie zostało.

Zamilkł. Wyglądał na starego i zmęczonego. Rozwiązali sprawę, od początku do końca, ale i tak będą wieszać na nim psy, jak na śledczych ze sprawy Palmego. Być może nasilą się żądania jego odejścia. Powinien był odejść - choć z całkiem innych powodów.



- Coś jeszcze? - zapytał tylko.  
- Konto Justine Lindberger zostało opróżnione kilka godzin po jej śmierci - odezwał się Arto Söderstedt. - Pozostaje nam mieć nadzieję, że to Orpheus Life Linę uratował resztki swojego majątku. A może to była pensja Wayne'a Jenningsa. Wielkie mieszkanie Lindbergerów przechodzi na i tak już zamożną rodzinę, Orpheus traci swoją szwedzką siedzibę i swoją centralę. Nie wspominając o czterech najbardziej lojalnych współpracownikach. I tak dalej.

Söderstedt spojrział w sufit. On też wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Potraktowałem ją jak ściere - powiedział cicho. - A ona była bohaterką.

- Statek „Lagavulin” był pusty - rzekł Chavez, który jakby zmałał i pobladł. - Oczywiście nie znaleziono tam żadnych systemów sterujących do broni jądrowej. A LinkCoop jest najzwyczajszą na świecie firmą importowo-eksportową w branży komputerowej, na wskroś legalną. Dyrektor generalny Henrik Nilsson wyraził głęboki żal z powodu zniknięcia zaufanego szefa ochrony Roberta Mayera. Korzystając z okazji, zgłosił zaginięcie.

- Benny Lundberg zmarł dziś rano - wtrąciła Kerstin Holm. - Jego ojciec odłączył respirator. Został zatrzymany, siedzi piętro niżej.

Gunnar Nyberg wstał gwałtownie z miejsca. Obejrzeni się za nim. Mieli tylko nadzieję, że nie zejdzie na dół, żeby dobić zagrożonego w smutku Lassego Lundberga.

Hjelm siedział cicho. Nie miał nic do powiedzenia. Nie było nic do powiedzenia. Zastanawiał się nad pojęciem „niemy ból”.

Hultin mówił dalej:

- Wiemy, że Lamar Jennings śledził swojego ojca przez ponad tydzień. Znalezienie Roberta Mayera nie było szczególnie trudne; jego nazwisko można znaleźć w książce telefonicznej. Od razu następnego dnia po przylocie do Szwecji Lamar dorobił klucz do magazynu. Musiał już wtedy pójść za Wayne'em

Jenningsem; może już wtedy Wayne kogoś zamordował, może jest całe mnóstwo ofiar, o których nigdy się nie dowiemy. Coś w każdym razie kazało Lamarowi dorobić klucz - i coś sprawiło, że wiedział, iż ojciec pojawi się tej brzemiennej w skutki nocy, wlokąc za sobą ciało Erika Lindbergera. Nie wiemy, jak to się stało, że Lindberger udał się z Jenningsem do Frihamnen po spotkaniu w barze Riche, nie wiemy również, dlaczego się tam spotkali. Być może Lindberger myślał, że chodzi o Orpheusa; członkowie są przecież tajni. W ogóle dużo nie wiemy.

Hultin zrobił pauzę, po której mówił dalej jeszcze bardziej zmęczonym głosem:

- Zimna wojna dobiegła końca. To, co przyszło po niej, wyda je się jeszcze gorsze, bo nie rozumiemy, co to jest. Świat się kurczy, a najbardziej ze wszystkiego kurczymy się my. Wykona liśmy kawał dobrej policyjnej roboty, co może będzie dla was jakimś pocieszeniem, ale to niestety nie wszystko. Popelniliśmy całą serię politycznych i psychologicznych błędów w ocenie, które pokazują, że nie do końca nadążamy za światem. Przestępczość o charakterze międzynarodowym wymyka nam się z rąk. Ślepa przemoc jest zwierciadłem przemocy ukierunkowanej. Lamar Jennings był jak odbicie ojca w krzywym zwierciadle. Zła krew wraca, jak to się mówi.

Paul Hjelm roześmiał się nagle. Z samego siebie. Nie tak brzmi to powiedzenie. Wayne Jennings poprawił go wtedy.

- Mówi się echo wraca - powiedział, ocierając łzy. Wyglądały na łzy ze śmiechu, ale nimi nie były.

Patrzyli na niego przez chwilę. Wiedzieli, jak się czuje, i wiedzieli też, że niemożliwe jest zrozumieć nawet najdrobniejszą cząstkę drugiego człowieka.

- Coś jeszcze? - zapytał Hultin.

- Stany Zjednoczone mają w każdym razie o jednego seryjnego mordercę mniej - stwierdziła Kerstin Holm i uśmiechnęła się gorzko. - Zabił go inny seryjny morderca. Po raz kolejny Wayne Jennings okazuje się *the good guy*.

- Liczy się efekt końcowy - rzucił Hjelm. Nie były to jego słowa. Już nic nie było jego. Znalazł się pod okupacją. Był modelem dziecięcej kolejki, która jeździła dokoła w zamkniętej pętli.

- No tak - powiedział Jan-Olov Hultin i wstał z miejsca. - Teraz muszę iść się odlać. Miejmy nadzieję, że Bóg z tym szybko skończy.

Nie za bardzo chcieli się rozchodzić. Jakby potrzebowali swojej bliskości. Ale w końcu zostali samotni wysłani w świat, równie samotni na niego przyszli i równie samotni mieli go opuścić.

Hjelm i Holm wyszli jako ostatni. Paul zatrzymał Kerstin w drzwiach.

- Mam coś, co należy do ciebie - powiedział, otwierając portfel. Podał jej zdjęcie pastora. Spojrzała na niego. Nie potrafił ocenić, co tak naprawdę myśli. W jej oczach był smutek, ból - i siła przebijająca się przez ciemność.

- Dziękuję.

- Wytrzymaj je. Jest na nim odcisk palca Wayne'a Jenningsa.

- Jalm & Halm - uśmiechnęła się. - W innym świecie moglibyśmy być parą komików.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Już nimi jesteśmy - powiedział.

GUNNAR Nyberg rzeczywiście zszedł do aresztu. Wychodząc z „centrum dowodzenia”, gotował się ze złości - nie wiedział, co ze sobą zrobić. Synobójca pobił go trzykrotnie. A w budynku był jeszcze jeden ojciec, który pozbawił życia swojego syna. Gdy zniknął Jennings, w jego miejsce pojawił się Lasse Lundberg. W pierwszym odruchu pomyślał, że ukarze ojca Benny'ego tak, jak nie udało mu się ukarać ojca Lamara. Strzepnął z siebie protesty strażników i wszedł do korytarza aresztu. Zatrzymał się dopiero przy celi Lundberga. Zajrzał przez okienko. Lasse Lundberg siedział z rękoma na kolanach i twarzą skrytą w dłoniach. Jego ciało drżało w niekontrolowany sposób. Nyberg przyglądał mu się przez kilka sekund. Potem odwrócił się nagle na wspomnienie przewinień innego ojca.

Udał się do Osthhammar. Długa droga. Dużo czasu na myślenie, choć jego myśli były owinięte w powidoki podwójnego wstrząśnienia mózgu. A przecież miała to być spokojna i piękna jesień w oczekiwaniu na emeryturę. Żadnego osobistego zaangażowania, żadnego niepotrzebnego ryzyka, żadnego przesiadywania do późna w pracy. Dieta i spokojna wegetacja. I co się z tym, kurwa, stało?

Norrtäljevagen była zalana deszczem. Drogą płynął istny potok. Wjeżdżając pod górę, napotykał czoło fali, zjeżdżając, opadał razem z nią. Wcale go to nie bawiło.

Minął Norrtälje. Zobaczył z daleka Hallstavik i Grisslehamn i po chwili znalazł się w spokojnym Osthhammar. Właściciele

domków letniskowych wrócili już do miasta, a Osthamar stało się znów zwykłą wioską.

Korzystając z wyjątkowo dokładnej mapy policyjnej, jechał między gospodarstwami. Drogi były nieprzejezdne. Koła buksowały w błocie. Deszcz nie ustawał nawet na chwilę. Tylne lewe koło renault utknęło w prawdziwym kraterze. Musiał wysiąść z samochodu. Wściekł się i go podniósł. Pieprzony samochód.

Chwilę potem zobaczył gospodarstwo. Pojawiło się nagle na szczycie pagórka, który wydawał się trudny do pokonania. Wcisnął z całej siły pedał gazu. Udało się.

Pod oborą stał traktor z ogromnym tylnym kołem zanurzonym do połowy w błocie. Obok klęczał olbrzymi mężczyzna ubrany w zielono-żółtą czapkę, uwalane błotem spodnie od kombinezonu i zielone kalosze w rozmiarze wyglądającym na 54. Był odwrócony do niego plecami. Nyberg wysiadł z samochodu i stanął w strugach deszczu. Mężczyzna uderzył w traktor swoją wielką pięścią; ten zapadł się jeszcze głębiej w błocie. Olbrzym wściekł się i zagrział:

- Pieprzony traktor!

A potem wyciągnął go z błota.

Gunnar Nyberg wiedział już, że dobrze trafił.

Postąpił kilka kroków. Mężczyzna wreszcie go usłyszał. Odwrócił się. Zobaczył wielką mumię wylaniającą się z deszczu. Taki widok niejednego potrafiłby wystraszyć. Ale nie jego. Podeszedł bliżej. Nyberg zobaczył jego twarz. Miał dwadzieścia pięć lat. I wyglądał dokładnie tak jak on, gdy był w jego wieku. Ale nie był Misterem Szwecji - był chłopem. I zdawał się z tym czuć dużo lepiej, niż niegdyś czuł się pewien Mister Szwecji.

Zatrzymał się nagle kilka metrów od Gunnara Nyberga. Czy Tommy Nyberg rozpoznał w nim siebie, czy ojca?

- Tata? - zapytał niskim głosem.

Gunnar Nyberg poczuł, jak zalewa go fala ciepła. Następny krok miał być rozstrzygający.

Tommy Nyberg podszedł bliżej, żeby mu się przyjrzeć. Potem zdjął roboczą rękawicę i wyciągnął rękę.

- Ja pierdołę! Tato! Więc ciągle jesteś glina!

Nyberg dotknął osłonki na nos zdrową lewą ręką. Potem wyciągnął ją, nieporadnie się witając. Nie potrafił wydobyć z siebie słowa.

- Co tutaj robisz? Lepiej wejdz, kurwa. Trochę pada.

Przeszli przez nasączoną wodą ziemię, minęli oborę, traktor i huštawkę zapadającą się w ziemię; opona unosiła się na wodzie, łańcuchy zwisały luźno.

- Tak, tak - powiedział Tommy z szerokim uśmiechem. - Za raz go poznasz.

Na koniec doszli do małego, trochę zniszczonego domu. Nie był zbyt duży ani szczególnie imponujący. W wielu miejscach ściany pozabijane były prowizorycznie deskami, czerwona farba dawno temu zaczęła odchodzić.

Weszli na werandę. Schody zaskrzypiały złowieszczo, najpierw pod Tommym, potem pod Gunnarem. Wkroczyli do środka, prosto do jadalni. Przy stole siedziała na oko dwudziestoletnia szczupła blondynka i karmiła blond grubaska, siedzącego w krzeselku dziecięcym.

Odrzuciła kosmyk z czoła i patrzyła zaskoczona na dwóch olbrzymów. Na widok zabandażowanego po dziurki w nosie dziadka chłopiec uderzył w ryk.

- Tina i Benny - powiedział Tommy, zdejmując kalosze. - To mój tata. Wyłonił się z burzy.

- Ma na imię Benny? - Gunnar wciąż stał na progu jadalni.

- Gunnar? - zapytała niepewnie Tina. - Twój prawdziwy ojciec?

- Tak chyba można go nazwać - zadudnił Tommy, dał Benny'emu głośnego buziaka, co natychmiast go uciszyło, i usiadł przy stole. - Mimo wszystko - dodał z szerokim uśmiechem.

- Wejdz - powiedziała Tina, wstając. - Nie stój tak.

Gunnar Nyberg zdjął buty i wślizgnął się do środka. Usiadł w należytej odległości od wnuka. Czuł się nieswojo.

- Cześć. - Tina wyciągnęła rękę przez stół. Nyberg znów podał nieporadnie dłoń; tym razem poszło mu jednak trochę lepiej.

- Cześć - odezwał się cicho.

Przez chwilę panowało milczenie. Powinno to być niewygodne milczenie, ale takie nie było. Cała trójka przyglądała mu się z zaciekawieniem. Nie z nienawiścią.

- To jest twój dziadek - powiedział w końcu Tommy do rocznego Benny'ego, który wyglądał tak, jakby ta informacja miała przypawić go o kolejny atak płaczu. Sytuację uratowała podana pędkiem przez mamę łyżka kaszki.

- No to gdzie się podziewałeś?

- Nie wiedziałem, że tu mieszkasz - wydusił Nyberg. - Dawno się nie widzieliśmy.

- No, ale teraz już tu jesteś. Napijesz się kawy?

Skinął głową. Tommy zniknął w kuchni. Nyberg śledził syna wzrokiem.

- Od kiedy się tu przeprowadziliśmy, wciąż powtarzał, że musi się z tobą spotkać - powiedziała Tina i włożyła łyżkę kaszki do szeroko otwartej buzi Benny'ego.

- Mówił coś jeszcze?

Spojrzała na niego badawczo, jakby chciała zrozumieć, co ma na myśli.

- Tylko tyle, że przeprowadzili się na zachodnie wybrzeże i że obiecałeś się z nimi nie kontaktować. Ale nie wiem dlaczego.

Gunnar Nyberg zmarszczył brwi. Pierwszy raz poczuł wyraźny ból w nosie i ręce. Przeszył go całego, w jednej chwili. Jak słaba reminiscencja ucisku Wayne'a Jenningsa. Albo raczej jakby puściło mu długotrwałe znieczulenie.

- Dlatego że byłem wyjątkowo złym ojcem - powiedział tylko, bo więcej nie było trzeba.

Kiwnęła głową, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

- To prawda, że byłeś Misterem Szwecji?

Wydał z siebie głośny, długi śmiech. Jakby po wiecznym zesłaniu wrócił mu głos.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? - dodał, gdy już się trochę uspokoił. - Nie warto było, uwierz mi.

Spojrzał na małego tłuscioszka. Chłopiec wykradł łyżkę z ręki Tyny i rzucił w niego. Nyberg złapał ją w locie. Kaszka rozprysnęła mu się na ubraniu. Nie miał nic przeciwko temu.

- Chcesz go potrzymać? - zapytała Tina.

Podąła mu wnuka. Chłopiec był ciężki, nabity. Pewnie wyrośnie z niego kawał chłopca.

Zła krew wraca.

Nieprawda. Można to przerwać.

Nawet echo nie wraca.

Przecież istniało jeszcze wybaczenie. Dopiero teraz to zrozumiał.

Tommy wyszedł z kuchni, trzymając w ręku dzbanek kawy. Stał nagle w progu i zdjął mokrą czapkę.

- O kurwa, tato. Płaczesz?



PAUL Hjelm wyszedł z budynku policji. Zatrzymał się, coś mu nie pasowało. Wrócił po parasol.

Miał wrażenie, jakby od miesiąca błądził po wnętrzu statku. Teraz znowu był na zewnątrz. Była prawdziwie chłodna jesienna noc. Rozłożył parasol; małe logo policji patrzyły na niego bezbrinnie - deszcz padał poziomo, smagając go z lewa i prawa. Przeszedł zaledwie kilka metrów zalaną Bergsgatan, kiedy parasol się wygiął; Paul wyrzucił go do kosza przy wejściu do metra.

Zadzwoił do Raya Lamera i opowiedział wszystko ze szczegółami. Miał gdzieś konsekwencje. Larner słuchał, nie mówiąc ani słowa. Na koniec skomentował:

- Nie szukaj dalej, Jalm, zostaw to. Bo zwariujesz.

Nie zamierzał szukać dalej, ale zamierzał myśleć dalej - tego nie mógł powstrzymać, nie chciał tego powstrzymać. Sprawa K pozostanie na zawsze w jego świadomości, albo pod nią. Płynęła z niej przerażająca wiedza, którą zaledwie musnął. A wiedza była zawsze dobra, o czym jako praktykujący oświeceniowy racjonalista był święcie przekonany. Pytanie tylko, jaki miało to wpływ na ludzką psychikę. Istniało ryzyko, że taka wiedza może go doprowadzić do szaleństwa. Był tego w pełni świadom.

Wayne Jennings obrócił pozornie beznadziejną sytuację w bezwarunkowe zwycięstwo, i chociaż Hjelm się opierał, nie mógł nie poczuć podziwu.

I kto tak naprawdę mógł ocenić, czy był to sukces, czy porażka? Kto dziś wiedział, do czego doprowadziłoby ujawnienie tajemnicy trzech irańskich oficerów? Czy media były rzeczywiście

jedynym silnym przeciwnikiem potężnych kół militarnych i gospodarczych? Czy były raczej zagrożeniem? I czy fundamentaliści stanowili jedyną alternatywę dla rozpasanego wolnego rynku? Żadne z tych rozwiązań nie wydawało mu się szczególnie atrakcyjne.

Co stanowi o wartości życia? Jak chcemy żyć i jakiego życia życzymy innym? Jaką cenę płacimy za to, żeby żyć tak jak teraz? Czy jesteśmy gotowi zapłacić tę cenę? I co zrobimy, jeśli okaże się, że jednak nie jesteśmy gotowi?

W głowie huczało mu od prostych, podstawowych pytań.

- Od pół roku nie miałem w ręku instrumentu muzycznego - powiedział Jorge, uderzając w struny wyimaginowanego kontrabas. - Teraz wrócę do domu i będę rżepolić przez całą noc, aż przyjdzie policja i mnie zgarnie.

Ludzie umierali w ich ramionach, głowy odrywały się na ich oczach, krew ofiar spływała na nich i nikt poza ich ciasnym kręgiem nie miał prawa się o tym dowiedzieć. Co mogli robić? Grać. I włożyć w to całą swoją poczerńiałą duszę. Gdzieś w końcu musiała się podziąć.

Kupił gazetę i przejechał krótki kawałek z Ratusza do Dworca Głównego. Sprawdził nagłówki. „Wciąż ani śladu mordercy z Kentucky. Policja tłumaczy się brakiem środków”.

To musiały być słowa Mórnera. Hjelm zaśmiał się głośno. Ludzie spojrzeli na niego. Nic sobie z tego nie robił.

Nie robił sobie nic również z gry za kulisami, która miała teraz nastąpić. Chciał tylko jednego: włożyć słuchawki i zagłębić się w fotelu.

*Meditations* z Johnem Coltrane'em. Wszedł w ten nieokreślony stan między jawą a snem, który był uprzywilejowaną przestrzenią spokoju.

Coś wtargnęło do Szwecji. Tak sądziliśmy. Ale naprawdę to coś jednak już tu było, od dawna. Wystarczyło to obudzić.

Zamierzał kupić pianino. Ta myśl dojrzywała w nim, gdy szedł przez zalane deszczem przedmieścia. Identyczne szeregi domów

przyglądały mu się zza zasłon mgły. Szedł powoli, chciał, żeby deszcz sięgnął każdego pora skóry. Chciał zostać oczyszczony. Dogłębnie.

Nie było księżycy. Dawno już nie widział prawdziwego księżycy. W Stanach nie miał czasu, żeby się przyglądać. Zbliżył się do Kerstin w sposób, jakiego się nie spodziewał. Gdzieś w środku tęsknił za nią, ale jego dziecinne marzenia o małym skoku w bok zamieniły się w coś całkiem innego. Czy się starzał? A może doroślał?

Doszedł do rzędu szeregowców. Wyglądały szaro i nudno, równie anonimowo jak wieżowce, choć miały świadczyć o wyższym statusie. Wszystko było fikcją. Nic nie było takie, jakie się wydawało.

Przede wszystkim nie było szare i nudne. Nie w środku. W środku nic nie jest takie samo. Zawsze to już coś. Ślad pogodzenia się z tym, przez co przeszedł.

Zatrzymał, jak powiedział Lamer, the Fucking Kentucky Baby własną ręką. No cóż. Impuls rzeczywiście był jego. I nie tylko jeden, ale dwa. Nie jego wina, że ten drugi do niczego nie doprowadził, takie było prawo natury. Jeszcze przez chwilę mógł to sobie wmawiać.

Na kanapie siedziała Cilla. Czytała książkę przy świecy.

- Nie możesz czytać przy takim świetle. Zmarnujesz sobie oczy.

- Nie - powiedziała, odkładając książkę. - Tak się tylko wszystkim wydaje. Nie można zmarnować oczu, czytając przy zbyt słabym świetle. Światło nigdy nie jest zbyt słabe.

Uśmiechnął się i podszedł do niej.

- Zaczekaj, nie siadaj. - Zniknęła za drzwiami. Wróciła z kilkoma ręcznikami i rozłożyła je na kanapie. Usiadł.

- Mogłem sam przynieść.

- Chciałam je przynieść - powiedziała. - W porządku?

Przez chwilę byli cicho. Zupełnie cicho.

- Co takiego czytałaś? - zapytał w końcu.

- Twoją książkę - odparła, podnosząc *Amerykę* Kafki. - Nigdy nie masz czasu na lekturę.

- I jak?

- Pokręcona. Ale gdy już zaczniesz się czytać, nie można przestać. Gdy już wydaje ci się, że rozumiesz, dochodzi do ciebie, że niczego nie rozumiesz.

- Rozumiem - powiedział tylko.

- Naprawdę? - zapytała. Roześmiali się.  
Dotknęła jego ubrania.

- Jesteś cały mokry. Pomogę ci się rozebrać.

- Nie musisz.

- Ależ tak. Muszę.  
Rozbierała go powoli. Poddął się temu całkowicie.

- Teraz będę mieć więcej czasu na czytanie - powiedział, gdy ściągała z niego spodnie. - Dla siebie też będziemy mieć więcej czasu.

- Ale przecież nie schwytaliście tego mordercy z Montany?

- Z Kentucky.

- Kiedy go złapiecie?

- Nigdy - powiedział ze spokojem.  
Zdjęła z niego przemoczone kalesony i rzuciła je na mokrą górę ubrań na podłodze. Potem spojrzała na niego.

- Nie wyglądasz najgorzej, Paulu Hjelmie. Jak na policjanta w średnim wieku.

- Ty też nie wyglądasz najgorzej. Przecież wiesz.  
Uśmiechnęła się i zaczęła się rozbierać. Wyciągnęła rękę w stronę świecy. Poparzył się.

- No żeż! - zaklął.

- Ale z ciebie niezdara - zaśmiała się, kładąc się obok niego.  
Patrzył na malejący knot świecy. Po chwili zalała ich ciemność.

- Światło nigdy nie jest zbyt słabe - powiedział Paul Hjelm i zabrał się do roboty.  
Na zewnątrz wciąż lał deszcz.

Książkę wydrukowano na papierze  
Creamy HiBulk 2.4 53 g/m<sup>2</sup>  
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

**zmg**

[www.zing.com.pl](http://www.zing.com.pl)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa  
tel. 22 6297624, 22 6296524  
e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360, 22 6293201  
Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Warszawa 2011  
Wydanie I

Skład i łamanie: MAGRAF S.C, Bydgoszcz  
Druk i oprawa: ABEDIK S.A., Poznań